

teksty

DRUGIE

ŚWIATOWE IMPERIUM POLONISTÓW?...

z treści:

*Stanisław Barańczak, Daniel Beauvois,
Bogdana Carpenter, Halina Filipowicz,
Czesław Miłosz, Tomas Venclowa i inni*

O polonistyce za granicą

Witold Gombrowicz — Czesław Miłosz

Korespondencja

Zofia Mitosek

Mickiewicz w oczach Francuzów

Benedikt Liwshyc

My i Zachód

Per-Arne Bodin

„Doktor Żywago” a idea Sofii

1/2

(13/14) 1992

Redaguje Kolegium:

Edward Balcerzan, Włodzimierz Bolecki,
Tomasz Burek, Jerzy Jarzębski, Zdzisław Lapiński,
Anna Nasilowska (zastępca redaktora naczelnego),
Ryszard Nycz (redaktor naczelny)

Sekretariat redakcji:

Jacek Kopciński,
Joanna Łuczyńska (sekretarz redakcji)

Stale współpracują:

Stanisław Barańczak, Jan Błoński,
Michał Głowiński, Czesław Hernas,
Janusz Sławiński

Adres redakcji:

00-330 Warszawa, Nowy Świat 72,
Pałac Staszica, pokój 128,
tel. 26 52 31, w. 101

teksty

D R U G I E

1/2
1992

Dwumiesięcznik
Instytutu
Badań
Literackich
PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Od polonistyki do komparatystyki (i z powrotem)

Komparatystyka nie cieszy się u nas specjalnym autorytetem. Wedle panującej opinii z tego głównie powodu, że zamiast pozostać pożytecznym środkiem pełniejszego poznania różnorodnych kontekstów utworu — porównawczego aspektu analizy tekstu — uczyniła z metody faktyczny cel swej działalności. Poprzestaje więc na tym etapie krytycznego poznania, na którym inni badacze (jak sami twierdzą) wszczynają dopiero właściwe interpretacyjne dochodzenie — służące odsłonięciu osobliwej jedności semantyki dzieła, ukazaniu tego, co oryginalne, samoswoje, inne od wszystkiego innego.

Na dodatek wygląda na to, że dobre samopoczucie też raczej jej nie dopisuje. Zwolennicy tej metody na wszelki wypadek sami od razu skwapliwie przyznają, że nie ma — i nie może być — takiego przedmiotu jak „literatura porównawcza”; są natomiast porównawcze badania literatur(y). Lecz ta pospiesznie składana deklaracja własnej specyfiki — po niesławnej pamięci hipostazie „literatury światowej” — ma pewne znamiona pogodzenia się z przykrą koniecznością. Brak własnego, odrębnego przedmiotu postrzegany jest bowiem mimo wszystko jako wstydliva skaza przesądzająca o „nieczystym” naukowym sumieniu tej orientacji jako samodzielnej dyscypliny.

Nic tedy dziwnego, że poloniści skłonni są na ogół spoglądać na nią z wyższością nie pozbawioną nieco protekcyjnalnej wyrozumiałości. Wiedza

o prawdopodobnych wpływach i zależnościach, świadomość własnej historii kluczowych idei, to niewątpliwie pożyteczny kontekst, który przyczynić się winien do uzyskania pełniejszej interpretacji — nie mogąc jednak w żadnym stopniu decydować o jej kierunku czy charakterze. Tego tradycyjnego i stereotypowego obrazu miejsca i funkcji badań porównawczych nie są zdolne zmienić ani próby ich radykalnego uateoretycznienia, ani niezwykle ambitne projekty analiz globalnych różnicowań, występujących na poziomie podstawowych systemów czy paradygmatycznych wzorców kultury.

Analizy te, niekiedy nie tylko doniosłe, lecz i o wielkiej skali trudności, pozwalają nam uprzytomnić sobie na przykład relatywną niewspółmierność dzieł powstałych w sferze oddziaływania zachodniej „arystotelesowskiej” poetyki w stosunku do tych, które ukształtowała hinduska czy japońska tradycja literacka i kulturalna. Bez względu na różnorodne pożytki, jak też autonomiczną wartość takiej refleksji, w optyce stawiającej w centrum swoistość narodowej literatury rezultaty studiów porównawczych mogą mieć jedynie walor przyczynków, a sama komparatystyka — status (jednej z wielu) pomocniczej metody.

Nie mam zamiaru prowokować do odwrócenia tej hierarchii ważności. Warto jednak, jak sądzę, dostrzec symptomy pewnej zmiany w stosunkach między obiema dyscyplinami. Polonistyka — całkiem podobnie, jak literatura — pomału odzyskuje poczucie swobody własnych poczynań, nie skrepowanej już powinnością wypełniania dodatkowych, zastępczych zadań, czy specjalnych misji. Widoczna staje się też potrzeba rozszerzenia poznawczej perspektywy: w miarę tego, jak z wolną rośnie świadomość stopnia zakorzenienia jej przedmiotu w ponadnarodowym uniwersum kultury.

Nader znamienitym objawem tego procesu jest, jak myślę, popularność intertekstualnych badań prowadzonych nie tylko nad zjawiskami pogranicznymi i gatunkami szczególnie charakterystycznymi w tym względzie, lecz także nad tekstami kanonicznymi oraz w ramach tradycyjnie polonocentrycznej perspektywy interpretacyjnej i historycznoliterackiej. Ta forma komparatystycznej kontrabandy uprawianej w samym środku „wewnątrzpolonistycznych” dociekań nad specyfiką literatury narodowej może mieć bowiem prawdziwie wywrotowe konsekwencje.

Podczas gdy wcześniej badania porównawcze bywały uprawianym składnikiem prac z zakresu teorii literatury czy historii idei — to teraz znajdują swą rację bytu również w ramach studiów stricte historycznoliterackich

Zofia Mitosek

Adam Mickiewicz w oczach Francuzów

1. 4 lipca 1890 roku odbył się w Krakowie drugi pogrzeb Adama Mickiewicza. Zwłoki poety, ekshumowane z cmentarza w Montmorency pod Paryżem, zostały złożone na Wawelu. Był komitet honorowy, mowy wygłaszali: Stanisław Tarnowski, Adam Asnyk, prymas Chotkowski. Jeden z wnuczków Mickiewicza rozpuścił dla zabawy pogłoskę, że na uroczystość tę przyjedzie Ernest Renan, dziekan profesury w Collège de France. Renan nie przyjechał, hołd Mickiewiczowi oddał w Montmorency, gdzie przemawiając podkreślał więź poety z rasą słowiańską i jego funkcję jako profety. Nie omieszkął jednak wspomnieć, że Mickiewicz należał do słynnego triumwiratu w Collège de France i że razem z Micheletem oraz Quinetem walczył „ze źle pojętą religią”.¹ Łatwo sobie wyobrazić, jakie oburzenie wywołała taka opinia wśród klerykałnego środowiska Krakowa. Jednoznacznie przeciwstawiono Mickiewicza, „żarliwego katolika”, Renanowi, określanemu jako „wielki bluźnierca”.² Nieomal diabeł. Echo tych wydarzeń zadźwięczało

¹ E. Renan *Discours prononcé au nom du Collège de France à l'exhumation des cendres d'Adam Mickiewicz, au cimetière de Montmorency*, w: *Mowy wygłoszone w dniu 28 czerwca 1890 roku z powodu przeniesienia zwłok Adama Mickiewicza z Montmorency na Wawel*, Paryż 1890, wydanie Związku Narodowego Polaków we Francji.

² *Funerailes d'Adam Mickiewicz*, anonimowy artykuł polskiego autora, „Le Monde”, 15 i 16 lipca 1890.

w setną rocznicę urodzin Mickiewicza, kiedy Eugène Tavernier, publicysta katolickiego „L'Univers” (30 grudnia 1898) wypominał nieżyjącemu już Renanowi, że „wyszydził wszystkie przekonania poety-patrioty”.

Ten pośmiertny spór był tylko odbiciem paradoksów, które towarzyszyły Mickiewiczowi w trakcie jego pobytu we Francji. W roku 1840 Wiktor Cousin, filozof eklektyczny, pełniąc przez kilka miesięcy funkcję ministra oświaty w gabinecie Thiersa, doprowadził do stworzenia Katedry Literatur Słowiańskich w Collège de France i do zatrudnienia Mickiewicza w charakterze wykładowcy. Usłużna opinia publiczna natychmiast przypominała, że tenże Cousin, razem z historykiem Guizotem, został porównany w *Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego* do „pustego młyna” („a głos ich stał się jako szum młynów pustych, w których nie było już zboża wiary”).³

Cousin mógł nie znać małej książeczki, która, przełożona w 1833 roku na język francuski przez Charlesa Montalemberta, została po potępiającym ją liście papieskim wycofana przez tłumacza z obiegu. Co więcej, był wyraźnie dumny ze swego dokonania. W sprawozdaniu ze swej działalności jako ministra („Revue des deux Mondes”, 15 lutego 1841) podkreślał, że „oddał Francji podwójną przysługę, obdarzając ją Katedrą Literatur Słowiańskich i Mickiewiczem”. Ale pisma, które broniły profesora literatur słowiańskich w momencie zawieszenia kursów, uparcie podkreślały, że nie jest on uczniem ani Voltaire’a, ani Cousina („Journal des Débats”, 10 lipca 1844).

Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego wywoływały więcej sporów. Protestanci z „Semeur” pisali, że bard uciskanego narodu, niezwykle katolickiej Polski, w kilka miesięcy po przyjeździe do Paryża wydaje „parodię naszych Świętych Ksiąg” (14 maja 1833). A demokraci drwili z poety, którego twórczość „przepelniona jest hymnami do Matki Boskiej i litaniami do św. Stanisława, św. Antoniego, św. Kazimierza”.⁴

Sprzeczności te dowodzą, że osoba Mickiewicza funkcjonowała w walkach światopoglądowych Francji XIX wieku i że teksty poety dostarczały

³ Fragmenty *IV Księgi pielgrzymstwa polskiego* dotyczące Cousina i Guizota zacytował Louis Lomenie w artykule *Adam Mickiewicz* z serii *Galerie des contemporains illustres par un homme de rien*, Paryż, marzec 1841.

⁴ G. Sarraut et B. Saint-Edme *Mickiewicz (Adam)*, Biographie des hommes du jour, t. III, cz. 1, Paryż 1837.

argumentów odmiennym ideologiom. Nie tylko jednak teksty: tłumaczone i wydawane w skromnych nakładach, niewielki miały wpływ na Francuzów. W każdym razie recepcja poezji nie mogła się równać sensacjom, jakich dostarczał sam Mickiewicz w momencie obcowania z nim. A kontekst ideologiczny nabierał nowego znaczenia na tle wielkiej polityki europejskiej. Tu właśnie pojawiały się nowe, o wiele groźniejsze ambiwalencje.

W roku 1830 romantyczne czasopismo „Le Globe” (25 kwietnia) opublikowało anonimową recenzję francuskiego przekładu *Sonetów i Konrada Wallenroda*. Pisano tam, że Mickiewicz „był członkiem towarzystwa patriotycznego, którego działacze pozostają jeszcze w więzieniu”, że „przebywał w wieży bez światła podczas długich zim w Tartarii”. W tym samym roku przyjaciel Polaków, Alphonse Herbelot, w biografii Mickiewicza zamieszczonej w kwietniowym numerze czasopisma „Revue Encyclopédique” szczegółowo wyjaśniał patriotyczny sens *Konrada Wallenroda*. Tymczasem Mickiewicz, przebywający we Włoszech, był szczerze zmartwiony: wszystkie te informacje szkodziły nie tyle jego osobie, co przyjacielom–filomatom, zesłanym w głąb Rosji. A także — i to jest nowy paradoks — pozostałym w tym kraju przyjacielom–Moskalom, poddanym cara.⁵

Inny przykład. Poeta został powołany na Katedrę Literatur Słowiańskich na skutek skomplikowanych zabiegów antyrosyjskich stronnictwa Czartoryskich i proslowiańskiej polityki rządu francuskiego, która na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych była atutem w rozgrywkach z Anglią, Prusami, Austrią i Rosją, dotyczących Półwyspu Bałkańskiego. Mickiewicz nie został jednak nigdy mianowany profesorem zwyczajnym. Dlaczego? Wyjawia to notatka policyjna: „W roku 1840 stworzono w Collège de France katedrę słowiańską, ale nie mianowano tam profesora zwyczajnego, aby nie narazić się Rosji”.⁶

Tymczasem Mickiewicz w 1843 roku mówi z entuzjazmem, że nadszedł czas moralnego pojednania między Lechem, Rusem i Czechem i że wkrótce narody słowiańskie zaprzestaną bratobójczych walk.⁷ Co więcej,

⁵ A. Mickiewicz *List do Leonarda Chodźki*, Florencja, 10 lipca 1830, w: A. Mickiewicz *Dziela*, Warszawa 1955, t. XIV, s. 549.

⁶ Cyt. za: S. Fiszman *Materiały Mickiewiczowskie w paryskich Archives Nationales*, „Pamiętnik Literacki” 1965, z. 4, s. 474.

⁷ A. Mickiewicz *Literatura słowiańska, kurs III*, wykład XXV z 27 czerwca 1843, *Dziela*, t. XI, s. 210.

w lipcu 1844 roku redaguje list podpisany przez Aleksandra Chodźkę, a podyktowany przez Towiańskiego i skierowany do cara Mikołaja I. Autorzy pisma, wzywając cara do odnowy moralnej, stwierdzają: „Prowadząc tyle ludów słowiańskich berłu Twojemu poddanych, jesteś dziś najważniejszym narzędziem Bożym na ziemi”.⁸ Nic dziwnego, iż po takich zachowaniach policja francuska w innych raportach donosi, że Mickiewicz został zwolniony z Collège de France, ponieważ głosił niebezpieczny, prorosyjski panslawizm.

I wreszcie śmierć poety. W Konstantynopolu znalazł się jako oficjalny wysłannik Francji z misją „statystyczno-naukową” dotyczącą krajów bałkańskich. Finansując wyjazd do Turcji rząd francuski liczył na to, że Mickiewicz swoim autorytetem moralnym doprowadzi do zgody Polaków pozostających na Bałkanach i że legion polski czynnie wesprze Francję w wojnie krymskiej. Poeta umiera, ani misja wojskowa, ani moralna nie powiodły się. W pogrzebie Mickiewicza poza emigracją polską wzięło udział kilku Francuzów (Armand Lévy, Jules Michelet, koledzy z biblioteki Arsenалу). Szybko zapadło milczenie, a o przeszło dwudziestoletniej działalności poety polskiego we Francji przypominał głównie syn, Władysław Mickiewicz, organizując razem z jego sekretarzem, Armandem Léwym, uroczystości rocznicowe, którym towarzyszyły dyskursy, niekiedy wręcz „wymuszane” na aktualnych sławach francuskiej literatury, takich jak Hugo, Renan, Lemaître.

Można by powiedzieć, że zadecydowały tu okoliczności zewnętrzne. W roku 1856 Francja zawarła alians z Rosją. Dość szybko, bo już w 1863 roku został zerwany: rząd francuski zaprotestował przeciwko porozumieniu cara z Prusami, które dotyczyło prześladowań Polaków związanych z powstaniem styczniowym. Znamienne, że już w 1864 roku ukazuje się reedycja *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego*, a recenzenci utworu Mickiewicza aktualizują jego treści zgodnie z wymową walk powstańczych. Przymierze Francji z Rosją zostało odnowione dopiero w 1891 roku, ale państwo carskie było mocarstwem, z którym francuska opinia publiczna liczyła się nieustannie. Władcy Rosji nie traktowali zbyt serio Mickiewiczowskich apelów o moralne pogodzenie się Słowian, natomiast żywili zdecydowaną nieufność wobec jego poezji, przemycanej do kraju mimo wszystkich zakazów. Dzieła Mickiewicza nie mogły być

⁸ A. Chodźko *Lettre à l'Empereur Nicolas I-er*, w: *Współudział Adama Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego*, Paryż 1877, t. II, s. 228.

publikowane w Królestwie Polskim za jego życia, a i potem cenzura carska ingerowała w każde wydanie. Wystarczy wspomnieć, że pełny tekst *Dziadów*, razem z III częścią, ukazał się w Warszawie dopiero w 1888 roku. A w 1898 roku, w trakcie inauguracji pomnika Mickiewicza w Warszawie zakazano wszelkich mów. Tę przerażającą ciszę odnotował wspomniany już Tavernier w artykule z „L’Univers”.

Nie można jednak obarczać polityki europejskiej jedyną odpowiedzialnością za milczenie, jakie zapanowało po śmierci Mickiewicza we Francji. Należałoby się raczej zastanowić nad tym, co w dziele polskiego poety, w logice jego wywodów, w jego światopoglądzie owo milczenie powodowało, co było przyczyną faktu, że człowiek, który za życia wzbudzał tyle kontrowersji, którego osoba stanowiła w 1844 roku temat artykułów ukazujących się na pierwszych stronicach gazet najróżnorodniejszego autoramentu, nagle przestał interesować Francuzów, a jego aktywność przeszła w sferę szacownych pamiątek i wspominków.

2. Adam Mickiewicz osiedlił się we Francji w połowie 1832 roku po pięcioletnim zesłaniu w Rosji i dwuletniej wędrówce po Europie. Rok wcześniej, w czerwcu i lipcu 1831 roku zatrzymał się w Paryżu w drodze do Polski. Był przyjmowany przez Francuzów jako znany poeta, przede wszystkim jednak jako reprezentant walczącego w powstaniu listopadowym narodu. Od 1828 roku pisma paryskie sygnalizowały jego poezję, a w 1830 roku ukazały się pierwsze przekłady. Od 1832 roku systematycznie tłumaczono jego nowe utwory. Co publiczności francuskiej podobało się w Mickiewiczu? Jego wiersze: porównywano go do Goethego i Byrona, dostrzegano jego walkę z poetyką klasyczną, ceniono egzotyzm i fragmentaryczność fabuły w *Konradzie Wallenrodzie*. Zachwycano się Wielką Improwizacją i upiorami z II i IV części *Dziadów*. Podobali się Mickiewiczowscy bohaterowie, zwłaszcza jeden i drugi Konrad. Zachwycała wreszcie sama biografia poety: romantyczny kochanek i polityczny wygnaniec, genialny improwizator i bard słowiański. W początkach lat trzydziestych XIX wieku ryzyko podrażnienia Rosji przez pochlebne recenzje było dodatkową atrakcją, a funkcja konsolacyjna wobec geniusza zniewolonego narodu znakomicie poprawiała samopoczucie Francuzów, dość szybko rozczarowanych do rewolucji lipcowej.

W takiej postaci mógł Mickiewicz egzystować we Francji zgoła nieszkodliwie, traktowany jako aktualizacja Byronowskiego mitu. Rzecz

w tym, że poeta polski na taką egzystencję się nie godził. Przytoczone powyżej paradoksy wskazują na to, że nie dawał się ująć w żadne ramy, a niejasność własnej pozycji wśród Francuzów była obojętna wobec przekonań i idei, które chciał głosić.

Większość tych przekonań ukształtowała się podczas pobytu w Rosji. Litewski student, nauczyciel z Kowna, nawet jeżeli był dobrze wykształcony w kręgu filomatów, nawet jeśli czytywał „Revue Encyclopédique” i tłumaczył Schillera oraz Byrona, zetknął się w Rosji z kulturą wielkich salonów. Uznany za genialnego poetę wszedł w środowisko arystokracji, gdzie po francusku dyskutowano o literaturze i mesmeryzmie, gdzie słuchano muzyki i spiskowano przeciwko carowi. Bliskie kontakty z pisarzami i krytykami, kolejne edycje jego poezji, dostęp do książek relacjonujących najnowsze koncepcje filozoficzne — wszystko to sprawiło, że Mickiewicz traktował zesłanie do Rosji nie jako nieszczęście, ale jako szansę.

Kultura europejska została mu jednak zaprezentowana w określonej postaci: w postaci państwowości rosyjskiej o silnej administracji, sprawnej policji, potężnej armii i systemie karnym. Zesłanie zmuszało poetę do swoistej gry: co innego mówić, a co innego robić. Grę taką uprawiali również jego rosyjscy przyjaciele. Sytuacja ta osiągnęła zenit w 1829 roku, kiedy Mickiewicz, aby zagwarantować sobie drugie wydanie *Konrada Wallenroda*, napisał Aneks do Przedmowy do poematu. W dodatku tym nazywa cara ojcem wszystkich plemion i języków, które wchodzi w skład jego państwa, protektorem wszech nauk, patronem badań nad historią ludów bałtyckich, który troszczy się o „chylące się do upadku pamiątki dawnych wieków”.⁹ Poeta doskonale posługiwał się frazeologią, która pod symboliką paternalizmu ukrywała najbardziej brutalny despotyzm. Posługiwał się nią, aby przemycić dzieło, które propagowało podstępna walkę z owym despotyzmem.

Fakt, że Mickiewicz opanował do perfekcji trudną rolę rozdzielania tego, co się mówi, i tego, co się robi spowodował, że samo połączenie europejskości i orientalnej niemal przemocy nie było dlań specjalnie dokuczliwe. Ale jego sytuacja osobista nie przedstawiała się prosto. Poeta musiał się tłumaczyć przyjaciółom zesłanym w głąb Rosji że

⁹ Sytuacja wolności w niewoli podwójnego języka oraz odpowiedzialności została znakomicie przedstawiona w książce T. Todorova *Nous et les autres. La réflexion française sur la diversité humaine*, Paris 1989.

swoich światowych stosunków, z przyjaźni z arystokracją rosyjską, z wizyt i rozrywek. Nawet jeśli czynił to ze zdumiewającą lekkością, czego dowodzi list do Zana i Czeczota z 17 stycznia 1827 roku, problem istniał dalej. Rozdarty między zobowiązania narodowe i przyciąganie rosyjskich salonów, zaczął myśleć o opuszczeniu Rosji. Pobyt w tym kraju przestał mu się podobać nie tylko ze względów patriotycznych. Deportacja przyjaciół, powstanie i proces dekabrystów, ścisła kontrola jego rosyjskiej trajektorii, wielokrotna odmowa paszportu, uzyskanego w końcu drogą protekcji, doświadczenie wszechmocnej i wszechobecnej korupcji — wszystko to sprawiło, że kategorie państwa, prawa, władzy, administracji już wtedy przybrały dlań negatywny odcień, kojarząc się z przemocą, biurokracją i formalizmem.

W momencie opuszczenia Rosji owa trudna i pełna sprzeczności sytuacja psychologiczna została przerwana. Mickiewicz zrozumiał, że jest wolny. Wolność oznaczała możliwość działania zgodnego z własnym wyborem i gotowość poddania ocenie swoich zachowań oraz wartości, a także ponoszenia odpowiedzialności. Aneks do Przedmowy do *Konrada Wallenroda* w następnych wydaniach był już niepotrzebny. W lipcu 1831 roku stworzył i opublikował III część *Dziadów* ze słynnym *Ustępem*, bezwzględnie obnażającym carski despotyzm. Wydając ten utwór, świadomie zamknął sobie powrót do kraju. Można sądzić, że te dwa teksty stanowią podsumowanie jego rosyjskiej sytuacji. Występuje w nich problem wolności w warunkach niewoli, motyw tyleż patriotyczny, co moralny.

W Paryżu Mickiewicz pojawia się jako osobowość suwerenna i suwerenność tę podkreśla. Dość szybko zaczyna lekceważyć poezję, także własną. Ignoruje krytykę prasową, sławy literackie nie imponują mu. O czytelniku francuskim ma niewysokie pojęcie, przekonany — nie bez słuszności — o tym, że poezja polska go nudzi. Zna swoją wartość. Poeta romantyczny kontynuuje rolę Konrada, ale uwalnia się od jego kompleksów. Już nie błaga Boga o rząd dusz, sam go sobie przyznał.

Do doświadczeń politycznych dołączyły się inne, natury poetyckiej. Mickiewicz odkrył w Rosji swój talent improwizatorski. Poznał możliwości działania przez słowo. Zaczarowanie słuchaczy, entuzjazm, łzy — te efekty jego wystąpień przekonały go, że jest wielkim poetą i nie tylko poetą. Przyjaźń z malarzem Oleszkiewiczem, mistykiem spod znaku Saint-Martina sprawiła, że poczuł się naczyniem bożym, przez które przemawiały prawdy wieczne.

Dar improwizacji potwierdzony podczas pobytu w Berlinie, przekonanie,

że wartości, które wyznaje, mają zasięg uniwersalny, że powinien nieść ludziom przesłanie jako ten, który wie i który czuje — wszystko to sprawiło, że geniusz przeistoczył się w proroka i że dokonało się to niezależnie od spotkania z Towiańskim. Proroka XIX-wiecznego, a więc tego, który żył i wieszczyl w uwikłaniu historycznym epoki: narodów, państw, rewolucji i wojen.

Do postawy krytycznej względem państwowości rosyjskiej dołączyła negatywna ocena cywilizacji zachodniej. Mickiewicz wielokrotnie przeciwstawiał systemy polityczne Francji i Rosji, pisał, że rządy carskie są wyrazem mentalności azjatyckiej, wierzył w rewolucyjne odrodzenie ludów i w zdobycze geniuszu Napoleona, niemniej jednak żywił głęboką nieufność do racjonalizmu i utylitaryzmu Francuzów. Ta nieufność przekształciła się w namiętną krytykę cywilizacji współczesnej i w szukanie remediów na uleczenie zła, które drąży ludzkość. Postawę jego określiła sytuacja historyczna: jako poeta narodu nieustannie doświadczanego klęskami politycznymi w klęskach owych zaczął upatrywać ziarna zwycięstwa moralnego. Tak jak ukrzyżowanie Chrystusa, które otworzyło drogę do odnowy moralnej człowieka i do zmiany świata. W cierpieniach i ofiarach Polaków dostrzegał drogi zbawienia nie tylko swojej ojczyzny, ale i całej Europy, zagrożonej przez despotyzm, bezduszną cywilizację, doktrynerskie systemy, zanik uczuciowości, poświęcenia i wiary. Te ostatnie wartości, wcielone w naród polski, powinny — według Mickiewicza — stać się uniwersalne.

Mesjanizm Mickiewiczowski, wyrażony w III części *Dziadów* i w *Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego*, spotkał się we Francji z radykalnie odmienną tradycją intelektualną i polityczną. Obcy, egzotyczny poeta przedstawił się jako Inny, przy czym odmienność ta dotyczyła nie tyle pochodzenia i języka, co alternatywnych idei społecznych, a także — etycznych. Wszystko to powodowało ciekawość Francuzów. Otrzymując katedrę w Collège de France, Mickiewicz zyskał możliwość bezpośredniego głoszenia swoich przekonań. Stał się osobowością istotną, człowiekiem, do którego opinia publiczna nie mogła się nie ustosunkować. Jakoż czyniła to skwapliwie; badane przez nas dokumenty z zapamiętanych relacjonują skandale, jakich świadkami byli słuchacze prelekcji. Mistrz Towiański staje się bohaterem na miarę postaci Eugène Sue, a obrazy mdlejących kobiet dodają pikanterii dyskursom słowiańskiego profesora. Nas jednak interesuje rzeczowa odpowiedź na Mickiewiczowskie przesłanie. Ta została sformułowana już po zamknięciu

prelekcji i jest dokumentem lektury kursu III, zatytułowanego *L'Eglise officielle et le Messianisme* oraz IV — *L'Eglise et le Messie*, tomów opublikowanych w Paryżu w 1845 roku. Stanowiły one IV i V tomy pełnego paryskiego wydania prelekcji w 1849 roku, zatytułowanego *Les Slaves*.

3. Czytając recenzje z Mickiewiczowskich „kursów” można by sądzić, że Francja lat czterdziestych XIX wieku była romantyczna tylko z litery. Rozum stanowił wartość, do której odwoływali się wszyscy piszący. W „Journal des Débats” określa się Francję jako „zwolenniczkę zdrowego rozsądku i jasności”. W „Revue des Deux Mondes” pisze się o „męskiej precyzji i dojrzałości francuskiego geniusza”. „Revue Indépendante” stwierdza, że „Francja nigdy nie stanie się terenem mistycyzmu; obok wolności znajduje się rozum”. A Michelet w subtelnej polemice z Mickiewiczem wyznaje: „niestety, on usypia. Przez nieopanowany mistycyzm”.¹⁰ Przed mistycyzmem przestrzegają nawet „Annales de Philosophie chrétienne” w artykule Auguste’a Bonnetty’ego z kwietnia 1844 roku:

Bez względu na to, jakie są źródła naszych idei, rozwijają się one w nas, umacniają, przechodzą w stadium rozumu i współokreślają człowieka tylko wtedy, kiedy są inspirowane czy wywoływane przez słowa, które człowiek otrzymuje od mniej lub bardziej zorganizowanego społeczeństwa.

Tendencja taka występuje już wcześniej. W 1833 roku młody Sainte-Beuve, krytyk literacki zbliżony wówczas do kręgów Lamennais’go jasno określa postawę Francuzów czytających *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego*. W postępowym dzienniku „National” z 8 lipca pisze, że ani liberałowie, ani rewolucyjni racjoniści nie są w stanie zrozumieć tekstu, którego autor utożsamia naród z religią. Zachwycając się stylem *Ksiąg*, wyraźnie przeciwstawia się katolickiej wizji świata i broni Europy, w której dominuje wolność i tolerancja religijna. Opory jego budzi Mickiewiczowska krytyka cywilizacji zachodniej. A także obraz Polski naiwnej i pobożnej, usymbolizowanej w postaci generała Skrzyneckiego, który dowodził armią powstańczą ze szkaplerzem na piersiach. Obcy jest mu Mickiewiczowski mesjanizm. Potomek rewolucji

¹⁰ Uwagi Micheleta na temat *Les Slaves*, pozostałe w rękopisie, zrekonstruował i opublikował M. Cadot w aneksie do J. Michelet *Légendes démocratiques du Nord*, éd. nouvelle, avec l’introduction, notes et index par M. Cadot, Paris 1968, *Dossier polonais*, s. 268.

francuskiej preferuje obraz Polski, który wyczytał w pismach Lelewela: Polski filozoficznej i uczonej, Polaków stawiających na rozum. Od czasu francuskiego wydania *Ksiąg* do najbardziej bojowych wykładów w Collège de France upłynęło ponad 10 lat. Mesjanizm Mickiewicza przybrał formę radykalną, stał się mesjanizmem osobowym z jego poszukiwaniem człowieka, który wybrany przez Boga poprowadzi ludzkość do odnowy politycznej i moralnej zarazem. Zmienił się również stosunek poety do Francji. Stała się dlań awangardą światowej rewolucji, nie tylko ze względu na wydarzenia z końca XVIII wieku, ale przede wszystkim ze względu na osobę Napoleona, traktowanego przez Mickiewicza jako współczesne wcielenie Mesjasza. Francja została uznana za starszą siostrę Polski, potencje ludu francuskiego równały się dynamice młodych narodów słowiańskich, a wady cywilizacji wynikały ze zbiurokratyzowanego Kościoła, filozofii doktrynerów i systemów władzy.

Dlatego Jules Michelet, czytając w 1845 roku ofiarowany mu przez Mickiewicza egzemplarz *L'Eglise officielle et le Messianisme* napisał na marginesie książki: „Jak podziękować człowiekowi, którego serce jest bardziej francuskie niż Francja?” Ale porozumienie, tak entuzjastycznie deklarowane, nie udaje się. Podobnie jak Mickiewicz, Michelet wierzy w rewolucyjne posłanie, które niesie światu Francja i podkreśla misję dziejową prostego ludu. Jednakże przekonania o szczególnej roli Słowian w odrodzeniu cywilizacji europejskiej, o wartościach zniewolonego plemienia, o sile sprawczej modlitwy i pokory — przekonania te są mu najzupełniej obce. Michelet podkreśla, że ludzkość rozwija się poprzez działalność opartą na prawach rozumu, że dla człowieka istotny jest wybór, a nie podporządkowanie się czy naśladowanie wielkich ludzi. Mickiewiczowskiemu ideałowi władzy opartej na miłości (*gouvernement par l'amour*) przeciwstawia koncepcję narodu zorganizowanego w formy polityczne, państwa opartego na prawie, które wyznacza obowiązki obywatelom i określa ich roszczenia, zapewnia powszechną oświatę i stwarza podstawy dla racjonalnych zachowań. Dlatego tradycję dla nowoczesnej rewolucji upatruje w republice rzymskiej, a nie — jak Mickiewicz — w pierwotnych gminach chrześcijańskich. Władza charyzmatyczna jest podwójnie groźna: pozbawia jednostki odpowiedzialności — prowadząc do podporządkowania usypia inicjatywę. Wizja świata określonego poprzez kolejne wcielenia Mesjasza (Chrystus, Napoleon, Towiański) jest nie do zaakceptowania: Michelet widzi w niej jeszcze

jedną utopię, która może być groźna w realizacji. Najbardziej jednak niebezpieczny jest indywidualizm:

Kiedy szuka się dobra absolutnego w jednostce, w konkretnej żyjącej istocie, absorbuje się jej myśl jako nieprzeniknioną tajemnicę, albowiem nie ma nic bardziej ciemnego i tajemniczego jak osoba ludzka. Wynika stąd podziw, kult, miłość — postawy, które potępiają i zabraniają krytyki, badania, rozumowania. Ginie dialektyczny postęp, wszystko obraca się wokół jednego punktu i sprowadza do stopniowej kontemplacji tej jedynej doskonałej boskiej jednostki. Dodajmy wszelako, że żadna jednostka nie potrafi wytrwać na tej niezwyklej wysokości — ostatnia, Napoleon, z każdym dniem chyliła się do upadku, i to jak szybko. Ci, którzy tworzą sobie w ten sposób ludzkich bogów, w momencie, kiedy ich tracą, tracą wszystko, pozostają w stanie nicości, sparaliżowawszy w sobie to wszystko, co ich odnawiało: zdolność dialektyczną i rozwagę.¹¹

Jest to tylko jedna prawda o stosunku francuskiego historyka do Mickiewicza. W trakcie pisania *Légendes démocratiques du Nord* Michelet wielokrotnie zasięgał rady polskiego poety, czego rezultatem jest część poświęcona Kościuszcze. Otóż jest on tam opisany jako wódz prostego ludu, obdarzony instynktem i charyzmą. Wiktor Weintraub w książce *Profecja i profesura. Mickiewicz, Michelet, Quinet* (Warszawa 1975) pisze o wpływie Mickiewicza na Micheleta. Odsyłając do tej interpretacji wskazujemy na wątki Micheletowej krytyki, które pojawiają się w relacjach z lektury *Les Slaves* i niejako uzasadniają milczenie, jakie zapadło we Francji po śmierci Mickiewicza.

Alexandre Thomas w artykule *O propagandzie rosyjskiej w Polsce* („Revue des Deux Mondes”, 15 sierpnia 1846) dostrzegł w mesjanizmie polskim istotne niedostatki myśli politycznej. Thomas pisze o złowrogim wpływie de Maistre’a na myśl Mickiewicza. Apologia intuicji, nawoływanie do powrotu do dawnych form życia, podkreślanie roli obyczajowości wiejskiej i moralności ludowej, indywidualizm historyczny, marzenia o nacechowanym miłością stosunku między władcą a ludem — imperatywy te pozostają w kompletnej dysproporcji wobec rozwiniętych form państwowości europejskiej. W tym punkcie wszyscy francuscy polemici Mickiewicza powtarzają zgodnie słowa Micheleta: „Nous autres, occidentaux”. Ale — i to jest najbardziej groźne — zapatrzenie się w przeszłość, utopie konserwatywne, przewaga kryteriów moralnych nad politycznymi sprawiają, że naród pogrążony w ideałach i marzeniach ulega bezrefleksyjnie despotyzmowi carskiemu i poddaje

¹¹ J. Michelet *Journal*, texte integral publié par P. Viallaneix, t. II, Paris 1962, s. 128.

się formie rządów opartych nie na charyzmie, ale na korupcji. Thomas obnaża carski paternalizm, który przecież i dla Mickiewicza stanowił pokusę.

Ludy rozwijają się dzisiaj nie na zasadzie płynnych sentymentów. Ich serca odwołują się do koncepcji bardziej pozytywnych i bardziej męskich, które w sposób pewny stoją na straży niezależności człowieka i obywatela. Instynkty nie są instytucjami, a wielkie społeczeństwa funkcjonują tylko na podstawie gwarancji. Wiemy dobrze, że każdy panujący chciałby się przedstawić jako ojciec, tak jak wiemy, że nigdy nie było władcy-ojca, który nie stałby się władcą absolutnym.

Jako ciekawostkę można dodać, że w kompletach „Revue des Deux Mondes” dostępnych w bibliotekach warszawskich brakuje numeru z artykułem Thomasa. Widocznie wydawał się on szczególnie niebezpieczny władzom rosyjskim, głoszącym ideologię panslawizmu. Sprzeciw Francuzów budzi interpretacja osoby Napoleona. Cesarz Francuzów jawi się Mickiewiczowi jako człowiek przez duże C, powołany do zmiany życia całej ludzkości, jako Mesjasz. Nie tyle jako twórca demokratycznego kodeksu, nie jako strateg i organizator, ale jako wódz, który kierował ludem przez samą swoją obecność. Z takiej wizji Napoleona śmiali się i republikanie, i monarchiści. Litografia, według obrazu Wańkowicza, przedstawiająca Napoleona w żałobnym welonie, płaczącego nad mapą Europy, była dla Francuzów groteskowym wyrazem tej wizji, w której fantastyka łączy się z najbardziej przyziemną rzeczywistością. Gachon de Molénes, recenzent rządowego pisma „Journal des Débats” z 17 marca 1846 roku pisał:

Czynić z Napoleona Mesjasza, użyczać tej tak zdrowej i czystej inteligencji marzeń Saint-Martina i Swedenborga, to pomysł bezsensowny i ekstrawagancki. [...] Błagamy wszystkich nawiedzonych, aby nie ubierali w swoje fantazmy człowieka naszych bohaterów czasów.

Ciemnego obrazu recepcji *L'Eglise catholique et le Messianisme* nie poprawiają artykuły z socjalistycznego pisma „Falange”, gdzie gorąco popiera się Mickiewiczowską krytykę Kościoła ani solidarność Micheleta i Quineta w chwili zawieszania wykładów. Zmienia się opinia o poezji Mickiewicza: w kontekście prelekcji określa się ją — a wraz z nią całą ówczesną polską literaturę — jako poezję grobów i żałoby, jako twórczość naznaczoną przez fantasmagorie narodowe, rysującą świat bez wyjścia. W III części *Dziadów* krytycy widzą tylko indywidualizm, egotyzm i demonizm Konrada, natomiast całkowicie ignorują wizję

księdza Piotra i wyrażone tam prorocstwo. W ten sposób właśnie George Sand odczytała dzieło Mickiewicza w sławnym *Eseju o dramacie fantastycznym* opublikowanym w 1839 roku w „Revue des Deux Mondes”. W recenzji z wykładów Mickiewicza zatytułowanej *De la littérature slave* i wydanej 10 kwietnia 1943 roku w „La Revue Indépendante” pisarka nie może nie zauważyć mesjanizmu Mickiewicza, chociaż na początku 1843 artykułowany był on w sposób umiarkowany. Pisze:

Nie negujemy również boskiego charakteru rewelacji wewnętrznej. Ale nie możemy przyjąć, że Opatrzność w dziejach Francji posługiwała się tym wszechmocnym środkiem jako narzędziem politycznym czy też sposobem oddziaływania na umysły. Daremnie Mickiewicz przywołuje wspomnienie Joanny d’Arc. Czcimy to wspomnienie, tak jak inne wspomnienia z naszego patriotycznego Olimpu, z naszego religijnego i filozoficznego raju. Ale wierzymy w szersze możliwości przyszłego objawienia. Oczekujemy go od wszystkich, czujemy je w ludzie francuskim, jednym słowem, wierzymy, że nasz mesjasz to lud i że idea wcieli się nie w jednostkę, ale w milion.

Reprezentując pismo socjalistyczne, jakim było „Revue Indépendante”, autorka *Lelii* nie mogła akceptować ani napoleonizmu Mickiewicza, ani jego indywidualizmu. Znamienne, że te postawy były krytykowane kilka lat później także w redakcji „Trybuny Ludów”.

Dokumenty badane przez nas dowodzą zadziwiającej zgodności opinii pochodzących z odmiennych często obozów ideologicznych. W krytyce wykładów Mickiewicza jurysta Faucher spotyka się z romantycznym historykiem, jakim był Michelet, a ten ostatni — rzecz niesłychana — z katolickim publicystą Bonnettym. Narzuca się wrażenie, że ta recepcja, tak zgodna w tonie, mówi nam wiele więcej o francuskich czytelnikach *Les Slaves* aniżeli o dziele samym. Mówi ona, że wiek oświecenia nie był martwy w romantycznej Francji, że zasady rozumu, wolności, tolerancji i demokracji głoszone przez francuskich krytyków miały ściśle określone źródło historyczne: rewolucję 1789 roku.

Nie sposób jednak nie zauważyć, że elementy ideologii mesjanistycznej były obecne w myśli francuskiej przełomu końca XVIII i pierwszej połowy XIX wieku. Chodzi o iluminizm Saint-Martina, konserwatyzm historyczny de Maistre’a, różne postacie socjalizmu utopijnego od Fouriera do Leroux. Ponadto stale wybuchały we Francji z zadziwiającą siłą różnego rodzaju prądy irracjonalne: wystarczy wymienić krąg Lamennais’go, aktywność Lacordaire’a, szkołę Bucheza, sektę Vintrsa. Mickiewicz znał bardzo dobrze te prądy. Zawartość wykładów dowodzi, ile jego mesjanizm zawdzięcza lekturom ksiązek Saint-Martina i de

Maistre'a. Pewni krytycy (Michelet, Thomas) podkreślają w pismach Mickiewicza te inspiracje, dystansując się jednak starannie od jego mesjanistycznych mistrzów. I cała opinia publiczna lat czterdziestych, oceniając surowo myśl profesora z Collège de France, równie starannie ukrywa irracjonalne tendencje francuskiego ducha. Jak gdyby bała się powrotu własnych fantomów.

„Francuska lektura” Mickiewicza nie jest wyczerpująca: zamyka poetę w okresie profesury w Collège i sądzi na podstawie wykładów, pomijając późniejszą jego ewolucję, to znaczy działalność polityczną w okresie Wiosny Ludów, stworzenie legionu włoskiego i redakcję rewolucyjnego dziennika, jakim była „Trybuna Ludów”. Działalność ta, oceniana jako znacznie bardziej niebezpieczna aniżeli idee z Collège de France, była za to pilnie obserwowana i analizowana przez policję.¹²

4. Można zatem odpowiedzieć, że przyczyny milczenia we Francji po śmierci Mickiewicza miały charakter inherentny: chodziło o zawartość idei, które w sposób bezkompromisowy głosił. Podstawową sprawą była nieadekwatność, jednak nie tyle w dziedzinie myśli, co między myślą wyrażoną w formie historiozofii a konkretnymi praktykami politycznymi. Drugą połowę XIX wieku we Francji określa konsolidacja państwa mieszczańskiego (nawet pod postacią monarchii), opartego na prawie, na zasadzie podziału władz, na separacji od Kościoła, na konstytucji (nawet jeżeli nie zawsze była ona respektowana). To stabilizacja materialna, rozwój przemysłu i nauki, powszechnej oświaty. I, przede wszystkim, to identyfikacja narodu z państwem, państwem o ściśle określonych, chociaż powiększanych przez kolonie, granicach. W tej sytuacji kategoria: „polskiej ojczyzny, która nie ma granic, która nie jest w stanie się określić i której siedliskiem są tylko serca ludzkie, tego idealnego bytu w świecie pełnym przygód, bytu, który pobudza do najbardziej rycerskich poświęceń, ale który nie ewokuje ani myśli, ani sztuki rządzenia”¹³, kategoria taka wydaje się anachroniczna i nieprzydatna. Niemniej jednak to, co dla jednych było anachroniczne, dla innych stwarzało gwarancję narodowego przetrwania.

W tym miejscu polski czytelnik francuskich opinii o Mickiewiczu nie

¹² Por. S. Fiszman, op. cit.

¹³ L. Faucher *Cours de Mickiewicz*, „*Courrier Français*”, 9 stycznia 1841.

może się oprzeć chęci obrony „narodowego wieszcza”, z pełną świadomością, że postawa taka jest względna. Wydaje się, że poeta polski postawił pytania, które nie zawsze były jasne dla jego francuskich odbiorców i nie zawsze były wygodne. Chodzi o stosunek Mickiewicza do cywilizacji. W *V Księdze pielgrzymstwa polskiego* napisano:

Wyraz cywilizacja znaczył obywatelstwo, od słowa łacińskiego *civis*, obywatel. Obywatelem zaś nazywano człowieka, który poświęcał się za Ojczyznę swą, jak Scevola i Kurcjusz, i Decjusz, a poświęcenie się takie nazywano obywatelstwem. Była to cnota pogańska, mniej doskonała niżeli cnota chrześcijańska, która każe poświęcać się nie tylko za Ojczyznę swą, ale za wszystkich ludzi; wszakże była cnotą.

Ale potem, w bałwochwalczym pomieszaniu języków, nazywano cywilizacją modne i wykwiłntne ubiory, smaczną kuchnię, wygodne karczmy, piękne teatru i szerokie drogi.

Thomas w swym doskonałym artykule pisał jednym tchem o „niezależności człowieka i obywatela”. Zgodnie z deklaracją 1792 roku, zgodnie z abstrakcyjnym sensem, jaki nadała ona obu tym terminom. Mickiewicz sens precyzuje, łącząc — podobnie jak 100 lat wcześniej Rousseau — pojęcie obywatelstwa z pojęciem państwa. I podobnie jak Rousseau odróżnia kategorię obywatela od pojęcia człowieka, podkreślając, że sama ta różnica jest produktem cywilizacji. Według aksjologii chrześcijańskiej, tak bliskiej poecie, człowiek powinien być przede wszystkim człowiekiem, a dopiero potem obywatelem państwa, które narzuca mu pragmatyczne normy zachowań. Perfekcjonizm moralny Mickiewicza znajduje tu swój pełny wyraz: cywilizacja zachodnia degeneruje się dlatego, że człowiek ogranicza się do roli obywatela, co może prowadzić do hasła *ubi bene, ibi patria*. Niekoherencja między tym, co się mówi, a tym, co się czyni, uprzywilejowująca raz uniwersalną moralność, a innym razem rację polityczną czy indywidualną korzyść — była dla Mickiewicza nie do przyjęcia.

Aby jednak być mniej patetycznym: nie jest to historiozofia adekwatna do czasów prosperity politycznej i ekonomicznej. Wyrosła z kryzysu, inaczej znaczy w sytuacjach kryzysowych. Dlatego nie jest przypadkiem, że w drugiej połowie XIX wieku francuskie, niestety rzadkie, odwołania do myśli Mickiewicza, sięgają do tych jej elementów, które były kontestacją wobec zastanego porządku i podważały mieszczańską wizję świata. Niekiedy dokonywało się to wbrew Mickiewiczowskiemu perfekcjonizmowi moralnemu. Czyż nie jest zadziwiające, że Lautréamont, po przeczytaniu Wielkiej Improwizacji, napisał w swoich *Poezjach* (1871):

„Mickiewicz, naśladowca szatana”?¹⁴ Wiktor Hugo, za życia ignorujący osobę Mickiewicza, z perspektywy politycznego wygnania odkrywa w jego dziele wartości, do których kiedyś nie przywiązywał wielkiej wagi: „Mickiewicz odtwarzał wszystkie starodawne cnoty zawierające w sobie siłę odmładzającą”.¹⁵ Renan w cytowanej już mowie, odwołując się do Mickiewicza, formułuje swoją ideę narodu: tworzą naród wspólne źródła, krew i rasa, a nie instytucje. Z kolei Maurice Barrès, ideowy pogromca III Republiki, w Mickiewiczowskim kulcie wielkiego człowieka szuka oparcia dla swego szowinizmu i antysemityzmu.¹⁶ Przeciwnie niż Żydzi, którzy znajdują w dziełach Mickiewicza wartości takie jak tolerancja i internacjonalizm.¹⁷

We wszystkich tych aktualizacjach dostrzegano w Mickiewiczu nie tyle nawiedzonego utopistę, co wielką indywidualność, geniusza wznoszącego się ponad codzienność, duchowego wodza. Znaleźli się ludzie tacy jak Barrès, którzy byli gotowi posłużyć się romantycznym programem poety dla realizacji bardzo pragmatycznych celów. Sytuacja ta odpowiadała, oczywiście w o wiele mniejszej skali, polskim bataliom o Mickiewicza, które toczyły się jeszcze w latach pięćdziesiątych naszego wieku. Osoba poety stawała się jak gdyby fetyszem, pustym znakiem, który napełniał się treściami relatywnymi wobec sposobu użycia.

Czy można jednak *a priori* potępić takie użycia? Wielość sensów, które dają się wpisać w dzieło Mickiewicza, usprawiedliwiona jest jego „duchowym” rozmiarem. Poeta polski nie był ani filozofem, ani socjologiem, ani historykiem, ani politykiem, ani prorokiem. Był wszystkim po trochu. Dlatego, że był poetą. Jako podsumowanie tych rozważań można przytoczyć tyleż trafną, co ironiczną formułę z cytowanej już mowy Renana:

Ludzie czynu, którzy chcieliby realizować ten olbrzymi program, będą bezsilni; ludzie rozumu nie osiągną nic poza sprzecznościami. Poeta, który nie wątpi, który po każdej klęsce wraca do sprawy z jeszcze większym zapalem i siłą — poeta nigdy się nie myli.

¹⁴ Lautréamont *Poésies, Œuvres complètes*, Paris 1969, s. 379.

¹⁵ V. Hugo *Au comité du monument d'Adam Mickiewicz*, w: V. Hugo *Œuvres complètes*, éd. J. Massin, t. XIII, *Correspondences 1865–1867*, s. 848.

¹⁶ M. Barrès *Un excitateur de la personnalité*, „La Cocarde” 11 listopada 1884.

¹⁷ A. Astruc *Juifs et Polonais, D'après Adam Mickiewicz*, „Revue politique et littéraire”, 1 lipca 1882.

O d r e d a k c j i: Szkic jest wstępem do antologii *Adam Mickiewicz aux yeux des Français*, która ukaże się we współpracy CNRS – PIW w 1992 we Francji.

Poetyckie wyprawy w świat społecznej utopii kończyły się pod gilotyną rewolucji.

Jeszcze jedno historyczne wcielenie archetypu Saturna pożerającego własne dzieci.

Jeszcze jedno bankructwo mitu kolejnej historycznej utopii.

*Aleksander W. Lipatow
przełożył Roman Mazurkiewicz*

Manifest literacki jako jednostka procesu historycznoliterackiego

„nawoływanie, chcące obudzić echo”¹

Funkcję spoiwa niniejszych rozważań pełnić będzie problem: „w jaki sposób manifest literacki uczestniczy w procesie historycznoliterackim?”. Punkt wyjścia jest całkowicie zgodny z powszechnie przyjętą definicją, iż manifest literacki to deklaracja ideowo-artystyczna przekładalna na intencje udziału w historii.² Chciałbym tu odpowiedzieć na dwa pytania: 1) w jaki sposób uchwycić można udział manifestu w procesie literackim uwzględniając składane w tymże manifeście deklaracje udziału? 2) czy udział ten wiąże się wyłącznie ze spełnieniami wyrażanych w manifeście intencji udziału? Niebezpieczeństwo rozważań o uczestnictwie manifestu w dziejach XIX- i XX-wiecznej literatury jest aż nadto wyraziste: stoi wszak za tym pytanie „czy manifest zmienia historię?”. Najostrożniej byłoby powiedzieć, że manifest współtworzy dzieje, dodając, iż stanowi najdogodniejszą sytuację dla przechodzenia retoryki w historię poprzez spełnienia. Trzeba jednakże zapytać: spełnienia czego? Nie jest bowiem jasne ani to, kogo manifest

¹ Cytat ten, pochodzący z manifestu S. Brzozowskiego *My młodzi* („Głos” 1902 nr 50; przedr. w: *Programy i dyskusje literackie okresu Młodej Polski*, oprac. M. Podraza-Kwiatkowska, Wrocław 1973, s. 125 oraz w: S. Brzozowski *Wczesne prace krytyczne*, Warszawa 1988, s. 56) stanowi właściwie uniwersalną definicję intencji historycznoliterackich towarzyszących każdemu wystosowywaniu manifestu.

² Zob.: hasło „manifest literacki” J. Stawińskiego w *Słowniku terminów literackich*, pod red. tegoż, Wrocław 1988; Cz. Panek *Manifest literacki (Próba opisu funkcjonowania w komunikacji kulturowej)*, „Litteraria” XI, Wrocław 1979; hasło „manifest literacki” napisane przez G. Gazdę do *Słownika literatury XX wieku* (kserokopię hasła udostępniła mi E. Szary-Matywiecka, za co niniejszym gorąco jej dziękuję).

do czegoś zobowiązuje, ani w jaki czyni to sposób, ani wreszcie to, do czego zobowiązuje.

Jako deklaracja ideowo-artystyczna manifest powinien być autorskim bądź grupowym zobowiązaniem do praktykowania określonego manifestem sposobu estetycznego oddziaływania lub do zachowania deklarowanej postawy. W największym skrócie: używam manifestu, by publicznie zobowiązać siebie do podjęcia określonych działań. Cóż więc począć z takimi zdaniami: „A zatem na życie i światło. Nie zwlekajmy dłużej, tylko każdy według swojego rozumu przyspieszajmy wielki rozwój, do czego jesteście powołani. Bądźcie godni wielkości swej epoki, a opadnie mgła z waszych oczu, przed wami stanie się jasno” (F. Schlegel *Mowa o mitologii*)³; „Bądźcie mężczyznami. Wstydźcie się dziecinnego rozwydrzenia uczuć w poezji. Nie płaczcie. Nie błaznujcie. (...) Podejmijcie trudną poezję budowy, pieśń całkowitych wartości” (J. Przybós *Człowiek w rzeczach*)⁴; „Poeci, stwórzcie nam na nowo bliźnich!” (J. Czechowicz *My chcemy bliźnich*)⁵. Okazuje się więc, że manifestu mogą użyć nie tylko po to, by publicznie zobowiązać siebie do czegoś, lecz również po to, by zobowiązać do czegoś publiczność. Dodać jeszcze wypada, że manifestem można zobowiązywać także historię, jak uczynił to na przykład Peiper w zakończeniu *Nowych ust*, gdzie pisał: „Nie lękam się. Historycy mogą być przeciwko mnie; historia jest ze mną”⁶. Pytanie o sposób, w jaki można zobowiązywać kogoś do czegoś, jest o tyle zasadne, że manifest „daje się” włączać w dynamiczny układ zapowiedź–spełnienie tylko wówczas, gdy pojawią się w nim albo zdania deklarujące chęć udziału w historii, albo zdania przekonujące do takiego udziału. Byłyby to wypowiedzi oznajmiające przyszłe działania artystyczne jako już dokonane („Przekreślamy zdanie jako antypoezyjny dziwoląg”⁷), albo też wypowiedzi, w których *explicite* pojawia się

³ W zbiorze: *Manifesty romantyzmu 1790–1830. Anglia, Niemcy, Francja*, oprac. A. Kowalczykowa, Warszawa 1975, przeł. K. Krzemieniowa, s. 156.

⁴ „Zwrotnica” 1926 nr 8.

⁵ „Państwo Pracy” 1933 nr 42, kolumna „Kohorta” (pod pseud. J. Surmacz); przedr. w: J. Czechowicz *Wyobraźnia stwarzająca. Szkice literackie*, wstęp, wybór i oprac. T. Kłak, Lublin 1972.

⁶ *Nowe usta. Odczyt o poezji*. Rysunkami ozdobił Fernand Léger, Lwów 1925; przedr. w: T. Peiper *Tędy. Nowe usta*, przedm., komentarz, nota biograficzna S. Jaworski, Kraków 1972.

⁷ B. Jasiński *Manifest w sprawie poezji futurystycznej*, w: *Jednodniówka futurystów. Manifesty futuryzmu polskiego, wydanie nadzwyczajne na całą Rzeczpospolitą Polską*, Kraków, czerwiec 1921; przedr. w: B. Jasiński *Utwory poetyckie, manifesty, szkice*, oprac. E. Balcerzan, Wrocław 1972; *Manifesty programowe futurystów polskich*, wybór A. Zawada, Wrocław 1975; *Antologia polskiego futuryzmu i Nowej Sztuki*, oprac. Z. Jarosiński, Wrocław 1978, s. 20.

wrażenia: będziemy (bądźcie), musimy (musicie), etc. — tak czy inaczej zasygnalizowane pragnienia, zamiary, przymusy, konieczności bądź nakazy. Spośród bezmiaru przykładów — dwa: „Chcemy dać jak najwierniejszą, jak najpotężniejszą, jak najbardziej bezpośrednią wypowiedź nagiej duszy...” (J. Stur *Czego chcemy*)⁸; „Poeci — jesteście w przededniu nowego romantyzmu. Będzie to wspaniały zaiste romantyzm, który połączy gładką wymowę żelazobetonu z ciepłym liryzmem uczucia. (...) Musicie odpowiedzieć na ten apel, który się wam ciśnie na wargi” (J. Kurek *Manifest poetycki*)⁹.

I wreszcie pytanie ostatnie: do czego manifest może zobowiązywać? Wydaje się, że przy najszerszym rozumieniu zobowiązania zaproponować można dla wszystkich fragmentów deklaratywno-postulatywnych, czyli nie dla całości manifestu, podział uwzględniający cztery zasadnicze typy zobowiązań:

1. Zobowiązanie pozaliterackie

L. Tieck *Wieczność sztuki*: „Wszystko, co doskonałe, to znaczy wszystko, co jest sztuką, jest wieczne i nieprzemijające (...). Przemieńmy zatem nasze życie w dzieło sztuki, a będziemy mogli śmiało twierdzić, że jesteśmy nieśmiertelni już w ziemskiej egzystencji”¹⁰.

J. Kurek *Manifest poetycki*: „Poezja współczesna powinna być deklamowana na wieczorze autorskim, w teatrze, w kinie, w kawiarni, na rynku, na ulicy — i nigdzie nie powinna stracić nic ze swej ważności artystycznej”¹¹.

B. Jasiński *Do narodu polskiego. Manifest w sprawie natychmiastowej futuryzacji życia*: „Odrzucamy parasole, kapelusze, meloniki, będziemy chodzić z odkrytą głową. Szyje gołe. Trzeba, aby każdy jak najbardziej się opalił. (...) Każdy może być artystą. Teatry, cyrki, przedstawienia na ulicach, grane przez samą publiczność”¹².

2. Zobowiązanie literackie

Legenda proletariatu: „będziemy wam śpiewać o cywilizacji jak o wielkim

⁸ „Zdrój” 1920, t. 10, z. 5–6; przedr. w: J. Stur *Na przełomie. O nowej i starej poezji*, Lwów 1921, s. 136; *Krzyk i ekstaza. Antologia polskiego ekspresjonizmu*, oprac. J. Ratajczak, Poznań 1987, s. 211.

⁹ Tekst wydany drukiem osobnym w grudniu 1929 r. w Krakowie; przedr. w zbiorach: *Wiersze awangardowe (retrospektywa)*, wybór S. Jaworskiego, Kraków 1977, s. 43–45; *Literatura współczesna. Antologia wypowiedzi programowych i opracowań naukowych*, wybór J. Kajtoch, Kraków 1980, s. 68–69.

¹⁰ Przeł. K. Krzemieniowa, w: *Manifesty romantyzmu*, 1975, s. 134–135.

¹¹ Zob. przyp. 8.

¹² Zob. przyp. 7 *Antologia polskiego futuryzmu...*, s. 10, 12.

pomniku waszej pracy, będziemy do was mówić o szlachectwie człowieka spracowanych rąk, o godności i wielkiej legendzie proletariatu”.¹³

J. Brzękowski *Poezja integralna*: „Poeta dzisiejszy nie może pozostać obojętny na dokonywające się obok niego przemiany społeczne. (...) Brak nam takiej nowej poezji społecznej. Twórzmy ją!”¹⁴

3. Zobowiązanie lekturowe

B. Jasiński *Manifest w sprawie krytyki artystycznej*: „Odczytać we wszystkich związkach artystycznych, klubach, zjazdach i organizacjach futurystycznych”.¹⁵

T. Peiper *Nowe usta*: „Proszę o chwilę natężonego słuchu. Chodzi o sprawę wysoce ważną. I tylko dla jej wagi, a nie dla jej trudności, proszę o całe ucho. To, co powiem, jest bardzo proste. Będzie ono zrozumiałe dla każdego, kto ma jakąś namiętność”.¹⁶

4. Zobowiązanie do napisania kolejnego manifestu (dalej nazywane zobowiązaniem manifestowym)

B. Jasiński *Do narodu polskiego...*: „My, futuryści, idziemy społeczeństwu polskiemu w tej akcji z pomocą. Poszczególne odezwy będziemy dawać konkretne wskazówki i instrukcje we wszystkich dziedzinach w myśl niniejszego manifestu”.¹⁷

Od Redakcji (Jednodniówka futurystów): „Będziemy odtąd wypuszczać co jakiś czas, w miarę nagromadzenia energii domagającej się wyładowania, takie świstki, których zadaniem będzie dać naszą odpowiedź na wszystkie najbardziej palące zagadnienia dnia”.¹⁸

Celowo, choć z pewną szkodą dla wiarygodności rozważań, zrezygnowałem z przytaczania wyłącznie tych zdań, które zawierają *explicite* wyrażoną intencję udziału w historii. Poszerzenie cytatów o inne zdania, pozbawione rozkaźników, poleceń, postulatów etc., pozwala przecież odkryć pewien paradoks. Otóż manifest nie jest oznajmującym bądź postulatycznym zobowiązaniem podmiotowym do zachowania określonej postawy bądź do praktykowania wyłożonego sposobu estetycznego

¹³ „Gazeta Literacka” 1926 nr 19.

¹⁴ Biblioteka „a.r.” 1933, t. 5; przedr. w: J. Brzękowski *Wyobraźnia wyzwolona. Szkice i wspomnienia*, Kraków 1976, s. 50–51.

¹⁵ Prwdr. w: *Jednodniówka futurystów*, 1921; przedr. — zob. przyp. 7; *Antologia polskiego futuryzmu...*, s. 24.

¹⁶ Zob. przyp. 6; T. Peiper *Tędy. Nowe usta...*, s. 359.

¹⁷ Zob. przyp. 7; *Antologia...*, s. 16.

¹⁸ Prwdr. w: *Jednodniówka futurystów*, 1921; przedr. w: *Antologia polskiego futuryzmu...*, s. 28.

oddziaływania, ponieważ tekst spełniający te warunki nie byłby rozpoznawalny jako manifest. Modelowa i minimalna realizacja podmiotowego zobowiązania ideowo-artystycznego wyglądałaby bowiem następująco: „Manifest rojalisty. Napiszę wiersz”. Wspomniany paradoks polega więc na tym, że tylko deklaracje pozwalają historykowi na poszukiwanie spełnień manifestu, czyli swoistych przedłużeń w historię, ale równocześnie same deklaracje nie zapewniają tekstowi manifestu zrozumiałości, a co za tym idzie — możliwości odnajdywania ewentualnych realizacji. Manifest literacki nie jest, nie może być, nie da się pomyśleć jako deklaracja ideowo-artystyczna, jest natomiast szczególną praktyką piśmienniczego składania deklaracji, co znaczy, że zobowiązując się w manifestie do określonego estetycznego oddziaływania, praktykując pewne (nie to samo!) oddziaływanie już w obrębie mojego manifestu. To nie intencja zobowiązania siebie bądź kogokolwiek do działań estetycznych stanowi zasadniczy rozrusznik takiej aktywności słownej, lecz chęć powiadomienia o chęciach, czyli w ostateczności chęć zobowiązania do przeczytania zobowiązań. Intencja nawiązania kontaktu z odbiorcą spełnia się poprzez zwrócenie uwagi na sam manifest, tak więc dowolnego manifestu grupowego nie da się sprowadzić do zdania „Jesteśmy!”, można go natomiast wyprowadzić ze zdania: „Chcemy, abyście wiedzieli, że jesteśmy”, co znaczy, że manifest nie przekazuje samych zobowiązań — te bowiem nie gwarantują porozumienia — lecz wiedzę o zobowiązaniach; cała moc językowa deklaracji jest tedy nakierowana na to, by zobowiązać odbiorcę do przeczytania zobowiązań, w konsekwencji czego manifest nie musi podlegać transformacjom w jakiegokolwiek dokonania, ponieważ sam jest pewnym dokonaniem.¹⁹

¹⁹ Zdanie cytowane jest skróconą wersją fragmentu odezwy *Od Redakcji (Jednodniówki futurystów)*: „Chcemy, aby ci, którzy na równi z nami boleśnie przeżywają całą upiorną nielogiczność dnia dzisiejszego i czekają od kogoś pomocy, dowiedzieli się, że jesteśmy, że słyszymy i że jedynie tysiące krepujących względów nie dało nam dojść dotąd do pełnego głosu” (cyt. za cytowaną wyżej odezwą, s. 28). Zawarty w tej części moich rozważań wniosek, iż manifest jest pewnym dokonaniem niezależnym od spełnień pozalekturowych, stawia mnie w pozycji dłużnika wobec: K. Irzykowskiego (*Programofobia*, „Skamander” 1920 z. 2), który pisał, że „oprócz wartości praktycznej tkwi w programach nieraz i wartość artystyczna”, oraz M. Głowińskiego *Grupa literacka a model poezji*, w: *Z problemów literatury polskiej XX wieku*, t. II, red. A. Brodzka, Z. Żabicki, Warszawa 1965, s. 57) stwierdzającego dobitnie, że „teoria (...) może być takim samym dokonaniem jak twórczość, czasem nawet ma większy wpływ na proces historycznoliteracki niż dokonania poetyckie” (podkr. — P. Cz.); zob. też: G. Gazda *Awangarda — nowoczesność i tradycja. W kręgu europejskich kierunków literackich pierwszych dziesięcioleci XX w.*, Łódź 1987, s. 87. Cytaty powyższe prowadzą w sposób jednoznaczny ku traktowaniu manifestu jako wypowiedzi performatywnej, a więc takiej, która kreuje fakt komunikując go, czy inaczej, która stwarza zobowiązanie mówiąc o nim (J. R. Searle *Czynności mowy. Rozważania z filozofii języka*, przeł. B. Chwedeńczuk,

Dlatego też zasadne staje się rozważenie dwójakiego udziału manifestów w procesie historycznoliterackim: udział pierwszy to wynik możliwych spełnień zobowiązań czterech typów (dla spełnień tych manifest staje się jakby natychmiastową tradycją, czy inaczej: ukierunkowaną potencją historii), udział drugi zaś to konsekwencja wiedzy przekazywanej w manifestach, wiedza ta bowiem, przymnażająca komunikacji społecznej nowy dyskurs konieczny dla zrozumienia literatury, wprowadza do tejeż literatury nowe warunki jej wypowiedzania.

Manifest, w różnych partiach i z niejednakową precyzją, może być: scenariuszem, poetyką sformułowaną, wezwaniem do lektury oraz zapowiedzią kolejnego manifestu. W konsekwencji spełnieniem manifestu mogłyby być: 1) realizacja scenariusza, czyli scena, rola bądź spektakl w „teatrze życia literackiego”; 2) realizacja instruktażu poetyckiego, czyli dzieło; 3) podjęcie wyzwania czytelniczego, czyli świadectwo lektury; 4) realizacja zapowiedzi dalszego ciągu, czyli kolejny manifest. Jednakże manifesty, sytuowane w relacji do jakiegokolwiek spełnienia, oferują historykowi literatury możliwość wzbogacenia kontekstowego, a równocześnie nie uprawniają do innego sytuowania względem siebie tych zjawisk niż w relacji „przed” i „po”. W takim ujęciu manifesty funkcjonowałyby w innym rejestrze historii, tworząc historię literatury o innej częstotliwości — swoistą macierz historyczną nieprzekładalną na historię dokonań. Jedyną rzeczą, do której manifesty bez wątpienia się przyczyniają, jest więc... rozpacz historyka. Może on bowiem stwierdzić tylko tyle, że manifest warunkuje spełnienie w ujęciu historycznym, ale z całą pewnością go nie powoduje. Jednakże to minimum, czyli kwestia uwarunkowania, wydaje się pierwszą z kategorii, jakie zaproponować można do opisu udziału manifestu w procesie historycznoliterackim. Spełnienie manifestu jako fakt uwarunkowany, czyli ani zdeterminowany, ani dowolny, oznacza, że fakt ten jest poddany pew-

Warszawa 1987, s. 32–34). Jednakże stosowane przeze mnie określenie, iż manifest jest wypowiedzią służącą zobowiązaniu do odczytania zobowiązań, nie zaś wypowiedzią sygnalizującą intencję spełnienia — często niespełnialnych — deklaracji, w sposób wyrazisty łamie podstawową zasadę teorii aktów mowy, w myśl której *our word is our bond* (J. L. Austin *How to Do things with Words*, Oxford 1975, s. 10). Ponadto, czynności odnoszenia się i orzekania (Searle, s. 37) również ulegają w manifestcie wykołajeniu, ponieważ mówi się w nim o tym, co przyszło, jak o tym, co terazniejsze, a w konsekwencji manifest nie spełnia aksjomatu identyfikacji (Searle, s. 105), ponieważ mówienie w manifestcie nie odnosi się ani do tego, co istnieje, ani do tego, co istnieje w fikcji. Również reguły odpowiedniości (Austin, s. 141–145) bywają, zwłaszcza w Dwudziestoleciu, często ostentacyjnie łamane. W sumie wydaje się, że istotną cechą czynności mowy wykonywanych przez manifest jest takie wykorzystanie języka, które służyć ma intencji zmiany reguł prawdziwości poprzez naruszenie reguł odpowiedniości, czyli że manifest zawdzięcza swoją moc perlokucyjną fałszywości lokucyjnej i celowej niefortunności illokucyjnej.

nym przymusom i wymogom, regułom gry wyłożonym w manifestcie.²⁰ Koncepcja manifestu jako swoistej gry w historię literatury pozwala dodatkowo zaproponować następną kategorię opisu: gra zakłada obustronną znajomość reguł, a co za tym idzie, możliwość przewidywania kolejnych posunięć. Tak też i w przypadku manifestów: im precyzyjniejsze reguły, ustalane na mocy zawiązywanego kontraktu manifestowego, tym wyższa przewidywalność spełnienia, czyli zarówno większa zasadność wyszukiwania realizacji (co ważne dla historyka), jak i większa gwarancja społecznego zrozumienia dla niej. Konsekwentne spożytkowanie koncepcji Braudela²¹ pozwala również uchwycić dłuższe i najdłuższe uczestnictwo manifestu w procesie literackim.

	Rejestr zdarzeniowy	Rejestr koniunktury	Rejestr długiego trwania
Zobowiązanie pozaliterackie	Scena, rola bądź spektakl w teatrze życia literackiego	Modny (rozpoznawalny jako artystyczny) styl bycia	Ars vivendi
Zobowiązanie literackie	Dzieło	Kierunek / prąd literacki	Epoka literacka
Zobowiązanie lekturowe	Świadczenie lektury	Polemika krytyczno-literacka	Manifest jako zasobnik ponadczasowej wiedzy o literaturze
Zobowiązanie manifestowe	Manifest	„Programizm”, literatura potencjalna	Kultura manifestu

I tak w rejestrze koniunktury scena, rola bądź spektakl z teatru życia literackiego przekształca się w modę, postawę artystyczną, praktykowany model życia literackiego; instruktaż poetycki, znajdujący swoje spełnienia w szeregu dzieł, „przedłuża się” w kierunek bądź prąd literacki²²; świadczenie lekturowe zapoczątkowuje rozbudowany spór krytycznoliteracki; zapowiedź manifestu przechodzi w swoisty programizm, czyli aktywność kulturową spełniającą się wyłącznie w manifestach. Nietrudno przecież znaleźć egzemplifikacje dla koniunktury udziału manifestu w historii: jeśli Jasiński w bilansie

²⁰ Opieram się tu głównie na rozważaniach F. Braudela zawartych w jego książce *Historia i trwanie* (tłum. B. Geremek, Warszawa 1971), zwł. rozdział *Historia i nauki społeczne: długie trwanie* (s. 46–89).

²¹ Jak wyżej, zwł. s. 49 i nast.

²² O możliwości rozpatrywania formujących się tendencji literackich jako koniunktury zob. M. Głowiński *Gatunek literacki i problemy poetyki historycznej*, w: *Problemy teorii literatury*, seria 2, t. 2, Wrocław 1987, zwł. s. 138–140.

futuryzmu polskiego pisze o „futuryzującej się Warszawie”, to znaczy, że zaproponowany wcześniej typ zachowań jednokrotnych okazał się krótkotrwałą modą atakującą społeczny styl bycia²³; manifesty futuryzmu, awangardyzmu, ekspresjonizmu, sytuowane wobec samych kierunków literackich, nie występują w roli przyczyny sprawczej, pozwalają natomiast na uchwycenie zależności, jaka zachodzi pomiędzy trwałością kierunku a podtrzymywaniem zamówień dostarczanych przez manifesty, oraz na zarejestrowanie zmiany, jakiej podlega kierunek literacki, co dzieje się wówczas, gdy pewne dokonania artystyczne nie odzyskują swego sensu w kontekście definicji formułowanych przez manifesty; nietrudno również odnaleźć w Dwudziestoleciu, choć nie tylko w nim, spory krytycznoliterackie zapoczątkowane przez manifesty, jednakże wszystkie polemiki, nawet te najdonioślejsze (Irzykowski — Peiper, Irzykowski i Stur *contra* skamandrycka programofobia, czy jedna z najobfitszych dyskusji tego okresu rozegrana na łamach „Kameny”²⁴), stanowić mają tylko podstawę do stwierdzenia, że respons krytycznoliteracki, piśmienniczo zadokumentowane świadectwo lektury przekształcające się w spór, zakotwicza manifest w historii i staje się jego spełnieniem całkowicie równoprawnym wobec pozostałych; ostatecznie spełnienie manifestu w rejestrze koniunkturuwym, czyli programizm, ma przecież swoją nazwę i miejsce w dziejach — jest to sztuka konceptualna: pierwsze możliwości takiej praktyki dostrzegalne były już w manifestach modernistycznych²⁵, choć i w tym przypadku ważne są nie tradycje czy merytoryczna jakość deklaracji, lecz fakt, że obfitość nigdy nie spełnionych pomysłów awangardy europejskiej konstytuuje i nowy typ porozumienia z odbiorcą oparty na czystej grze możliwości, i nowe warunki wypowiedzenia literatury²⁶.

I wreszcie udział manifestu w rejestrze długiego trwania. W rejestrze

²³ B. Jasiński *Futuryzm polski (bilans)*, „Zwrotnica” 1923 nr 6; cyt. za: *Antologia polskiego futuryzmu...*, s. 55.

²⁴ W skład polemiki weszły następujące wystąpienia: S. Czernik *Treść i forma*, „Kamena” 1933 nr 7 i 8; J. Przyboś *Na marginesie artykułu Czernika*, loc. cit. 1933 nr 9; M. Czuchnowski *Od estetyzmu do proletariatu*, loc. cit. 1934 nr 1; J. Brzękowski *Rewizja w imię treści*, loc. cit. 1934 nr 2; S. Czernik *Wielość interpretacji*, loc. cit. 1934 nr 4; S. Czernik *Czwartorzędne metafory pierwszorzędných poetów*, loc. cit. 1934 nr 5.

²⁵ Wyłożenie i uzasadnienie programu sztuki konceptualnej znalazło się w manifestcie S. K. Gackiego *Sztuka ludzka* („Almanach Nowej Sztuki”, Warszawa 1924, s. 11–15; cyt. za: *Manifesty programowe futurystów polskich*, Wrocław 1975, s. 15: „Artysta zdobywa prawo do swej sztuki. (...) Oczyszczony z balastu skrzeplých dogmatów może sięgnąć ręką po wyższą formę sztuki: czysta koncepcjonalność, której jedynym prawem jest On sam”.

²⁶ Zob. G. Gazda *Awangarda — nowoczesność i tradycja*, zwł. rozdział: *Sztuka — życie — działanie*.

tym zobowiązanie pozaliterackie, czyli scenariusz, przekształca się w *ars vivendi*, a więc ponadpokoleniowy, czy nawet ponadpokowy model „bycia artystą”, czego najprostszym przykładem jest *poète maudit*²⁷. Los zobowiązania literackiego, najprościej ujęty, przedstawić można następująco: manifest znajduje swoje przedłużenie w epokę literacką, jeśli wyłożona w nim propozycja estetyczna stanowi niezbywalny kontekst interpretacyjny dla artystycznych dokonań tejże epoki, a więc gdy literatura ustawicznie potwierdza żywotność manifestu (co miało miejsce w przypadku formacji romantycznej²⁸), bądź też gdy instruktąż poetycki staje się zasadniczym, w tym i negatywnym, układem odniesienia (jak to miało miejsce w przypadku poetów–lingwistów i Awangardy Krakowskiej). Z kolei odmienne spełnienie w rejestrze długiego trwania zyskuje manifest dzięki uczestnictwu w obiegu krytycznoliterackim.

I wreszcie wykrywalne w rejestrze długiego trwania spełnienie zobowiązania manifestowego. Efekt takiego trwałego udziału deklaracji określić można jako kulturę manifestu; pojęcie to pozwala na ryzykowną, acz nie pozbawioną podstaw propozycję odnalezienia właśnie w manifestcie cechy jednoczącej formację romantyczną z formacją awangardową. W obu tych formacjach manifest, biorąc czynny udział w kształtowaniu poglądów na sposób istnienia sztuki, powoduje faktyczną zmianę w sposobie jej istnienia, a dostarczając legitymizacji dla jednostkowej propozycji literackiej stwarza i utrwała przymus uprawomocnienia literatury w ogóle.

Manifest, mimo że służy składaniu czworakich zobowiązań, nie jest przyczyną sprawczą żadnego ze spełnień zdarzeniowych, natomiast z całą pewnością przyczynia się do przekształcenia kondycji literatury XIX i XX wieku.

„Czego chcemy”

Na tym jednakże nie kończą się korzyści płynące z odczytywania deklaracji składanych w manifestcie. Z uprzednich rozważań wynikało, że manifest może być zobowiązaniem podmiotowym (używam manifestu, by publicznie zobowiązać siebie) bądź przedmiotowym

²⁷ Potraktowanie „poety wyklętego” jako modelu bycia dominującego w całym wieku XIX proponuje J. Ziomek (*Epoki i formacje w dziejach literatury polskiej*, „Pamiętnik Literacki” 1986 z. 4, s. 52–53).

²⁸ Terminu „formacja romantyczna” (na określenie literatury romantycznej, pozytywistycznej i modernistycznej) oraz „formacja awangardowa” (na określenie literatury po roku 1918) używam za J. Ziomekiem, op. cit., zwł. s. 37 i nast.

(używam manifestu, by zobowiązać do czegoś publiczność). W obu tych przypadkach, a zwłaszcza w drugim, odbiorca ma prawo pytać o cel. Jeżeli odpowiedź pada, wówczas okazuje się, że manifest jest wypowiedzią warunkową („osiągnięcie określony cel, jeśli podejmiecie określone działania”):

„Oto jest najbliższe zadanie «Nowej Sztuki» — praca przesunięcia wartości twórczych i kompozycyjnych dzieła sztuki, zmodernizowanie psychiki społeczeństwa, zrealizowanie nowych i ekstatycznych perspektyw, które przed nami otwiera sztuka” (A. Stern *Wstęp od redakcji*)²⁹;

„Walka nie toczy się o obrazów zagadnienia estetyczne (anegdoty z cygańskich pracowni), lecz o człowieka i dzień nasz który nadejdzie” (S. Kubicki *Uwagi*)³⁰;

„Wyzwolić się spod jarzma materii!” (S. Przybyszewski *Ekspresjonizm — Słowacki i „Genezis z Ducha”*)³¹;

„Producent dóbr artystycznych musi mieć jasny i wyraźny cel. Tym celem powinno być urobienie takiego człowieka, jaki ze względów społecznych jest w najbliższej przyszłości potrzebny” Jan [Cz. Miłosz] *Bulion z gwoździ*³².

Okazuje się więc, że historyk literatury może pytać nie tylko o to, czy zostały podjęte działania, lecz o to, czy osiągnięto cele formułowane przez manifesty. Następuje tedy istotne odwrócenie dotychczasowego porządku: historyk nie śledzi już spełnień określonych postulatów, traktuje natomiast postulaty działań jako warunki osiągania celów.

Wynikałoby z tego, że manifesty stanowią mogą dogodny punkt wyjścia do uprawiania teleologii historii literatury, skoro w nich właśnie ujawnia się eksplikowana świadomość całego układu literackiego, czyli zarówno świadomość stanu, jak i celu. Cel, do którego zmierza dany układ literacki, jedna z możliwości jego rozwoju, tkwi w nim i wspomaga ruch ku realizacji i uspoźnieniu pewnego sposobu oddziaływania estetycznego. Ten sam cel, który zawiera się w małych i wielkich jednostkach procesu literackiego, w manifestach zostaje wysłowiony, dlatego też korpus manifestów literackich jakiegoś przekroju synchronicznego to ujawniony w słowach zespół możliwości ewolucyjnych układu. I choć jest to, rzecz jasna, modalna historia literatury, historia literatury nie-zaistniałej, niemniej jednak „zna” ona swój cel i środki do owego celu wiodące.

²⁹ „Nowa Sztuka” 1921 nr 1; cyt. za: *Antologia polskiego futuryzmu...*, s. 67.

³⁰ „Zdrój” 1918, t. 3, z. 1.

³¹ „Zdrój” 1918, t. 4, z. 1.

³² „Żagary” 1931 nr 5.

Wnioski o stanie i tendencji rozwojowej określonej konfiguracji układu literackiego, które historyk literatury mógłby sformułować dopiero na podstawie analizy ogromnego materiału, są już podane, czy nawet podarowane w manifestach.³³

Jednakże teleologiczne ujmowanie relacji zachodzącej pomiędzy manifestami i układem literackim podpadałoby, jako przypadek jednostkowy, pod tę samą krytykę, której poddano wszelki historycznoliteracki typ wniosowania „z celu”.³⁴ Z drugiej strony jednak nie wydaje się, by właśnie w przypadku manifestów podejście teleologiczne było całkiem bezzasadne. W ujęciu tym można bowiem traktować manifesty jako swoiste podwojenie teleologii układu literackiego. Wyjaśnić to można następująco: jeśli na dzieło literackie spojrzeć jak na część zmierzającą do pewnego celu, wówczas poszczególne elementy tego dzieła można będzie ujmować jako środki służące realizacji owego założenia³⁵; użyte środki literackie są postulatami pewnego celu, do którego zdążać powinien układ literacki. Jednakże dzieło, zgłaszając postulaty estetyczne, czyni to, po pierwsze, w sposób implicytny, po drugie zaś bezbronny, bezsilny, pozbawiony mocy zobowiązania; z kolei układ literacki okazuje się całością doskonale odporną na jednostkowe innowacje i wyposażoną w moc podporządkowywania sobie ataków koniunkturalnych. Pomiedzy bezbronnym dziełem i wyniosłym układem sytuują się manifesty — propozycje spełnień i eksplikowana świadomość układu. Wykładane w nich cele nie są wyposażone, rzecz jasna, w moc sterowania, a jedynie mogą stać się istotnym czynnikiem modyfikującym dokonania literackie. I na tym przypuszczeniu minimalnym poprzestać musi ujęcie teleologiczne.

Być może dzieje literatury, pojęte jako historia autorów, dzieł, technik, wreszcie odbiorców i instytucji, realizują jakiś *telos*, lecz jeśli tak jest, dzieje się to niejako mimowolnie. Swoista reduplikacja, o której była mowa, wyrażałaby się w tym, że manifesty literackie pojawiają się właśnie jako wynik niezgody na wymykanie się celów literackich spod władzy samej literatury. Naczelną intencję manifestów określić można więc jako próbę zawładnięcia procesem dziejowym poprzez zobowiązanie jego uczestników do opowiedzenia się za jakimiś (niekoniecznie tymi samymi) celami. Manifest nie jest przyczyną działań literackich, oferuje

³³ O teleologicznym ujmowaniu procesu literackiego zob.: F. Vodicka *Historia literatury. Jej problemy i zadania*, przeł. i opr. J. Baluch, w: *Studia z teorii literatury. Archiwum przekładów „Pamiętnika Literackiego”*, pod red. M. Głowińskiego i H. Markiewicz, Wrocław 1977, zwł. s. 314–315.

³⁴ Polemika z podejściem teleologicznym — zob.: R. Wellek *Upadek historii literatury*, przeł. G. Cendrowska, „Pamiętnik Literacki” 1988 z. 3, s. 219–220.

³⁵ Zob. F. Vodicka, op. cit., s. 314.

on natomiast takie spojrzenie, w którym zaproponowane działania zostają nasycone sensem dzięki temu, co można osiągnąć, a więc na długo przedtem, zanim cokolwiek zostaje osiągnięte. Inaczej mówiąc, to właśnie cel wytyczony przez manifest powinien stać się przyczyną działań literackich, ponieważ samo jego sformułowanie wynosi już przyczynowość do sfery sensownej.³⁶ I tak manifest, próba wytyczenia drogi dziejom literatury, okazuje się próbą dostarczenia gwarancji, iż dzieje te nie zaprowadzą literatury do królestwa nihilizmu, obszaru, na którym nieobecność sensu jest pochodną wcześniejszego braku celów. Być może dlatego obie formacje historycznoliterackie, romantyczna i awangardowa, oglądane przez pryzmat manifestów sprawiają wrażenie bitwy. Walka pierwsza wyczerpuje się w odmawianiu wszelkiej sensowności temu, co przeszłe, walka druga w retorycznym uzgadnianiu sensowności tego, co nowe, poprzez tworzenie derywatów od Platonińskiej triady piękno — dobro — prawda.

„Zwrotnica będzie tym, czym chce być i jeszcze czymś innym”

Manifestem można również zobowiązywać historię do tego, by zachowała sens, innymi słowy, ważne są nie deklaracje, lecz racje, ze względu na które ktoś składa jakiegokolwiek zobowiązania. Jeśli deklaracje się spełnią, „«Zwrotnica» będzie tym, czym chce być”, lecz nawet jeśli się nie spełnią, to i tak — ze względu na ustawiczne powtarzanie i pomnażanie uzasadnień — „Zwrotnica” będzie „jeszcze czymś innym”³⁷. Wykład tych uzasadnień sumuje się w pewne dyskursywne bogactwo manifestu, którego złożami są historyczno-, teoretyczno- i socjologicznoliterackie refleksje. Za ich sprawą właśnie manifest zostaje wyposażony w swoistą nadwyżkę potencji, której nic — nawet fiasko zobowiązań — nie może unieważnić. Dzieje się tak dlatego, że manifest nie przekazuje samych zobowiązań, lecz wiedzę o zobowiązaniach; i dopiero ta wiedza staje się zasadniczym udziałem manifestu w procesie historycznoliterackim niezależnie od tego, czy ktokolwiek, włącznie z twórcami, zrealizuje jakiegokolwiek zobowiązanie.

Składnikami dyskursywnej zawartości manifestu są: 1) krytyka literatury zastanej; 2) wykład metajęzyka; 3) wskazanie odbiorcy; 4) formułowanie zapotrzebowań estetycznych; 5) krytyka instytucji życia literackiego. Wszystkie te partie wykładu stanowią w samym manifestcie jedynie

³⁶ Zasadniczą inspirację dla tej partii rozważań zawdzięczam *Esejom heretyckim z filozofii historii* J. Patočki (przeł. J. Zychowicz, Warszawa 1988, zwł. rozdz. *Czy dzieje mają sens?*).

³⁷ T. Peiper *Punkt wyjścia*, „Zwrotnica” 1922 nr 1.

rodzaj retorycznego uprawomocnienia zmiany, to znaczy umacnianie prawa do wprowadzania zmian w ogóle, oraz uczynienia prawomocną konkretnej propozycji jej wprowadzenia. Jako autor manifestu, jako prawodawca sztuki pragnę, aby jakaś historia i jakaś etyka mogła uwierzytelnić obiecywane przeżycia estetyczne; chcę nie tylko, aby odbiorcy czerpali satysfakcję ze sztuki, lecz również by mieli do tej satysfakcji uzasadnione powody. Jednakże konsekwencje tych retorycznych wysiłków okazują się zgoła nieoczekiwane.

Krytyka literatury zastanej odbywa się głównie poprzez różnorakie sposoby dekonwencji, a więc poprzez retoryczną (prześmiewczą, szyderczą, represyjną) bądź merytoryczną polemikę. Krytyka ta odbywa się kosztem wyobcowania ogromnego dorobku literackiego, a będąc u progu romantyzmu przejawem nowej świadomości historycznej sama przyczyniła się do narodzin refleksji historyczno-literackiej. Po drugie, następstwem dekonwencji uprawianej przez autorów manifestów staje się, tak charakterystyczne dla literatury XIX i XX wieku, przyspieszenie historii, ustawiczny, coraz szybszy ruch przekształcania innowacji w konwencję (nowatorska propozycja z konieczności przybiera w manifestcie postać poetyki gotowej do użycia), a konwencji — w archaizm (retorycznym podbudowaniem własnej propozycji jest zawsze obraz zużycia innej poetyki).

Zadaniem wykładu metajęzyka jest odseparowanie literatury nowo powstałej czy nowo powstającej od dotychczasowej estetyki, wydobyć dokonania literackie z pewnej całościowej gramatyki kultury, w której dzieła te nie mogą odzyskać swego sensu. Intencją dyskursywnego naruszenia ciągłości procesu wiąże się więc w tym przypadku z próbą dostarczenia gwarancji autonomiczności nowym postawom artystycznym i nowym postaciom artyzmu: wykład metajęzyka powinien, paradoksalnie, obdarzyć samodzielnością pewne teksty poprzez uniezależnienie ich od kontekstu starej estetyki. Paradoksalność zaś polega na tym, że manifest, który ma zapewnić autonomię, skazuje literaturę na inną nieautonomiczność, ponieważ jego zawartość staje się wyznaniem niesamodzielności dzieła wyznaczającym literaturze miarę niesuwerenności. Ale, co zrozumiałe, wyznanie niesamodzielności dzieła jest również wyznaniem niesamodzielności manifestu, skoro część swojej zrozumiałości zawdzięczać on będzie tej „mowie”, którą „przedmawia”. Czy obie strony mogą wybić się na niepodległość? Tekst literacki odzyska autonomię utraconą na rzecz manifestu, jeśli w nim samym znajdzie się komentarz metajęzykowy. Manifest zaś odzyska autonomię, jeśli stanie się przedmową, która niczego nie przedmawia, a więc wówczas, gdy dostarcza się manifestu zamiast literatury. I tak w największym, niemal

prostackim skrócie przedstawić można konsekwencje wykładu metafizyka: z jednej strony wydatny współudział w narodzinach autotematyzmu, z drugiej zaś — wytworzenie „literatury potencjalnej”³⁸ jako efektu wewnętrznej ewolucji manifestu. Rozwój ten przebiegał od manifestów formacji romantycznej przekazujących kod niecałościowy, który służył sygnalizowaniu nowości, do manifestów formacji awangardowej przekazujących, bądź sugerujących kod ostateczny, który służyć ma całkowitemu zawłaszczeniu nowości. W formacji awangardowej spotkały się więc dwie tendencje: tendencja do całościowego wykładu metafizyka i tendencja do instytucjonalnej samodzielności manifestu. W efekcie spotkania manifest zyskuje dwie podstawowe właściwości: jest rozpoznawalny jako gatunek i odgrywa samodzielną rolę w komunikacji społecznej. Odtąd należy go czytać nie dlatego, że uzupełnia wiedzę o literaturze, lecz dlatego, że uzupełnia samą literaturę.

Do podobnego paradoksu samospełnienia dochodzi również w wyniku zgłaszania zapotrzebowań estetycznych i krytykowania instytucji życia literackiego.³⁹ Romantyczna „krytyka krytyki literackiej”, poparta rozbudowanym dyskursem estetycznym, powoduje, że manifest staje się instancją alternatywną w rozstrzyganiu o naczelnym kwestiach literatury: wykładanie tradycji bądź antytradycji dla pewnego dorobku, syntetyzujące ujęcie dotychczasowej literatury, propozycje nowych kategorii pojęciowych, oferta nowych kryteriów wartościowania i nowej poetyki, wreszcie zaszczepianie potrzeb estetycznych — wszystko to odbywa się już bez udziału krytyki literackiej. Manifest służył więc początkowo jako głos w walce o autorytet przyznawany reprezentantom społecznej woli osądu estetycznego, ale też służył o tyle tylko, o ile odsyłał poza siebie, czyli do tych dzieł, którym ze strony krytyki literackiej groziła dezinterpretacja. I właśnie jako alternatywne źródło informacji manifest zaszczepia przede wszystkim jedną potrzebę — potrzebę manifestu; że sam ją spełnia, to oczywiste, lecz, co ważniejsze, czyni to już nie tylko jako instancja ogłaszająca najświeższe zapotrzebowania estetyczne, lecz przede wszystkim jako tekst oferujący przeżycia poznawcze i estetyczne spełniające się w samym akcie lektury, czyli innymi słowy, przeżycia niesprowadzalne do jakichkolwiek spełnień pozalekturowych.

Manifest literacki mógł więc ustalić w kulturze europejskiej nowy typ artykulacji zapotrzebowań i cyrkulacji spełnień estetycznych dzięki

³⁸ Zob. *Oulipo — la littérature potentielle*, Paris 1973.

³⁹ Z konieczności pomijam tu, wielce złożoną, kwestię identyfikacji odbiorcy; z konieczności też ograniczam wątek krytyki instytucji życia literackiego wyłącznie do ataku na krytykę literacką.

ustaleniu nowej strategii nawiązywania i podtrzymywania kontaktu z odbiorcą. Twórcy manifestów romantycznych, zapoczątkowując ten rodzaj wymiany informacji o wartościach — która przebiegała ponad krytyką, poprzez odbiorcę, ku literaturze — zapoczątkowali odmienny, właściwy dla manifestu, rodzaj ciągłości procesu literackiego. Gwarancją tej ciągłości ze strony artystów jest nieprzerwane ogłaszanie manifestów będących odpowiedzią na rosnące poczucie konieczności składania zobowiązań ideowo-artystycznych oraz, ze strony odbiorcy, ciągłość lektury zobowiązań będącej odpowiedzią na utralającą się poczucie konieczności sięgania po manifest jako tekst, który uzupełnia wiedzę o literaturze bądź samą literaturę. Wspomniana wcześniej kultura manifestu, czyli spełnienie zobowiązania manifestowego w rejestrze długiego trwania, to w gruncie rzeczy trwała więź komunikacyjna realizująca się w obustronnym otwarciu na manifest. I właśnie ta postawa zobowiązującego otwarcia łączy zarówno, odseparowane od siebie, kręgi artystów i odbiorców, jak i przedzielone „granicą współczesności” dwie, to znaczy romantyczną i awangardową, formacje historycznoliterackie.

Prawo negocjacji

Ogłaszanie manifestu to w gruncie rzeczy sposób udzielania odpowiedzi na pytanie dotyczące więzi, jaka mogłaby połączyć twórców z odbiorcami, a równocześnie sposób wytwarzania tej więzi. Odpowiedź ta zawiera w sobie warunki zmiany komunikacji literackiej, albo ściślej: warunki, jakie należy spełnić, aby w komunikacji literackiej zaszła zmiana. Owo uparte negocjowanie sensu zmiany powoduje jednak, że wraz z pojawieniem się manifestów na progu romantyzmu następuje w literaturze zmiana warunków wypowiedzania literatury. Wyrażałaby się ona w dwojakiej niecałościowości literatury. Po pierwsze związanej z funkcjonowaniem manifestu jako miary niesamodzielnosci, miary, którą manifest wyznacza, stając się niezbędnym kontekstem interpretacyjnym dla odzyskania całości sensu dzieła. (Gdy manifest „zwraca” samodzielność dziełom funkcjonując jako literatura potencjalna, jego istnienie przynajmniej literaturze inny gatunek: tym samym manifest staje się miarą niekompletności, którą wyznacza jako niezbędny element opisu całości literatury.) Po drugie zaś tej niecałościowości, która wiąże się z niemożnością dostarczenia legitymizacji literaturze w obrębie jej samej, co powoduje, że funkcję legitymizacyjną spełniać może tylko głos zewnętrzny wobec literatury — głos obdarzany społeczną wiarygodnością. Manifest pojawia się w romantyzmie właśnie jako próba uprawomocnienia literatury, paradoksalna, bo startująca

od negacji zasadności wszelkich ograniczeń, próba odnalezienia uzasadnień dla istnienia sztuki. Paradoks polega na tym, że — jak pisał Alfred de Vigny — „wolność, dając nam wszystko (...) pozbawia oparcia”⁴⁰, czyli że, innymi słowy, ogłaszając, iż wolność jest wartością samocelową, nieuchronnie zmierzam do odkrycia sytuacji absurdałnej, w której każda zmiana nie jest w niczym bardziej uzasadniona niż bezzasadna. I tak manifest, miara legitymizacyjnej niesamodzielności literatury, staje się miarą jej wolności.

Być może dlatego w manifestach literackich jest coś ze stanu *adikia*, bezprawia, samowolnego przeniknięcia, wkroczenia w historię dokonywanego z niejasną świadomością prawa, które można wynegocjować. Manifest literacki jest próbą wciągnięcia wszystkich uczestników układu literackiego w obszar zmiany sensu, w wolną grę nadawania sensu historii; w obszarze tym wszyscy powinni poczuć się zobowiązani do zmiany życia ze względu na zmianę sensu. Tak, właśnie tak można pojmować manifest literacki jako jednostkę procesu historycznoliterackiego.

Przemysław Czapliński

Komparatyści Wschodu i Zachodu w Tokio

W dniach 22–28 sierpnia 1991 obradował w Tokio trzynasty międzynarodowy zjazd komparatystów. Wzięło w nim udział ponad tysiąc naukowców i studentów z różnych kontynentów i krajów Ameryki, Afryki, Azji, Australii i Europy. Największą grupę stanowili oczywiście sami gospodarze, którzy starannie przygotowali zjazd i zadbali o jego sprawność organizacyjną. Formalnego otwarcia obrad dokonał następca tronu japońskiego Jego Wysokość książę Naruhito. W swym wystąpieniu książę mówił o znaczeniu studiów porównawczych nie tylko w literaturze i kulturoznawstwie, lecz także w innych dziedzinach nauki. Mówca zilustrował tę tezę przykładem wziętym z własnego wykształcenia i doświadczenia. Jako specjalista w zakresie transportu, książę Naruhito studiował w Anglii (Oxford), gdzie zainteresował się historią europejskich systemów drogowych i komunikacyjnych. Ich porównanie z tradycją japońską okazało się, zdaniem księcia, niezwykle pouczające nie tylko ze względu na przydatność ściśle zawodową, lecz

⁴⁰ A. de Vigny *List do Lorda...*, w: *Manifesty romantyzmu*, 1975, s. 381, przeł. E. Bienkowska.

od negacji zasadności wszelkich ograniczeń, próba odnalezienia uzasadnień dla istnienia sztuki. Paradoks polega na tym, że — jak pisał Alfred de Vigny — „wolność, dając nam wszystko (...) pozbawia oparcia”⁴⁰, czyli że, innymi słowy, ogłaszając, iż wolność jest wartością samocelową, nieuchronnie zmierzam do odkrycia sytuacji absurdałnej, w której każda zmiana nie jest w niczym bardziej uzasadniona niż bezzasadna. I tak manifest, miara legitymizacyjnej niesamodzielności literatury, staje się miarą jej wolności.

Być może dlatego w manifestach literackich jest coś ze stanu *adikia*, bezprawia, samowolnego przeniknięcia, wkroczenia w historię dokonywanego z niejasną świadomością prawa, które można wynegocjować. Manifest literacki jest próbą wciągnięcia wszystkich uczestników układu literackiego w obszar zmiany sensu, w wolną grę nadawania sensu historii; w obszarze tym wszyscy powinni poczuć się zobowiązani do zmiany życia ze względu na zmianę sensu. Tak, właśnie tak można pojmować manifest literacki jako jednostkę procesu historycznoliterackiego.

Przemysław Czapliński

Komparatyści Wschodu i Zachodu w Tokio

W dniach 22–28 sierpnia 1991 obradował w Tokio trzynasty międzynarodowy zjazd komparatystów. Wzięło w nim udział ponad tysiąc naukowców i studentów z różnych kontynentów i krajów Ameryki, Afryki, Azji, Australii i Europy. Największą grupę stanowili oczywiście sami gospodarze, którzy starannie przygotowali zjazd i zadbali o jego sprawność organizacyjną. Formalnego otwarcia obrad dokonał następca tronu japońskiego Jego Wysokość książę Naruhito. W swym wystąpieniu książę mówił o znaczeniu studiów porównawczych nie tylko w literaturze i kulturoznawstwie, lecz także w innych dziedzinach nauki. Mówca zilustrował tę tezę przykładem wziętym z własnego wykształcenia i doświadczenia. Jako specjalista w zakresie transportu, książę Naruhito studiował w Anglii (Oxford), gdzie zainteresował się historią europejskich systemów drogowych i komunikacyjnych. Ich porównanie z tradycją japońską okazało się, zdaniem księcia, niezwykle pouczające nie tylko ze względu na przydatność ściśle zawodową, lecz

⁴⁰ A. de Vigny *List do Lorda...*, w: *Manifesty romantyzmu*, 1975, s. 381, przeł. E. Bienkowska.

także dlatego, że pokazało w nowym świetle kwestię różnicy i podobieństwa w ewolucji kultury europejskiej i azjatyckiej. Obecność księcia na otwarciu kongresu ma oczywiście swoją wymowę propagandową i polityczną: świadczy o tym, jak wielką wagę przywiązują Japończycy do upowszechnienia swego dorobku kulturalnego i języka (japoński był trzecim — po angielskim i francuskim — oficjalnym językiem kongresu). Wszystko wskazuje na to, że komparatystykę traktują oni ze szczególną powagą — upatrują w niej bowiem jedną z możliwych dróg wiodących do „emancypacji” literackiej, do wyjścia poza ograniczenia językowe i regionalne. Japońska sekcja Międzynarodowej Asocjacji Komparatystów liczy blisko tysiąc członków i wydaje dwa czasopisma naukowe. Rosnący prestiż międzynarodowy Japonii i jej potęga gospodarcza nie idą w parze z miejscem, jakie zajmuje ona w świecie kultury. Japończycy nie mówią o tym głośno, ale dają to do zrozumienia w sposób dyskretny i oględny. Nie tak dawno japońskie koła rządowe ujawniły zamiar ubiegania się o stałe członkostwo w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Jednocześnie polityka państwa jest wyraźnie zorientowana na ożywienie międzynarodowych powiązań kulturalnych. W dwa tygodnie po zakończeniu kongresu komparatystyki prasa japońska podała wiadomość, że książę Naruhito wraz z następcą tronu brytyjskiego księciem Karolem dokona w Londynie otwarcia wielkiego festiwalu japońskiego, który trwać będzie do marca lub kwietnia 1992. Program przewiduje m. in. wystawienie *Hamleta* w wersji teatru „kabuki” i wykonaniu aktorów z tokijskiej Globe Company. Ta świetna zresztą adaptacja sztuki Shakespeare’a wystawiona została przez ten teatr jako przedstawienie specjalne dla uczestników kongresu. Festiwal przewiduje 350 imprez kulturalnych i artystycznych. Mając obecnie okazję z bliska obserwować wysiłki Japończyków w upowszechnianiu swojej kultury, jestem przekonany, że ich zamierzenia uwieńczone zostaną powodzeniem.

Na pierwszej plenarnej sesji kongresu przemówienie inauguracyjne wygłosił dotychczasowy prezydent Asocjacji prof. Earl R. Miner, autor głośnej już dzisiaj książki *Comparative Poetics: An Intercultural Essay on Theories of Literature* (Princeton University Press 1990). Wskazał on na konieczność rozwijania takich studiów porównawczych, które by uwolniły literaturoznawstwo od ograniczeń eurocentryzmu i włączyły w krąg swoich zainteresowań badawczych kraje Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Spotkanie komparatystów w Tokio było niewątpliwie krokiem zdecydowanym zmierzającym w tym właśnie kierunku. Kongres odbywał się pod tematycznym hasłem „siła wizji” (*The Force of Vision*). Użyłem tu celowo określenia „hasło tematyczne”, bo trudno tu mówić o wyraźnie lub ostro zarysowanym temacie. Słowo „wizja” znaczyć może przecież niemal wszystko i wielu uczestników zjazdu, łącznie z jego niektórymi

(europejskimi) organizatorami, narzekało na ten brak precyzji. Usprawiedliwiano się tym, że to gospodarze wymusili na komitecie organizacyjnym taki właśnie zakres tematyki, podzielony na siedem następujących sekcji: 1) dramat pragnienia; 2) wizje piękna; 3) wizje historii; 4) siła narracji; 5) wizje i re-wizje teorii literatury; 6) wizje obcego lub tego, co obce; 7) literatura porównawcza w krajach Azji: asymilacja i rozprzestrzenienie.

Przewodniczący japońskiego komitetu organizacyjnego zjazdu, prof. Toru Haga, uzasadnił przed zebraniem audytorium powyższą koncepcję tematyczną tym, że toruje ona drogę do określenia nie tylko wspólnych wartości kultury pochodzących z różnych zakątków świata, ale także uświadamia nam ich różnice, konflikty i tym samym pomaga w ich przewycięzaniu. Mówca podkreślił, że u podstaw wizji leży zawsze wyobraźnia, będąca siłą napędową każdej twórczości literackiej i artystycznej. W ferworze wychwalania wizji jako wyrazu scalającego tematykę kongresu, prof. T. Haga oraz inni główni mówcy pierwszej sesji plenarnej (prof. S. K. Das z Indii, M. Valdes z Kanady oraz prof. Sh. Saeki z Japonii) całkowicie przeoczyli kwestię etycznych wartości wizji. Istniały przecież wizje literatury faszystowskiej w nazistowskich Niemczech czy też wizja tzw. realizmu socjalistycznego w Związku Sowieckim, głoszące nienawiść rasistowską lub klasową. Nic też dziwnego, że np. referat prof. Sh. Saeki o wizji sintoizmu w literaturze japońskiej spotkał się z ostrą krytyką ze strony jednego z przedstawicieli Korei, który stwierdził, że sintoizm w jego kraju został narzucony przemocą i stał się tam narzędziem japońskiego kolonializmu.

Niezależnie od tych polemik, przypominających spory ideologiczne, na kongresie wygłoszono dużo interesujących referatów, a ich rozpiętość tematyczna mogła zadowolić najbardziej wybrednych komparatystów. Szczególnie dużo miejsca poświęcono toposowi „obcego” lub też „tego, co obce” (*the other*). W większości wypadków mówcy koncentrowali się na zagadnieniach reprezentowania czy „widzenia” Azji lub Afryki przez pisarzy europejskich i odwrotnie — przedstawiania Europy przez twórców z innych obszarów kulturowych (np. cała sesja omawiająca stosunek Tagore do Zachodu). Gdy chodzi o pierwszy aspekt tego problemu, to trzeba powiedzieć, że panowała tu wyraźna tendencja do preferowania pisarzy, którzy w przeszłości krytycznie odnosili się do polityki kolonialnej swych krajów. Na szczególną uwagę zasługiwał tu referat dr J. Schultza z Uniwersytetu w Bayreuth *La vision de l'autre dans l'œuvre de V. Segalen (1878–1919) et de J. Paulhan (1884–1968)*, wygłoszony w ramach panelu „The Orient in European Literature”. Autor połączył kwestie antykolonializmu z powstaniem ruchu modernistycznego w Eu-

ropie. Poszukiwanie nowej estetyki szło w parze, zdaniem referenta, z formowaniem nowej etyki. Dużo miejsca zajęła także problematyka związków wewnątrzajatyckich.

Jak wielką wagę przywiązywali organizatorzy do tej problematyki świadczy fakt, że końcowe plenarne posiedzenie kongresu poświęcone właśnie zostało pytaniu o „wizję obcego” (*Visions of the Other* — taki był oficjalny tytuł tej sesji). W dyskusji zabrali głos tak wybitni uczeni, jak Fr. Jameson, D. Fokkema, Ben-Porat Ziva i inni.

Trudno w krótkim sprawozdaniu przedstawić rozległą problematykę kongresu. Warto jednak wspomnieć, że gdy mowa o teorii literatury, to dyskusja skupiła się tu głównie wokół dwóch kierunków: narratologii wywodzącej się z inspiracji Bachtinowskiej oraz teorii literaturoznawstwa porównawczego (np. referat E. Kushner z Toronto dający klasyfikację głównych podstaw teoretycznych we współczesnej komparatystyce). Jeśli na poprzednich kongresach teoria literatury zajmowała często miejsce bardzo poczesne (także jako podstawa dla różnych ujęć metodologicznych) — tym razem jej zasięg był raczej skromny, a już z pewnością charakteryzujący się odejściem od rygorów tzw. ścisłości, a więc i strukturalizmu. Interesująca była pod tym względem reakcja na referat wybitnego uczonego sowieckiego E. Mioletinskiego (tytuł referatu: *L'origine et le debut des genres narratifs*), który przyjechał na zjazd z opóźnieniem spowodowanym nieudanym puczem stalinowskim w Moskwie. Początkowo sala była pełna, ale stopniowo słuchacze zaczęli wychodzić, a do końca wytrwała już tylko niewielka grupka „wiernych”. Próbowałem się dowiedzieć, dlaczego. Reakcja była dość jednoznaczna: „to już przeszłość”, „powtarzanie”, „starzyzna nie do wytrzymania” itp. Pewien wpływ na tę reakcję mógł też mieć fakt, że referat był wygłoszony po francusku. Francuski w dalszym ciągu jest jednak mniej powszechnie używany niż angielski. Metodologię zjazdu cechował daleko idący pluralizm, zróżnicowanie postaw badawczych, odejście od ciężkiej i zawilej terminologii. Czy jest to wynik oddziaływania dekonstrukcjonistycznych teorii J. Derridy (w myśl zasady *anything goes*) lub też nowa fala określonej mody ogarniającej znów humanistykę zachodnią — trudno z całą pewnością odpowiedzieć. Myślę, że odgrywa tu pewną rolę i jedno, i drugie.

Udział polskich naukowców w tym zjeździe był żenująco skromny, nawet jeśli porównać go z Węgrami, Czecho-Słowacją czy nawet Rumunią. W składzie Komitetu Wykonawczego Asocjacji widniało nazwisko prof. J. Błońskiego, który jednak nie przyjechał. Nie zjawił się też zapowiedziany p. J. Parvi z Warszawy, natomiast interesujący referat wygłosił nie zapowiedziany w programie p. Andrzej Biernacki z Instytutu Historii Nauki PAN (tytuł jego referatu: *Le Japon d'il y a cent ans decrit*

par un aristocrate polonais Charles Lanckoroński). Drugą osobą uczestniczącą w tym zjeździe była p. Wanda Gawłowska z Łodzi. Nie miałem możliwości wysłuchania jej referatu (tytuł *Le mythe de Gog et Magog dans la legende d'Alexandre le Grand*), gdyż uczestniczyłem w obradach innej sekcji. Z Polaków mieszkających poza krajem udział w kongresie wzięli E. Możejko i W. Krysiński. Ten ostatni wygłosił interesujący referat *Yukio Mishima's Confession of a Mask and Some Western Paterns of the Self-Revealing Fiction*.

Z inicjatywy niżej podpisanego, następny XIV kongres komparatystyczny odbędzie się na Uniwersytecie Albertańskim (the University of Alberta), w Edmonton położonym w zachodniej prowincji Kanady — Albercie. Głównym tematem tego kongresu będzie literatura w społeczeństwach wielokulturowych i wielojęzycznych. Tematyka kongresu podzielona została na cztery podsekcje: 1) literatura i tożsamość; 2) „obca” i „własna” interferencja; 3) rodzaje literackie, język i kultura; 4) studia regionalne. Na zakończenie wypada tylko wyrazić życzenie i nadzieję, że Polska ze swą tradycją „Rzeczypospolitej wielu narodów” weźmie w tym kongresie znacznie aktywniejszy udział niż to miało miejsce w Tokio.

Edward Możejko

Modele i przemiany

Książka Germana Ritza¹ poświęcona polskiej prozie 1956–1976 przypomina mebel. Używając tego porównania nie mam na myśli meblościanki z płyty pokrytej plastikową okleiną — chodzi o coś wyjątkowo solidnego, wyposażonego w przestronne szuflady. Autor, który stawia sobie za zadanie opis nowatorskich nurtów w polskiej prozie, postarał się o ich wyraziste rozgraniczenie, dodając do tego dalsze zabiegi porządkujące: periodyzację, określenie pokoleniowej przynależności pisarzy i wreszcie — pewne elementy hierarchizacji. Chodzi przede wszystkim o stworzenie pewnego modelu rozwoju polskiej prozy, co zostało wyróżnione już w tytule: *Modellierung einer Entwicklung*.

Praca szwajcarskiego slawisty uznaje rok 1956 za punkt przełomowy — początek poszukiwania modelu prozy opozycyjnej wobec „wzoru

¹ G. Ritz *Die Polnische Prosa 1956–1976. Modellierung einer Entwicklung*, Slavica Helvetica, Peter Lang, Bern 1990.

par un aristocrate polonais Charles Lanckoroński). Drugą osobą uczestniczącą w tym zjeździe była p. Wanda Gawłowska z Łodzi. Nie miałem możliwości wysłuchania jej referatu (tytuł *Le mythe de Gog et Magog dans la legende d'Alexandre le Grand*), gdyż uczestniczyłem w obradach innej sekcji. Z Polaków mieszkających poza krajem udział w kongresie wzięli E. Możejko i W. Krysiński. Ten ostatni wygłosił interesujący referat *Yukio Mishima's Confession of a Mask and Some Western Paterns of the Self-Revealing Fiction*.

Z inicjatywy niżej podpisanego, następny XIV kongres komparatystyczny odbędzie się na Uniwersytecie Albertańskim (the University of Alberta), w Edmonton położonym w zachodniej prowincji Kanady — Albercie. Głównym tematem tego kongresu będzie literatura w społeczeństwach wielokulturowych i wielojęzycznych. Tematyka kongresu podzielona została na cztery podsekcje: 1) literatura i tożsamość; 2) „obca” i „własna” interferencja; 3) rodzaje literackie, język i kultura; 4) studia regionalne. Na zakończenie wypada tylko wyrazić życzenie i nadzieję, że Polska ze swą tradycją „Rzeczypospolitej wielu narodów” weźmie w tym kongresie znacznie aktywniejszy udział niż to miało miejsce w Tokio.

Edward Możejko

Modele i przemiany

Książka Germana Ritza¹ poświęcona polskiej prozie 1956–1976 przypomina mebel. Używając tego porównania nie mam na myśli meblościanki z płyty pokrytej plastikową okleiną — chodzi o coś wyjątkowo solidnego, wyposażonego w przestronne szuflady. Autor, który stawia sobie za zadanie opis nowatorskich nurtów w polskiej prozie, postarał się o ich wyraziste rozgraniczenie, dodając do tego dalsze zabiegi porządkujące: periodyzację, określenie pokoleniowej przynależności pisarzy i wreszcie — pewne elementy hierarchizacji. Chodzi przede wszystkim o stworzenie pewnego modelu rozwoju polskiej prozy, co zostało wyróżnione już w tytule: *Modellierung einer Entwicklung*.

Praca szwajcarskiego slawisty uznaje rok 1956 za punkt przełomowy — początek poszukiwania modelu prozy opozycyjnej wobec „wzoru

¹ G. Ritz *Die Polnische Prosa 1956–1976. Modellierung einer Entwicklung*, Slavica Helvetica, Peter Lang, Bern 1990.

zamkniętej *mimesis* fikcjonalnej”, charakterystycznej dla socrealizmu. Proces odnowy i poszukiwania ma według Ritza nie tylko ściśle oznaczoną datę rozpoczęcia się, bowiem przekształcenia, szczegółowo analizowane w kolejnych rozdziałach, mają wyczerpywać się około 1976 roku, co zbiega się z kolejnym kryzysem politycznym i przyspieszeniem wydarzeń. Książka Ritza traktuje więc eksperymenty w prozie jako proces już zamknięty. Ponieważ negatywnym punktem odniesienia dla tego gatunku prozy eksperymentalnej, jaki interesuje Ritza, jest socrealizm — logiczne jest, że proza powstająca na emigracji (a więc np. Gombrowicz) i stworzona przez autorów, którzy nie przeszli przez doświadczenie stalinowskie, pozostaje poza kręgiem zainteresowania. Nie jest to więc ani monografia polskiej prozy powojennej, ani nawet nurtów eksperymentatorskich, lecz praca poświęcona właściwie jednemu wybranemu zagadnieniu: nowatorskim tendencjom traktowanym jako przełamywanie zamkniętego modelu realizmu socjalistycznego:

Opisuję proces odnowy jako dążenie do powieści metafikcjonalnej (autotematyzm), autobiografizmu, groteski i opowiadania neonaturalistycznego (autentyzm). Przy wszystkich czterech wyróżnionych tendencjach realistyczne opowiadanie fikcjonalne stanowi punkt wyjścia. Realizm stanowił na skutek skomplikowanego oddziaływania wielu czynników od 1945 do 1956 dominującą tradycję literacką [s. 18–19].

Cztery podstawowe nurty nowatorskie wyróżnione przez Ritza: autotematyzm, autobiografizm, groteska i autentyzm są więc zależne od poprzedzającej je tradycji realizmu, ale też mają, każdy z nich, odrębną tradycję. Zwłaszcza pierwsza część tej tezy, o ukrytej roli realizmu po 1956 roku, wydaje się interesująca — tworzy bowiem spójny punkt widzenia na całą prozę. A jednak właśnie do tego świetnego pomysłu podchodzi Ritz jedynie w sposób najprostszy — traktując problem czysto biograficznie, podkreślając fragmenty dorobku pisarza przed 1956 rokiem i zmianę. Interesujący pomysł nie został w pełni wykorzystany, trudno jednak zapominać, że książka Ritza, poza analizą modelu prozy polskiej, ma również zadanie prezentujące, powinna ułatwić niemieckojęzycznemu czytelnikowi dostęp do informacji bio- i bibliograficznych. Wielość zadań nie pozwala na zachowanie czystości wyводу, toteż gubią się w nim dwa wyłaniające się problemy: czy literacki eksperyment traktuje socrealizm i realizm wyłącznie jako tradycję negatywną i czy nie podważa to jakoś autentyczności samego eksperymentu, nie skazuje go na szybkie wyczerpanie — które przecież Ritz sytuuje około 1976 roku.

Jeśli przyjrzymy się z bliska czterem solidnym szufladom autotematyzmu, autobiografizmu, groteski i autentyzmu, okaże się, że nie panuje w nich wzorowy porządek. Zapelnione zostały treścią dość różnorodną.

Autotematyzm reprezentują Wilhelm Mach z *Górami nad czarnym morzem* i Andrzejewski z *Miazgą*, a tradycję literacką stanowi dla nich *Paluba* Irzykowskiego; autobiografizm zaś to Brandys z *Listami do Pani Z.*, *Dżokerem* i *Miesiącami* oraz — jakże różny od niego — Białoszewski. A przecież traktowanie Brandysa i Białoszewskiego jako przedstawicieli jednego nurtu wydaje się problematyczne, nie łączy ich ani relacja wobec realistycznej tradycji, ani wspólne podejście do języka, co zresztą analiza Ritza doskonale oddaje, traktując prozę Brandysa jako zorientowaną literacko i politycznie, i zestawiając Białoszewskiego ze Stachurą:

Białoszewski nie opisuje rozpadu spójnego obrazu świata we fragmentach lub parodycznie rozkładu starych pojęć, sytuuje się on daleko poza współczesnym kryzysem prozy [s. 265].

Nie dotyczy go też problem obrachunków z socrealistyczną przeszłością, który za to wyraźnie ciąży nad twórczością i Brandysa, i Andrzejewskiego. Potraktowanie Hłaski i Nowakowskiego jako przedstawicieli autentyzmu nie budzi zastrzeżeń mimo wszystkich dzielących ich różnic, jednakże dział groteski, w którym znaleźli się Mrożek i Konwicki, wygląda trochę dziwnie. Konwicki oczywiście ze względu na *Małą Apokalipsę*, ale to już poza graniczną datą 1976, przyjętą jako zakończenie procesów rozpoczętych w 1956. Już *Miesiące* Brandysa „wystawały” spoza przyjętych ram czasowych, tu poza nimi znajduje się dominanta w portrecie prozaika. Gdyby Konwicki znalazł się w dziale „autotematyzmu” (ze względu na *Sennik współczesny*) i „autobiografii” (bo *Kalendarz i klepsydra*), przemawiałyby za tym silniejsze argumenty, może też sensowne byłoby wprowadzenie jakiejś specjalnej kategorii dla *Kroniki wypadków miłosnych* (i *Bohini*). I znów — trudno kwestionować szczegółową zawartość rozdziału, złożonego z wielostronnych analiz, w których problem groteski jest tylko jednym z wielu, i to potraktowanym z dystansem, powtarzają się rozpoznania „wielkiej metafory” i motywów autobiograficznych. Zestawienie z Mrożkiem i Gombrowiczem wydobywa polemiczny stosunek wobec narodowych mitologii, ale porównanie wypada na niekorzyść zbyt mało „ufilozoficznionej” Konwickiego:

Obrazy tradycji literackiej (od romantyzmu do Żeromskiego) są u Mrożka tylko sposobami przedstawiania, a nie prywatnym i skomplikowanym doświadczeniem egzystencjalnym. Groteska Mrożka szybko rozwinęła się w analizę filozoficzną bytu, podczas gdy Konwicki krąży wokół prywatnego i konkretnego doświadczenia. Nie wychodzi poza swoją epigonalną obrazowość, gdyż ona sama jest treścią doświadczenia [s. 364].

Wystarczyłoby zmienić nieco punkt odniesienia, a to, co epigonalne, okazałoby się głęboko konsekwentne, odsłaniające ukryte w podświadomości kompleksy.

Do usterek pracy Ritza zaliczyć trzeba też pokaźną liczbę błędów w pisowni polskich tytułów, czasami nazwisk — jak na przykład pomylenie Ryszarda Nycza z Tadeuszem Nyczkim i przypisanie temu ostatniemu pracy *Sylwy współczesne* (na s. 169, ale w innych miejscach i w bibliografii — jest dobrze).

Kwestionuję w tej książce tak wiele, a przecież uważam ją za bardzo ważną pozycję, która powinna dla każdego piszącego próbę syntezy powojennej polskiej prozy stanowić jeden z punktów odniesienia. Jest ona zresztą świadectwem wiedzy i rozległej, i szczegółowej: autora wyraźnie interesuje nurt chłopski, proza „Twórczości”, zagadnienia recepcji, sytuacja w poezji polskiej. Tak szerokie tło poruszanych tematów czyni z pracy Ritza rodzaj przewodnika, także po problemach trudnych, wymagających diagnozowania całkiem świeżych zjawisk — jak fluktuacje opinii czytającej publiczności literackiej, starzenie się pewnych rozwiązań artystycznych i wyczerpywanie się form.

Zasadniczą i najbardziej wartościową częścią pracy Germana Ritza są rozdziały omawiające poszczególnych pisarzy. Cała praca zaś wydaje mi się owocem pewnego rozdzielenia. Strukturalistyczna metodologia, która wyraźnie stanowi dla Ritza rękojmię naukowości i solidnych podstaw teoretycznych, skłania go do poszukiwania pewnego modelu rozwojowego o dość prostej konstrukcji. Nie bardzo daje się on wy-preparować z rzeczywistości literackiej — pełnej zamierzonych i nie zamierzonych niekonsekwencji, pogmatwania — toteż pozostaje konstrukcją przyjętą apriorycznie. Kryje się za tym jednak coś zupełnie innego: to nie prozatorski eksperyment jest właściwym przedmiotem zainteresowania, zdumiewająco mało uwagi poświęcono na przykład twórczości Buczkowskiego. Tak naprawdę Ritza najbardziej interesuje pewien wątek ideowy: całkiem regularny i powtarzający się proces odchodzenia od socrealizmu, próba „nowatorstwa artystycznego” i następnie przechodzenia na stronę politycznej opozycji, dzieje polskiej inteligencji, która po destalinizacji poszukiwała form otwartych, aby wciąż konstatować ich niewystarczający charakter. Ritz boi się jednak ideologizacji i polityzacji własnego dyskursu. Jest wreszcie w pracy Ritza i niemal osobiste wyznanie:

Od 1981 roku przeżywałem polityczne i literackie przemiany w Polsce jako obserwator stojący na zewnątrz. To doświadczenie odcisnęło się na moim podejściu do literatury polskiej. Im dłużej śledziłem ich rozwój po 1981 roku, im wyraźniej widziałem je jako coś nowego, tym bardziej okres po 1956 roku jawił się jako historycznoliteracko zamknięty [s. 13].

Florilegium

Po dwóch wydaniach *Księgi cytatów z polskiej literatury pięknej od XIV do XX wieku* w ręku czytelników znalazła się obszerna księga skrzydlatych słów.¹ Obie te księgi opatrzone rozbudowanymi indeksami (w pierwszej jest to „przewodnik hasłowy i tematyczny”, w drugiej — „indeks hasel obcojęzycznych” oraz „indeks hasel polskich”), co umożliwia wyzyskanie tych zbiorów jako słowników frazeologicznych. Jest to zaleta obu ksiąg, gdyż przynoszą one znakomite uzupełnienie danych zawartych w *Słowniku frazeologicznym języka polskiego* Stanisława Skorupki (pierwsze wydanie: 1967–1968). Dla czytelników zajmujących się nie tylko lekturą, ale i pisaniem, jest to uzupełnienie ważnym źródłem, z którego można czerpać ożywczą wodę bogactw polszczyzny. Dodam też, iż księga Markiewicza i Romanowskiego zastępuje — w stopniu minimalnym, co prawda — słownik języka polskiego zawierający atrybucje i chronologię pojawiania się pewnych ważnych wyrazów. Oto kilka przykładów z tego załączkowego słownika pierwszych użyc poszczególnych wyrazów: angelologia (Gałczyński, 1946), bebeczowość (Witkacy, 1919), bohaterszczyzna (Irzykowski, 1908), chamuły (Przyboś, 1926), chciejstwo (Wańkowicz, 1949), choromaniacy (Fik, 1935), cmok–nonsens (Eile, 1948), fajdanitis (Piłsudski, 1929), holajza (Tuwim, 1934), ideolo (Tuwim, 1936), istnieniowiec (Leśmian, 1936), Klechistan (Paczkowski, 1935), kundlizm (Wańkowicz, 1947), kurdesz (Łyszkiewicz, 1779), milusińscy (Gawalewicz, 1896), mniemanologia (Stanisławski, po r. 1970), nad–narodowy (Norwid, 1869), nierzeczywistość (Gombrowicz, 1938), niezrozumialcy (Irzykowski, 1908), ojczyzna–polszczyzna (Tuwim, 1936), praity (Przybyszewski, 1899), przedświt (Kraśiński, 1843)², przenośnia (Kopczyński, 1778), spolegliwy (Kotarbiński, 1966), talentyzm (Irzykowski, 1924), terrorettycy (Sandauer, 1957), tromtadracja (Zagórski, 1868), turpiści (Przyboś, 1956), unizm (Strzemiński, 1928), upupić (Gombrowicz, 1938), wallenrodyczność i wallenrodyzm (Słowacki, 1841), wiatrologia (Boy, 1921), wieprzowatość (Słowacki, 1845), wpływologia (Grzymała–Siedlecki, 1921), wszystkoizm (Flaszen, 1952), zadufki (Andrzejewski, 1953), złotniczeńko (Lenartowicz, 1855), znieczulica (Berman, 1953), Zosia–samosia (Tuwim, 1938).

¹ H. Markiewicz, A. Romanowski *Skrzydlate słowa*, Warszawa 1990, PIW.

² Linde w *Słowniku języka polskiego* podaje tylko formę „przedświtny”, natomiast Teresa Skubalanka w swej pracy (*Neologizmy w polskiej poezji romantycznej*, Toruń 1962, s. 118) waha się, czy jest to rzeczywiście nowotwór Kraśińskiego, czy też słowo gwarowe.

Jest rzeczą oczywistą (autorzy *Skrzydlatych słów* korzystali z zagranicznych kompendiów), iż łatwiej było wskazać twórców neologizmów, które zrobiły karierę międzynarodową. Stąd tych słów–hasel jest dużo więcej niż ich polskich odpowiedników. Do litery „e” zapisano m. in. takie nowotwory: agnostycyzm, akmeizm, altruizm, ambiwalencja, antropologia, antypowieść, antypsychiatria, antysemityzm, atom, behawioryzm, biologia, biurokracja, bowaryzm, chemia, cybernetyka, dadaizm, deizm, dwójmyślenie, egoizm, egzystencjalizm, eklektyzm, ekologia, eks-ludzie, ekspresjonizm, empiriokrytycyzm, entelechia, entropia, epistemologia, ergonomia, estetyka, etnografia, etnologia, etyka, eudajmonizm, eurokomunizm. Wydaje się, że do polskich jednowyrazowych skrzydlatych słów dałoby się co nieco dodać. Przychodzi mi do głowy np. określenie dekady Gierka w literaturze: „socparnazizm” (autorem konceptu jest Michał Głowiński). Trafnym określeniem lat stalinowskich był termin „szczujność” (Sandauera czy Przybosia?). Jeśli w księdze znajduje się zdanie „Chrzaszcz brzmi w trzcinie”, to mogłoby się tu też pojawić inne wyrażenie sprawdzające umiejętności wymowy: „szybolet” („Wymówże teraz Szybolet; jeżeli rzekł: Sybolet, a inaczej nie mógł wymówić, tedy pojmawszy go, zabijali go u brodu Jordańskiego”³). Brak tego hasła w *Skrzydlatych słowach* powoduje, że czytelnik Joyce’a może nie zrozumieć tłumaczenia *Ulyssesa*: „Shitbroleeth” na „Srybolet”⁴. Notabene w powieści tej znajdzie się kilka formuł, które zrobiły wśród czytelników pewną karierę; myślę m.in. o wyrażeniu „syphilisation” — „syfilizacja”, „Bloomusalem” (było w Polsce przedstawienie o takim tytule, w którym zaprezentowano jeden z epizodów powieści), „an anythingarian” — „bylecostyk” czy metempsychoza, dla której Molly Bloom znajduje oryginalną etymologię („met him pike hoses” i „met something with hoses in it”; „mnie tam psy chodzą” i „mnie tam psy coś tam”⁵).

Chodzi mi o to, że w Polsce nie można się doczekać od językoznawców takiego słownika języka ojczystego, w którym podane by były daty pierwszego użycia danego wyrazu lub pierwszego zapisania tegoż wyrazu. Utrudnia to wszelkie badania stylistyczne, gdyż stale nikt nie jest pewien, czy określone słowo jest neologizmem badanego autora, czy też wyzyskaniem istniejącego wyrażenia.

Nie to jednak stanowi główne osiągnięcie twórców *Skrzydlatych słów*.

³ *Biblia święta to jest Pismo święte Starego i Nowego Testamentu* [Biblia Gdańska], Warszawa 1958, s. 250 (*Judicum XII*, 6).

⁴ J. Joyce *Ulysses*, Harmondsworth 1968, s. 442; *Ulysses*, przeł. M. Słomczyński, Warszawa 1969, s. 489.

⁵ J. Joyce *Ulysses*, s. 323, 459, 463, 379, 675; *Ulysses*, s. 348, 515, 521, 410, 791.

Rozszerzyli oni znacznie bazę materialną swoich poszukiwań: *Księga cytatów* Hertza i Kopalińskiego nie odnotowuje obcojęzycznych wyrażeń (i ich tłumaczeń), a także nie ogarnia współczesnej literatury polskiej (bierze się w niej pod uwagę autorów urodzonych przed 1881 r.). Markiewicz i Romanowski kierują się także innymi kryteriami w wyborze cytowanych określeń: nie dają — jak Hertz i Kopaliński — wypisów pięknych fragmentów literatury polskiej, lecz ekcerpują z całego polskiego (i światowego) piśmiennictwa takie formuły, które stały się popularne w kulturze polskiej XX wieku. Stąd np. biorą się inne cytacje w obu księgach z dorobku Adolfa Nowaczyńskiego: z 35 cytatów u Hertza i Kopalińskiego w *Skrzydlatych słowach* powtarzają się 2, a 3 są zupełnie inne. Markiewicz i Romanowski dodają do wyboru Hertza i Kopalińskiego dwa tytuły opowiadań (*Gladiolus tavernalis*, *Histeryczny histryon*) oraz powiedzonko Nowaczyńskiego o Piłsudskim („Piłsudski wysiadł z partyjnego «czerwonego» tramwaju na przystanku «Niepodległość»”, s. 496). Obecność przytoczeń z Mickiewicza w obu antologiach wygląda następująco: w *Skrzydlatych słowach* na 36 stronicach mieści się 349 cytacji, natomiast w *Księdze cytatów* na 48 stronicach — 540 fragmentów poezji (wyłącznie poezji, gdyż nawet z *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego* przywołana została jedynie *Litania pielgrzymiska*). Nie muszę tu dodawać, że: 1) *Księga cytatów* zawiera o wiele dłuższe przytoczenia niż *Skrzydlate słowa* (są to niekiedy półstronicowe wyimki poezji Mickiewicza⁶), 2) Markiewicz i Romanowski wyzyskują nie tylko poezję, ale także i publicystykę redaktora „Trybuny Ludów”. Zestawienie *Księgi cytatów* i *Skrzydlatych słów* przekonuje mnie, że nie ma tu powielania zawartości wcześniejszej publikacji przez późniejszą. Ta druga opiera się na obszerniejszej bazie źródłowej — chronologicznie i genologicznie wielostronniejszej — i na ponownie przejranej całej polskiej literaturze pięknej. Bogactwo księgi Markiewicza i Romanowskiego widoczne jest również w momencie konfrontacji *Skrzydlatych słów* z ich rosyjskim odpowiednikiem — tomem *Krylatyje słowa* Nikołaja Aszukina i Marii Aszukiny⁷. Rosyjska antologia — w drugim wydaniu — na 752 stronicach przynosi 1439 cytacji, podczas gdy polski zbiór ma ich prawie 5 000 (dokładnie 4 993), czyli przeszło trzy razy więcej. Oczywiście jest rzeczą, że *Krylatyje słowa* opierają się zasadniczo na klasycznej literaturze pięknej Rosji, na publicystyce czasów porewolucyjnych, na skąpo dobranych cytacjach antycznych i zagranicznych

⁶ *Księga cytatów z polskiej literatury pięknej od XIV do XX wieku*. Ułożona przez P. Hertza i W. Kopalińskiego, Warszawa 1975, s. 293 (tylko 2 cytacje), 302 (tylko 2 cytacje).

⁷ N. S. Aszukin, M. G. Aszukina *Krylatyje słowa. Literaturnyje cytaty. Obraznyje wyrażenija*, Moskwa 1960.

(z Polaków cytuje się Sienkiewicza oraz Święcickiego *Warszawiankę*). Goethego cytuje się tu 12 razy, Szekspira — 27 razy (w polskiej antologii odpowiednio: 50 i 50 razy). W książce Aszukinów przytacza się 92 fragmenty utworów Puszkina, 46 Kryłowa, 52 Gogola, 20 Lermontowa, 15 Majakowskiego (w *Skrzydlatych słowach* odpowiednio: 23, 10, 9, 6, 9). W polskiej antologii pozornie więcej jest cytacji z Lenina (28 w porównaniu z 17 u Aszukinów) i Stalina (12 do 11), ale wynika to z faktu, iż w pracy rosyjskiej przywołuje się Lenina wielokrotnie w komentarzach do danego hasła (jako autora wykorzystującego czyjeś skrzydlate słowa). Niektóre typowo rosyjskie powiedzenia — np. te dotyczące stereotypu Rosjanina i rosyjskości — powinny znaleźć się w polskiej antologii (trzeba znać sąsiada!). Myślę przede wszystkim o słowach Niekrasowa dotyczących „matuszki Rusi” (wyrażenie „matuszka Ruś” lub „matuszka Rosja” spotyka się zresztą w naszej publicystyce). Myślę też o peryfrazie Odojewskiego „Słońce poezji rosyjskiej” odnoszącej się do Puszkina (wydaje się rzeczą niemożliwą, by tego określenia nie cytowano w polskich czasopismach).

Odnoszę także wrażenie, że w *Skrzydlatych słowach* za bardzo przesiano skąpo przytaczane u Aszukinów nierosyjskie cytacje. Do nich zaliczyłbym Goethego definicję filistra („Was ist der Philister? / Ein hohler Darm / Voll Furcht und Hoffnung, / Dass Gott erbarm”) i Szekspirowskie określenie zazdrości — „the green-eyed monster”. Powiedzenie Goethego o „pełnym strachu wydętym worze” było znane w okresie modernizmu, natomiast „zielonooki potwór” pojawia się chociażby w polskim przekładzie *Ulissesa*.⁸

Nie na próżno drugi już raz powołuję się tutaj na powieść Joyce’a. Jest to utwór zaliczany do narracji encyklopedycznych.⁹ Tłumaczenie *Ulissesa* na język polski (pierwsze wydanie — 1969 r.) spowodowało spopularyzowanie trzech rodzajów narracji: 1) przytoczeń z literatury angielskiej, 2) przytoczeń z tekstów nieangielskich, 3) pomysłów translatorskich i interpretacyjnych Macieja Słomczyńskiego włączonych do jego przekładu dzieła Irlandczyka. Dzięki *Ulissesowi* ożywiona została szczególnie domena Szekspirowska, a w niej — problematyka *Hamleta* (w powieści jest 130 przywołań największego dramatu Szekspira, a oprócz tego toczy się w niej duża dyskusja o bohaterach tej sztuki). Myślę, że w polskim zbiorze skrzydlatych słów powinien się znaleźć także w oryginale fragment dotyczący Polski — „Polacks

⁸ Tamże, s. 673 (cytacja z Goethego); Joyce *Ulysses*, s. 530 (cytacja z *Otella*).

⁹ T. Mirkowicz *James Joyce i zwycięstwo powieści encyklopedycznej*, „Literatura na Świecie” 1982 nr 8.

on the ice”¹⁰. W *Ulissesie* aluzja do tego wyrażenia powiązana została z nazwiskiem Paderewskiego — „Pan Poleaxe Paddyrisky” (wedle Słomczyńskiego: „pana Poleaxe’a Pederasky’ego”¹¹).

Joyce lubi również cytować różnorakie nieangielskie skrzydlate słowa. Już w drugim akapicie *Ulissesa* czytamy: „Introibo ad altare Dei” (*Skrzydlate słowa* znają to wyrażenie, s. 768, choć nie powołują się na związek tych słów z *Psalmami* — XLIII, 4). Nieco dalej w tekście powieści przytacza się Homerowe skrzydlate słowa odnoszące się do „ciemnego jak wino morza” — „Epi oinopa ponton”¹². W tymże samym akapicie jeszcze jedno greckie sformułowanie — „Thalatta! Thalatta!” (*Skrzydlate słowa* przynoszą tłumaczenie — „Morze, morze!” — i atrybucję, s. 363). W innym miejscu, na samym początku epizodu *Hades*, pada słynne określenie z *Eneidy* — „fidus Achates”¹³. I Homerowe „ciemne jak wino morze”, i Wergiliuszowy „wierny Achates” stają się w *Ulissesie* leitmotivami. Czy wystarcza to, by oba te wyrażenia pojawiły się w *Skrzydlatych słowach*? Myślę, że tak. Trzeba się bowiem liczyć z elitarną lekturą dzieła Joyce’a (a może nie tak już elitarną, skoro były trzy wydania, a pierwsze miało nakład 40 000 egzemplarzy?), która spopularyzowała te i inne obcojęzyczne formuły *Ulissesa*. A co ma począć mniej odcytany miłośnik Joyce’a? Powinien znaleźć to wszystko u Markiewicza i Romanowskiego (w drugim wydaniu ich księgi).

Ale nie tylko to. Edycja *Ulissesa* stała się sensacyjnym wydarzeniem w Polsce (tak jak w ZSRR tłumaczenie opublikowane w 1989 r.). Duży rozgłos zyskały wówczas niektóre pomysły tłumacza. Do bardziej popularnych — odnotowywanych przez recenzje i powtarzanych przez czytelników — obok cytowanego „bylecostyka” (na wzór: „agnostyka”) i etymologicznego wyjaśnienia metempsychozy („mnie tam psy chodzą”) należą: „Flaczki z lechtaczki” (zamiast szczegółu historycznego: „Jubilee mutton”), „ciśnie go w pierdołku” (zamiast nienacechowanego zdania: „Unwell in his abominable regions”), „komplemędy” (zamiast: „compliment”)¹⁴. Jeśli te skrzydlate słowa Joyce’a nie nabrały rumieńców literackich — a próbował je naśladować Józef Łoziński w powieści *Za zimny wiatr na moją wełnę* (notabene aluzja do słów Gałczyńskiego „Za duży wiatr na moją wełnę”, o czym mówi księga Markiewicza i Romanowskiego na s. 218) — to inne jego powiedzonko, „możliwe możliwości

¹⁰ W. Shakespeare *Tragiczna historia Hamleta, księcia Danii*, przeł. M. Słomczyński, Kraków 1978, s. 14 (edycja dwujęzyczna).

¹¹ J. Joyce *Ulysses*, s. 305; *Ulisses*, s. 329.

¹² Tamże, s. 9 i 11; s. 7 i 9.

¹³ Tamże, s. 11 i 534; s. 9 i 634.

¹⁴ Tamże, s. 424 („jubileuszowa baranina” rozdawana w Dublinie podczas obchodów w r. 1897 jubileuszu panowania królowej Wiktorii), s. 424, 692; s. 461, 810.

możliwego”, miało stać się podtytułem *Miazgi* Andrzejewskiego i zawocowało potomstwem u Łozińskiego: „rzeczywiście rzeczywista rzeczywistość”, „inteligentny inteligencją inteligentów”.¹⁵

W *Skrzydlatych słowach* częstokroć przypominane są popularne refreny („szlagworty”) przebojowych piosenek. Są to jedynie polskie utwory. Czasami jednak obcy przebój jest odnotowany przez naszą poezję i prozę, a wtedy należałoby ten refren wprowadzić do *Skrzydlatych słów*. Dam jeden wyrazisty przykład: piosenka Johna Lennona pt. *Lucy in the Sky with Diamonds* (album z 1967 r.: *Sgt Pepper's Lonely Hearts Club Band*) stała się natchnieniem dla Jerzego S. Sity, który w „Twórczości” z roku 1968 zamieścił opowiadanie o przeżyciach narkomanów (LSD) pod takim właśnie tytułem — *Lucy in the Sky with Diamonds*.¹⁶ Taki awans światowego przeboju w polskiej literaturze powinien — moim zdaniem — być zapisany w omawianej antologii.

Gdy już jestem w krainie lżejszej Muzy: szkoda, że Markiewicz i Romanowski programowo rezygnują z uwzględniania „dowcipów, wycieczek i zagadek” (s. 7). Myślę, że takie kalambury i palindromy, jak np. „Przodkowie na mchu jadali”, „Pogrzeb w Szczecinie”, „Spis dyżurek”, „Kobyła ma mały bok”, „Zakopane na pokaz” albo też tzw. bajki, jak np. bajka o naprawie Rzeczypospolitej („Ona prawie Rzeczypospolitej całej dupy dawała”), bajka o manifeście („Mani fest cycki urosły”) czy bajka o śledziu i puszczy („Śledź pan żonę, bo się puszcza”) są równie ważne dla polszczyzny, jej bogactwa i błyskotliwości, jak skrót „d. u. p. a.” (s. 182). Ba, dodałbym w takim dziale i inne osobliwości językowe (obok rarytasu fonostylistycznego — „Chrzącz brzmi w trzcinnie”, s. 824), jak np. najdłuższy polski wyraz („Konstantynopolitańczykiewiczówna”, odpowiednik łacińskiego „longiera” — „honorificabilitudinitibus”). Kto wie, czy nie należy też pamiętać o „majstersztyku aforyzmu homonimicznego” — frazie „mało mało mało mało” („wołałbym być jabłonią niż złym człowiekiem w nieszczęściu”).¹⁷

Książka Markiewicza i Romanowskiego w maszynopisie była gotowa w roku 1981. Samo wydawanie jej trwało więc równe 10 lat. Oprócz różnych kłopotów edytorów (autorów i oficyny) w zbiorze tym odzwierciedla się także walka z cenzurą (dział *Uzupełnienia* na s. 847–864).

¹⁵ K. Mętrak *Przybliżenia do „Miazgi”*, „Literatura” 1982 nr 1, s. 10; J. Łoziński *Za zimny wiatr na moją wełnę*, Warszawa 1981, s. 127, 30.

¹⁶ J. S. Sito *Lucy in the Sky with Diamonds*, „Twórczość” 1968 nr 9, s. 11–53. Zob. też: R. Coleman *John Lennon*, London 1985, s. 497.

¹⁷ J. Kwiatkowski *Robert Desnos. Poeta wolności, manierysta*, „Twórczość” 1967 nr 1, s. 82.

Mam nadzieję, że w następnym wydaniu *Skrzydlatych słów* będzie można cytować np. słynne wersy *Czarnego poloneza* Wierzyńskiego (z *Moralitetu o czystej grze*: „Czeka / NKWD / Gestapo / UB / I da capo”, z wiersza *Do towarzysza Wiesława*: „Przeklina to wszystko i pana, / Towarzyszu Wniesławie”)¹⁸ albo wersy Osipa Mandelsztama o Stalinie: „Cień górala kremlowskiego straszy”, „Palce, tłuste jak czerwie”, „Słowo mu z ust pudowym ciężarem upada”¹⁹.

Skrzydlate słowa — to florilegium literatury i kultury polskiej oraz światowej. Od zarania zapisanych dziejów do współczesności. Największym osiągnięciem autorów było tu zgromadzenie licznych wiadomości o słynnych powiedzeniach Polaków żyjących w wieku XX. Tego nie podejmował się nikt przed Henrykiem Markiewiczem i Andrzejem Romanowskim. Jest to dzieło przełomowe, gdyż stanowi punkt oparcia dla dalszych poszukiwań i ustaleń (także i leksykograficznych).

Jerzy Paszek

Lege artis

Na wstępie do drugiego (już pierwszoobiegowego) wydania swojego *Leksykonu polskiej literatury emigracyjnej* Jan Zieliński — dziękując za pomocne uwagi innym krytykom — stwierdza, że nie zwalnia go to od odpowiedzialności za braki i usterki, które zapewne zostaną później w tekście dostrzeżone i ujawnione.¹ I rzeczywiście — przedstawiona tu próba systematyzacji tematu nie jest wolna od wielu (czasem budzących zdziwienie) luk i niedokładności. O niektórych w dalszej części recenzji jeszcze wspomnę, ale nie ta sprawa jest tu — moim zdaniem — najważniejsza. Treść haseł można skorygować, bibliografię i literaturę przedmiotu uzupełnić, lecz w dalszym ciągu będzie to tylko naprawianie skutków bez odniesienia się do przyczyny, do źródła, które jest powodem niedoskonałości formalnej, metodologicznej leksykonu. Każdy przecież gatunek encyklopedyczny wymaga (*ex definitione*) zharmonizowania zasad i przepisów tworzenia (*téchne*) z wiedzą i umiejętnością jej wykorzystania (*ars*). Głównym więc i podstawowym moim zarzutem — z którego jednak w sposób ewidentny

¹⁸ K. Wierzyński *Czarny polonez*, Paryż 1968, s. 13 i 36.

¹⁹ O. Mandelsztam *Stalin*, cyt. za: G. Salvatore *Stalin*, przeł. R. Turczyn, „Literatura na Świecie” 1990 nr 5/6, s. 202 (wiersz Mandelsztama w tłum. S. Barańczaka).

¹ J. Zieliński *Leksykon polskiej literatury emigracyjnej*, „FIS”, Lublin 1990.

wynikają pozostałe — jest fakt, że autor nazwał leksykonem coś, co nazwać można zaledwie jego zarysem, szkicem etc. Prawdopodobnie bardziej adekwatny byłby tu tytuł *Krótki słownik...*, *Zarys encyklopedyczny*... itp.

Sądzę, że na opracowaniu Zielińskiego w pewnym stopniu ciążyą grzechy poprzednich tego typu prób usystematyzowania i przekazania szerszemu gronu odbiorców dotychczas niedostępnych, zakazanych czy zaniebanych informacji. „Słowniki” Jakuba Karpińskiego, Marcina Króla czy Dariusza Cecudy sprawiają wrażenie zgarniętych ze stołu luźnych, niedopracowanych notatek, dla których jedynym porządkiem był porządek alfabetyczny. Natomiast forma leksykonu — mimo nie do końca sprecyzowanej definicji w polskiej praktyce encyklopedycznej — wymaga konkretnej dyscypliny formalnej oraz takich zabiegów leksykograficznych, które zrealizowałyby podstawowe funkcje tego gatunku. Nie wydaje mi się, żeby podjęta przez Zielińskiego — czy też przez wcześniej wymienionych autorów — próba stworzenia (na wzór anglosaski) autorskiego, podmiotowego leksykonu tłumaczyła w tym wypadku apostazję od wzorca „obiektywnego”. Uchybienie tradycyjnemu gatunkowi nie wzbogaciło — niestety — modelu autorskiego, a wręcz przeciwnie: ukazało z całą bezwzględnością te jego niedoskonałości, które deprecjonują i sam gatunek, i kompetencje autora. Ten ostatni winien raczej skupić się na ulepszeniu starej metody, a nie dopuszczać do deformacji deklarowanej formuły słownikowej. Może to zabrzmiało źle, ale już z większą pokorą podszedł do obrabianego przez siebie materiału Zygmunt Lichniak, używając przecież w tytule swojego skorowidza zaimka dzierżawczego „mój”. Najlepiej zaś można sprawdzić i ewentualnie potwierdzić wszelkie odstępstwa od encyklopedycznych dogmatów śledząc i analizując nie tylko sam zestaw haseł (w tym wypadku głównie biogramów), ich dobór, adekwatność do przyjętych założeń, czy w końcu przydatność dla odbiorców, ale może przede wszystkim samą strukturę poszczególnego hasła: budowę i zawartość treściową biogramu, bibliografię podmiotową i wybór literatury przedmiotu.

Zacznijmy może od programowej deklaracji zawartej już w tytule, błędnie informującym czytelnika o tym, że będzie miał do czynienia ze zjawiskiem literatury emigracyjnej, czemu wszak odpowiadałaby struktura leksykonu łącząca w sobie elementy słownika biograficznego z terminologicznym. Tymczasem dany jest tylko zestaw 100 nazwisk, uzupełnionych końcowym aneksem mniej lub bardziej rozwiniętych haseł rzeczowych, omawiających niektóre wydawnictwa i periodyki ukazujące się na obczyźnie. Jeżeli więc miała być mowa o literaturze, a nie o samych tylko pisarzach, może nie byłoby złym pomysłem

wprowadzenie do alfabetu słownika innych haseł, dopełniających obraz kultury literackiej na wygnaniu. Myślę tu przede wszystkim o wydawnictwach, czasopismach (w stosunku do aneksu warto rozszerzyć zestaw, a hasła skrócić), bibliotekach, fundacjach literackich i naukowych, instytucjach, drukarniach oraz pracowniach typograficznych (w tym wypadku obok bardziej dokładnej informacji o Bednarczykach należałoby wprowadzić biogram Stanisława Gliwy czy Samuela Tyszkiewicza), o powiększonym zbiorze nazwisk jedynie wybiórczo potraktowanych wydawców (razi brak Józefa Kisielewskiego — także pisarza przecież, Bolesława Świderskiego, Kazimierza Romanowicza, Stanisława Lama, Jerzego Kulczyckiego, Józefa Olechnowicza, E. Lubomirskiego i innych), bibliografów (Janie Kowaliku — również poecie, Janinie Zabielskiej), tłumaczy (zdziwienie budzi brak nazwiska Ignacego Wieniawskiego — także autora wielu opracowań dotyczących kultury starożytnej, Zofii Illińskiej; ponadto w biogramach wielu pisarzy pominięto wzmiankę o ich działalności translatorskiej — np. u Terleckiego, Obertyńskiej, Mioszewskiego, Iwaniuka, Ławrynowicza itd.), teoretyków i krytyków literatury (Wiktorze Weintraubie, Zygmuncie Markiewiczu, Mieczysławie Giergielewiczu, Wiesławie Strzałkowskim, Stanisławie Strońskim, Henryku Paszkiewicz i innych) czy eseistów (o których już nie będę wspominał ze względu na szczupłość miejsca). Idąc za wzorem *Przewodnika encyklopedycznego PWN czy Literatury polskiej po 1939 roku* PEN może warto było pomyśleć o wprowadzeniu haseł dla poszczególnych — co wybitniejszych i reprezentatywnych dla emigracji — tytułów dzieł książkowych. Są to oczywiście tylko niektóre propozycje, rozszerzające, a tym samym usprawiedliwiające i tytuł, i formułę zrealizowanego przez Zielińskiego „leksykonu”. Zwłaszcza, że mamy tu do czynienia z tematycznie ograniczonym przekazem encyklopedycznym — więc postulat pełności, kompletności i adekwatności wydaje się jak najbardziej na miejscu.

Zajmijmy się może jednak samym słownikiem. Istotnym i elementarnym problemem jest tu metoda i sposób selekcji nazwisk twórców. Pytanie o dobór i klasyfikowanie pisarzy musi być w tym kontekście pytaniem o to, w jaki sposób autor rozumie i jak definiuje pojęcie literatury emigracyjnej. Jak postrzega jej zakres, geografie kulturową, funkcjonowanie w świadomości odbiorców, a przede wszystkim elementarne zagadnienie periodyzacji tej literatury. Przeprowadzane dotąd tego rodzaju próby historycznoliterackie (m. in. Marii Danilewicz Zielińskiej, Krzysztofa Dybciaka, Wojciecha Wyskiela czy Bolesława Klimaszewskiego) zgodnie wyodrębniają co najmniej jeden okres w dziejach kultury polskiej *in exilium* — mianowicie tzw. literaturę emigracji walczącej, wojennej itp. Zwykle wspomina się tu o działalności polskich ośrodków

i pisarzy we Francji, na Węgrzech, w Wielkiej Brytanii, w Sowietach, na Bliskim Wschodzie, w Afryce itd. Tymczasem Jan Zieliński jakby świadomie zrezygnował z twórców, którym nie dane było wkroczyć w następny etap funkcjonowania literatury wygnańczej. Myślę tu np. o Stefanie Borsukiewiczu (tragicznie zmarłym w 1942 r.), Bolesławie Micińskim (zmarłym w 1943 r.), Jerzym Paczkowskim (zmarłym w 1945), Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej (zmarłej w 1945). W tym kontekście nie zadowala także wstępne wyjaśnienie przez autora przyczyn, dla których pominał on tak zwanych „odpływowców” — czyli tych pisarzy, którzy choć to zaraz po wojnie, czy w jakiś czas później opuścili szeregi emigrantów wracając do kraju. A przecież jakże ubogo prezentowałyby się obraz literatury wychodźczej i okresu wojny, i tuż powojennego, gdyby zabrakło w nim nazwisk Stanisława Cata-Mackiewicza, Melchiora Wańkowicza, Marii Kuncewiczowej, w trochę innych relacjach — Teodora Parnickiego. Dziwi brak Jana Rostworowskiego (powrócił dopiero w 1972 r.), Józefy Radzymińskiej (powróciła w 1962 r.) czy Tadeusza Zajączkowskiego, a także Jerzego S. Sity (zwłaszcza, że występują jego koledzy z „Kontynentów” oraz np. Bolesław Taborski, gros swojej twórczości publikujący w kraju). Nie byłoby grzechem w perspektywie historycznoliterackiej wprowadzenie do zestawu haseł także Ksawerego Pruszyńskiego, Arkadego Fiedlera, Janusza Meissnera, Zofii Kossak, Artura Międzyrzeckiego czy Władysława Broniewskiego. Nie da się wykreślić z dorobku wychodźstwa działalności pisarskiej i redaktorskiej Antoniego Słonimskiego, a także epizodu politycznego Juliana Tuwima.

Kontynuując ten „słownik” braków należałoby zadać autorowi kilka pytań o tych pominiętych twórców, których nawet najsurowsza selekcja „leksykograficzna” nie powinna była odrzucić. Katalog tego rodzaju uchybień otwierają Irena Bączkowska, Antoni Bogusławski, Ludwik F. Buyno, Józef Bujnowski (także redaktor tomu *Literatura polska na obczyźnie*, Londyn 1988), George Flemming (czyli Jerzy Działak), Jan Fryling, Ryszard Kiersnowski, Waclaw Liebert, Jadwiga Maurer, Paweł Mayewski (także redaktor nowojorskich „Tematów”), Stanisław Sobotkiewicz, Olga Scherer, Jan Winczakiewicz, Franciszek Wysłouch. Dalej wymieniać chyba już nie trzeba, zwłaszcza że nie wchodzi tu w grę niski poziom twórczości, mała jej ilość czy inna nieprzystawalność do kategorii wyznawanych przez Zielińskiego. Wielu bowiem z umieszczonych w jego książce autorów mniejsze ma atuty, aby tam figurować, niż ci wymienieni. Istotne niekonsekwencje dotyczą głównie tzw. przyptyków, czyli emigrantów z lat późniejszych, a szczególnie z ostatniego dziesięciolecia. Jeżeli już można tak pisać o Adamie Zagajewskim, czy „mianować” tak Kazimierza Brandysa, to przeoczeniem wydaje się pominięcie np. Janusza

Głowackiego. Jeżeli wstęp do leksykonu mieli niektórzy (ciekawe, według jakiego wybrani klucza) autorzy prozy dokumentarnej, wspomnień, esejów itp. (Maria Czapska, Jan Kott, Wojciech Karpiński, Waław Alfred Zbyszewski), to tym bardziej widoczny staje się brak np. x. Waleriana Meysztowicza, Kajetana Morawskiego, Tadeusza Wittlina, Tadeusza Chciuka (Marka Celta), Waław Lednickiego, x. Jerzego Mirewicza, Kazimierza Schleyena, Antoniego Pospieszalskiego, Stefana Legeżyńskiego, Stefanii Kuszlewskiej i wielu, wielu innych.

Zostawiając na boku — zasygnalizowaną tylko — listę nieobecnych i zawieszając rozważania o pojęciu, etosie i klasyfikacji literatury emigracyjnej, przyjrzyjmy się teraz temu, co opracowanie Zielińskiego zawiera, jego propozycjom, interpretacjom, próbom opanowania ogromnego przecież materiału. I w tym niestety przypadku błąd tkwi już w samej metodzie, przy pomocy której porządkowano materiał tej książki — tj. w strukturze haseł, w niewielkim stopniu odpowiadającej wymogom leksykonu. Podstawowe wątpliwości budzi treść, proporcje, wreszcie stylistyka poszczególnych biogramów. Gdyby zastosowano się do założeń praktyki encyklopedycznej (tj. w tym wypadku — do zasad zwięzłości i przewagi równoważników zdań nad zbyt bogatą, u Zielińskiego często przechodzącą wręcz w przepoetyzowane inwersje stylistyczne, składnią), można by było, dzięki lepszemu usystematyzowaniu poszczególnych haseł zaoszczędzić sporo miejsca i tym samym poświęcić je np. pominiętym autorom. Zachowaniu optymalnych proporcji nie służą przytaczane w hasłach cytaty (np. u Krakowieckiego, Guzego, Tyrmanda), treść i objętość niektórych biogramów, a w pewnych przypadkach także daleka od przykazań słownikowych subiektywizacja i dowolność interpretacyjna. Jest to szczególnie widoczne w przypadku Józefa Mackiewicza. Według Zielińskiego autor *Lewej wolnej* w swojej twórczości prawdę obiektywną przeciwstawiał prawdzie „koniunkturalnego interpretowania prawdy”. Tymczasem wystarczy przejrzeć parę wstępnych stron *Kontry*, aby uznać, że Zieliński albo nie zrozumiał Mackiewicza, albo też, jak wielu przed nim, celowo go fałszuje. Okazuje się jednak, że jest jeszcze jedno wyjaśnienie. W swoim dawnym tekście, wygłoszonym na sesji „Literatura źle obecna” autor *Leksykonu...* prezentuje własny — nieco przewrotny — sposób odczytania tej twórczości. Można się z nim zgodzić albo nie, można polemizować, atakować, bronić, ale zabronić tego w żaden sposób nie można. Tyle tylko że w eseju, szkicu — formuła leksykonu podobnej dowolności jednak nie toleruje. Biografia, faktografia literacka, bibliografia podmiotowa i przedmiotowa, a nie subiektywne transponowanie własnych poglądów. Czytelnik leksykonu nie musi znać ani sięgać po inne prace krytyka, może natomiast wskutek tego rodzaju działań otrzymać zniekształconą

informację. Wynika stąd kolejny, nie spełniony w tej pracy postulat — całkowite „odpodmiotowienie” słownika, zdystansowanie go od osoby i języka autora tak, aby czytelna była główna informacja, a nie interpretacja, aby leksykon nie wywoływał polemik nie związanych i formalnie, i merytorycznie z jego poetyką.

Jeszcze surowiej — moim zdaniem — należy ocenić uporządkowanie informacji bibliograficznej poszczególnych haseł. Gdzie jak gdzie, ale właśnie w tym miejscu opracowania słownikowego odbiorca winien otrzymać najbardziej dokładną, zaktualizowaną i konkretną informację. Stąd — niezadowolony z pośrednictwa leksykonu — będzie przecież odsyłany do oryginalnych dokonań pisarzy. Nie każdemu twórcy Jan Zieliński stwarza taką szansę. Tego rodzaju selekcja powoduje m. in. to, że w niektórych hasłach podawane są pozycje wydane już w 1990 r., w innych zaś pojawiają się zadziwiające luki. I tak na przykład pod biogramem Beaty Obertyńskiej nie podano wydanego pośmiertnie *Skarbu Eulenburga* (Londyn, t. 1 1987, t. 2 1988!), Włodzimierzowi Odojewskiemu odjęto zbiór opowiadań *Zapomniane, nieuśmierzone...* (Berlin 1987!), w dorobku Czesława Miłosza zapomniano o oryginalnym, niezależnym — wydanie CDN — zbiorze jego tekstów rozproszonych *Poszukiwania* (Warszawa 1985). Oto kilka następnych, na gorąco uchwyconych potknięć: twórczość Danuty Mostwin leksykon zamyka na 1977 r., nic nie wspominając o jej dwóch pierwszych tomach wielkiej epickiej historii rodzinnej — *Cieniu księdza Piotra* (Warszawa 1985!) i *Szmaragdowej zjawie* (Warszawa 1987), pomijając także rozprawę socjologiczną *Trzecia wartość* (Lublin 1985). U Jerzego Pietrkiewicza brak adresu bibliograficznego tłumaczenia powieści *Isolation*, nie uwzględniono jego pozycji przekładowych: *Five Centuries of Polish Poetry* (Londyn 1968, 1970, 1979) i *Polish Prose and Verse* (Londyn 1968, 1970) oraz translacji poezji Karola Wojtyły na język angielski (*Easter Vigil and Other Poems*, Londyn 1979; *Collected Poems*, Londyn 1982). Jest z kolei polskie tłumaczenie powieści *The Quick and the Dead* (*Gdy odpadają łuski ciała*) — samego zaś oryginału w indeksie bibliograficznym zabrakło. Nie jestem przekonany też, czy zbiór szkiców o mariawitach *The Third Adam* można nazwać powieścią. Jest tego sporo jak na jedno hasło. Spójrzmy na inne: zbiór szkiców i esejów Józefa Mackiewicza wydany w 1989 przez oficynę „Gryf” nazywa się *Gdybym był chanem* (a nie chamem — jak u Zielińskiego), a z kolei ostatni — opublikowany w 1989 r. przez „Kontrę” — tom tego pisarza nosi tytuł *Ściągaczki z szuflady Pana Boga* (a nie *Ściągaczka...*). Brak *Siedmiu rozmów o poezji* Floriana Smieji (Toronto 1990). Niefortunne były losy *Ziemi księżycowej* Andrzeja Chciuka — w pierwszym wydaniu leksykonu książka ta została zupełnie pominięta, w drugim zaś wystąpiła

jako drugi podtytuł *Wizyty w Izraelu*. Wśród utworów Kazimierza Wierzyńskiego próżno by szukać *Pobojowiska* (Londyn 1944, Warszawa 1989), a jego *Moja prywatna Ameryka* wyszła jednak w 1966 r. (a nie w 1969).

Przerywając powyższą wyliczankę chciałbym się na koniec przez chwilę zastanowić nad ostatnim składnikiem struktury haseł — nad literaturą przedmiotu. Ona to bowiem — w nie mniejszej mierze jak omówione już elementy — stanowi probierz ogólnego poglądu autora na literaturę emigracyjną. Pozytcje, które twórcza leksykonu proponuje dla uzupełnienia wiedzy o danych autorach, nie powinny być jednak — jak to już się stało w przypadku treści biogramów — wypadkową jego sympatii, powiązań intelektualnych czy praktyki krytycznoliterackiej. Stanowią rezultat encyklopedycznego wysiłku badacza — i dlatego w żadnym elemencie hasła jego struktura nie może być uboższa od innego. Tymczasem przy piętnastu biogramach nie występuje ani jeden adres bibliografii przedmiotowej. Autor nie poleca żadnych prac rozszerzających naszą wiedzę m.in. o Stanisławie Barańczaku, Czesławie Dobku, Janie Leszczy, Wacławie Solskim czy Beacie Obertyńskiej. Żeby nie być gołosłownym, można w przypadku tego ostatniego nazwiska wspomnieć o artykułach Wojciecha Ligęzy, niedawno opublikowanych w „Pamiętniku Literackim” (1990 z. 1), „Kulturze Niezależnej” (nr 59) czy o wstępie tegoż autora do *Grudek kadzidla*. Jest tekst Henryka Siewierskiego ze zbioru *Spotkanie narodów*, jest w końcu bogata literatura przedwojenna (korzysta z niej przecież autor przy innych biogramach), m.in. recenzje Karola Wiktora Zawodzińskiego. O Wacławie Solskim pisał np. Marian Hemar w „Tygodniku Polskim”, Juliusz Sakowski czy Zofia Kozarynowa w „Wiadomościach”. Znajdą się zapewne i nowsze opracowania tych i innych tematów, albowiem obowiązkiem twórcy edycji słownikowych winno też być zadbanie o aktualizację stanu badań nad określonym poetą czy prozaikiem. Tymczasem w omawianej pracy spotykamy się raczej z niereprezentatywnym doбором i nazwisk, i pozycji w literaturze przedmiotu. Wybór i charakter części z zaproponowanych przez Zielińskiego opracowań sprawia wrażenie reklamy bliskiego autorowi kręgu intelektualnego — żeby nie powiedzieć, że jest to „bibliografia przyjaciół”. Z drugiej strony preferowanie doraźnych recenzji (zdziwienie budzi np. umieszczenie nazwiska Janiny Katz przy biogramie Barbary Toporskiej), okolicznościowych esejów itp. kosztem szerszych, istotniejszych czy nowszych dokonań wypacza cel, jakiemu tego typu wydawnictwo powinno służyć. Ewidentnym tego przykładem może być pominięcie w hasle Jerzy Niemojowski pracy zbiorowej *Poezja i nostalgia. Studia i szkice o literaturze polskiej na obczyźnie* (Katowice 1987), której połowa jest poświęcona temu właśnie poecie. O tę samą

pozycję można by wzbogacić literaturę przedmiotu w hasłach poświęconych m. in. Adamowi Czerniawskiemu, Stanisławowi Balińskiemu czy Tadeuszowi Sułkowskiemu. Warto by skierować uwagę czytelnika zainteresowanego pisarstwem Jerzego Stempowskiego na pracę Marty Wyki *Esej jako autobiografia*, a twórczością Wacława Iwaniuka — na szkic Janusza Kryszaka *Wyobraźnia traumatyczna*. Dziwnie ubogo (jedna pozycja — właśnie Jana Zielińskiego) prezentuje się lista opracowań dotyczących Tymona Terleckiego. Wspomnijmy chociaż dwie pozycje, które powinny się tu znaleźć: Juliana Adama Rembowskiego *Tymon Terlecki: sub tegmine fagi, czy wstęp Krzysztofa Dybciaka* do krajowego wydania *Krytyki personalistycznej*. Grzechem niewybaczalnym jest także nieuwzględnienie jednego z najważniejszych opracowań o Odojewskim — *Cień i róża Ukrainy* Marii Janion. Zupełnie nie przystający do tematu książki wydaje się dobór literatury przedmiotu u Józefa Mackiewicza, dominują teksty (i to jednostronne) poświęcone jego „sprawie”. Brak natomiast istotnych, mówiących o twórczości pisarza prac Wita Tarnawskiego, Jana Bielatowicza czy Niny Taylor. Innego rodzaju niekonsekwencją autora w doborze bibliografii przedmiotu jest fakt prezentowania przez niego opracowań przedwojennych w odniesieniu do autorów zakwalifikowanych i rozpatrywanych przede wszystkim pod kątem ich emigracyjności. Tak przedstawiony został np. Ferdynand Goetel (a gdzie teksty o nim Terleckiego czy Grubińskiego?). Dla tego samego Wacława Grubińskiego przytoczony jest adres bibliograficzny z 1913 r. („Tygodnik Ilustrowany”). Nasuwa się tu kilka większych opracowań, które — moim zdaniem — bądź zostały pominięte, bądź w zbyt małym stopniu wykorzystane przez Zielińskiego. Wielu z przedstawionych pisarzy ukazałoby się w zupełnie innym świetle, gdyby polecono czytelnikowi np. większe fragmenty *Literatury polskiej na obczyźnie* (t. 1–2, red. T. Terlecki, Londyn 1964–65), *Literatury polskiej na obczyźnie* (red. J. Bujnowski, Londyn 1988), a także zbioru Wita Tarnawskiego *Od Gombrowicza do Mackiewicza* (Londyn 1980) — hasło Vincenz wydaje się bardzo ubogie bez tej pozycji — oraz książek Jana Bielatowicza, Wojciecha Karpńskiego (*Książki zbójcekie*), Floriana Smieji *Siedem rozmów o poezji* (m. in. z Barańczakiem, Ichnatowiczem, Pietrkiewiczem), nru 61 „Prac Historycznoliterackich” (poświęcony Miłoszowi), nru 172 „Ruchu Literackiego” (Lechoń, Gombrowicz, Herling–Grudziński), nru 367 „Więzi” (dwa teksty o Andrzeju Chciuku), itd., itp.

Wymienione wcześniej zaniedbania w sztuce encyklopedycznej dotyczą także aneksu, mającego za zadanie uzupełnić słownik Zielińskiego. Staje się jednak odwrotnie — prowokuje on do wielu pytań i rozczarowuje brakiem podstawowych informacji. Podając np. adresy firm

wydawniczych na emigracji ignoruje autor parę elementarnych faktów: brak tu dat powstania wydawnictwa, liczby tytułów, nakładów itp. („Aneks”, „Kontra”, „Puls”) — przy jednoczesnych wzmiankach o roku założenia „Instytutu Literackiego”, „Polonii” (Jan Chodakowski jako datę założenia tej ostatniej podaje rok 1959). W tekstach poświęconych tym firmom wspomina się o seriach książkowych, nie wymieniając jednak wszystkich: przy „Bibliotece Kultury” — serię „Bez cenzury”, w „Polonii” — „Najnowszą historię Polski”, „Świat współczesny”. Przy wydawnictwie Giedroycia brak w bibliografii tak istotnych tekstów, jak Konstantego Jeleńskiego „Kultura” — *Polska na wygnaniu, O „Kulturze”*. *Wspomnienia i opinie* (red. G. i K. Pomianowie, Londyn 1987), *Zostało tylko słowo...* (Lublin 1990). Ciekawym odsyłaczem do „Oficyny Poetów i Malarzy” mogła być praca Andrzeja Kłossowskiego *Na obczyźnie. Ludzie polskiej książki* (Wrocław 1984). Ani zestaw wydawnictw, ani czasopism nie wydaje mi się w tym leksykonie do końca reprezentatywny. Pominięto bowiem wiele starszych firm wydawniczych i bardziej zasłużonych dla literatury niż np. „Aneks”. Tak więc po kolei: brak najstarszej (powstałej w 1833 r.) „Księgarni Polskiej w Paryżu”, brak wydawnictwa „Gryf” (1946–1976, około 100 tytułów), „Orbis” (1944, około 300 tytułów), „Książnica Polska” (1940–1948, około 100 tytułów), „Libella” (1946, około 50 tytułów), „Odnowa” (1963, około 50 tytułów), „Veritas” (1947, ponad 300 tytułów), B. Świdorski (1947–1946, około 50 tytułów), M. I. Kolin (1940–1943, około 100 tytułów). Wśród periodyków razi nieuwzględnienie przede wszystkim: „Archipelagu”, „Horyzontów”, „Kontaktu”, „Libertas”, „Kontynentów”, „Merkurjusza Polskiego”, „Nowej Polski”, „Tygodnia Polskiego”, „Tygodnika Polskiego”, „Gazety Niedzielnej”, „Ostatnich Wiadomości”, „Życia”.

Teraz pora na parę słów laudacji. Nie ulega wątpliwości, że autor *Leksykonu...* podjął się pracy, którą zwykle wykonuje spory zespół autorski i — przede wszystkim — redakcyjny. Na ostatecznym bowiem obliczu tej książki zaważyła właśnie niedopracowana formuła redakcyjna. Prawdą jest także, że pominięto wiele istotnych nazwisk, ale z drugiej strony te, które występują w słowniku, w jakiś sposób przełamują zaklęty krąg milczenia wobec tych twórców, którzy nie mieli i niestety dalej nie mają szans (np. w „Zeszytach Literackich” czy „Tygodniku Literackim”) zaistnienia wśród publiczności literackiej.

Marian Romanowski

O Janie Józefie Lipskim — dopowiedzenie

Do wspomnienia Romana Lotha o Janie Józefie Lipskim („Teksty Drugie” 1991 nr 6) chciałabym dodać parę zdań o PPS-ie. W listopadzie 1987 roku z inicjatywy młodych odbyło się zebranie założycielskie PPS-u — „na działkach”, rozproszone przez milicję, kontynuowane u prof. Jana Kielanowskiego. Jan Józef Lipski zgodził się wtedy zostać Przewodniczącym Rady Naczelnej Polskiej Partii Socjalistycznej — i był nim do końca życia. Był ojcem duchowym partii, niekwestionowanym autorytetem i mediatorem we wszelkich sporach. Dzięki temu, że to on stał na jej czele, PPS miała osiągnięcia wcale nieźle jak na partię, której stan liczebny nie przekroczył kilkuset osób. Uznano ją oficjalnie za kontynuatora dawnego PPS-u, co znalazło potwierdzenie w deklaracjach p. Lidii Ciołkoszowej; z Paryża na ręce Jana Lipskiego przekazano historyczny sztandar PPS-u z początku wieku; powstało koło grupujące dawnych działaczy PPS–WRN. Także dzięki Lipskiemu w wyborach parlamentarnych 1989 roku na listach „Solidarności” przyznano PPS-owi trzy miejsca w Sejmie i Senacie.

Jako przewodniczący bywał Jan Józef Lipski roztargniony, zdradzał jawny wstręt do wszelkich papierkowych formalności — i był szefem wspianiałym. Miał zawsze czas na dyskusje, był tolerancyjny, ale i nieustępliwy w sprawach zasadniczych; obdarzał ludzi zaufaniem. Istnienie Janka dawało osobliwy komfort duchowy: gdy trzeba było zwrócić się czasem o pomoc do kogoś z zewnątrz, powołanie się na niego wyzwało spontanicznie życzliwy odzew — dlatego nielegalny dwudniowy kongres PPS-u w marcu 1989 roku był goszczony w kościele księdza Kantorskiego w Podkowie Leśnej, dlatego w ciągu jednego dnia można było znaleźć 40 chętnych, którzy zgodzili się zarwać dwie noce, by jako mężowie zaufania Jana Lipskiego dyżurować w czasie wyborów we wsiach radomszczyzny; gdy okazało się nagle, że Janek rozpoczął kampanię jeżdżąc po radomszczyźnie Pekaesami — bez trudu znaleźli się ochotnicy, którzy wozili go własnymi samochodami (wśród nich najwierniej towarzyszył mu nasz dawny IBL-owski kolega, Jerzy Majewski). Było coś zupełnie niezwykłego w ogromnym szacunku i sympatii, z jakimi ludzie reagowali na słowa: Jan Józef Lipski.

A przecież sprawa PPS-u była bardzo dramatyczna. Uderza niewspółmierność między nadziejami oraz mnóstwem energii i zdrowia, jakie Janek wkładał w rozruch partii — a efektami. Ciągłe konflikty, programowe i personalne, kilkakrotne rozłamy i ponowne jednoczenia — w formowaniu się PPS-u ostro ujawniły się choroby życia politycznego, które po paru latach okazały się powszechne we wszelkich partiach.

Ile dramatyzmu było w kampanii wyborczej do parlamentu, gdy Jana Józefa Lipskiego obrzydliwie szkalowano za poduszczeniem radomskiego biskupa, ile goryczy przyniósł fakt, że właśnie on został wybrany dopiero w drugiej turze. Ta kampania wyborcza, w której przyszło mu walczyć nie tylko z potwornym zmęczeniem, ale i wrogą nielojalnością współkandydatów z radomskiej listy Komitetu Obywatelskiego, wbrew nim zdobywać głosy — wymagała niezłomności ducha innej, lecz chyba nie mniejszej niż ta, jaką okazywał wcześniej w starciach z reżimem i esbecją.

Niektórzy z nas, zniechęceni początkowymi kłótniami i niestabilnością sytuacji, odeszli z PPS-u. Pozostało uczucie nielojalności, zbyt łatwej rezygnacji z uczestnictwa w tworzeniu partii, z którą zrosło się nazwisko Jana Józefa Lipskiego.

Alina Kowalczykova

Polonistyka za granicą

Jesienią ubiegłego roku, kiedy zniknęły dawne, długo utrzymywane ograniczenia w naukowych kontaktach z Zachodem, kiedy rozpadł się obóz „ludowych demokracji” i zaczynał rozpadać się ZSRR, zwiastując odpowiednie, a trudne do przewidzenia zmiany także w kulturze, a więc i w literaturoznawstwie, a jeśli tak, to i na naszym poletku, badaczy polskiej literatury — umyśliliśmy zagadnąć kolegów po fachu, co też sądzą o sytuacji naszej dyscypliny w ogóle oraz jej pożądanym, jak też możliwym do wyobrażenia przemianach. Ich kąty widzenia siłą rzeczy odmienne od perspektywy krajowej, a także wolne od nalogów polonocentryzmu, zapewniały osądy i diagnozy ożywcze dla naszych, znudzonych polonistyczną rutyną, czytelników. O odpowiedzi na pytania naszej ankiety poprosiliśmy najpierw (bo okazało się to łatwiejsze) wybitnych uczonych zajmujących się badaniem i nauczaniem języka oraz literatury polskiej na Zachodzie; ufamy przecież, że nie mniej ciekawy i bogaty zespół opinii przyniosą głosy bliższych i dalszych sąsiadów ze Wschodu.

Dyskusja nie jest zamknięta, stanowiska, klarownie wyrażone, mówią same za siebie — bez komentarza. Profesorowie Stanisław Barańczak oraz Halina Filipowicz zechcą przyjąć podziękowanie za zachętę i pomoc w realizacji przedsięwzięcia, wszyscy zaś biorący udział w dyskusji — z wyrozumiałością odnieść się do skrótów, jakie zmuszeni byliśmy poczynić w ich wypowiedziach, wtłaczając je w rozmiary odpowiadające możliwościom pisma.

A oto pytania naszej ankiety:

1. Wydziały slawistyki zdominowane zostały przez swego rodzaju „rusycystyczny imperializm”. Czy po rozpadzie imperium politycznego są szanse

na przywrócenie pewnej równowagi w tym względzie i obdarzenie większym zainteresowaniem (także typu komparatystycznego) różnych mniejszych literatur Europy Środkowowschodniej? Jak taka „równowaga” winna wyglądać?

2. Literatura polska wydaje się mimo wszystko ciekawsza — i chyba też bardziej atrakcyjna — niżby to wynikało z nader skromnej liczby studentów polonistyki na Zachodzie. Jak wytłumaczyć tę sytuację? Czym literatura polska może zainteresować (ewentualnie: czego może nauczyć) człowieka Zachodu? Jakie są główne trudności w jej prezentowaniu?

3. Jakie zajęcia prowadzi Pan/Pani z literatury polskiej na swoim uniwersytecie? Jeśli nie są to wyłącznie zajęcia dla studentów polonistyki, czym — Pana/Pani zdaniem — kierują się słuchacze przy wyborze tego przedmiotu? Jaką tematykę badawczą najchętniej podejmują?

4. Polonistyka w kraju jest powiązana ściśle, także instytucjonalnie, z teorią literatury — podczas gdy za granicą są to dziedziny, jak można sądzić, nie tylko instytucjonalnie odseparowane, lecz i jak gdyby stroniące od siebie. Czy nie byłaby pożądana jakaś zmiana w tym zakresie?

5. Jaka powinna być rola polonistyki zagranicznej w kontekście obu kultur — krajowej i obcej — w których występuje? Czy należy coś zmienić w istniejącym modelu stosunków między środowiskami polonistyczno-slawistycznymi w kraju i za granicą? Dążyć do integracji? Osobno „robić swaje”?

(r. n.)

Profesor Stanisław Barańczak, Harvard University

Choć wykłady i seminaria z literatury polskiej na uniwersytecie amerykańskim prowadzę już ponad dziesięć lat, nie przestaje mnie zdumiewać, jak bardzo nasze, polskie, wyobrażenia na temat wzajemnej relacji literatury rosyjskiej i literatury polskiej różnią się z amerykańskimi wyobrażeniami na ten sam temat. A mówiąc „amerykańskie wyobrażenia”, mam właściwie na myśli nie tyle opinie przeciętnego Amerykanina (ten bowiem o samym istnieniu czegoś takiego jak polska literatura, a już zwłaszcza o tym, że jest ona całkiem ciekawa, może w ogóle nie mieć pojęcia), ile przekonania zakotwiczone w mózgu kogoś, kto z racji swego zawodowego przygotowania powinien być zorientowany stosunkowo najlepiej: typowego amerykańskiego slawisty. Przekonania te zaś poznać można najlepiej nie wtedy, kiedy zapytujemy wprost o zdanie kolegi z wydziału, ale wtedy, gdy spoglądamy na fakty — fakty, które w przeciwieństwie do uprzedniego uniwersyteckiego kolegi przemówią do nas brutalnie, niedwuznacznie i bez wykrętów.

Takim faktem jest przede wszystkim to, że „rusycystyczny imperializm”, widoczny od lat na najlepszych nawet wydziałach języków i literatur słowiańskich amerykańskich szkół wyższych, jest już w tej chwili zjawiskiem nie tylko powszechnym i traktowanym jako naturalne, ale stale się umacniającym na zdobytych już terytoriach i podbijającym obszary coraz to nowe. I fakt drugi, jeszcze okrutniej otrzeźwiający: ta ekspansywna dynamika rusycystycznego imperium (w pewnym sensie istotnie stanowiąca naturalny skutek jego istnienia: imperium, którego ekspansja ustaje, nie spełnia definicji imperium, zdradza własną słabość, ośmiela swoich rywali i rychło się rozpada) od dłuższego już czasu znajduje uzewnętrzzenie i zarazem oparcie w pewnych formach instytucjonalnych. Mam na myśli sprawy tak oczywiste i gołym okiem widoczne, jak choćby typowa struktura programu przed- i podyplomowych studiów slawistycznych albo — będące bezpośrednim tej struktury odbiciem — typowe proporcje poszczególnych słowiańskich specjalizacji w obrębie ciała profesorskiego typowego amerykańskiego wydziału slawistycznego. Nie potrafię powiedzieć, czy jest w tej chwili w USA choć jeden uniwersytet (o college'ach, oferujących z zasady wyłącznie rusycystykę, nawet nie wspominam)¹, którego wydział slawistyczny mógłby się poszczycić posiadaniem kompletu specjalistów nierusycystów, zdolnych do fachowego i odpowiedzialnego wykształcenia studenta jeśli nie w zakresie wszystkich nierosyjskich języków i literatur słowiańskich, to przynajmniej pięciu—sześciu najistotniejszych spośród nich. Może się mylę, ale z taką optymalną sytuacją nie można się spotkać chyba nigdzie. Regułą jest, jak się wydaje, że takich specjalistów (mówię w tej chwili o *senior faculty*, złożonym z tzw. pełnych profesorów zatrudnionych na uczelni na stałe) jest na wydziale w najlepszym wypadku trzech—czterech: jeśli już jest polonista, ukrainista i, powiedzmy, bułgarysta, to nie ma bohemisty i jugoslawisty itd., itd.

Przyczyną jest oczywiście przede wszystkim brak funduszy na utrzymanie zbyt wielu wąskich specjalizacji, którym w poszczególnych latach akademickich może się przydarzyć, że nie zainteresuje się nimi ani jeden student. Jednocześnie wszakże niezmiernie rzadko trafia się sytuacja, w której funduszy zabrakłoby na któryś z etatów rusycystycznych — choć rusycystów (zazwyczaj wąsko wyspecjalizowanych i prowadzących zajęcia skoncentrowane na jednej epoce, gatunku literackim czy

¹ W amerykańskim systemie szkolnictwa wyższego college oferuje program czterech lat studiów zakończonych uzyskaniem tytułu (w dziedzinach humanistycznych) *Bachelor of Arts*, uniwersytet natomiast — analogiczny typ studiów (*undergraduate program*) oraz dodatkowo studia podyplomowe (*graduate program*) wiodące do uzyskania tytułu *Master of Arts* i ewentualnie doktoratu.

nawet autorze) jest zwykle na wydziale więcej niż wszystkich nierusycystów razem wziętych.

Prawda, że przedmioty rusycystyczne przyciągają nieporównanie więcej studentów niż nawet najpopularniejsze wykłady czy seminaria z dziedziny literatury środkowoeuropejskich. Ale tu właśnie nasz palec wskazujący trafia wreszcie na problem, który należało wskazać na samym początku. Mamy mianowicie do czynienia z klasycznym przypadkiem sprzężenia zwrotnego, które można by też określić jako *perpetuum mobile*, a chyba najtrafniej jako *circulus vitiosus*. Tylko w pewnej mierze bowiem popularność specjalizacji rusycystycznej wśród studentów jest przyczyną przewagi liczebnej profesorów–rusycystów. W takiej samej, jeśli nie większej mierze, jest również skutkiem faktu, że proporcja rusycystów w obrębie amerykańskiej slawistyki jest tak wysoka. Inaczej mówiąc: błędne koło polega na tym, że aby zaspokoić edukacyjne potrzeby dużej liczby decydujących się na kierunek rusycystyczny studentów, tworzy się odpowiednio dużą liczbę etatów dla profesorów–rusycystów; ponieważ zaś na danym wydziale liczba etatów nie może rosnąć w nieskończoność, dodanie do ciała profesorskiego kolejnego rusycysty jest zwykle równoznaczne z ubyciem z tegoż ciała jakiegoś polonisty czy bohemisty, ponieważ z kolei ten fakt powoduje, że atrakcyjnych przez swoją liczebność i różnorodność wykładów i zajęć z filologii rosyjskiej wydział oferuje studentom coraz więcej, natomiast analogicznie atrakcyjnych wykładów i zajęć z „pomniejszych” (*minor* — sprawiedliwiej byłoby tłumaczyć to słowo jako „pomniejszych”) filologii nierosyjskich coraz mniej — w nieunikniony sposób rośnie liczba studentów wybierających specjalizację rusycystyczną; ponieważ zaś liczba studentów wybierających rusycystykę rośnie — w tym momencie zatoczyliśmy już pełne koło i wracamy do punktu wyjścia — pojawia się konieczność zatrudnienia nowych profesorów–rusycystów. I tak dalej, i tak dalej.

Sformułujmy tę prawidłowość jeszcze inaczej, tym razem — patrząc na sprawę z punktu widzenia typowej kariery młodego amerykańskiego slawisty. Gdyby na podstawie większej liczby jednostkowych przypadków stworzyć statystyczny ekstrakt takiej kariery, wyglądałby on prawdopodobnie następująco: uczniowi w ostatniej klasie szkoły średniej wpada przypadkiem w ręce *Wojna i pokój* albo *Zbrodnia i kara* w przekładzie angielskim. Miłość od pierwszego wejrzenia, tajemnicza literatura wielkiego narodu gnieźdzącego się w śniegach zalegających drugą półkulę rodzi w młodym człowieku taką zachłanną fascynację, że po dostaniu się do dobrego college'u i przebrnięciu przez pierwszy rok studiów decyduje się — ku rozpaczyci rodziców, którzy za swoje 80 000 \$ chcieliby chlubić się dzieckiem–lekarzem, prawnikiem lub w ostatecz-

ności fizykiem jądrowym — na kierunek rusycystyczny. Po trzech latach wgrzyzania się w cyrylicę i uzyskaniu dyplomu młody człowiek postanawia (nowy atak rozpaczy rodziców, którzy ostatecznie pogodziliby się z losem, gdyby ich dziecko przyjęło w tym momencie pracę przynajmniej w jakiejś solidnej instytucji rządowej): zostanie sam profesorem rusycystyki. Składa podanie na studia podyplomowe na którymś z wielkich uniwersytetów, zostaje przyjęty, przez jakiś czas wgrzyza się dalej w cyrylicę. Prędzej czy później jednak musi się oderwać na chwilę od ukochanego Turgieniewa czy Bunina, aby poświęcić trochę uwagi uciążliwej konieczności zaliczenia któregoś z „pomniejszych” języków i literatur słowiańskich.

I tu zdarza się — nie zawsze, ale jednak zastanawiająco często — coś nieoczekiwanego. Nasz młody człowiek, zabierając się markotnie do lektury jakiegoś umieszczonego w spisie reprezentanta „pomniejszej” literatury — powiedzmy, że autorem tym jest nikomu nie znany prozaik o trudnym do zapamiętania nazwisku Witold Gombrowicz — odkrywa po paru stronicach kolejny nowy świat. Bywa, że wstrząs spowodowany tym odkryciem wytrąca studenta z kolein jego tak planowo dotąd realizowanej kariery i popycha w jeszcze inną stronę: Gonczarow nagle wydaje się mniej ciekawy od Gombrowicza, Sołogub traci w zestawieniu z Schulzem, uroki Niekrasowa mimo wszystko bledną przy Norwidzie; *minor* przeobraża się w *major* i odwrotnie, przynajmniej w wewnętrznym odczuciu nieszczęsnego młodego człowieka. Bo jednak nasz *graduate student*, choć dotąd tak lekkomyślnie kierował się odruchami serca, jest już w tym momencie odrobinę dojrzały i rozsądniej myśli o przyszłości. Rzucając co pewien czas okiem na listę wakujących posad akademickich publikowaną w profesjonalnych biuletynach, widzi z rosnącym przygnębieniem, że wszystkim uczelniom od Kalifornii do Connecticut potrzeba rusycystów; nigdzie nie poszukuje się polonisty. Więc cóż: zmienić *major*, napisać pracę doktorską nie o Hercenie, ale o Herbercie, i za tę przyjemność zapłacić bezrobociem?

Zmierzam do tego, że imperium radzieckie wreszcie się rozpadło, ale długo jeszcze potrwa, zanim rozpadnie się imperium rusycystyczne. Łatwo zrozumieć powody, dla których właśnie w Ameryce mocarstwowa rola, do jakiej pretendował przez długie dziesięciolecia były Związek Radziecki, spowodowała nieproporcjonalny wzrost nakładów na prace badawcze i działalność dydaktyczną związaną z Rosją, jej historią, teraźniejszością, językiem i kulturą. Szanujący się mistrz szachowy przygląda się posunięciom wykonywanym przez przeciwnika (podobno też mistrza, choć dyplomu nikt nie widział), a nie traci czasu na zerkanie pod stół, gdzie jakieś przyprowadzone przez mistrza dzieci rozgrywają swoje prywatne partie warcabów. Ostatnio jednak przeciwnik, grając

coraz bardziej nieudolnie i tetryczając w oczach, poddał ostatecznie partię, a dzieci tymczasem podrosły i się usamodzielnily. Czy znaczy to, że szachista zacznie je wreszcie traktować poważniej i zaprosi do gry? Nie jestem tego taki pewien. Szachista po tak długiej partii ma, być może, po prostu dość szachów na jakiś czas i pragnie zająć się własnymi sprawami. No i jest jeszcze stolik z szachownicą, czyli cała instytucjonalna baza dotychczasowej amerykańskiej gry w poznanie Rosji. Szachownica jest mianowicie tak masywna, że bardzo trudno ją usunąć i zastąpić jakąś polską, czy czeską, czy ukraińską planszą do warcabów: co w ramach mojej homeryckiej metafory oznacza, że hegemonia zinstytucjonalizowana w postaci określonej struktury akademicko-badawczej jest znacznie trwalsza niż hegemonia politycznego mocarstwa. Ostatecznie, chodzi tu o sprawy znacznie poważniejsze niż ideologia i czołgi: o zajmowane posady i pobierane wynagrodzenia.

Dla polonistyki w Stanach Zjednoczonych istnieją dwa wyjścia czy też dwie możliwości stopniowej zmiany tej sytuacji. Nie są to możliwości alternatywne, ale raczej, przeciwnie, dwie formy działania ściśle ze sobą powiązane: gdy zabraknie jednej z nich, druga zawisa w próżni i poniekąd traci sens. Możliwość (a właściwie konieczność) pierwsza to fundowanie stałych *chairs* (jednoosobowych katedr) języka i literatury polskiej (a równolegle także historii Polski itp.) na najważniejszych, najbardziej liczących się w życiu intelektualnym Ameryki uniwersytetach. *A funded chair* (albo *an endowed chair*) to jedyna forma instytucjonalnego zabezpieczenia trwałości istnienia polonistyki na danej uczelni: ponieważ darowizna złożona na rzecz uniwersytetu przeznaczona jest na ściśle określony cel (uniwersytet decyduje o obsadzie „fundowanej katedry”, nie wolno mu jednak donacji przeznaczonej na utworzenie katedry np. polonistycznej obrócić na utworzenie katedry np. rusycystycznej), jest to skuteczny sposób korygowania samonapędzającej się dynamiki rozrostu pewnych dyscyplin przez podtrzymywanie istnienia tych dyscyplin, których wewnątrzuniwersytecka pozycja jest słabsza i które, gdyby nie wsparcie z zewnątrz, pierwsze padłyby ofiarą cięć budżetowych. Do tego celu potrzebna jest drobnostka, a mianowicie pieniądze. Ile? W gruncie rzeczy nie tak dużo: kapitał wystarczający na stworzenie i permanentne utrzymywanie (z odsetek) jednej katedry polonistycznej to obecnie jakieś półtora miliona dolarów. Jeśli uprzytomnić sobie, ile milionów Polaków lub osób polskiego pochodzenia mieszka w samych Stanach Zjednoczonych, można poczuć zażenowanie na myśl o tym, że w USA istnieje jedna (dokładnie jedna) „fundowana katedra” polonistyczna, utworzona 30 lat temu dzięki darowiźnie pochodzącej nawet nie od społeczności polonijnej, ale od jednostki (Alfreda Jurzykowskiego). W obecnym momencie historycznym stało się również politycznie (jeśli

nie budżetowo) możliwe, aby ewentualna akcja Polonii spotkała się ze współdziałaniem rządu Rzeczypospolitej, czy nawet aby rząd sam fundował *endowed chairs* historii Polski czy filologii polskiej. Osobom pukającym się w tej chwili w czoło („Skąd wziąć tyle pieniędzy?”) odpowiem prosto: każdy taki wydatek stanowi w sposób wręcz gwarantowany inwestycję, z której zyski dla Polski — przede wszystkim te finansowo niewymierne, ale po pewnym czasie i płynące z nich pośrednio efekty materialne — wielokrotnie przewyższą poniesione koszty.

Aby tak się jednak stało, trzeba korzystać na możliwie szeroka skalę z możliwości (i konieczności) drugiej, która żąda od nas nie tyle wkładów finansowych (choć bez pewnych wydatków i tu niestety się nie obejdzie), ile wkładu pracy, energii, inicjatywy i uporu. Mam na myśli możliwość podnoszenia prestiżu literatury i kultury polskiej w amerykańskim życiu umysłowym — czynienia z nich po prostu a t r a k c j i, zdolnych do przyciągnięcia i zainteresowania liczniejszej społeczności odbiorców, a wśród nich również przyszłych studentów, którzy z kolei powiększą armię badaczy i popularyzatorów tych dziedzin. Aby rzecz stała się atrakcyjna, musi być przede wszystkim dostępna. Jasne więc, że, gdy o literaturę chodzi, rola absolutnie pierwszorzędna przypada tu przekładom. Tak się składa, że w USA akurat ostatnie dziesięciolecie było pod względem pojawiania się nowych przekładów literatury polskiej — i wyrastania nowych, godnych nieraz najwyższego uznania, tłumaczy — okresem ogromnie podnoszącym na duchu. Nastąpił tu skok ilościowy i jakościowy, który zwiastuje coś wyraźnie nowego. Jeśli powiem, że dopiero od kilku lat dostępny jest po angielsku *Dziennik Gombrowicza*, *Mój wiek* Wata, *Pamiętnik z powstania warszawskiego* Białoszewskiego, prawdziwie reprezentatywny zbiór wierszy Miłosza itd., itd., łatwo będzie sobie przedstawić, jak kiepskie były jeszcze w latach siedemdziesiątych widoki na to, aby kogokolwiek w Ameryce zainteresować poważnie literaturą polską. Ofiarni tłumacze i odważni wydawcy zrobili w tej dziedzinie już bardzo wiele, ale wciąż jeszcze to nie dosyć — bo też tego rodzaju tłumaczy i tego rodzaju wydawców jest stale za mało, aby zapełnić wciąż istniejące i w wielu wypadkach doprawdy kompromitujące luki.

I znów trzeba tu dostrzec pierwszorzędne znaczenie uniwersyteckiej polonistyki. Będzie ona tym atrakcyjniejsza, im więcej będzie dobrych przekładów wybitnych dzieł polskiej literatury; ale zarazem liczebność tych przekładów zależy całkiem bezpośrednio od działalności każdego uniwersyteckiego polonisty. (Nie od samej tej działalności oczywiście: jak wspomniałem, i w tej dziedzinie potrzebne są pewne nakłady finansowe, stosunkowo zresztą niewielkie. Ponieważ dla amerykańskiego wydawcy opublikowanie książki polskiego autora jest z reguły

poważnym ryzykiem finansowym, stara się on to ryzyko zminimalizować ograniczając koszty własne, to znaczy m.in. płacąc żałośnie małe honorarium tłumaczowi. Gdyby choć kilkoro najlepszych tłumaczy literatury polskiej w USA mogło od czasu do czasu otrzymywać doraźne stypendia, pozwalające na skupienie się przez kilka miesięcy w roku na pracy nad przekładem określonego dzieła, ta nieduża inwestycja opłaciłaby się polskiej kulturze stokrotnie. Nie tylko w tym sensie, że polonista sam może parać się tłumaczeniem (co wymaga, obok talentu i profesjonalnych kwalifikacji, również znacznych poświęceń: przekłady praktycznie nie liczą się jako publikacje w *dossier* naukowca, praca nad nimi nie pomaga więc, a poniekąd nawet przeszkadza w robieniu uniwersyteckiej kariery), ale przede wszystkim w tym, że do niego należy wychowywanie nowych tłumaczy (w istocie, niemal wszyscy liczący się tłumacze literatury polskiej działający obecnie w Stanach Zjednoczonych są wychowankami Czesława Miłosza, Wiktora Weintera i innych polonistów). Przez „wychowywanie” rozumiem tu nie tylko uczenie, wpajanie podstawowych wiadomości i umiejętności, ale również zjednywanie co zdolniejszych studentów do samego pomysłu wykonywania praco- i czasochłonnej oraz nieopłacalnej w sensie materialno-finansowym funkcji tłumacza. Wyrzuty sumienia, które nas przy tym mogą nękać — że niby utrudniamy młodemu człowiekowi normalną karierę, zmuszając go do poświęcania weekendów na ślęczenie nad tłumaczeniami wierszy Szymborskiej zamiast nad dysertacją o życiu i twórczości Zinaidy Gippius — może złagodzić nie tylko poczucie tzw. wyższej racji, które za nami stoi, ale i trzeźwa świadomość, że kto zajmuje się w USA literaturą polską, ten i tak jest najwyraźniej człowiekiem sympatycznym, ale z lekka szalonym. Rzecz tylko w tym, aby w tym naszym wspólnym szaleństwie była metoda.

Profesor Daniel Beauvois, kierownik Centre d'Études de la Culture Polonaise, Université Charles de Gaulle, Lille III

Kwestionariusz w sprawie studiów polonistycznych za granicą wywołał u nas wielkie zainteresowanie. Pozwalam sobie streścić i zsyntetyzować odpowiedzi moich siedmiu kolegów, odpowiadając na kolejne pytania.

1. Polonistyka w Lille nie jest wcale uważana za przybudówkę rusycystyki. Posiada mniej więcej tę samą liczbę studentów (150) i ma nawet więcej wykładowców (8) niż rusycyści. Prowadzi ona badania naukowe w ramach tzw. Ośrodka Badań nad Kulturą Polską, oficjalnie uznanego

przez francuskie Ministerstwo Edukacji Narodowej jako jedyny tego typu we Francji (archiwum, biblioteka 20 tys. woluminów, odczyty, sesje naukowe, publikacje) — czym rusycystyka w Lille nie dysponuje. Owszem, nie zawsze tak było. Taka, stosunkowo dobra, sytuacja jest wynikiem długiej i upartej pracy kolejnych szefów katedry. Walka o umocnienie polonistyki w Lille trwała od utworzenia lektoratu w roku 1923 przez Antoniego Martela, poprzez niezmodernizowane ulepszenie tej placówki przed i po wojnie przez M. Hermana, W. Godlewskiego, E. Marka, aż do uzyskania przez mnie profesury w roku 1978. Jeszcze wtedy docent prowadzący rusycystykę próbował mi narzucić obwarowane tradycją pierwszeństwo swego przedmiotu w naszym wydziale języków obcych, oświadczył przez telefon, że wszelka próba z mojej strony, by się uniezależnić, będzie „walką garnka glinianego przeciwko żelaznemu”, na co odłożyłem słuchawkę i przerwałem rozmowę. Następnego dnia przeproszał mnie i od 12 lat nie ma żadnych sporów między nami.

Taka samodzielność stała się możliwa tylko dlatego, że wywalczyliśmy sobie prawo do nadawania wszystkich stopni naukowych. Polski jest więc uznawany na równych prawach z angielskim czy hiszpańskim. Licencjat, magisterium czy doktorat polonistyczny otwierają te same możliwości awansu, co inne przedmioty. Są to po prostu części składowe studiów humanistycznych, czego nie można powiedzieć o lektoratach istniejących na innych uniwersytetach francuskich, gdzie nie nadaje się żadnych stopni, bo lekcje w nich rzadko przekraczają poziom początkowy. Natomiast Paryż i Nancy mają te same prawa co Lille.

Nie widzę potrzeby powoływania się na polityczną sytuację w ZSRR. Nawet po ewentualnym rozpadzie imperium Rosja będzie dalej potęgą. Niech poloniści robią swoje z godnością i bez kompleksów. Dodam, że znajomość kultury rosyjskiej jest bardzo ważnym elementem dla zrozumienia kultury polskiej, na równi z innymi sąsiednimi kulturami: germańską czy słowiańskimi. Zawsze radzę studentom, żeby się nie ograniczali tylko do studiów nad kulturą polską, jeżeli chcą być prawdziwymi Europejczykami...

2. Szukanie studentów na podstawie przesłanek samej atrakcyjności tej czy innej literatury jest stanowiskiem raczej dyskusyjnym. Stawianie literatury na pierwszym miejscu wśród walorów ogólnokulturalnych tchnie chyba megalomanią lub imperializmem literaturoznawczym. Wybór polonistyki jako kierunku studiów na Zachodzie w bardzo słabej mierze zależy od walorów czy treści literatury. U nas pobudki do takiej decyzji są (prócz wyjątków) dwojakiej natury: najstarsi uczniowie, nie mający szans w żadnym instytucie, ale będący pochodzenia polskiego, próbują szczęścia na polonistyce (gdyż nie ma egzaminu wstępnego),

skąd odpadają bardzo szybko. Ostatnie lata są znacznie luźniejsze od pierwszych. Drugą grupę stanowią absolwenci liceów francuskich, gdzie język polski jest oficjalnie wykładany (jest ich niestety tylko sześć w całej Francji) oraz zdolne młode mężatki lub panny już po studiach (lub części studiów) w Polsce, dla których odbycie studiów na nowo jest sposobem na integrację w społeczeństwie francuskim.

Drobniutki odsetek rodowitych Francuzów, wybierających polonistykę z prawdziwego upodobania (w takiej sytuacji byłem i ja 25 lat temu, po studiach rusycystycznych), ulega ogólnemu czarowi kultury polskiej: może literatury, ale i sztuk pięknych, filmu, muzyki, urokowi ludzi, pejzaży, historycznych związków, no i czystemu przypadkowi (poznacie małżonka, przyjaciół, wpływ jakiegoś profesora). Dopiero po studiach (po 3–4 latach) studenci urodzeni we Francji są w stanie przeczytać polską książkę od początku do końca. Uniwersytet przygotowuje do odpowiedniego podejścia do literatury, ale przede wszystkim dba o poprawność językową, o wykształcenie językoznawcze, filologiczne. Dbą również o zdobycie dobrej wiedzy historycznej o Polsce, na co osobiście kładę szczególny nacisk, nie sądzę bowiem, by literatura była koniecznym najlepszym odzwierciedleniem kultury. Najważniejszym celem polonistyki jest przygotowanie dobrych nauczycieli do szkół średnich, dobrych tłumaczy, dobrych działaczy społecznych. Rola fikcji literackiej zatem nie wydaje mi się ważniejsza niż poznanie realiów i procesów historyczno-społecznych. Poznanie piękna poezji jest niezbędne, ale znajomość negatywnych zjawisk politycznych także.

Literatura polska, tak jak i inne zresztą, daje „człowiekowi Zachodu”, owszem, wiele przeżyć estetycznych, przemyśleń filozoficznych, daje obraz bardzo odrębnej (czasami zbyt odrębnej i zbyt spolityzowanej) rzeczywistości, budzi podziw lub odrazę, ale o ile jest dostępna w tłumaczeniach. Dotyczy to więc zupełnie innego problemu, mianowicie rynku wydawniczego (prywatnego oczywiście, bo nie ma innego), ilości tłumaczeń i ogólnego poziomu czytelnictwa we Francji. Faktem jest, że od dwudziestu lat część najlepszych absolwentów polonistyk francuskich przyczyniła się do znacznego rozszerzenia znajomości dzieł polskich w tłumaczeniach francuskich. Nigdy chyba Francja nie miała tylu dobrych tłumaczy.

3. Nasz ośmioosobowy zespół wykładowczy prowadzi zajęcia z wymienionych dziedzin, ma również wykłady z literatury polskiej po francusku dla specjalistów literatury francuskiej czy porównawczej, jak i z historii Polski dla historyków. Motywacja negatywna studentów to nadzieja (staramy się, by była iluzoryczna) na łatwy egzamin. Motywacja pozytywna to chęć poznania współczesnego życia w tak modnej ostatnimi czasy Europie Środkowowschodniej. Jeżeli chodzi o literaturę, powo-

dzeniem cieszą się wykłady monograficzne oparte na wnikliwej analizie współczesnych tekstów już tłumaczonych. Koncentracja na tekście jest lepiej widziana niż roztrząsania teoretyczne, przy czym nie unika się, rzecz jasna, refleksji stylistycznej. Studentom francuskim, o specjalności innej niż polski, nie są obce prace Tynianowa, Jakobsona, Derridy, Deleuze'a, Foucaulta, Ingardena, toteż z nimi rozmawia się bardzo przyjemnie, chociaż nie można liczyć na to, że ich zainteresowania staną się kiedykolwiek wyłącznie polskimi. Tym niemniej, dzięki nim jest nadzieja na to, by literatura polska zdobyła większe uznanie.

4. Z wyżej przedstawionych poglądów wynika, że nie ma u nas odseparowania literatury od teorii. Nie ulega wątpliwości, że wymagany poziom teoretyzowania nie osiąga stopnia, jaki się marzy IBL-owskim specjalistom (ale czy jest on osiągalny w kraju?). Nasz student z najwyższym trudem opanowuje materiał leksykalny, historycznoliteracki i językoznawczy, wydaje się zatem, że podstawowy zasób wiedzy teoretycznoliterackiej na poziomie *Zarysu teorii literatury* Głowińskiego, Okopień-Sławińskiej i Sławińskiego jest absolutnie górnym pułapem tego, co da się zrobić. Wymagania są natomiast znacznie wyższe po magisterium, dla kandydatów do ogólnofrancuskiego konkursu *agrégation*. Wydaje mi się, że wszechstronne przygotowanie naszych nauczycieli *agregés* z polskiego jest nieporównywalnie wyższe od poziomu przeciętnego polonisty krajowego. Zresztą nasze umowy międzyuczelniane z Krakowem i Wrocławiem zapewniają naszemu uniwersytetowi długoterminową współpracę z bardzo dobrze przygotowanymi pracownikami, jakimi są w kadencji obecnej, doktorzy habilitowani S. Bereś (Wrocław) i S. Ożóg (Kraków) oraz doktorzy J. Barczyński i M. Tomaszewski (Wrocław).

5. Działalność naszego ośrodka świadczy o tym, że nie „robimy osobno swojego”, że mamy rozległe kontakty z krajem. Samo stawianie takiego pytania trochę trąci chęcią narzucenia patronatu zacofanej polonistyce zagranicznej. Nie całkiem rozumiejąc, zwróciłem się do kolegów Polaków pracujących u nas, by wytłumaczyli mi, o co chodzi. Oto jakiej odpowiedzi mi udzielili:

Poloniści w kraju nie są w stanie zrozumieć zasadniczej odmienności sytuacji, roli i pozycji polonistyki na Zachodzie. Zamiast ją porównywać z pozycją, poziomem i możliwościami np. romanistyki lub anglistyki w kraju, porównują ją stale z polonistyką krajową. Ich wyobrażenie studenta francuskiego, amerykańskiego, angielskiego i włoskiego jest przeniesieniem modelu studenta polskiego w warunki zachodnie. Jakikolwiek tłumaczenia zdają się kompletnie jałowe, gdyż uważają oni, że całą krajową aparaturę polonistyczną (czytaj: naukową, dydaktyczną) można przeszczepić, przerzucić desantem wraz z uczonymi na Zachód. Skądinąd taki też sens ukryta ma ta ankieta — jest nim próba wysondowania, jakie techniki krajowe nauczania, jakie specjalności, jakich pracowników (czytaj: teoretyków literatury z IBL-u) da się wyeksportować. Cel to oczywiście zbożny, ale ilekroć się

tłumaczy w kraju, że tak naprawdę cały wysiłek pracy polonistycznej za granicą musi być skierowany na żmudne, oddolne (!) prace nad podstawami języka, zawsze napotyka się niedowierzanie. Wciąż nad tą całą kwestią unosi się mit zachodniego „kontraktu” naukowego, wyobrażenia porównywalnego poziomu nauczania i poziomu studentów, brak gotowości do zniesienia się do „pracy u podstaw”, do mało efektywnej „orki” na glebie wcześniej nie uprawianej, ze studentami nie mającymi za sobą dwudziestu lat nauki języka i najwykleszego wrośnięcia w cywilizację polską.

Może jest trochę przesady w tej opinii, gdyż jej autorzy sami dają świadectwo temu, że naukowiec polski potrafi się dostosować do naszych warunków. Prawdę mówiąc, moje własne badania też nie są znane moim studentom. Jest przepaść między tym, co piszę, a tym, czego uczę. Niestety. Sami ci koledzy są jednak uosobieniem tej absolutnie niezbędnej współpracy z krajem. O integracji nie może jednak być mowy, gdyż dążenia francuskiego systemu są odmienne od polskich, ale wszyscy uważamy — używając wielkich słów — że nasza lillska polonistyka jest rzeczywiście placówką polskości, ambasadorem polskiej kultury. Sam fakt jej istnienia od siedemdziesięciu lat jest chyba bardzo znaczący dla obecności Polski w naszym kraju.

Niech więc polonistyka krajowa wspiera nasze skromne wysiłki, sygnalizując nam największe osiągnięcia literackie i naukowe, wysyłając książki itp. My zaś możemy z naszej strony służyć informacjami co do upodobań czytelników francuskich, tak aby polonistyka krajowa częściej wychodziła ze swego zamkniętego kręgu i bardziej wpisywała się w nurty kultury europejskiej.

Profesor Bogdana Carpenter, kierownik katedry sławistyki, University of Michigan, Ann Arbor

1. Twierdzenie, że „wydziały sławistyki zostały zdominowane przez... rusycystyczny imperializm”, nie całkiem pokrywa się z prawdą, ponieważ wydziały te zawsze były zdominowane przez rusycystykę. Sytuacja obecna nie jest więc wyłącznie wynikiem sytuacji politycznej, choć taka współzależność niewątpliwie istnieje. Zaryzykowałabym natomiast twierdzenie, że dotychczasowa sytuacja polityczna była na korzyść sławistyki i że rozpad komunistycznego „imperium politycznego” tej sytuacji nie polepszy, a wręcz odwrotnie, może pogorszyć. Języki słowiańskie są dla studentów amerykańskich bardzo trudne. Jeśli odpadnie motywacja polityczna (a fascynacja komunizmem nie ograniczała się do Związku Sowieckiego, ale obejmowała także kraje satelickie), jest duże prawdopodobieństwo, że już i tak mała grupa zainteresowanych skurczy się jeszcze bardziej. Współzależność sławistyki i polityki jest sprawą o tyle skomplikowaną, że dużą rolę odgrywa tu

element ekonomiczny. Najlepszym przykładem są liczne ośrodki do spraw rosyjskich i wschodnioeuropejskich (Centers for Russian and East European Studies) funkcjonujące na wielu uniwersytetach. Ośrodki te powstały w wyniku konkretnej sytuacji politycznej, w okresie „zimnej wojny”, z dotacji federalnych, które nadal stanowią pokaźny procent ich budżetu. Z tych funduszy korzystają między innymi wydziały slawistyczne. Są one też głównym źródłem stypendiów dla magistrantów i doktorantów, a stypendia bywają z kolei istotną determinantą w wyborze pola specjalizacji. Do pewnego stopnia więc los slawistyki jest zależny od politycznych decyzji rządu federalnego. Z punktu widzenia administracji uniwersyteckiej, która często kieruje się kryteriami ekonomicznymi, slawistyka jest wydziałem deficytowym, a więc drugo- lub trzeciorzędny.

2. Literatura polska jest niewątpliwie i ciekawa, i atrakcyjna, i tak odbierają ją ci nieliczni studenci amerykańscy, którzy mają szansę się z nią zapoznać. Jedną z głównych trudności wykładowcy polskiej literatury w krajach anglosaskich jest skąpa ilość i często nieadekwatna jakość tłumaczeń, szczególnie literatury staropolskiej i dziewiętnastowiecznej. Myślę jednak (wbrew powszechnej opinii amerykańskich polonistów), że narzekania na małą liczbę studentów na polonistyce są niesłuszne i najczęściej szkodliwe dla sprawy. W porównaniu z literaturami innych krajów Europy Środkowej, a także z literaturą np. krajów skandynawskich, polonistyka ma w Stanach pozycję uprzywilejowaną.

3. Literaturę polską wykładałam od siedemnastu lat, najpierw na uniwersytecie stanu Washington w Seattle, a od ośmiu lat na uniwersytecie stanu Michigan w Ann Arbor. Bazę stanowią wykłady z historii i literatury rozłożone na dwa semestry. Pierwszy semestr obejmuje literaturę polską do romantyzmu włącznie, drugi jest poświęcony okresowi pozytywizmu do dnia dzisiejszego. Mniej więcej połowę studentów na tych zajęciach stanowią słuchacze slawistyki, magistranci i doktoranci rusycystyki, których obowiązuje znajomość dodatkowego języka i literatury słowiańskiej; może to być czeski, serbsko-chorwacki, może być i polski. Drugą liczną grupę stanowią studenci pochodzenia polskiego, którzy najczęściej nic ze slawistiką nie mają wspólnego. Bywają też studenci „z przypadku”: przychodzą, bo zajęcia polecił im kolega lub opis w katalogu poruszył wyobraźnię. Przeważająca większość studentów nie jest zainteresowana sprawami teoretycznoliterackimi, interesują ich najbardziej powiązania literatury z historią i polityką, reagują też silnie na teksty o dużej sile wyobraźni, na poezję Leśmiana (mimo że istnieje tylko garstka tłumaczeń), na prozę Schulza i Gombrowicza, na dramaty Witkacego. Spośród moich zajęć największym powodzeniem cieszą się

od lat zajęcia ze współczesnego dramatu Europy Środkowej (z autorów polskich: Witkacy, Różewicz, Mrozek), które prowadzę na wydziale komparatystyki. Także wykłady o współczesnej powieści europejskiej, gdzie literaturę polską reprezentują przede wszystkim Schulz i Gombrowicz. Bardzo natomiast trudno zwerbować studentów na zajęcia z poezji, choć duże sukcesy odnoszę „szmuglując” wiersze na zajęciach poświęconych powieści i dramatom, a także historii, polityce i ekonomii.

4. Na uniwersytetach amerykańskich teoria literatury jest instytucjonalnie powiązana z wydziałami komparatystyki, które na przestrzeni ostatnich piętnastu lat przekształciły się często w wydziały teorii literatury, tracąc niejednokrotnie swój pierwotny element komparatystyczny. Na wydziałach tych można ostatnio zaobserwować negatywną reakcję studentów na przerost elementu teoretycznego. W zeszłym roku studenci komparatystyki na moim uniwersytecie złożyli petycję prosząc o większą ilość zajęć z „literatury”. Z mojego doświadczenia polonistycznego wynika, że zwiększenie dozy teorii odstraszy już i tak szczupłą garstkę studentów.

5. Rola polonistyki na Zachodzie w istocie różni się od roli polonistyki w kraju, jest mniej teoretycznie ukierunkowana, bywa bliska misjonarstwu. Nie znaczy to jednak, że współpraca jest niemożliwa. Wręcz odwrotnie, bliższa współpraca między polonistyką w kraju i na Zachodzie ma szansę otwarcia nowych perspektyw, i to zarówno naukowych, jak i pedagogicznych.

Profesor Maria Delaperriere, dyrektor sekcji polonistyki w INALCO (Institut National des Langues et Civilisations Orientales), Paryż

Fascynacja Rosją ma we Francji swoją długą tradycję. Jej początki sięgają co najmniej do XIX wieku, kiedy to literatura rosyjska zaimponowała Zachodowi połączeniem swoistej egzotyki (a więc odmienności) i uniwersalności. Do grona tak zwanych autorów „uniwersalnych” weszło już bez trudu wielu pisarzy rosyjskich (Dostojewski, Gogol, Tołstoj, Gorki...), podczas gdy literatura polska z wielkim zawsze trudem i zmiennym szczęściem torowała sobie drogę do Europy. Nawet wielki polski romantyzm, mimo doskonałych studiów prof. Fabre’a, nie zajął zasłużonego miejsca we francuskich podręcznikach. Nie mówiąc już o epokach poprzednich: w ostatnich latach na przykład pojawiły się ciekawe studia o baroku europejskim, ale przestrzennie sięgają one w najlepszym razie... Pragi.

Wydaje się, że literatury narzucające swoją uniwersalność rodzą się

w krajach o silnej państwowości i stałych granicach. Dziś przed odzyskującymi autonomię państwami otwiera się duża szansa, którą należy wykorzystać także na uniwersytetach zagranicznych.

Nie znaczy to jednak, że liczba studentów polonistyki zachodniej powiększy się automatycznie. Studenci zachodni bardzo wcześnie zaczynają myśleć o czekającej ich karierze zawodowej i zdają sobie sprawę, że specjalizacja w dziedzinie literatury polskiej niewiele może im zapewnić: tylko najwybitniejsi mogą liczyć na stanowisko na uczelni, ewentualnie w szkolnictwie średnim — tu jednak po przejściu przez niezwykle surowy konkurs agregacji, w ramach którego Francja proponuje absolwentom polonistyki — jedno stanowisko rocznie!

Podstawową trudnością w nauczaniu literatury polskiej za granicą jest oczywiście niewystarczająca znajomość języka. Dlatego wykładowcy nasi przywiązują wielką wagę do pracy na tekstach. Mogłoby się to wydać żmudne, tymczasem wprost przeciwnie: samo osvajanie się z tekstem, przyswajanie sobie najpierw samej materii językowej prowadzi często do ciekawych odkryć i skojarzeń, które mają tym większą wartość, że studenci wolni są od wszelkich z góry narzuconych schematów myślowych.

Analiza tekstów literackich ma we Francji bardzo bogatą tradycję, której punktem wyjścia są właśnie zjawiska językowe (stąd potrzeba odwołań do lingwistyki, semiotyki czy retoryki). Typowa francuska analiza opiera się na poetyce immanentnej, to znaczy, że sam tekst dyktuje metody, które w danym wypadku wydają się najodpowiedniejsze. Trudno więc twierdzić, że teoria literatury i pragmatyczne badania literackie są od siebie odseparowane.

O ile jednak metody strukturalistyczne czy semiotyka stanowią już trwałą wkład lingwistyki do literatury, tendencje ostatnich lat zmiernie raczej w kierunku rehabilitacji historyzmu (który przyciąga nawet dawnych strukturalistów — Todorova czy Kristevą). Zainteresowanie budzi także H. R. Jauss, którego studium o estetyce recepcji zostało niedawno przetłumaczone na francuski. Niemniej w samych badaniach naukowych istnieje rzeczywiście we Francji pewna niezależność wobec teorii, co prowadzi siłą rzeczy do wielkiej dywersyfikacji ujęć krytycznych.

Głównym powołaniem polonistyki zagranicznej jest, jak wiadomo, przygotowanie studentów do pracy zawodowej w różnych dziedzinach, takich jak tłumaczenie, dyplomacja, dziennikarstwo, ewentualnie do pracy naukowej, którą podejmują najczęściej studenci mający już dyplomy z historii lub literatury francuskiej. Przy takich założeniach literatura rozpatrywana jest w szerszej perspektywie cywilizacyjnej, nacisk kładzie się na studia porównawcze.

Ponadto studenci nasi często studiują dwa lub trzy języki wschodnio-

europejskie (a więc niekoniecznie słowiańskie). Warto dodać, że uczelnia, którą reprezentuję, ma po temu wyjątkowo dobre warunki, ponieważ polonistyka podporządkowana jest Departamentowi Europy, w którego skład wchodzi wszystkie kraje Europy Środkowej i Południowej, a także Ukraina, Litwa, Łotwa i Estonia (rusycystyka natomiast stanowi osobny departament). Toteż część seminariów odbywa się pod znakiem pluralizmu, z udziałem specjalistów różnych literatur: dzięki takim konfrontacjom poszczególne literatury naświetlają się wzajemnie i uwalniają tym samym od stereotypów, powstają jakby „modele mediacyjne”, odwołujące się do poszczególnych tradycji kulturowych w oparciu o głębokie poczucie przynależności do jednej i tej samej kultury europejskiej. Z takich przekonań zrodził się w zeszłym roku na naszej uczelni pomysł utworzenia wspólnego dyplomu „języka i literatur zachodniosłowiańskich”, który obejmie studia polskie, czeskie, słowackie i łużyckie.

Ważna jest wymiana oparta na głębokim przekonaniu, że studia polonistyczno-slawistyczne zarówno w kraju, jak i za granicą wpisują się w szerszy kontekst humanizmu europejskiego.

Wiktor Erlich, profesor emerytowany literatur słowiańskich, Yale University, New Haven

1. Obawiam się, że nawet po rozpadzie imperium sowieckiego na równowagę trudno będzie liczyć. Zagrają tu chyba, raz jeszcze, czynniki geopolityczne. Nawet poważnie osłabiony kompleks sowiecki będzie miał większą wagę w polityce międzynarodowej niż Polska czy Czecho-Słowacja. Że obie literatury zasługują na bardziej poczesne miejsce na wydziałach slawistyki niż to, które obecnie zajmują, nie ulega wątpliwości.

2. O ciężarze gatunkowym literatury polskiej niełatwo studenta amerykańskiego przekonać; tłumaczeń, jak wiadomo, jest mało, a dobrych tłumaczeń jeszcze mniej. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że literatura polska niejednego może człowieka Zachodu nauczyć. Literatura polska wieku XIX, zwłaszcza romantyzm polski, to dramatyczna ilustracja centralnej roli poezji w kulturze narodu uciśnionego i zarazem problematyki literatury emigracyjnej. Oczywiście, problem „dwóch literatur”, tak istotny dla literatury rosyjskiej epoki sowieckiej, stoi i przed literaturą polską ostatniego pięćdziesięciolecia, która w swoim wymiarze krajowym naświetla też dylematy pisarstwa pod totalitaryzmem. Inaczej mówiąc, niektóre „implikacje” literatury polskiej wykraczają daleko poza granice Polski, choć niejedno jej arcydzieło, jak np. najlepsza

chyba polska sztuka, *Wesele*, może się wydać cudzoziemcowi zjawiskiem głęboko „lokalnym”, wymagającym cierpliwej i skomplikowanej egzegezy.

3. W ciągu przeszło 35 lat wykładania literatur słowiańskich na uniwersytetach amerykańskich podstawowym moim przedmiotem była literatura rosyjska XIX i XX wieku, ale od czasu do czasu prowadziłem zajęcia z literatury polskiej, ze szczególnym naciskiem na romantyzm. Przy wyborze tego przedmiotu kierowałem się głównie świadomością, że romantyzm polski był jednym z punktów szczytowych w rozwoju literatury, zwłaszcza poezji polskiej. Jeśli chodzi o moich słuchaczy, byli to, z wyjątkiem kilku studentów polonistyki, ludzie specjalizujący się w literaturze rosyjskiej, którzy zdawali sobie sprawę z tego — lub którym zwrócono uwagę na to — że romantyzm polski jest najbogatszym i najświetniejszym z romantyzmów słowiańskich.

4. Zgadzam się, że w Stanach, a chyba w ogóle na Zachodzie, studia polonistyczne rzadko idą w parze ze zgłębianiem problemów teorii literatury. Sądzę, że byłoby wskazane, aby sławiści, prowadzący zajęcia z metodologii badań literackich, raczyli sygnalizować swoim studentom polski wkład w teorię literatury (np. takie pozycje, jak R. Ingarden, F. Siedlecki, najlepsze teksty polskiego literaturoznawstwa powojennego).

5. Nie ulega wątpliwości, że więzy między środowiskami polonistyczno-slawistycznymi w kraju i za granicą powinny być zacieśniane. Jedynym na to sposobem jest zwiększona, a może nawet zinstytucjonalizowana, obecność na uczelniach amerykańskich historyków i teoretyków literatury z Warszawy, Krakowa i innych ośrodków uniwersyteckich w kraju.

Rolf Fieguth, profesor slawistyki we Fryburgu szwajcarskim i Bernie

1. „Przywrócenie równowagi” zdaje się mieć szanse w krajach i na terenach postkomunistycznych w formie usunięcia rosyjskiego jako języka obowiązkowego z wielu szkół średnich i wyższych uczelni. W Niemczech wschodnich projektuje się utworzenie nowej katedry polonistycznej, ewentualnie we Frankfurcie nad Odrą; jest nadzieja, że w gimnazjach przygranicznych język polski będzie odgrywał pewną rolę. Natomiast co do terenów na lewo od Łaby aż do kraju Helwetów godzi się używać formuły Remarque’a: na (starym) Zachodzie bez zmian.

W RFN już od początku lat siedemdziesiątych za sprawą dyskretnych bodźców odgórnych zwiększyła się nieco liczba wydziałów slawistyki

z bardziej wyraźnym elementem polonistycznym, lecz nie widzę, aby obecna sytuacja polityczna doprowadziła do korzystniejszych dla tej domeny warunków.

Zaś w Szwajcarii brakuje ogólnopaństwowej koncepcji slawistyki (taką koncepcją natomiast istnieje w Austrii, która stara się o to, aby slawistyka każdego z uniwersytetów miała swoją odrębną specjalność nierusycystyczną). W latach sześćdziesiątych, w okresie najsilniejszego w dotychczasowej historii promieniowania kultury polskiej na Zachód, w slawistyce całej Szwajcarii francuskojęzycznej (na razie poza małutkim Neuchatel) zaniechano jakiejkolwiek działalności polonistycznej. Od tego czasu Genewa i Lozanna uprawiają już tylko rusycystykę, a skoro mają studentów w wystarczającej ilości, nic się tu nie zmienia także i w trzecim tysiącleciu *post Christum natum*. Drobną katedrę slawistyki w Neuchatel w latach osiemdziesiątych zamknięto całkiem i aby przypadkiem później nie odrosła, sprzedano nawet całą bibliotekę słowiańską. W dwujęzycznym Fryburgu szwajcarskim po piętnastoleciu slawistyki bez polonistyki (1968–1983) prawie przez przypadek powołano na stanowisko profesora slawistę ze specjalizacją polonistyczną (autora niniejszego szkicu). Gdyby wtedy wybrano kogoś innego spośród trzech poważnych kandydatów, polonistyka fryburska nadal spałaby pokryta kurzem wśród rozklejających się woluminów skromnej biblioteki polskiej. Nie zabrakło zresztą i tutaj dyskretnych rad życzliwych kolegów, aby pokonać wieczny kryzys fryburskiej slawistyki (mało personelu, pieniędzy na książki i studentów) zrzucając — za przykładem prosperujących „slawistyk” genewskiej i lozańskiej — wszelki balast nierusycystyczny.

W Szwajcarii niemieckojęzycznej Berno na razie nie ma polonistyki ze względu na ścisłą współpracę z Fryburgiem. Tradycje polonistyczne Bazylei żyją dalej raczej w ukryciu (dokupuje się książki polskie, prowadzi się lektorat języka polskiego), bo od śmierci Hildegard Schröder już nie było tam profesora slawistyki z zainteresowaniami polonistycznymi, i tak jeszcze zostanie na długie lata. W Zurychu wygląda lepiej niż w Bazylei, bo tam działa aktywnie polonista, docent German Ritz — na razie, bo nie wiadomo, co się stanie, gdy dotknie go rotacja. Jednym słowem: w Szwajcarii polonistyka uniwersytecka nie odradza się w związku z rozpadem *imperium sovieticum*.

2. Paradoks związany z recepcją literatury polskiej: dużo przekładów, mało czytelników, bardzo mało studentów polonistyki. Jeśli chodzi o ilość przekładów z literatury polskiej oraz o jakość wyboru pozycji, to niemiecki obszar językowy na pewno w dalszym ciągu wiedzy prym obok rosyjskiego i czeskiego. Zapal i wytrwałość tłumaczy zawdzięcza się przeróżnym motywom pierwotnym, które następnie przechodzą

w jakieś dziwnie zrutynizowane oddanie się sprawie, któremu towarzyszy czasem cichy zgrzyt zębów, podobnie jak u zakonników lub dawniejszych działaczy międzynarodówki.

Za to znacznie gorzej jest ze zdobywaniem czytelników. Wiąże się to między innymi z tym, że czytanie literatury generalnie wychodzi z mody wśród ludzi w wieku młodszym (wolą muzykę i film) i średnim (stresy zawodowe, życiowe, urlopowe). Dawno też minęły czasy, kiedy w odniesieniu do naszej publiczności literackiej można było mówić o klimacie ogólnej sympatii dla beletrystyki polskiej. Nie wszystko tu zależy zresztą od koniunktur politycznych. Ludzie czytający obcą literaturę piękną tak naprawdę nie chcą dowiedzieć się czegoś o innych krajach, tylko chcą poznawać możliwości duszy ludzkiej przez teksty literackie pisane w stylach albo jakoś bliskich i znanych, albo wyraźnie, „egzotycznie” obcych. W czasach, kiedy Polska była krajem politycznie bardzo ciekawym (np. na początku lat siedemdziesiątych i znowu między 1976 a 1981, tudzież obecnie), publiczne zainteresowanie jej literaturą okazywało się chyba słabsze niż w latach sześćdziesiątych. Przyczyną tego jest bodajże znaczna „różnica czasu” w zakresie mód literackich, która nastąpiła w połowie lat siedemdziesiątych. Młodszym ludziom nic prawie tu nie mówi dramaturgia polska, ongiś tak głośne — a bo gdzie są te nowsze dramaty polskie, które jakoś „rymuje się” z utworami nielicznych gwiazdorów lokalnych, takiego Thomasa Bernhardta, Botho Straussa, Petera Handkego lub Heinerja Müllera? Poezję z dowolnej strefy językowej i z dowolnych okresów w latach szkolnych młodzi czytają już tylko „pod przymusem” nauczycieli. Z odpowiednim trudem profesorzy slawistyki „zapędzają” potem na studiach nie-znawców Hölderlina, Nerval, Heinego, Eliota, Pounda i Celana do Chlebnikowa, Achmatowej, Mandelsztama, Cwietajewej i Pasternaka — i z jeszcze większym trudem do Przybosa, Miłosza, Różewicza i Herberta. Z własnej inicjatywy czyta się już tylko prozę — obok niemieckojęzycznej głównie amerykańską, włoską, południowoamerykańską i nawet rosyjską (przy czym o wiele chętniej Bułhakowa, Szołochowa, Sołżenicyna, Grossmana, Trifonowa i Rasputina niż Biełego i Płatonowa). Z prozy polskiej sukcesy odnoszą Lem i Szczypiorski, a w węższych już warstwach Bruno Schulz, Jarosław Iwaszkiewicz, Czesław Miłosz jako autor *Doliny Issy* oraz Paweł Huelle; przy umiejętnej reklamie można by było lansować realizm i neorealizm polski — Prusa, Orzeszkową, pewne rzeczy Żeromskiego, Nałkowskiej i Dąbrowskiej. Natomiast tak naprawdę na początku nie zachwyca młodych Witkacy, Gombrowicz (z wyjątkiem *Opętanych*), proza Różewicza, Konwicki, nie mówiąc o późnym Parnickim lub o Buczkowskim. Do tych wszystkich filarów dwudziestowiecznej prozy polskiej zapędzamy naszych adeptów siłą, niczym do poezji.

Krótko mówiąc, od przeszło dwudziestu lat literatura polska nie jest wystarczającym motywem dla młodych ludzi, aby wybrali polonistykę jako kierunek studiów.

3, 4. Studia slawistyczne wybierają młodzi ludzie z różnych i nie zawsze zbyt wyklarowanych przyczyn. Odgrywa tu rolę pewien dar językowy, który odkrywa w sobie większość z nich. Prawie wszyscy mają też wrażenie, że to niby „Wschód” jest w modzie, przy czym nie za bardzo, co zapewnia pożądaną ekskluzywność. Pojęcie „Wschód” zawiera zresztą dla tutejszych również sztywną tylko w bardzo wąskich kręgach „Europę Środkową”. Wpływa na wybór kierunku matka lub ciocia, która „w młodości” podsunęła lektury z klasyki rosyjskiej (rzadko natrafiam na kogoś, kto „w młodości” zachwycał się jakimś pisarzem polskim, np. Lemem); u polonistów silnym motywem bywa dziadek-pradziadek Polak lub jakaś przyjaźń czy miłość wakacyjna. Niektórzy dają się także zafascynować, nie zmaconemu przez znajomość konkretnych faktów, nastrojowi ciemno-romantycznemu wiejącemu z historii Polski. Prawie wszyscy wybrali te studia wiedząc doskonale, że nie czeka ich po egzaminie jakakolwiek intratna kariera; zazwyczaj ten wybór jest wyrazem ich łagodnego protestu przeciwko materializmowi naszego społeczeństwa konsumpcyjnego. Gatunek sympatyków komunizmu, zawsze istniejący tylko w bardzo małej ilości okazji, należy praktycznie zaliczać do wymarłych. Może w przyszłości przyjdą do nas ludzie zainteresowani specyfiką polską w warunkach integracji europejskiej, chociaż Europa polityczna akurat w Szwajcarii wciąż jeszcze nie należy do spraw najbardziej interesujących młodzież.

Nie wszyscy, którzy z takim rodzajem motywacji trafiają do nas, wytrzymują szok konfrontacji z wyspecjalizowanymi studiami literackimi, które im oferujemy. Ale większość jednak potrafi znieść pierwszy szok i ci zgadzają się jakby „na wszystko”, tak samo jak studenci biologii zgadzają się na poznawanie wszystkich rodzajów roślinności. Dość chętnie dają się np. wprowadzić do poezji Kochanowskiego i innych autorów odrodzenia lub baroku, bo jest to z jednej strony daleko i „egzotycznie”, a z drugiej strony otwiera drogę do tradycji antycznych i włoskich, do których odczuwają nadal pewną ogólną sympatię, zwłaszcza w czterojęzycznej Szwajcarii. Łatwo przekonać ich do wartości literackiej tekstów autora *Fraszek*, szczególnie w porównaniu z rosyjską literaturą przedpuszkinowską.

Kochanowski oraz szerszy kontekst jego dorobku stanowi zatem jeden ze stale powtarzających się tematów nauczania, i to nierzadko już na wczesnym etapie studiów, na podstawie przekładów, a rzadziej oryginałów łacińskich. Ma to zresztą tę zaletę, że w tekstach wszystkich następnym okresie można wytropić aluzje do Mistrza Czarnoleskiego.

Tu od razu wypada zanaczyć, że przy analizie jego (i nie tylko jego) dzieł odwołujemy się obok wszelkich możliwych elementów teorii literatury (formalizm, strukturalizm, Ingarden, hermeneutyka, dekonstruktywizm), szczególnie do ich intertekstualności. Zastosowanie uproszczonej teorii intertekstualności okazało się bowiem bardzo efektywnym chwytem dydaktycznym w procesie poznawania tej zupełnie im uprzednio nie znanej literatury narodowej i europejskiej. Jak się odkrywa u Kochanowskiego jakiś mgliście zapamiętany mit antyczny, a potem ślady Kochanowskiego u Mickiewicza, Słowackiego, Norwida i Miłosza, to łatwiej znieść wstępne uczucie całkowitej obcości wobec tej literatury. Z tego też powodu często prowadzę seminaria typu „pisarz X oraz jego konteksty polskie i niepolskie”. Nie unikam przy tym tematu koneksji niemieckich czy rosyjskich Mickiewicza, Prusa, Żeromskiego, Witkacego, Gombrowicza czy Schulza, bo wszyscy nasi poloniści także studiują literaturę rosyjską, a w przytłaczającej większości są to osoby niemieckojęzyczne.

Drugim stałym tematem jest oczywiście romantyzm od Mickiewicza do Norwida, przy czym najbardziej szczerze zainteresowanie wywołują Słowacki, Krasiński i Norwid. Kiedy studenci są na tym etapie, już mieli okazję zapoznania się w czasie podróży do Polski ze staroświeckim w ich mniemaniu patriotyzmem rówieśników. Fakt, że z romantyków polskich wyczytać można także i coś innego niż patriotyzm, zdaje się utwierdzać ich w przywiązaniu do tej literatury.

Filary nauczania literatury dwudziestowiecznej to Witkacy, Schulz i Gombrowicz, poza tym także i Miłosz. Zdecydowanym ulubieńcem studentów jest Schulz. Pewnym sukcesem zarówno u początkujących, jak i bardziej zaawansowanych okazał się także nowy podwójny wykład: jeden o rozwoju rosyjskich i polskich koncepcji literackich (naukowych i autorskich) od pozytywizmu do strukturalizmu, a drugi o powieści polskiej od pozytywizmu do drugiej wojny światowej.

Pragnąłbym dodać, iż polonistykę we Fryburgu można studiować szerzej niż w innych uczelniach Szwajcarii. Ktoś bardzo zainteresowany tą dziedziną uprawiać ją może w obrębie przedmiotu głównego „Języki i literatury słowiańskie”, przy czym polski wolno mu wybrać jako pierwszą dziedzinę (60%) przed rosyjskim (25%) oraz jakimś trzecim językiem słowiańskim (15%). W dodatku może jeszcze wybrać jako jeden z obowiązkowych dwu przedmiotów pobocznych „polonistykę” już bez dalszych domieszek słowiańskich. Przy takim zestawieniu kierunków studiów polonistyka wychodzi faktycznie jako *branche primaire* (przedmiot główny). Z dwudziestki zajmujących się jakimkolwiek problemem polonistycznym szczęściu w tej chwili myśli o napisaniu polonistycznej pracy magisterskiej.

5. Trudno mówić o roli polonistyki dla kultury szwajcarskiej. W kontekście włosko- lub francuskojęzycznym wszystkie inicjatywy pośrednictwa wpływają na Szwajcarię „łacińską” drogą okreśną przez metropole Francji lub Włoch (nawet znana w Polsce działalność zasłużonej firmy wydawniczej L’Age d’Homme w Lozannie). Tą drogą dochodziło także do wyleczenia inteligencji tubylczej z iluzji prokomunistycznych. Ułudy te w kraju Wolnych Szwajcarów nigdy nie były silne, a dla ich zażegnania wystarczyły w łacińskich stronach Konfederacji odgłosy dyskusji paryskich i rzymskich, w których tematy polskie odgrywały znaną powszechnie rolę. Natomiast w Szwajcarii niemieckojęzycznej sytuacja jest z gruntu inna, mimo to wynik dla importu z Polski — taki sam. Wprawdzie funkcjonuje tam wyraźnie odrębne wobec Niemiec środowisko literackie, ale należący do niego pisarze i krytycy prędkiej szukają swojego specyficznie szwajcarsko-kosmopolitycznego stosunku do „szerokiego świata” (obie Ameryki, Afryka, Azja, Związek Radziecki) niż do kultur geograficznie bliższych i „mniejszych”, a jeżeli już, to bardziej przyciąga ich Jugosławia, Czechy i Węgry niż Polska. Młodszy i starsi poloniści tak naprawdę nic na to poradzić nie mogą, nawet jeśli znacznie pomnoży się liczba ich felietonów na tematy polskie. Pewne efekty można by było osiągnąć przez systematyczną akcję przekładów z polskiego na pomniejsze języki Szwajcarii, na retoromański i przede wszystkim na popularny u większości dialekt niemiecki, funkcjonujący coraz bardziej jako język narodowy 75% Szwajcarów. Ale abstrahując od niezliczonych trudności związanych z taką akcją, na sukcesach odnoszonych tą drogą ciążyłaby śmieszna reputacja jakiejś międzynarodówki prowincjonalizmów.

Zaś rola, którą moglibyśmy odgrywać dla Kraju, sprowadza się wyłącznie do naszych publikacji naukowych, które docierają do krajowego ośrodka polonistycznego jako mniej lub więcej poważny głos w specjalistycznych dyskusjach. Aż śmiesznie mówić o jakimś specyficznym szwajcarskim spojrzeniu na tematy polonistyczne, chociaż stwierdzam nie bez satysfakcji, że garstka naszych studentów Polaków czuje się tu raczej niezłe obsługiwana na tle swoich polskich doświadczeń gimnazjalnych lub nawet uniwersyteckich.

Profesor Halina Filipowicz, Department of Slavic Literatures, University of Wisconsin, Madison

Nie sposób mówić o p r z y w r a c a n i u równowagi z tej prostej przyczyny, że polonistyka nie była tu nigdy pełnoprawnym

partnerem rusycystyki. Znamienne są losy mojego wydziału — wydziału slawistyki na uniwersytecie stanu Wisconsin. Dzięki zabiegom miejscowych polityków polskiego pochodzenia powstał tu pół wieku temu z okładem Department of Polish Studies. Nie wiem doprawdy, czemu bardziej się dziwić — temu, że polonistyka ubiegła w Madison rusycystykę, czy raczej temu, że działaczom Polonii udało się wywalczyć (tak, wywalczyć!) dotacje ze stanowego budżetu i ufundować katedrę literatury i języka polskiego. I jedno, i drugie nie ma precedensu w historii kultury amerykańskiej.

Zajęcia w nowej — wówczas jeszcze jednoosobowej — katedrze rozpoczęły się jesienią 1936 roku. Najpierw prowadził je Witold Doroszewski, po nim, w latach 1937–1939 — Józef Birkenmajer, a od 1939 roku — Edmund Zawacki. W 1942 roku Department of Polish Studies zmienił nazwę i orientację, ale pozostała nie tylko niebanalna tradycja, lecz również etat polonisty i jeden z najbogatszych księgozbiorów polonistycznych w Stanach. Mało to czy dużo? Może kiedyś się dowiem, jak naprawdę wyglądał ów madisoński *Anschluss* i jaka była reakcja środowiska polonijnego.

Wątpię, czy rozpad imperium rosyjskiego przyczyni się do równouprawnienia wszystkich dyscyplin słowiańskich na amerykańskich uniwersytetach. O silnej pozycji rusycystyki nie decyduje bowiem imperium — tam, lecz imperium — tu. Imperium tutejsze to potężny system przywilejów, które nie tylko ułatwiają pracę własną, lecz i dodają prestiżu. To dostęp do środków i zasobów, do komisji i komitetów, do stypendiów i płatnych urlopów naukowych. To hierarchia wartości, która wymaga, by w najbardziej liczącym się czasopiśmie slawistycznym w Stanach, „*Slavic Review*”, dział rozpraw zawsze otwierała tematyka rusycystyczna. Argument, że literatura polska jest atrakcyjna i reprezentuje szczególnej wagi wartości, z pewnością nie wystarczy, by polonistyce przypadło na uczelniach amerykańskich należne jej miejsce.

W 1961 roku, na pierwszym swoim wykładzie z literatury polskiej na Uniwersytecie Chicagowskim, Maria Kuncewiczowa zapytała studentów, dlaczego wybrali polonistykę. Dlatego — usłyszała w odpowiedzi — że jest to nowy kierunek i po studiach łatwo będzie o posadę. Trzydzieści lat później polonistyka jest nadal „nowym kierunkiem”, lecz nie zdarzyło mi się spotkać Amerykanina, który powtórzyłby za studentami Kuncewiczowej: „Chcę uczyć literatury polskiej”. Obawiam się, że wina leży niekoniecznie po mojej stronie.

Studenci amerykańscy są realistami, więc nikomu nie trzeba dwa razy powtarzać, że magisterium czy doktorat z polonistyki to inwestycja nieopłacalna, bo dla polonistów nie ma posad. Gdy zaś nie ma chętnych

na studia polonistyczne, uniwersytety cofają subwencje. Koło się zamyka. Nie może więc dziwić, że większość wydziałów używa slawistyki jako szyldu dla studiów wyłącznie rusycystycznych. Owszem, tu i ówdzie prowadzi się lektoraty, a nawet zaprasza na semestr czy dwa literaturoznawców z Polski. Ale polonistyka amerykańska kuleje z prozaicznego powodu: brak stałych etatów.

Pracujemy jednak w firmie, która nie od dziś zajmuje się kształceniem pokolenia następców. Jeśli zatem w moim pokoleniu rozpad imperium rusycystycznego może być sprawą wątpliwą, nadzieje pokładam w swoich studentach — i w perfidnej działalności dywersyjnej. Skoro się zanoszą na to, że uniwersytety amerykańskie zaczną nagle zakładać katedry literatury polskiej, wykorzystuję obecny stan rzeczy do własnych, z pewnością niecnych celów. Wydziały slawistyki zwykle wymagają od studentów rusycystyki dodatkowej specjalizacji z dowolnej literatury słowiańskiej. Jeśli studenci ci trafią na wykłady z literatury polskiej, to nie żałując wysiłku można nawet z Gombrowicza spreparować polonistyczny eksponat muzealny. Można zżymać się na „turystów po literaturze polskiej”, odsłaniając przy tym własne urazy wobec rusycystycznego imperium. Ale można z wykładów dla nie-polonistów uczynić narzędzie najbezczelniejszej dywersji.

Powiem od razu: nie dbam o to, by literaturę polską uczynić bardziej „swojską” czy „przyswajalną”. Owszem, może ona przyciągać swoją atrakcyjnością, oryginalnością, odrębnością nawet — ale przyciągać po to tylko, by czytelnik skonstatował: ach, jakie to polskie! Komplement to wątpliwy. Na swoich wykładach Mickiewiczowską *Romantyczność* zestawiam więc z nowelą Hawthorne’a *Ethan Brand, Nad wodą wielką i czystą* z *Przystając pod lasem w śnieżny wieczór* Frosta, *Dolinę Issy* z *Huckiem Finnem*. Zestawiam czasem na zasadzie kontrastu, częścię — by prześledzić analogie, zawsze — by wydobyć literaturę polską ze skansenu egzotyki dla wtajemniczonych i osadzić ją w tradycji literackiej Europy i Stanów. Chodzi mi więc nie o „polskość” ani nawet o „uniwersalność”, lecz o normalne funkcjonowanie literatury polskiej w zachodnim literaturoznawstwie. Chciałabym, by w polu widzenia komparatystów i teoretyków zachodnich znalazła się literatura polska. Chciałabym, by nie-poloniści — podejmując liczne ostatnio rewizje kanonu oraz obowiązujących sądów o prądach i gatunkach — sięgali nie tylko do literatury rosyjskiej i zachodniej.

Jeśli z polskiej perspektywy odnieść można wrażenie, że polonistyka na Zachodzie stroni od teorii literatury, to z pewnością ów rozbrat między teorią a literaturą bierze się w dużej mierze z usilnych starań, by ustrzec literaturę ojczystą przed obcym żywiołem — łącznie z refleksją teoretyczną. Nieufność czy nawet niechęć do wszelkich „nowinek” — nawet

jeżeli są to nowinki sprzed ćwierćwiecza — jest, jak sądzę, wotum nieufności do kultury przybranej. W oddaleniu od kraju można zadowolić się powtórkami tematycznymi i warsztatowymi, można trzymać się krzepko w kręgu wysłużonych rekwizytów. Ale chyba chciałabym się nieswojo w roli misjonarza, co na amerykańskich obszarach intelektualnej pustki głosiłby wielkość literatury polskiej, by rzucić tubylców na kolana. Powiem więcej: nie zależy mi na tym, by kształcić amerykańskich polonistów.

Interesuje mnie natomiast, jak „naszą” literaturę widzieć będą „oni” — oni, to znaczy nowe pokolenie badaczy amerykańskich, którzy posiadli pewien zasób wiedzy o literaturze polskiej. Z przewrotną satysfakcją przysłuchuję się studentom, którzy na seminarium z dramatu zaczynają odkrywać jakieś niepokojące, wymykające się łatwym formułkom różnice — lecz i zbieżności — w tradycji dramatycznej Polski, Rosji i Zachodu. Studenci ci na pewno ustępują w niejednym absolwentom polonistyki krajowej. Dysponują za to kontekstem własnej kultury, który gruntownie zmienia optykę, w jakiej jawi się literatura polska. Ta obca optyka umożliwia nowy, wcale niebanalny ogląd naszej literatury.

Jeszcze inna jest moja optyka — optyka tej, która owe dyskusje studenckie podstępnie prowokuje, by wsłuchać się w nie jak najpilniej. Powiedziałabym, że jest to spojrzenie z pogranicza, bo nie będąc tam, nie jestem zarazem w pełni tutaj, gdyż ukształtowała mnie inna kultura. Swoją dialog toczę więc z kulturą przybraną, która zmusza mnie do coraz nowych lektur, do rewidowania przywiezionych sądów i interpretacji, do przełamywania nawyków. Prowadzę swój dialog także z kulturą ojczystą, którą odczytuję przez lektury i doświadczenia stąd. Cenię sobie swe pogranicze, więc nieufnie odnoszę się do wszelkich modeli albo — albo. Dążyć do integracji? Osobno „robić swoje”? A może jeszcze inaczej: prowadzić dialog, i to nie tylko za pośrednictwem gotowych już prac i publikacji?

Regina Grol-Prokopczyk, profesor slawistyki, Hunter College, New York

1. Obawiam się, że tzw. rusycystyczny imperializm na wydziałach slawistyki uniwersytetów amerykańskich tak szybko nie zniknie. Środki masowego przekazu w USA od lat koncentrują się na Związku Radzieckim, a Polskę i sprawy polskie traktują raczej po macoszemu. W rezultacie młodzież amerykańska jest bardziej wyczulona na problemy i kulturę ZSRR. Po wtóre, studenci amerykańscy mają

szalenie pragmatyczne podejście do życia. Wybór studiów jest najczęściej zdeterminowany możliwością zarobków po ukończeniu uniwersytetu. Ponieważ rusycystyka lub tzw. „Russian Area Studies” potencjalnie przynajmniej dają szansę na kontakt ze znacznie większym rynkiem ekonomicznym i stąd zwiększają szansę na pracę zarobkową, większość studentów slawistyki wybiera rusycystykę, nawet jeśli są pochodzenia polskiego lub czeskiego. Jest jeszcze jeden wzgląd, który nie rokuje szans na obalenie „imperializmu rusycystycznego”. Wydziały slawistyki są zdominowane przez profesorów rusycystyki, którzy kurczowo trzymają się programów nauczania, do których przywykli. Stąd wysnuwam wniosek, że minie wiele lat, zanim cokolwiek się zmieni.

2. Literatura polska niewątpliwie może nauczyć człowieka Zachodu bardzo wiele. Liczni Amerykanie są już tego świadomi i teksty przetłumaczone na angielski często wciągane są do programów nauczania na wydziałach anglistyki. I tak np. Bruno Schulz, Miłosz, Gombrowicz, Mrozek włączani są z coraz większą częstotliwością do list lektur na wydziałach anglistyki czy teatru. Liczyć należy raczej nie na slawistów, których liczba jest znikoma, lecz na intelektualistów amerykańskich otwartych na Europę Wschodnią. Zadaniem naczelnym byłoby więc zwiększenie liczby przekładów i masowa kampania rozpowszechniania literatury polskiej w pismach i wydawnictwach amerykańskich. Wiem z doświadczenia, że brak przekładów lub dobrych przekładów jest odczuwany w Stanach dość dotkliwie. Nawet teksty uprzednio przetłumaczone wydawane są często w bardzo małych nakładach i po krótkim czasie znowu stają się niedostępne. Ponadto, ze względu na bardzo niską znajomość historii i kultury polskiej wśród studentów amerykańskich (nawet tych, którzy są pochodzenia polskiego), tłumaczenia literatury polskiej winny być opatrzone wstępami krytycznymi, które plasują dzieło w kontekście historyczno-kulturowo-literackim.

Literatura polska niewątpliwie może nauczyć człowieka Zachodu innej skali wartości, innych tradycji literackich, odmiennej mentalności, nie mówiąc już o oryginalności i eksperymentatorstwie artystycznym.

3. Prowadzę zajęcia z dramatu polskiego XX wieku (w tłumaczeniu na angielski). Mam grupy mieszane składające się ze studentów slawistyki i wydziału teatru. Teatr polski ma doskonałą reputację w USA. Słuchacze zapisują się na mój kurs chyba głównie ze względu na egzotykę przedmiotu.

4. Połączenie polonistyki ze studiami teorii literatury byłoby niewątpliwie pożyteczne. Szkopuł w tym, że stopień przygotowania studentów na pierwszym roku jest na ogół niski. Ponieważ studia pierwszego stopnia, czyli prowadzące do tytułu B. A. lub S. S., trwają zaledwie cztery lata, często trzeba okrajać tematykę teoretyczną, by pozostawić miejsce

w programie dla lektury zasadniczych tekstów. Tym niemniej wielu profesorów łączy w jakimś stopniu nauczanie tekstów literackich z tekstami teoretycznymi. Na etapie tzw. *graduate studies* (to znaczy studiów prowadzących do stopnia magistra czy doktora nauk) to sprzężenie bardzo się potęguje i często luki teoretyczne są nadrabiane.

5. Intensyfikacja kontaktów między ośrodkami polonistycznymi w kraju i za granicą niewątpliwie będzie obopólnie korzystna. Poloniści przebywający na Zachodzie ulegają innym wpływom kulturowym, co często prowadzi do bardzo odmiennych perspektyw i rezultatów badań. Poloniści krajowi natomiast są świadkami bieżących zmian i nowych trendów, i mają bardziej bezpośredni kontakt z kulturą rodzimą. Integracja programów badawczych byłaby więc bardzo wskazana.

Beth Holmgren, profesor literatur słowiańskich, University of California, San Diego

Wydaje mi się, że zepchnięcie polonistyki na margines amerykańskiego życia naukowego ma swoje przyczyny w zasadach finansowania nauki, które z kolei biorą się z charakterystycznego dla Ameryki uznawania priorytetu dla takich spraw jak potęga państwa, wartości społeczne i rola grup wyborców zrzeszonych na zasadzie etnicznej. Od czasu drugiej wojny światowej Związek Sowiecki stanowił w oczach rządu amerykańskiego takie zagrożenie, że ten ostatni przeznaczył spore fundusze na rozwój studiów w dziedzinie rusycystyki i historii Rosji (mylenie Rosji ze Związkiem Sowieckim jest zjawiskiem nagminnym). Studia filologiczne związane z Polską, Czechosłowacją, Jugosławią, Bułgarią itd. finansowano o tyle, o ile te dziedziny ujawniały coś istotnego — z perspektywy satelitów — na temat rosyjskiego/sowieckiego przeciwnika. Moje własne studia polonistyczne były finansowane z funduszy stypendialnych Departamentu Obrony. Regułą było dotąd, że studenci amerykańscy podejmują tego rodzaju poboczną specjalizację w zakresie „drugiej dyscypliny słowiańskiej” jako swoiste wzmocnienie swojego wykształcenia rusycystycznego.

Dziś, gdy rozpadające się imperium radzieckie przestało już (?) być naszym głównym zagrożeniem, można by mieć nadzieję, że owe „drugie dyscypliny słowiańskie” zostaną wyzwolone spod hegemonii rosyjskiej. W warunkach obecnej recesji gospodarczej mogą być jednak, obawiam się, potraktowane jako „nieistotne”. Czytanie oraz nauczanie języka i literatury — nawet literatury amerykańskiej — nigdy nie zajmowało wysokiej pozycji w hierarchii wartości amerykańskiego społeczeństwa. Jako naród skłonni jesteśmy považać i nagradzać wysiłki w dziedzinie

nauk ścisłych i bystrość w sprawach finansowych; nasze uniwersytety ładują najwięcej pieniędzy w kierunki takie jak właśnie nauki ścisłe i business. Przy ograniczonych funduszach i ustalonych priorytetach uniwersytety amerykańskie okrawają obecnie wszystkie wydziały i redukują liczbę wykładowców, usiłując uratować to, co uznają za niezbędne, i hamując pluralizację świata naukowego, która nieuchronnie pociągnęłaby za sobą zwiększone wydatki.

Odmalowuję ten niewesoły obraz opierając się na praktycznym doświadczeniu, ale i z praktycznymi celami na względzie. Swoje studia podyplomowe odbyłam na wydziale języków i literatur słowiańskich, gdzie ostrzegano mnie (z najlepszymi intencjami), abym ograniczyła swoje zainteresowania polonistyczne i starała się uchodzić za rusycystkę. Obecnie wykładam na wydziale literatury (firmuje on studia nad wszystkimi literaturami narodowymi, jak również zajęcia teoretycznoliterackie i zajęcia z zakresu *creative writing*), gdzie literatury słowiańskie, mimo dobrych intencji moich kolegów, są w sposób nieunikniony spychane na margines, przyćmiewane przez problematykę amerykańską i zachodnioeuropejską. Nie uważam jednak sytuacji za beznadziejną. Naukowcy działający już w tej dziedzinie potrafią zaimprowizować pewne rozwiązania. Dzięki wysiłkom poprzedniego pokolenia polonistów amerykańskich mamy do dyspozycji szerszy wybór dzieł literatury polskiej dostępnych w dobrych przekładach. I tłumaczeniami tymi możemy się posługiwać jako wstępnymi przyrętami: trzeba tylko, abyśmy zadawali studentom ich lekturę, przemycali je do naszych programów zajęć. Możemy oferować studentom egzotyczne, intrygujące zajęcia, takie jak „Polski teatr” lub „Współczesne pisarstwo polskie” (oparte na lekturach dostępnych w przekładzie) czy chociażby rozleglejsze tematycznie wykłady „przeglądowe”, które w swoim programie znajdą trochę miejsca na literatury Europy Środkowej. Liczne college'e wymagają od studentów pierwszego roku zaliczenia podstawowego bloku zajęć z dziedzin humanistycznych i możemy przyłożyć rękę do takiej organizacji tych zajęć, aby prezentowały one mniej zaściankową perspektywę widzenia kultury „europejskiej”. Na poziomie studiów podyplomowych musimy uczynić zasadą posługiwanie się na seminariach tekstami polskimi — czy to z zakresu teorii literatury, czy dotyczącymi pewnych specjalnych tematów. Ideałem byłoby, gdyby seminarium na temat europejskiego romantyzmu włączało w obręb swoich zainteresowań *Dziady*; seminarium na temat pisarstwa autobiograficznego mogłoby uczynić użytek z szerszej panoramy pisarzy, od Paska do Gombrowicza. Ponadto na poziomie podyplomowym musimy wyraźniej zakreślać paralele pomiędzy doświadczeniami światów pierwszego/drugiego

i trzeciego, pokazywać tory, jakimi toczyła się historia relacji pomiędzy kolonistą a kolonią w Rosji/Związku Sowieckim i w Europie Środkowej.

Jednocześnie naukowcom amerykańskim i polskim razem wziętym potrzebny jest rozrost sieci wymiany naukowej. Raz jeszcze opierając się na własnym doświadczeniu powiem, że pobyt w Polsce jest najskuteczniejszym środkiem przyciągnięcia studentów do zajmowania się polską problematyką. Znaczny procent amerykańskich *undergraduates* spędza część swoich lat nauki na „studiach za granicą”; jadą tam po części po to, aby przeżyć doświadczenie zanurzenia się w obcej kulturze. Jeśli studenci amerykańscy potrafią w celu takiego „zanurzenia się” w języku rosyjskim wybierać się aż do Nowosybirska, z pewnością będzie dla nich atrakcją „zanurzenie się” w przyjemniejszym otoczeniu Krakowa, Wrocławia, Torunia itd. Warto by też pomyśleć o stworzeniu systemu krótkoterminowych wymian dla studentów podyplomowych nie będących specjalistami, ale studiujących inne literatury — np. w postaci trwających miesiąc szkoleń w zakresie tego, co dzieje się, w sensie tematycznym i teoretycznym, w bieżącej produkcji literackiej Polski czy, szerzej, Europy Środkowej. Tam, gdzie obecnie pracuję, znam całkiem sporą liczbę studentów podyplomowych zajmujących się komparatystyką, którzy przyjęliby z chęcią ten rodzaj dostępu do wiedzy: nie mają oni czasu ani funduszy na uczenie się polskiego, ale pragną wiedzieć jak najwięcej o literaturach i kulturach środkowoeuropejskich. Rozwiązaniem najpewniejszym, bo najbardziej długofalowym, jest oczywiście zdobywanie środków finansowych. Gwarancją utrzymania się studiów polonistycznych w Stanach Zjednoczonych jest przede wszystkim istnienie etatów profesorskich, najlepiej w postaci „fundowanych katedr”. Program pomocy finansowej służącej tworzeniu nowych etatów wprowadziła już w życie jedna instytucja — tzw. Joint Committee on Eastern Europe (agencja działająca w ramach American Council of Learned Societies) — ale jej wysiłki muszą znaleźć poparcie w działalności innych grup. Tu właśnie w cały problem włącza się zagadnienie społeczności wyborców zrzeszonych na zasadzie etnicznej. Jeśli potrzebnych stanowisk uniwersyteckich nie zapewni rząd albo środowisko naukowe — proponować ich utworzenie i zdobywać na nie środki mogą organizacje prywatne. Gdy tylko stać je było na zebranie i ukierunkowanie swoich sił, grupy polonijne wywierały zawsze mocny nacisk na politykę tak rządu federalnego jak władz stanowych; podobny może być skutek ich działań w świecie nauki. Organizacje te mogą już być przeciętne akcjami o charakterze filantropijnym i zdominowane przez niedawnych emigrantów, dopiero urządzających się w nowym środowisku. Prozaicznym faktem naszej

wolnorynkowej gospodarki jest jednak to, że przedsięwzięcia w dziedzinie kultury i nauki utrzymywane są w znacznej części z prywatnych fundacji i darowizn. Co za tym idzie, my wszyscy, którym drogie są — w wyniku czy to naszego pochodzenia, czy pobranych nauk — bogactwa polskiej literatury i kultury, musimy wspólnym wysiłkiem pomóc w opłaceniu kosztów jej pozostania na stałe na scenie amerykańskiego życia kulturalnego.

przełożyła Anna Barańczak

**Jerzy R. Krzyżanowski, profesor literatur słowiańskich,
The Ohio State University**

1. Jak wspomina w swoich pamiętnikach George F. Kennan, właściwy twórca amerykańskiej polityki wobec Rosji, z wyjątkiem paru uniwersytetów w całych Stanach nie istniało ani zainteresowanie, ani nauczanie rosyjskiego do czasu wystrzelenia „sputnika”, co stało się dla amerykańskiej opinii publicznej i polityki szokiem, ostrzeżeniem przed potęgą potencjalnego przeciwnika. Od tego czasu wzrósł nie tylko „popyt” na rusycystykę (w najszerszym tego słowa znaczeniu), ale także „podaż” w postaci ogromnych funduszy federalnych przeznaczanych corocznie na rozwój tej dziedziny studiów, w postaci m.in. stypendiów dla zaawansowanych studentów rusycystyki — nie sławistyki. Powstało pewnego rodzaju *perpetuum mobile*, w którym — rzecz jasna — zabrakło miejsca na studia inne niż rosyjskie, a jeśli je tolerowano, to tylko jako uzupełnienie głównego kierunku. W ten sposób „rusycystyczny imperializm” istotnie skutecznie wyeliminował polonistykę sposobem najprostszym — materialnym. I ani wybór papieża, ani Wałęsa wraz z „Solidarnością”, ani Nobel dla Miłosza, czy wreszcie „rozpad imperium politycznego” tego rodzaju konkurencji sprostać nie mogą. Mamy tu do czynienia z wysoce pragmatycznymi studentami, którzy umieją liczyć i muszą płacić, a w książeczce czekowej idealizm źle się bilansuje z zapewnieniem dobrej i dobrze płatnej pracy. Dlatego też trudno nawet myśleć o jakiegokolwiek równowadze.

2. „Czym literatura polska może zainteresować (ewentualnie: czego może nauczyć) człowieka Zachodu?” Zaczniemy od drugiego wariantu pytania, żeby raz na zawsze skończyć z typowo polskim poglądem, że literatura może kogoś czegoś nauczyć. Literatura, na amerykańskich uniwersytetach, sama jest przedmiotem nauki — nie spełnia funkcji pedagogicznych. Uczymy odczytywania literatury, a nie uczymy się z literatury. Pracując kiedyś nad artykułem o Prusie raz jeszcze dokładnie

przestudiowałem podstawową dla znajomości przedmiotu monografię Szweykowskiego i poza dosłownie paru krótkimi uwagami nie znalazłem w niej słowa o sztuce pisarskiej Prusa, mnóstwo natomiast informacji o jego poglądach, filozofii, znaczeniu społecznym itd., itp. To samo, *mutatis mutandis*, można powiedzieć o większości polskich studiów krytycznych, podczas gdy najnowsza ich odmiana, *made in IBL*, operuje żargonem trudno zrozumiałym dla szerszego grona niewtajemniczonych. A same teksty literackie? Na pewno ciekawe i warte uwagi krytyka, tyle tylko że niedostępne dla studentów, a tym samym nie istniejące w świadomości krytyki. Przykłady? Ostatnie wydanie *Trylogii*, w horrendalnym zresztą przekładzie Curtina, ukazało się w latach 1890–1893, a więc równe sto lat temu (nie piszę o nowym wydaniu, wchodzącym na rynek w latach 1991–1992, gdyż trudno oceniać przyjęcie publikacji przed jej ukończeniem); *Lalka* Prusa czekała na przekład lat osiemdziesiąt dwa (1890–1972); a cofając się w historii: *Komedie* Fredry wydano w przekładzie w roku pańskim 1969, Norwid nie istnieje w ogóle, o żadnych wierszach jakiegoś tam Słowackiego nikt nigdy nie słyszał, Kochanowski znany jest tylko w przestarzałych i od dawna wyczerpanych przekładach... A literatura bardziej współczesna? *Wesele* ukazało się w roku 1990 i ten pierwszy przekład natychmiast spotkał się z druzgocącą krytyką; ostatnie wydanie *Chłopów* w przekładzie wydano w 1924 r., a *Popioły* w cztery lata później i od tego czasu słuch o książkach tych zaginął nawet w dużych bibliotekach, nie mówiąc już o ich braku w księgarniach. Może nieco lepiej wygląda literatura współczesna, ale znów: w podtytule *Pornografii* czytamy *translated from the French*, a w *Kosmosie* znaleźć można jeszcze ciekawsze *curiosum* „Tytuł z polskiego oryginału *Kosmos*. Ta wersja Erica Mosbachera dokonana została z francuskiego tłumaczenia Georges'a Sedira i niemieckiego tłumaczenia (*Indizien*) Waltera Tiela”. Masowe wydania powieści Andrzejewskiego (np. przerażająco niechlujny i pocięty w strzępy przekład *Popiołu i diamentów* — *sic!*), Borowskiego, Konwickiego i Schulza w wydaniu serii Penguin najczęściej nie są wznawiane i gdy raz znikną z księgarni, dzielą losy Reymonta i Żeromskiego. Jeszcze inną jest sprawą przykładanie nadmiernej uwagi do literatury współczesnej, bez utrzymania należytych proporcji pomiędzy tym okresem a stuleciami poprzedzającymi, co w rezultacie przynosi wypowiedzi takie, jak „konstatacja” meksykańskiego tłumacza literatury polskiej, Serga Pitola: „Na ogół, kiedy mówi się o literaturze polskiej, myśli się o dwóch wielkich ekscentrykach epoki przedwojennej: o Stanisławie Witkiewiczu i o Witoldzie Gombrowiczu”. Brak książek, brak tłumaczeń, brak kwalifikowanych wykładawców... Wracając więc do pytania ankiety: „Jakie są główne trudności w prezentowaniu literatury polskiej?” odpowiedzieć

tylko można: prawie nie do pokonania. Podczas gdy Turgieniewa, Tołstoja, Dostojewskiego i tuzin innych pisarzy rosyjskich, z Pasternakiem i Sołżenicynem na czele, znaleźć można w każdej prawie księgarni i bibliotece publicznej; literatury polskiej na rynku, a zatem w świadomości czytelniczej, po prostu nie ma.

3. Wykłady z literatury polskiej na Ohio State University (ogólna liczba studentów: 64 000) prowadzę raz na parę lat, gdy od odpowiednio dużej grupy studentów rusycystyki, zwykle pięciu, sześciu osób, wymaga się znajomości „drugiej literatury słowiańskiej” (polskiej, serbsko-chorwackiej, bułgarskiej, ukraińskiej, czeskiej, jakiegokolwiek). Trudno więc mówić tu o polonistyce, a obawiam się, że poza kilkoma uniwersytetami amerykańskimi, które policzyć można na palcach jednej ręki, sytuacja podobna do mojej powtarza się regularnie z powodów, o których już wspominałem. Mam więc najczęściej do czynienia z grupą doktorantów specjalizujących się w literaturze rosyjskiej, biorąc zaś pod uwagę ich zainteresowania dobieram odpowiednio tematykę wykładów. W roku bieżącym na przykład zajmujemy się problemem kresów wschodnich w literaturze polskiej, od *Marii Malczewskiego* po *Wyspę ocalenia* Odojewskiego, przy czym porównania z Puszkinem, Gogolem, Tołstojem i Bablem nasuwają się nieodparcie. Tego rodzaju metoda porównawcza przynosi czasem niespodziewane owoce: przed paru laty jeden z moich studentów napisał bardzo cenną pracę na temat *Wojny i pokoju* oraz *Popiołów*, stwierdziwszy ponad wszelką wątpliwość, że poza jedną pracą magisterską na ten temat, z Uniwersytetu Śląskiego, nikt ani w Polsce, ani w Rosji podobnej tezy porównawczej struktury obu powieści nie przeprowadził.

4. Przyznać muszę, że twierdzenie ankiety o odseparowaniu polonistyki od teorii literatury na tutejszych uniwersytetach (a może brano pod uwagę inne kraje?) wydało mi się co najmniej dziwne. Polonistyka — jaka jest, o tym wyżej — jest działem studiów slawistycznych, które na szeroką skalę wprowadził tu dopiero Roman Jakobson, a kontynuują jego uczniowie, toteż sprawy formalizmu, strukturalizmu, a ostatnio semiotyki zawsze były w centrum jej uwagi. Żartobliwie powtarzam, że praca, w której nie cytuje się trzy razy Łotmana i pięć razy Bachtina (lub odwrotnie), nie zasługuje na uwagę. W tym też duchu staram się kierować moich studentów w stronę osiągnięć polskiej szkoły krytycznej, a jednemu z nich udało się przed paru laty napisać zupełnie zgrabną pracę doktorską na temat tego, co zrobiono w IBL przez ostatnie ćwierćwiecze, gdy jednak praca została obroniona, okazało się, że nie ma na nią wydawcy — nikogo to bowiem poza kilkoma specjalistami nie interesuje, ci zaś najczęściej znają i polski, i Polskę, i swoich kolegów z Pałacu Staszica na tyle dobrze, że sami pewnie lepiej by umieli napisać, gdyby

chcieli. W rezultacie jedno z najciekawszych zjawisk nowoczesnej polonistyki znów pozostało nie zauważone przez kolegów—sławistów, cytujących za to Bachtina nieomal z pamięci.

5. Ilu polonistów krajowych swobodnie czyta i mówi po angielsku? A dalej: ilu z nich regularnie śledzi amerykańskie prace krytycznoliterackie i teoretycznoliterackie? I wreszcie: ilu z nich podjęłoby się pójść w ślady Romana Dyboskiego (który był „tylko” anglistą) i potrafiłoby mądrze, ciekawie i zrozumiale mówić w Stanach o literaturze polskiej? Angielski stał się dziś językiem międzynarodowym i polonista, jeśli chce coś w świecie osiągnąć, musi to uwzględnić.

**Madeline G. Levine, profesor literatur słowiańskich,
University of North Carolina**

1. „Imperializm rosyjski”. Prawdą jest, że z nielicznymi wyjątkami, będącymi rezultatem dziewiętnastowiecznego rozmieszczenia imigrantów, wydziały języków i literatur słowiańskich zdominowane były w przeszłości przez rusycystykę. Wydaje się, że przewaga studiów nad kulturą rosyjską i radziecką rzeczywiście wiąże się bezpośrednio z mocarstwową pozycją Związku Sowieckiego, interpretowanie jednak sytuacji w uniwersytetach amerykańskich wyłącznie jako odbicia polityki międzynarodowej byłoby znacznym uproszczeniem.

Bezspornie są pewne ważne, nawet racjonalne powody, dla których rusycystyka zachowa swe poczesne miejsce. Większość z nas, specjalizujących się w tym, co powszechnie określa się mianem „pomniejszych” literatur Europy Wschodniej, zwłaszcza tych z nas, którzy wykształcenie zdobyli w Ameryce, posiada również odpowiednie kwalifikacje w dziedzinie rusycystyki i rzeczywiście uczy języka rosyjskiego, prowadzi kursy rosyjskiego językoznawstwa lub literatury rosyjskiej. Odbija się to oczywiście na liczbie studentów, których możemy wykształcić w naszych węższych specjalnościach. Sytuacja ta jest jednak także wynikiem bardzo małego zapotrzebowania ze strony studentów na zajęcia inne niż rusycystyczne. Kiedy np. proponuję zajęcia z dziewiętnastowiecznej powieści rosyjskiej, bądź zajęcia poświęcone tylko Tołstojowi czy Dostojewskiemu, na taki kurs zapisuje się zwykle 25–35 studentów. Kiedy zaś wykładam literaturę polską, mam zazwyczaj nie więcej niż sześciu słuchaczy — czasami nawet mniej. Mój wydział po prostu nie mógłby sobie pozwolić na utrzymywanie mnie w gronie wykładowców, gdybym ograniczała się jedynie do polonistyki. Poza tym lubię wykladać literaturę rosyjską obok polskiej — ponieważ jest ona n a p r a w d ę interesująca, a także dlatego, że uczenie co roku

zaledwie garstki studentów działa na nauczyciela akademickiego demoralizująco.

Ponadto nauczanie języków słowiańskich i wschodnioeuropejskich poza rosyjskim jest bardzo słabo rozwinięte. W porównaniu z innymi językami Europy Wschodniej (eufemistycznie określanymi jako „języki mniej powszechnie nauczane”) polski i serbsko-chorwacki są reprezentowane dość dobrze. Oznacza to, że student, który rzeczywiście chce się uczyć jednego z tych dwu języków, znajdzie miejsce, gdzie będzie go mógł studiować przez co najmniej dwa lata. (Tylko bardzo nieliczne instytucje zapewniają dłuższą niż dwuletnia naukę tych języków; większość dobrych college'ów i uniwersytetów oferuje natomiast trzyletni kurs rosyjskiego, niektóre zaś nawet cztero- czy pięcioletnie. W wielu miastach amerykańskich przynajmniej podstawową znajomość rosyjskiego można zdobyć w szkole średniej; nie ma wszakże takiej możliwości jeśli chodzi o inne języki słowiańskie i wschodnioeuropejskie.) Jeśli jego macierzysty college lub uniwersytet nie prowadzi kursów języka polskiego, student może uczęszczać na kurs wakacyjny w jednej z kilku dobrych instytucji — taki kurs można znaleźć każdego lata. Do niedawna takich możliwości nie było w wypadku węgierskiego, rumuńskiego i innych języków Europy Wschodniej.

2. Jak zainteresować studentów literaturą polską? Bezsposornie literatura polska jest interesująca — zarówno pod względem formalnym, jak i tematycznym. K a ż d a literatura jest ciekawa na swój sposób, niektóre są jednak bardziej przystępne dla czytelników zagranicznych niż inne. Wykładowca literatury polskiej musi być przygotowany na poświęcenie znacznej części czasu swych zajęć zagadnieniom polskiej historii i polityki; duża część literatury polskiej (mówię tu oczywiście tylko o tym, co dostępne jest w przekładach angielskich) wydaje się niezrozumiała i prawie niedocieczona czytelnikom, którzy przystępują do niej z nader mglistym wyobrażeniem o Polsce jako jednym z owych wielu z trudem dających się od siebie odróżnić komunistycznych do niedawna krajów gdzieś tam w Europie. Zdziwiająca jest jednak, jak szybko studenci „połykają haczyk” polskiej literatury, gdy już ją odkryją. Kłopot polega zatem nie na tym, czy literatura polska może przemawiać do studentów amerykańskich, lecz na tym, jak ich przyciągnąć do sal wykładowych. Po blisko dwudziestu latach nauczania doszłam do pragmatycznego wniosku, że najgorszym sposobem przyciągania słuchaczy jest proponowanie kursów skupiających się niezmiennie na samej literaturze polskiej. Polonista musi być gotów uznać, że choć literatura polska może być „interesująca” i „atrakcyjna”, takie są również inne literatury — nawet rosyjska; przekona się, że więcej słuchaczy zapisze się na zajęcia porównawcze niż poświęcone wyłącznie polskiej literaturze, oraz

że studenci, którzy odkryją literaturę polską na zajęciach komparatystycznych np. o literaturze absurdu czy powojennej powieści wschodnioeuropejskiej, niejednokrotnie podejmą dalsze studia nad literaturą polską jako taką. Innymi słowy, najgorszą postawą, jaką może przyjąć polonista, jest postawa „my jesteśmy lepsi od nich”; a już bezwzględnie najgorsze jest stanowisko, będące formą samoobrony w tej trudnej sytuacji, zakładające, że polska literatura jest hermetyczna i nie można jej nauczać nie wtajemniczonych.

3. Prowadzone przeze mnie zajęcia. Raz na cztery semestry (czyli co drugi rok) prowadzę zajęcia z dwudziestowiecznej literatury polskiej w przekładach angielskich. W takich samych odstępach czasu prowadzę również albo kurs porównawczy na temat kształtowania tożsamości narodowej w literaturach Polski, Czechosłowacji i Jugosławii, albo zajęcia komparatystyczne z zakresu absurdu i groteski w literaturach polskiej, czeskiej i rosyjskiej. Co pewien czas wprowadzam specjalny kurs poświęcony radzieckiej i polskiej literaturze obozowej. Pozostałe moje zajęcia (co najmniej 50%) dotyczą literatury rosyjskiej. Wykładam w Uniwersytecie Północnej Karoliny od blisko siedemnastu lat i przez cały ten okres miałam tylko czworo studentów poważnie zainteresowanych literaturą polską bądź wybierających ją jako główną specjalizację (przy czym w dwu wypadkach byli to Polacy, a w jednym Amerykanin polskiego pochodzenia). Studenci wybierają moje zajęcia z literatury polskiej lub porównawczej z następujących powodów: (1) są pochodzenia polsko-amerykańskiego i są zaciekawieni swym dziedzictwem kulturowym; (2) robią doktorat z literatury rosyjskiej, a to nakłada na nich obowiązek studiowania (co najmniej) jeszcze jednego języka słowiańskiego i jego literatury; (3) specjalizują się w dziedzinie historii lub nauk politycznych, zajmując się dziejami Rosji i Związku Sowieckiego, a po trosze i Europy Wschodniej; (4) muszą spełnić uniwersytecki wymóg zaliczenia trzech kursów z zakresu tego, co nazywamy „perspektywą estetyczną”, a na wszystkich innych kursach tego typu, w których woleliby uczestniczyć, nie ma już miejsc. Studenci z grup (1) i (2) podejmują też zazwyczaj prowadzony przeze mnie dwuletni cykl nauki języka polskiego, w którym główny nacisk kładę na umiejętność biegłego czytania. W drugim roku tego kursu czytają oni zwykle jakąś sztukę Mrożka lub Gombrowicza, wybór powojennych opowiadań z wypisów pod redakcją prof. Alexandra Schenkera oraz wybrane utwory poetyckie, za każdym razem inne. Studentom, którzy tego pragną, oferuję również indywidualne zajęcia poświęcone lekturze prac o określonej tematyce; przez wszystkie te lata nie przeprowadziłam chyba więcej niż paręnaście takich kursów.

4. Polonistyka a teoria literatury. Bądźmy realistami. Trudno właściwie

mówić o „polonistyce” w Stanach Zjednoczonych. Subtelne rozważania teoretycznoliterackie opierające się na tekstach polskich nie mogą liczyć na znalezienie słuchaczy, chyba że zajmują się nielicznymi dobrze przetłumaczonymi i (stosunkowo) szeroko czytanyymi autorami polskimi — Miłoszem, Herbertem, Gombrowiczem. Naszym studentom potrzebne są dobre, przystępne prace krytyczne w języku angielskim dotyczące autorów, okresów i gatunków literackich. Potrzeba nam prawdopodobnie dwukrotnie więcej niż mamy obecnie tłumaczeń na angielski polskich utworów literackich. W taki właśnie sposób rozbudowuje się zaniedbaną dotychczas dyscyplinę badań literackich. Bez takich tworzących podwalinę dyscypliny prac polonistyka pozostanie dziedziną uprawianą przez odosobnioną mniejszość na obrzeżach rusycystyki.

5. Związki między polonistami polskimi i amerykańskimi. To chyba najtrudniejsze pytanie ankiety. Chciałoby się powiedzieć, że związki te powinny być ściśle i przynoszące wzajemne korzyści, jak jednak miałyby to wyglądać w praktyce? Liczne są przeszkody finansowe i praktyczne utrudniające wymianę badaczy i nauczycieli, podobnie jak wymianę studentów; niemniej należy dążyć do dokonywania takich wymian. Użyteczne dla obu stron byłyby wymiany książek, zarówno w ramach umów oficjalnych, jak i kontaktów prywatnych. Nietrudno zrozumieć, jak przydatni mogą być polscy badacze literatury i nauczyciele języka w środowisku amerykańskim; mogliby pomóc w przygotowaniu materiałów do nauczania, a nawet uczyć studentów amerykańskich jako goście odpowiednich wydziałów, pod warunkiem, że znajdą się na to pieniądze. Mogą oni oczywiście stanowić także nieocenioną pomoc jako rozmówcy i krytycy dla Amerykanów zajmujących się badaniem literatury polskiej. Trudniej natomiast wyobrazić sobie, w jaki sposób amerykańscy poloniści mogą się przyczynić do rozwoju tej dyscypliny w Polsce. Może jednak na tę część pytania powinni odpowiedzieć Polacy, nie Amerykanie.

przełożyła Maria Bożenna Fedewicz

Czesław Miłosz, profesor emerytowany literatur słowiańskich, University of California, Berkeley

Nie sądzę, że umiałbym odpowiedzieć na wszystkie pytania ankiety. Nie znam wydziałów sławistyki w zachodniej Europie, bo nigdy tam nie wykładałem. Tak, że moje uwagi odnoszą się wyłącznie do Stanów Zjednoczonych.

1. „Rusycystyczny imperializm” niewątpliwie istnieje i nic nie wróży

jego końca, nawet przeciwnie. Należy sobie uświadomić, o czym chętnie się zapomina, że uniwersytecka slawistyka zajmuje się nauczaniem języków słowiańskich oraz nauczaniem literatur, ale ta pierwsza funkcja jest podstawowa. Absolwenci mają znać język i główne dzieła w tym języku pisane, ale przecie ten język jest o b c y i opanowanie go kosztuje dużo wysiłku. Wobec tego jest to inwestycja pieniędzy i energii, czyli z założenia powinna być opłacalna. Im więcej dany język obiecuje w sensie pracy zarobkowej, a więc posad w instytucjach naukowych, handlowych, służby zagranicznej itd., tym lepiej. Ponieważ Rosja jest duża, im bardziej się otwiera, tym szansa pracy dla osób znających rosyjski rośnie. Wkład pieniędzy ze strony uniwersytetów jest z tym związany i zależy od liczby studentów chętnych do wybrania rusycystyki. Zdarza się, że tolerują polonistykę albo bohemistykę „dla honoru” domu, ale ulegają naciskom jej niechętnym przy pierwszej okazji. Na samych wydziałach rusycyści są zainteresowani w utrzymaniu swego stanu posiadania i subsydia garną dla siebie. W moim doświadczeniu koledzy–rusycyści odstręczali niekiedy od wybrania polonistyki, kierując się tych studentów korzyścią („gdziez dostaniesz pracę jako polonista?”). Brak jest grup nacisku. Polonia amerykańska jest notorycznie nie zainteresowana tzw. kulturą. Jest nastawiona na zarabianie pieniędzy i nawet możliwość zarabiania w zawodach humanistycznych jest już ponad jej rozumienie. Osobno należałoby zbadać, jak taka Polonia w Kanadzie, w Toronto, doszła do ufundowania polskiej katedry, ale to osobny temat, zbyt rozległy na tę ankietę.

2. Polska literatura nie jest szczególnie atrakcyjna. Rosyjska ma wielką powieść dziewiętnastego wieku, z której wszystko przetłumaczono na angielski, tak że studenci uczą się dopiero języka, ale równocześnie już studiują rosyjskich klasyków w przekładzie. Poezja rosyjska, dla tych, którzy nie mogą jej czytać w oryginale, trzyma się autorytetem. P o d o b n o Puszkina czy Błocki, czy Mandelstam są wielcy, ale w przekładzie nic z tego prawie nie zostaje. Literatura staropolska ledwo istnieje na Zachodzie, bo przecie to poezja albo dramat. Natomiast wiek dziewiętnasty też mało przynosi poza poezją, powieści prawie nie ma. Coś się tam rusza w wieku dwudziestym, ale przeważnie na marginesie komunizmu, jak Andrzejewski (*Ciemności kryją ziemię*), albo zagłady, jak Borowski. Któżby tam czytał Dąbrowską — *Noce i dnie* nigdy nie zostały przetłumaczone, bo tłumacz umarłby z nudów. A trudno studium literatury oprzeć na paru pisarzach „awangardowych” jak Gombrowicz, Bruno Schulz czy Witkacy.

3. Wykładając na Uniwersytecie Kalifornijskim zdawałem sobie sprawę, że literatury używam jako pretekstu, bo tej polskiej literatury w przekładzie n i e m a. Starałem się więc robić coś w rodzaju historii kultury.

I wydaje mi się, że zupełnie obłądna historia tego obszaru w połączeniu z piśmiennictwem, a zwłaszcza historią wyznań religijnych, może do czegoś prowadzić. Moje zajmowanie się polskimi arianami tym się tłumaczy, że istnieje literatura o nich w języku angielskim i że katolicyzm, reformacja, prawosławie mają uniwersalne znaczenie. A jeżeli ktoś chce poważnie zajmować się Rosją, będzie źle przygotowany, jeżeli nic nie wie o ludach i wyznaniach Rzeczypospolitej, stąd waga tak pojętej polonistyki także dla rusycystów.

Na ogół wykładanie literatury polskiej jest trudne i niewdzięczne, np. nie można dać kursu o Mickiewiczu, bo nikt nie przyjdzie. Można dać kurs o Puszkynie, ale i to od biedy, co innego Gogol, Tołstoj, Dostojewski.

4, 5. O czym można mówić, jeżeli samo położenie gruntu wymaga wiadomości na poziomie szkoły średniej?

Profesor Edward Możejko, kierownik Katedry Literatury Porównawczej, redaktor naczelny „Canadian Slavonic Papers”, The University of Alberta, Edmonton

Na początku krótkie wyjaśnienie. Nie jestem zawodowym polonistą; ukończyłem slawistykę krakowską i głównym obszarem mego zainteresowania stały się literatury słowiańskie.

1. Pierwsze pytanie ankiety wydaje się sugerować, że rozkwit rusycystyki na Zachodzie, czego jaskrawym przykładem są Stany Zjednoczone, jest wynikiem mocarstwowej pozycji Rosji. Moim zdaniem jest to pogląd z gruntu fałszywy. Główna przyczyna zainteresowań rusycystycznych leży w samej literaturze rosyjskiej, w jej fascynującej problematyce, artyzmie, bogactwie, różnorodności. Nie sądzę, aby wprowadzanie jakiegś równowagi między studiami rusycystycznymi (sowieologicznymi) a literaturami Europy Środkowowschodniej było możliwe, przynajmniej nie w najbliższym czasie, ale wprowadzenie perspektywy porównawczej między innymi kulturami, szczególnie na szczeblu studiów magisterskich i doktoranckich, może tu wydatnie pomóc.

Przy rozpatrywaniu tych spraw pamiętać należy o ciągłej mutacji zainteresowań badawczych i metodologicznych. Moda — oto słowo, które charakteryzuje współczesne tendencje: „izmy” mnożą się z zawrotną szybkością. Postmodernizm, poststrukturalizm, feminizm (spodziewam się w najbliższym czasie postfeminizmu). Mody wpływają tu mocno na zainteresowania humanistyczne młodzieży. Nie jestem pewien, czy polonistyka stwarza tu odpowiednią płaszczyznę do tego typu studiów.

2. Przyczyn małego zainteresowania literaturą polską jest kilka. W świadomości Zachodu Polska pozostaje krajem o drugorzędnym znaczeniu, ale z pewnością ogromne, niepowetowane szkody w tym zakresie wyrządziła tu prawie pięćdziesięcioletnia izolacja od Zachodu, przekonanie, że Polska jest jakąś przybudówką Rosji (np. pytania studentów w Danii: czy używacie cyrylicy, czy też macie alfabet łaciński, a przecież to są sąsiedzi zza miedzy). Po raz pierwszy, moim zdaniem, w dziejach Polski rytm rozwojowy jej literatury, przebiegający mniej więcej równoległe do głównych prądów kulturowych Europy, został zakłócony. Zamiast normalnie rozwijać się, literatura polska nie tylko musiała walczyć o własną tożsamość, o swój własny, autentyczny wyraz, ale i o tożsamość narodu zagrożonego obcą ideologią i przemocą. Romantyzm robił to samo, ale był częścią składową wielkiego ogólnoeuropejskiego prądu kulturalnego. W wieku dwudziestym pojawiła się literatura dysydencka. Poprzedziły ją literatura tzw. realizmu socjalistycznego (notabene bardzo słaba w Polsce), literatura odwilżowa, *samizdat* itp. Wszystko to identyfikowało nas z Sowietami czy sowiecką sferą wpływów, zjawiska te nie miały bowiem zachodnioeuropejskich odpowiedników. Jeśli student miał możliwość wyboru między np. literaturą polską, czeską czy rosyjską, to wybierał tę ostatnią, bo należała do narodu, który zdominował cały obszar Europy Środkowowschodniej. Ponadto trzeba odnotować, że reżim w Polsce był znacznie liberalniejszy niż np. w Bułgarii lub innych krajach bloku, co spowodowało, że literatura dysydencka nigdy nie nabrała w Polsce ani tego rozmachu, ani tej agresywności co w Rosji. Nie mieliśmy pisarzy–dysydentów na miarę A. Sołżenicyna, W. P. Aksjonowa, W. Wojnowicza czy W. Maksimowa lub A. Bitowa. Znaczenie polskiej literatury podziemnej było zresztą chwilowe, a jej wartość miała charakter ściśle historyczny, interesowała zagranicę o tyle, o ile wyrażała opór. Znacznie trwalszą pozycję i uznanie zdobył np. S. Lem jako autor fantastyki naukowej. Sądzę, że tzw. literatura źle obecna straciła już swą siłę przyciągającą. Czym lub raczej kim ją zastąpić? Miłoszem? Gombrowiczem? To za mało. Wydaje się, że należałoby dokonać pewnych przewartościowań w hierarchii całej powojennej literatury polskiej. Literatura polska ma sporo pisarzy, którzy nie angażowali się bezpośrednio w walkę z reżimem, a jednak stworzyli dzieła, które mogą wywołać zainteresowanie wśród czytelników zagranicznych.

3. Prowadziłem zajęcia prawie we wszystkich zakresach odnoszących się do studiów polonistycznych za granicą, a więc uczyłem podstaw języka, wykładałem gramatykę opisową i historyczną, przeglądałem historię literatury polskiej od renesansu do współczesności. Najczęściej jednak była to literatura XIX i XX w. Rzadko zapisują się na te zajęcia studenci

o autentycznych zainteresowaniach, pragnący wybrać polonistykę jako specjalizację. Na ogół są to studenci polskiego pochodzenia biorący tzw. *options*, to znaczy przedmioty, które mogą dowolnie wybrać w ramach swojej specjalizacji (np. inżynierii, studiów medycznych itd.). Ponieważ wydaje im się, że znają polski, wybierają ten przedmiot, bo liczą na podniesienie przeciętnej swoich ocen. Niekiedy są to niezwykle utalentowani ludzie w zakresie humanistyki, ale jednak nie widzą dla siebie perspektyw w polonistyce. Ich wybór cechuje daleko idący pragmatyzm. Zdarzają się jednak wypadki, że studenci kierują się bezinteresowną ciekawością, chęcią poznania innej kultury. Jeśli w takich wypadkach podejmują tematykę badawczą, to przeważnie w obrębie literatury dwudziestego wieku (np. jedna ze studentek napisała pod moim kierunkiem pracę magisterską o Tadeuszu Borowskim), okres międzywojenny lub powojenny.

4. Pytanie nie jest dla mnie całkiem jasne. Wbrew temu, co wydaje się ono sugerować, teoria literatury na Zachodzie (mówię tu głównie o Stanach Zjednoczonych i Kanadzie) jest bardzo często „zadomowiona” w katedrach anglistyki, a więc instytucjonalnie (podobnie jak w Polsce) związana z głównym kierunkiem studiów humanistycznych (zwykle katedry anglistyki są liczebnie największe). A więc zachodzi tu pewna paralela; ale jeśli pytanie podsuwa myśl, że na Zachodzie można by ewentualnie połączyć polonistykę z teorią literatury, to trzeba od razu powiedzieć, że sugestia taka nie liczy się z istniejącymi na uniwersytetach północnoamerykańskich układami między poszczególnymi dyscyplinami. Od dwudziestu mniej więcej lat rosnąca liczba katedr i tzw. programów literatur porównawczych dokonała wyłomu w dominacji katedr anglistyki w dziedzinie teorii. Obecnie katedry anglistyki reagują na to wyzwanie poprzez rozwijanie szeroko pojętych studiów kulturowych, łączących w sobie nie tylko język i literaturę, lecz również inne zjawiska współczesności, takie np. jak kultura masowa. W ramach studiów porównawczych prowadzi się badania teoretyczne, ale nie tylko. Właściwie przeważają prace typologiczne, oparte dosyć rygorystycznie na założeniach teoretycznych. Często włącza się do tych programów teorię i praktykę przekładów. Zawsze było dla mnie zagadką, dlaczego nie podjęto w Polsce bardziej systematycznych studiów porównawczych, dlaczego nie próbowano stworzyć takiej dyscypliny, bo przecież literatura polska stanowi tak wdzięczny materiał do porównania. W Polsce komparatystyką zajmowali się głównie neofilolodzy (M. Brahmer, Z. Szmydtowa), filolodzy klasyczni. Wydaje się, że należałoby w tym zakresie wytyczyć nowe kierunki, przełamać dotychczasową tradycję. Pod tym względem Węgrzy okazali się od nas znacznie mądrzejsi. Nowe wysiłki w tym kierunku rozszerzyłyby możliwości upowszechnienia

literatury polskiej i studiów polonistycznych, głównie przez kontakty i współpracę z ośrodkami studiów porównawczych za granicą, ale z pewnością wzmocniłyby, pośrednio czy bezpośrednio, polonistykę w ramach studiów slawistycznych na Zachodzie. W zachodzących obecnie przemianach w Polsce, także w zakresie życia akademickiego, powinno się znaleźć miejsce na utworzenie instytutów literatury porównawczej w kilku ośrodkach akademickich. Mogłoby to pomóc „umiędzynarodowieniu” humanistyki polskiej w ogóle, a polonistyki w szczególności. 5. Wydaje mi się, że poprawa sytuacji polonistyki zagranicznej zależy w dużym stopniu od współpracy zarówno krajowych instytucji kulturalnych i akademickich, jak i Polonii. Wspólnota Polska powołana do utrwalenia więzów między krajem a emigracją powinna się tą sprawą zainteresować. Pragnąłbym jednak podkreślić, że bez poparcia ośrodków akademickich niewiele tutaj da się zrobić. Takie organizacje jak Kongres Polonii Amerykańskiej czy Kongres Polonii Kanadyjskiej powinny zrozumieć wagę tego zagadnienia. Na uniwersytetach północnoamerykańskich nie istnieje instytucja lektoratów, tak jak np. w wypadku krajów zachodnioeuropejskich. Poprawić tę sytuację można na przykład poprzez utworzenie tzw. „Chairs of Polish Studies” przy różnych katedrach slawistyki. „Chair” to zwykle ktoś, kto wyłącznie zajmuje się jedną dyscypliną, dba wyłącznie o nią i nie wykłada innych przedmiotów.

**Aleksander Schenker, profesor lingwistyki słowiańskiej,
Yale University, New Haven**

Pozwolę sobie skomasować wszystkie punkty. Otóż według mnie ów „rusycystyczny imperializm” nie tylko nie szkodzi studiom literatury polskiej, ale jest ich racją bytu. Literaturą polską zajmowano by się znacznie mniej, gdyby nie była ona sprzężona lingwistycznie, politycznie, a przede wszystkim instytucjonalnie (mam tu na myśli całokształt programu studiów uniwersyteckich) z literaturą rosyjską. Na slawistycznej katedrze w Yale jedna tylko doktorantka (zresztą rodowita Polka) będzie się doktoryzować z literatury polskiej, a reszta (około dwudziestu pięciu) ma specjalizację rusycystyczną lub językoznawczą. Taka proporcja nie jest wyjątkiem w Ameryce i nie zależy ona od obecności stałego polonisty. U nas nie było inaczej, kiedy literaturę polską wykładali (lub mogli wykładać) Erlich i Picchio. Nie było inaczej w Berkeley, kiedy był tam Miłosz, ani w Harvardzie za Weintrauba. Wątpię też, czy na Columbii u Segala lub w Harvardzie za Barańczaka jest znacznie lepiej. Literatura polska na najlepszych uniwersytetach amerykańskich ma charakter usługowy. Znajomość jakiejś

literatury słowiańskiej nie-rosyjskiej jest wymagana od rusycystów i wtedy wielu z nich wybiera literaturę polską.

Dlaczego literatura polska nie ma więcej adeptów? — Po prostu dlatego, że dla Amerykanina literatura rosyjska jest atrakcyjniejsza niż jakakolwiek inna literatura Europy Środkowowschodniej. Gdyby to było tylko oczarowanie wielkim mocarstwem, można by było mieć nadzieję, że „po rozpadzie imperium politycznego są szanse na przywrócenie pewnej równowagi”. Tak jednak nie jest. Upadek imperium sowieckiego nie rokuje jednoczesnego zmniejszenia zainteresowania Rosją. Z imperium czy bez, Rosja pozostanie potęgą, a jej literatura nie przestanie fascynować zagranicznego obserwatora.

Jakie są tego przyczyny? Wydaje mi się, że chodzi tu o kilka momentów. Z punktu widzenia Amerykanina poezja, która jest zasłużoną chlubą literatury polskiej, nie decyduje o atrakcyjności literatury. Poezja wymaga specjalnego wyczulenia językowego i dogłębnego opanowania tradycji, która ją zrodziła. Bez tego recepcja sztuki poetyckiej musi być spłycona. Nawet doskonale tłumaczenia wierszy (a takich jest bardzo mało) nie mogą przekazać tych sygnałów, które automatycznie odbiera czytelnik zanurzony w język i jego tradycję poetycką.

W prozie literatura polska nie może współzawodniczyć z literaturą rosyjską. Kogo mamy przeciwstawić takim pisarzom dziewiętnastego wieku jak Puszkina, Lermontow, Gogol, Aksakow, Gonczarow, Leskow, Dostojewski, Turgieniew, Tołstoj czy Czechow (a to przecież nie wszyscy)? Jakakolwiek próba zmierzenia się z taką konkurencją musi dla nas wypaść żenująco. W dwudziestym wieku sytuacja jest bardziej wyrównana, ale ciągle daleko jej do równowagi. W Polsce się zapomina, że literatura rosyjska sięga swymi cerkiewno-słowiańskimi korzeniami jedenastego wieku. Zanim zrzuciliśmy z siebie kaftan łaciny, Rosjanie (może słuszniej byłoby powiedzieć wschodni Słowianie) już mieli znakomitych pisarzy (Nestor, Hilarion, Cyryl z Turowa, Szymon i Polikarp), wiele anonimowych arcydzieł literatury (*Słowo o wyprawie Igora*, *Zadońszczyzna*) i mnóstwo doskonałych tłumaczeń z literatury bizantyńskiej. A my? *Bogurodzicę* i *Kazania świętokrzyskie*.

Polska słusznie szczydzi się przynależnością do kultury zachodniej. Ale choć byliśmy, jesteśmy i zawsze będziemy częścią Europy, to jednak w naszych realiach oznacza to bycie „przyczynkiem” Europy. Za często zamiast kontynuować twórczo kulturę zachodnią, wtórujemy jej. Za często jesteśmy jej „pawiem i papugą”. A kiedy wyjątkowe jednostki zdobywają się na odrębność, to głównie w poezji. Na ogół polska problematyka literacka nie odkrywa przed amerykańskim studentem nowych horyzontów. Wszystko jest swojskie i zrozumiałe. Zupełnie inaczej jest z kulturą i literaturą rosyjską. Jest ona specyficzna i oryginal-

na. Rosjanin nie identyfikuje się z Zachodem, a czasem nawet widzi większe związki swego kraju z Azją niż z Europą. Ta egzotyka podnieca i wciąga czytelnika.

Ale sama egzotyka nie wystarcza. Literatury chińskiej tu się masowo nie studiuje. Chodzi jednak o to, że literatura rosyjska przy całej swojej odrębności jest uniwersalna. Przemawia do wszystkich i każdego z osobna, bo zмага się z istotą losu człowieka, z pojęciami dobra i miłości, zbrodni i kary, śmierci i przebaczenia. Jest po prostu głęboko chrześcijańska. Literatura polska natomiast (proszę wybaczyć to uogólnienie) jest albo sceptyczna, albo przykładowie cnotliwa, a to nie samo. Poza tym zbyt często jest osadzona w polskich realiach i bez ich znajomości niezrozumiała. Jak czytać *Dziady*, *Wesele* czy *Popioły* z amerykańskim studentem bez zaznajomienia go z polską rzeczywistością? A to wymaga czasu i pracy oraz wiary, że inwestycja się opłaci.

Czy można to zasadniczo zmienić? Sądzę, że nie. Teoria literatury jest w Ameryce rzeczywiście administracyjnie niezależną jednostką, ale jednak pozostaje zawsze w ścisłym związku z katedrą literatury angielskiej. Tego systemu zmienić się nie da. Wydaje mi się, że najlepszą szansą literatury polskiej w Ameryce jest pozostać w przyczepie rosyjskiej trojki i nalegać na utrzymanie ogólnoslawistycznego profilu studiów doktoranckich.

Co do mnie, jestem slawistą-językoznawcą i o literaturę zahaczam jedynie poprzez filologię. I właśnie w językoznawstwie widzę możliwości zdobycia parytetu dla polonistyki na uniwersytetach amerykańskich. Wszystkie języki słowiańskie są jednakowo ciekawe dla lingwisty z punktu widzenia ich struktury. A jeśli chodzi o ich historię, to polski język literacki ma nawet pewną przewagę nad swoimi słowiańskimi braćmi, bo jest on jedyny, który rozwija się nieprzerwanie od średniowiecza. Drugą dziedziną, w której mniejsze kraje Europy Środkowowschodniej mogą współzawodniczyć z Rosją na tutejszych uniwersytetach, jest historia. Bez względu na potęgę kraju problematyka historyczna, obojętne czy polska, rosyjska czy litewska, może zawsze być ciekawa i pouczająca.

Halina Stephan, profesor literatur słowiańskich, University of Florida

1. Pozwolę sobie zająć nieco pozytywistyczne stanowisko, które prowadzi do deprymującej konkluzji, że polonistyka w Stanach Zjednoczonych jest zjawiskiem marginesowym i, niezależnie od wysiłków osób związanych z polską literaturą, pozostanie na peryferiach „imperium ruscystycznego”. Z perspektywy osoby, która

studiowała slawistykę w Stanach Zjednoczonych, marginesowość polskiej literatury jest zupełnie zrozumiała i nie daje specjalnego powodu do załamania rąk. Zdaję sobie sprawę, że osoby o bardziej polonocentrycznych poglądach niż moje mogłyby dać niezliczone dowody sukcesów naukowych i pedagogicznych amerykańskiej polonistyki. Jakkolwiek rzutują one bez wątpienia na wewnętrzne kręgi polonistyczne, to rzadko wychodzą na ogólne forum slawistyczne, które jest absolutnie zdominowane przez rusycystykę.

Prawdą jest, że zagranica odegrała ważną rolę w przechowywaniu autentycznych polskich tradycji literackich, których rozwój w Polsce ze znanych powodów był bardzo ograniczony. Tradycja przetrwała jednak głównie w londyńskim i paryskim ośrodku emigracyjnym. Należy zauważyć, że uniwersytety — które są skierowane do ludności miejscowej — odgrywały pewną rolę w tym procesie tylko wtedy, jeżeli osoba powiązana z polską literaturą była także wykładowcą uniwersyteckim. Osób takich było niewiele. Należałoby wspomnieć Czesława Miłosza, Wacława Lednickiego i może jeszcze parę nazwisk. Obecnie polonistyka amerykańska jest w bardzo sympatycznych i energicznych rękach Stanisława Barańczaka (chwała mu za to), ale to nie zmienia stanu rzeczy; uniwersytety grają dziś znacznie mniejszą rolę w upowszechnianiu literatury polskiej niż polskie emigracyjne centra kulturalne. W tym wypadku, nawet jeżeli polonistyka jest wykładana przez osoby z Polski czy też pochodzenia polskiego, to ogranicza do pewnego stopnia jej atrakcyjność dla miejscowych studentów, którzy mają trudności ze zrozumieniem uniwersalności takiej literatury. I tu punkt dla strony rosyjskiej. Większość rusycystów amerykańskich jest pochodzenia czysto amerykańskiego i sama ich obecność w rusycystyce przekonuje amerykańskich studentów o obiektywnych wartościach artystycznych literatury rosyjskiej. Należy także pamiętać, że Amerykanie byli i są zafascynowani fenomenem Rosji, Związku Sowieckiego — rosyjskiej kultury politycznej i literackiej. Nie widzę najmniejszej możliwości, żeby „rozpad imperium politycznego” w jakikolwiek sposób zmienił ten stosunek. Polska w popularnej opinii pozostaje „jednym z małych krajów Europy Wschodniej” (*Moniza Clavier* Mrożka), a masowa emigracja zarobkowa pozostawiła w świadomości przeciętnego Amerykanina nie zachęcający obraz tego kraju.

Nadzieję naszą mogliby być studenci polonistyki na amerykańskich uniwersytetach, którzy zostaliby propagatorami osiągnięć polskiej literatury. W tym wypadku struktura uniwersyteckiego wykształcenia w Stanach Zjednoczonych powoduje, że tylko nieliczne jednostki będą odpowiednio kwalifikowane, żeby zagrać taką rolę. Pierwsze cztery lata uniwersytetu, które kończą się stopniem *Bachelor of Arts*, składają się

z wykształcenia ogólnego i tzw. *major* — specjalizacji, która normalnie wymaga zaliczenia dziesięciu–dwunastu przedmiotów w pewnej zdefiniowanej dziedzinie. Otóż prawie wszystkie instytucje dające wyższe wykształcenie, niezależnie od poziomu uczelni, oferują *major in Russian*. Na żadnej uczelni (z wyjątkiem małego polskiego St. Mary's College) nie ma *major in Polish* z tego prostego względu, że na poziomie pierwszych czterech lat żaden student nie mógłby zebrać odpowiedniej ilości kursów w zaawansowanym języku polskim i polskiej literaturze. Potencjalny sławista na pewno zacznie od zainteresowania rusycystyką. Wybierając karierę naukową, niewątpliwie będzie starał się o przyjęcie do *graduate school*, na uczelnię z rozszerzonym programem slawistycznym, i tam otrzyma *Master's Degree* i w końcu *Doctor of Philosophy*, który go upoważnia do wykładania na wyższych uczelniach. Jak przedstawia się sprawa tzw. *graduate programs*? Naturalnie świeżo upieczony *Russian major* będzie kontynuował studia rosyjskie na jednym z około trzydziestu większych programów slawistycznych w Stanach Zjednoczonych. Niektóre z nich będą miały wykładowcę polonistę. Należy pamiętać, że w tym wypadku potencjalny sławista najprawdopodobniej nie zna polskiego i zaczyna teraz od zera, chyba że jest urodzonym Polakiem, który otrzymał *Russian major*, bo tą drogą mógł dojść do slawistyki. Jakie wykształcenie w literaturze polskiej może otrzymać osoba, która jednak decyduje się studiować literaturę polską? Najprawdopodobniej będzie studiowała z jedynym wykładowcą literatury polskiej na wydziale (prawdziwą rzadkością byłby wydział z dwoma wykładowcami literatury polskiej; druga osoba byłaby zwykle *visiting professor*). Należy też wspomnieć, że nasz wykładowca literatury polskiej nie jest koniecznie w randze profesora, a może także być *Associate Professor* czy też *Assistant Professor*, co utrudni pisanie ewentualnej pracy doktorskiej pod jego kierunkiem. Jeżeli mimo tych trudności atrakcyjność literatury polskiej w dalszym ciągu przyciąga naszego sławistę, po otrzymaniu doktoratu ma on/ona absolutnie znikome możliwości otrzymania pracy na uczelni.

Według „Directory of Programs in Soviet and East European Studies 1990–1991”, który podaje spis personelu wydziałów uniwersyteckich włącznie z kierunkiem indywidualnych badań, dowiadujemy się, że osób podających literaturę polską jako pierwszą specjalność jest dziewięć (!) na wszystkich uniwersytetach i większych college'ach Stanów Zjednoczonych. Wykładowców, którzy zajmują się literaturą polską dodatkowo, obok innych specjalności (czyli w praktyce obok literatury rosyjskiej), jest jeszcze dwudziestu. Zgodnie z tą informacją polonistyka amerykańska w najlepszym wypadku składa się z około trzydziestu osób, w najgorszym — z dziewięciu.

Na pocieszenie trzeba przyznać, że z literaturą czeską jest jeszcze gorzej, nie mówiąc już o pozostałych literaturach słowiańskich. W takich warunkach literatura polska może tylko pozostać na marginesie, bo struktura uniwersytetu nie daje możliwości zaznajomienia się z nią w sposób przygotowujący do pracy zawodowej w tej dziedzinie. Z kolei pracy takiej nie ma — i tak się zamyka krąg.

2. Ogólnie nikt nie kwestionuje, że literatura polska jest ciekawa i warta zainteresowania. Jednak dostępna jest tylko czytelnikowi amerykańskiemu w tłumaczeniach. Oczywiście, tłumaczenia polskiej literatury są omawiane w „New York Book Review” i komentowane w prasie zawodowej. Obecnie jednak nakłady tych tłumaczeń są tak małe, że są krótko dostępne, co z kolei ogranicza możliwości używania ich jako tekstów uniwersyteckich. Podstawowym problemem literatury polskiej jest więc bardzo ograniczona ilość przekładów, a także utrudniony dostęp do tych przekładów.

3. Większość uniwersytetów, które nie mają zaawansowanych programów slawistycznych, w najlepszym wypadku oferuje „Survey of Polish Literature” jako kurs semestralny lub — znacznie rzadziej — dwusemestralny. Jest to podstawowy wstęp do literatury polskiej od średniowiecza do literatury współczesnej i wymaga też ogólnego wprowadzenia do kultury polskiej. Temat jest, jak wiadomo, obszerny; studenci zwykle nie mają żadnego przygotowania w tym kierunku — wybierają ten przedmiot w celu zaznajomienia się z polską kulturą (zwykle z powodu swego pochodzenia polskiego, kontaktów z Polską, lub w celu rozszerzenia wiadomości o literaturze słowiańskiej, którą poznali przez literaturę rosyjską).

4. Upowszechnienie polskich prac z teorii literatury w tłumaczeniu angielskim mogłoby znaleźć duży oddźwięk wśród wielkiej liczby osób zainteresowanych tą dziedziną. Amerykanie obecnie przeżywają absolutną fascynację teoriami literatury; od czasów formalistów rosyjskich oczekują także ciekawych teoretycznych prac „ze Wschodu”. Jediną możliwością rozszerzenia polonistyki polskiej mogłyby być lektoraty oferowane przez uniwersytety, które zapraszałyby wykładowców z Polski na warunkach, w których część kosztów ponosiłby uniwersytet, a część jakaś fundacja. Program taki obecnie istnieje dla lektorów rosyjskich; można by to łatwo powtórzyć w polskiej wersji.

Ewa Thompson, profesor slawistyki, The Rice University, Houston, Texas

Krótkie odpowiedzi na pytania:

1. Szanse takie są, ale ich realizacja zależy prawie wyłącznie od finan-

sowych i czasowych wysiłków osób przychylnych polonistyce i polskiej literaturze, a więc Polaków i Polek oraz osób polskiego pochodzenia. Nie należy się spodziewać, że jakkolwiek uniwersytet w jakimkolwiek kraju będzie łożyć na rozwój polonistyki. Pieniądze na to muszą wyjść z polskich kieszeni, tak jak Ośrodek Badań Ukraińskich przy (nie na!) uniwersytecie harwardzkim zawdzięcza swe istnienie kieszeniom Ukraińców.

2. Literatura w krajach Pierwszego Świata jest postrzegana w kontekście polityczno-ekonomicznym. Wiedział o tym Piotr Wielki i wszyscy jego następcy. Nie wiedzieli o tym polscy królowie i mało kto wyciąga z tego konsekwencje w Polsce. Im więcej sukcesów ekonomicznych i politycznych będą odnosili Polacy, tym lepiej dla polskiej literatury.

3. Z wykształcenia jestem komparatystką. Włączam regularnie literaturę i politologię polską do mojego kursu „Slavic Cultures” oraz do niektórych innych kursów. Jest w nich Herbert, Miłosz, Mrożek, Kołakowski, czasem Kochanowski i Mickiewicz.

4. Zarówno w Polsce, jak i w krajach Pierwszego Świata teoria literatury związana jest z wydziałami języka narodowego. Tak więc w Stanach Zjednoczonych większość teoretyków literatury jest zatrudniana na wydziałach anglistyki. Nie ma żadnych szans ani chyba powodów do zmiany tej sytuacji.

5. Wziąwszy pod uwagę mizerny stan posiadania w tej dziedzinie, należy z pewnością robić swoje z nadzieją, że coś się z tego wykluje.

Dłuższe i z konieczności impresjonistyczne odpowiedzi na pytania:

Doliczyłam się tuzina polskich polonistów, wykładających na dobrych i takich sobie uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych. Połowa z nich jednak nie wyklada wyłącznie polonistyki, lecz również ruscystykę lub komparatystykę. Lektorat polskiego, zwłaszcza ten nieregularny, można znaleźć w katalogach znacznie większej liczby uniwersytetów.

Kogo czytają? I kto czyta? W Stanach Zjednoczonych w czasie ostatnich dziesięcioleci pojawiły się dziesiątki tłumaczeń z polskiej literatury. Miłosza po Noblu sporo tłumaczono. Jest trochę Gombrowicza; są powieści Konwickiego, obu Brandysów, ostatnio Szczypiorskiego; sztuki Janusza Głowackiego i Mrożka. Jest Herbert, Schulz, Różewicz, Symborska i paru innych poetów i poetek; ostatnio doszło *Wesele* Wyspiańskiego, jest nowe tłumaczenie *Trylogii* Sienkiewicza; jest *Pan Tadeusz*, są komedie Fredry i *Pamiętniki* Paska; jest literatura zagłady Żydów; przybył ostatnio wybór wierszy z pierwszych czterech wieków poezji polskiej... Gdyby w Polsce wydano tyle tytułów z jakiejś literatury, można by było powiedzieć, że literatura ta nie jest obca polskiemu

czytelnikowi. Co innego w Stanach. USA jest krajem 250 milionów mieszkańców, przeszło dwóch tysięcy szkół wyższych i uniwersytetów; krajem, w którym w roku 1986 wyszło 57 845 tytułów książkowych, w 1985 — 52 994, w 1984 — 51 555 (nie obejmuje to obfitego samizdatu, literatury brukowej, książeczek dla dzieci etc.); krajem, w którym wydawane są setki tysięcy periodyków rocznie. Do tego dochodzi problem niewielkiego zapotrzebowania na polską literaturę (niestety, polska inteligencja w Stanach nie ma zwyczaju kupowania polskich książek). Małe wydawnictwa często drukują tylko 500–1000 egzemplarzy danego tytułu. Ostrzegam więc przed fałszywymi entuzjastami, zachłystującymi się tytułami setek książek i artykułów o Polsce i polskiej literaturze, które ukazały się w ubiegłym dziesięcioleciu. (Robert Kostrzewa niedawno w „Kulturze” doliczył się zaledwie dwóch tysięcy osób w USA, poważnie zainteresowanych nawet nie Polską, ale całą Europą Wschodnią).

Kto jest znany? Proponuję przyjęcie kryterium rozpoznawalności autora polskiego przez wykładowców literatury światowej (zatrudnianych zwykle przez wydziały anglistyki) lub przez amerykańskich rusycystów. Mam wrażenie, że na przeciętnym uniwersytecie ludzie ci znają nazwisko Mrożka, znają Miłosza *Zniewolony umysł* (ale nic z poezji); nazwisko Sienkiewicza obito im się o uszy, ale rzadko kiedy słyszeli o Gombrowiczu. Z Czechów słyszeli o Havlu, Kunderze, ale już Bogusława Hrabala nie znają, choć był tłumaczony. Zaś przeciętny absolwent uniwersytetu zupełnie o takich autorach nie słyszał. „Idą” miliony egzemplarzy książek Sołżenicyna, ale tylko skromne tysiące Miłosza.

Co może literatura polska powiedzieć amerykańskiemu czytelnikowi? Moim zdaniem, polska literatura przepojona jest głębokim, acz nieprecyzyjnie sformułowaniem przekonaniem, że tradycyjna judeo-chrześcijańska moralność (dekalog???, ewangelia) ma sens, że nietzscheańskie szukanie absolutnej wolności lub zwalanie ludzkich klęsk na źle ustawioną podświadomość prowadzi do jeszcze większych porażek. Hegłowski historycyzm pozostał literaturze polskiej obcy. To prawda, że spora część tej literatury jest nieprzemysłana, naśladownicza i przesłodzona (lub naiwnie gorzka). Ale nie wszystko; nawet niektóre pozornie słabe jej części, np., Sienkiewicz, cierpią głównie na brak inteligentnych komentarzy. W literaturze polskiej nigdy nie zatarła się świadomość różnicy pomiędzy dobrem i złem. Unikatowością Polaków jest ich przywiązanie do chrześcijaństwa, do tej Europy, która żywiła się i wyrosła na katolicyzmie, i naprawdę nie ma sensu zastępowanie tego feminizmem czy walką o świeckość szkół. Słusznie napisał amerykański intelektualista Paul Gottfried (*Agrarianism and the Future of Eastern Europe*, „The Southern Partisan” 1990 nr 2), że polski etos społeczny ma dużo wspólnego z *Agrarians*, amerykańskim ugrupowaniem in-

telektualno-politycznym lat trzydziestych i czterdziestych, i że Polska tego nie powinna się wstydzić, lecz owszem — kultywować, gdyż na tym polega jej wkład w kulturę zachodnią.

Wynika z tego, że wbrew marzeniom polskiej jaśniepańsko-lewicowej inteligencji szansa polskiej literatury w Ameryce jest prawdopodobnie większa wśród kół czytających „Chronicles”, „Modern Age” i katolicki „Crisis” niż wśród entuzjastów pism, od wielu lat sympatyzujących z lewicowymi rewolucjami przeszłości (choć po ujawnieniu kłopotów imperium sowieckiego i po wojnie w Zatoce nawet „The New York Times” zaczął się przesuwac na prawo). Nie jest przypadkiem, że nie Hłaską, lecz *Zniewolonym umysłem* dotarli Polacy do amerykańskiego czytelnika; że w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku Henryk Sienkiewicz był najpopularniejszym obcym autorem w Stanach Zjednoczonych i że jeden z najbliższych numerów amerykańskiego kwartalnika „Renesance” będzie zatytułowany „The Sacred in Polish Literature” (numer ten będzie redagowany przez znakomitą amerykańską polonistkę, Halinę Filipowicz). Poloniści polscy powinni te fakty wziąć pod uwagę.

Wielkie literatury świata pisane są i postrzegane w atmosferze tej pewności siebie — czy nawet arogancji — którą daje polityczny sukces. Tej pewności siebie, którą słyszymy u pisarzy rosyjskich, u Tołstoja, Dostojewskiego, Nabokowa, Sołżenicyna, brakuje pisarzom polskim.

W rozmowach z Polakami tu i w Polsce często spotykam się z wiarą, że Amerykanie powinni łożyć na katedry polonistyki lub choćby na lektoraty polskiego, bo polska literatura jest lepsza, niż to się wydaje amerykańskim ignorantom. Wiara ta prowadzi do rozczarowań, z których rodzi się apatia i załamanie. Polska inteligencja w Ameryce wybrzydza na polsko-amerykańskich kmiotków, których przodkowie przybyli tu przed pierwszą wojną światową, ale ci kmiotkowie łożą na swoje wycinanki, podczas gdy inteligencja nie łoży na katedry polonistyki.

Los polonistyki w USA zależy od tego, ile osób pracujących na amerykańskich uniwersytetach i w wolnych zawodach zechce poświęcić na nią powiedzmy 5% swoich rocznych dochodów oraz podobną ilość swojego wolnego czasu. Paręset osób, poświęcających podobną ilość czasu i pieniędzy na problemy polityczne związane z Europą Wschodnią, załatwiłoby sprawę czasopisma w języku angielskim, o którym pisał nieodżałowanej pamięci Leopold Tyrmand w książeczce *Tu w Ameryce, czyli dobre rady dla Polaków* (Londyn, Polska Fundacja Kulturalna 1973).

Na amerykańskich wydziałach slawistyki sporo jest „maleńkich rosyjskich pań” (*little Russian ladies*), lektorek rosyjskiego bezbrzeżnie od-

danych swojemu ukochanemu przedmiotowi, pracujących prawie za darmo. Jeżeli literatura polska ma przejść z kategorii buble do kategorii książek czytanych, małe polskie panie, pracujące za grosze albo nawet za darmo, bardzo by się przydały na naszych uniwersytetach. W społeczeństwach Pierwszego Świata wszyscy ciągle walczą o rozpoznanie i uznanie zarówno na polu gospodarczym, jak i kulturalnym. Nadzieję na to, że ci walczący nagle przyjmą postawę Matki Teresy w odniesieniu do polskich profesorów i stworzą im możliwości rozwoju, należy włożyć między bajki.

Teraz już można ubiegać się o pracę na amerykańskich uniwersytetach, stając do współzawodnictwa tak, jak to robimy my, tzn. zaczynając od czytania biuletynów AAASS, AATSEEL, MLA zawierających ogłoszenia o pracy, i pisząc setki listów.

I jeszcze jedno. Rzadko spotykam Polaków lub Polki, którzy efektywnie pomagają innym Polakom/Polkom piąć się po drabinie społecznej za granicą. Przykładem jest upadek polonistyki na uniwersytecie kalifornijskim po odejściu Czesława Miłosza na emeryturę. Nawet laureat Nobla nie potrafił czy nie mógł podjąć politycznego wysiłku rozegrania swojego odejścia tak, aby ktoś efektywny objął po nim stanowisko wykładowcy literatury i aby lektorat języka polskiego też został „wmurowany” w program i obsadzony polskim odpowiednikiem „małych rosyjskich pań”.

Znacznie bardziej gorszący wypadek znam ze słyszenia. Lewicowego polskiego agnostyka, pracującego na świetnym uniwersytecie, poproszono o opinię w sprawie promocji prawicowego polskiego katolika, pracującego na drugorzędym uniwersytecie. Obaj byli polonistami. Pierwszy wydał o drugim tak negatywną opinię, że adresaci jej, niechętnie ustosunkowani (jak to zwykle w Ameryce) do tak silnych przejawów ideologicznej nienawiści, zignorowali ją i promowali owego polonistę. Takie bywają ideologiczne rozgrywki w maciupeńskiej grupce polonistów w Ameryce. Jak już zauważył Gombrowicz, sarmackie przywary dawno już przepłynęły Atlantyk.

W małym polskim kwartalniku, którego jestem redaktorką, „The Sarmatian Review”, ukazało się w roku 1982 „Dziesięcioro przykazań sarmackich”. Taktyka w nich opisana gwarantuje niepowodzenie polonistyki za granicą. Pozwolę sobie zakończyć cytatem:

W wystąpieniach publicznych na forum amerykańskim staraj się zawsze pomniejszyć osiągnięcia Twoich polskich znajomych i nieznajomych. Jeśli zaś nie da się nic złego powiedzieć o danym Polaku, najlepiej jego osiągnięcia przemilczeć. We współczesnym świecie, w którym prasa i opinia publiczna mają większy wpływ na politykę niż rządy, przemilczanie jest jedną z najlepszych metod uśmiercania przeciwnika...

Nigdy nie pomagaj Polakom w znalezieniu pracy w przedsiębiorstwie, w którym pracujesz,

lub w mieście, w którym mieszkasz. Niech sobie radzą sami, tak jak Ty kiedyś. Wyrażając w towarzystwie opinie na tematy zawodowo-społeczne, nigdy nie zadawaj sobie pytania: „Czy moje opinie są korzystne dla Polaków?” Jesteś przecież człowiekiem honoru, a ludzie honorowi są bezstronni...

Pamiętaj zawsze, że każdy Polak to twój wróg, i staraj się mu ile możesz zaszkodzić. A jeżeli nie możesz zaszkodzić, przynajmniej się z nim pokłóć.

Tomas Venclova, profesor literatur słowiańskich, Yale University, New Haven

1. Miejmy nadzieję, że ów „rusycystyczny imperializm” się skończy. Ostatnio np. pojawiło się zainteresowanie literaturą litewską i gruzińską. Właśnie dlatego, że te kraje są teraz aktywne. Onegdaj prowadziłem kurs na Columbia University. To były wykłady „nierosyjskich literatur radzieckich”. Tego tytułu nie można było zmienić, choć zawiera on rzecz bardzo sporną. Dla Litwina jest obrażą, dla Gruzina też, nazywanie ich literatur nie rosyjskimi, ale radzieckimi. Oczywiście, są to obecnie już nieradzieckie literatury. W czasie kursu starałem się to wyjaśnić. Myślę, że skoro jest dość żywe zainteresowanie literaturą litewską, łotewską, estońską, to można żywić nadzieję, że zainteresowanie literaturą polską będzie znacznie większe niż dotychczas.

2. Jedną z głównych trudności jest to, że poza tymi Polakami, którzy czasem przychodzą, nikt nie włada językiem polskim. W związku z tym czytanie tekstów przychodzi niełatwo, a ja jednak nalegam na czytanie tekstów w oryginale. Ogólnie biorąc, zainteresowanie literaturą polską wynika z zainteresowania samą Polską. Z tego, że jest ona na pierwszych stronach gazet i ludzie spodziewają się, że literatura pomoże im w zrozumieniu tego, co się dzieje. I trochę naprawdę pomaga.

Niezbyt atrakcyjna dla zachodniego czytelnika jest ta część polskiej literatury, w której dominuje martyrologiczna tonacja i problematyka. Lecz przecież istnieje inny nurt, związany z Witkacym, Gombrowiczem oraz innymi, gdzie żadnej martyrologii nie ma albo jest specjalnie przetworzona. Niestety, ten nurt jest znany mniej, niż się na ogół sądzi. W mojej praktyce dydaktycznej staram się nie akcentować tych wątków martyrologicznych. Więcej mówię o sprawach z zakresu poetyki: o rodzajach literackich, gatunkach, archetypach, wersologii. Staram się o pełniejsze pokazanie polskiego baroku, głównie Sępa Szarzyńskiego, jeżeli można go nazwać pisarzem barokowym. Poezja Sępa jest mi bliska i pokazuję ją w kontekście europejskim. Drugi punkt ciężkości moich piętnastu wykładów z literatury polskiej stanowią poeci romantyczni: Mickiewicz, Krasiński, Norwid. Słowacki — w mniejszym stopniu.

3. Polonistyka na Yale istnieje trochę na wariackich papierach. Przed

wszystkim od czasu do czasu wyklada się język polski w postaci elementarnego kursu. Ja też to robiłem. Podobnie jak od czasu do czasu wyklada się język serbsko-chorwacki, słoweński albo bułgarski. Co drugi rok robimy też „Survey of Polish Literature”, ogólny przegląd literatury polskiej, oczywiście bardzo powierzchowny. Gdy byłem w Yale jeszcze aspirantem, sam wysłuchałem takiego kursu wielkiego mediewisty Ricardo Picchio, który mówił głównie o *Bogurodzicy*, trochę o Kochanowskim i już bardzo krótko o Mickiewiczu, na którym kończył. Teraz Picchio już nie pracuje na Yale i od czasu do czasu ja to robię, co jest kłopotliwe, bo nie znam się na polskiej mediewistyce, a trzeba o tym również coś powiedzieć. Opracowałem kilkanaście wykładów, które kończą się na katastrofistach wileńskich. Po takim kursie studenci piszą pracę na wybrany przez siebie temat. Większość interesuje się literaturą powojenną. I chociaż ja tego nie wykładam, podtrzymuję ich w tych zamiarach, a oni pracują już na własną rękę. W tej chwili mam pod opieką studenta z Belgii, który pisze pracę na temat Kuśniewicza. On zajmuje się Kuśniewiczem na serio; zna go osobiście, tłumaczy na język francuski, opublikował już kilka tych tłumaczeń. Ale jeszcze nie wiadomo, kiedy zakończy swoją pracę.

Takie są moje zatrudnienia polonistyczne. Jest tego mało, robione jest rzadko, a chciałbym to robić lepiej. Zainteresowanie studentów nie jest duże. Na taki kurs zgłasza się czterech, pięciu studentów, w tym zawsze jakiś Polak albo dwóch.

5. Moje związki z tymi środowiskami są niestety nikłe. Głównie jednak jestem rusycystą i lituanistą. Polonistyka — jak powiedziałem — to rzadkie i nieśmiałe wypadki. Gdy chodzi o drugą część pytania, sądziłem i sądzę, że zwykle jest lepiej, gdy ludzie pracują osobno. A im więcej tych dróg, tym lepiej. A więc komunikacja, ale nie integracja.

Andrzej Vincenz, profesor sławistyki na uniwersytecie w Getyndze

Odpowiadam z wahaniem, gdyż jestem językoznawcą, a w dziedzinie językoznawstwa sytuacja jest, zdaje się, nieco inna.

1. W Niemczech nie ma zasadniczo polonistyki czy rusycystyki, jest tzw. sławistyka, co w praktyce oznacza rosyjski i symbolicznie trochę jeszcze czegoś (np. polski, słowacki lub bułgarski). Większość „sławistów” uznałaby, jak sądzę, „przywrócenie równowagi” za oburzające naruszenie równowagi (na ostatnim zjeździe zachodnoniemieckich sławistów dwie trzecie wykładów było z rusycystyki, pozostałe z całej reszty sławistyki; oznacza to mniej więcej stosunek rusycystyka : polonistyka

jak 10:1). Wydaje mi się też, że większość slawistów nie ma pojęcia o literaturach innych niż rosyjska albo np. rosyjska plus jakaś druga (bułgarska lub czeska) i sądzą, że to w gruncie rzeczy takie mini-literatury rosyjskie. Tutaj katastrofalne dla polonistyki jest to, iż jest częścią slawistyki (w językoznawstwie jest nieco inaczej).

2, 3. W całej zachodniej Europie panuje przekonanie, że istnieje jakaś egzotyczna *âme russe*, zresztą uważana ogólnie za mniej lub więcej identyczną z *âme slave*. Jeśli by się chciało, aby jakaś literatura słowiańska przyciągała czytelników jako jeszcze bardziej egzotyczna niż rosyjska, to trzeba by ich przekonać, że jest jeszcze bardziej słowiańska. Szanse na to może miałyby literatura serbska, ale nie polska. W międzyczasie, tj. od przełomu XIX i XX wieku, doszło, jak mi się zdaje, jeszcze coś innego. Dzięki temu, że znani się stali, przynajmniej z nazwiska, Tołstoj, Dostojewski, Czechow, Puszkina, może też Gogol i Gorki, powstało przekonanie, że literatura rosyjska należy do literatury światowej (pojęcie w Niemczech bardzo ważne, i tutaj w swoim czasie przez Goethego wymyślone). Na dobrą sprawę w Niemczech, oprócz literatur starożytnych, tj. greckiej i łacińskiej, i oprócz niemieckiej, do literatury światowej zalicza się tylko trzy literatury obce: francuską, anglo-amerykańską i włoską. Potem dość długo nic, potem hiszpańska (hiszpańskojęzyczna) i rosyjska. Mam wrażenie, że ważne jest tu przeświadczenie, że istnieją „klasycy” rosyjscy, każdy więc dalszy przekład z rosyjskiego dodaje się do tego „fundamentu”. Z innych literatur przekłada się też coś od czasu do czasu, ale wydaje mi się, iż wydawcy i czytelnicy traktują to na zasadzie egzotyki, jako rodzaj *curiosum*, a nie jako coś, co świadczy o istnieniu jakiejś literatury, np. duńskiej czy czeskiej, a więc coś, co zachęcałoby do zapoznawania się z daną literaturą. Na tej zasadzie funkcjonuje, jak sądzę, w Niemczech np. Szwejk czy Selma Lagerlöf. Jeśliśmy zrobili rachunek sumienia, to akurat takie samo jest nastawienie czytelnika polskiego do literatury czeskiej (tenże Szwejk), węgierskiej (*Chłopcy z Placu Broni*) czy rumuńskiej. Jak temu zaradzić, nie wiem (i znowu nie mówię oczywiście o specjalistach).

4. Może jakaś zmiana byłaby pożądana. Nie należy jednak zapominać, że polonistyka ma w Niemczech mniej więcej taką wagę, jak w Polsce jakaś rumunistyka czy estonistyka. Czy jest tu miejsce i czas na teorię literatury? Ważniejsze byłoby może powstanie jakiejś komparatystyki (w Niemczech dość rzadkiej), a zwłaszcza jakiejś historii literatur europejskich.

5. Nie wiem, czy można mówić o jakimś modelu. My np. jako językoznawcy mamy sporo kontaktów z UW, UJ i Instytutem Języka Polskiego PAN w Krakowie, także z germanistyką językoznawczą UJ, co rozwinęło się zresztą dość przypadkowo i głównie z naszej inicjatywy. Tu trzeba by opracować jakiś program na większą skalę.

Przechadzki

W ciemni

Napisać „przechadzkę” o tym, jak amerykańscy studenci na Wydziale Sławistyki w Ann Arbor czytają polską literaturę? Samo Ann Arbor, rozłożone nad rzeką Huron na zalesionych pagórkach, typowych dla stanu Michigan, jest wprawdzie miejscem dobrym na przechadzki, a stary uniwersytecki campus w centrum miasta nawet bardzo dobrym, jednak to nie przechadzka jest czymś, co przede wszystkim kojarzy mi się z myślą o amerykańskim doświadczeniu. Jeśli jakieś wyobrażenie przestrzenne, to całkiem odmienne: ogromu, rozległości. Fizyczne miary bywają dobrymi metaforami duchowej „odległości”. Siedząc z grupką moich słuchaczy w sali B 122 w Modern Language Building odczuwałam nieustannie, że Polska, o którą mnie pytają z powodu Żeromskiego, Mrożka, Gombrowicza lub Herberta, jest odległa o 10 godzin lotu na wysokości 10 tysięcy kilometrów ponad lasami Kanady, Atlantykiem, ośnieżoną Grenlandią... że jest taka maleńka, ledwie dwa razy większa niż stan Michigan, przecież tylko jeden z pięćdziesięciu i wcale nie taki rozległy.

Także w skali samego University of Michigan Wydział Sławistyki, a już zwłaszcza kurs literatury polskiej w jego obrębie, mógł się wydawać jakąś drobiną. W kilkudziesięciostronicowym spisie zajęć, obejmującym wszystkie tradycyjne dziedziny uniwersyteckie, a także mnóstwo dyscyplin inżynierskich, rolniczych, medycznych (z farmacją i stomatologią) oraz sztuki piękne, architekturę i muzykę, nie mówiąc już o wielkiej mnogości zajęć sportowych, lektorat języka polskiego (dwuletni, z możliwością kontynuowania na roku trzecim) oraz dwusemestralny kurs literatury stanowiły zaledwie kilka pozycji. Można

to było nakryć jednym palcem — całą informację wraz z podaniem miejsca i czasu zajęć oraz nazwiska wykładowcy. A jednak jak na polonistykę w Ameryce to i tak dużo. Wiele innych uniwersytetów obywa się samym lektoratem języka.

Czy Polska z tej perspektywy musiała wydawać się jak oglądana przez odwróconą lornetkę, odsunięta na bezmierną odległość i pomniejszona? Sześć osób, które zapisały się na literaturę polską, wybrały ją spośród tej całej ogromnej mnogości innych kursów i to było ważne, tego trzeba było się trzymać.

Obydwa semestry zajęć historycznoliterackich stanowią dwa kursy zupełnie od siebie niezależne, można zaliczać jeden bez drugiego. Jesienny obejmuje literaturę od średniowiecza do romantyzmu włącznie, zimowy od 1863 roku do dziś. Zaczynałam zajęcia niemal dokładnie w rocznicę wybuchu powstania styczniowego i przy całkiem polskiej pogodzie. Był mróz i śnieg, ale nie mogłam odwołać się do widoku za oknem, bo sala, klimatyzowana i oświetlona jarzeniówkami, jest jedną z wielu tak położonych wewnątrz budynku, że w ogóle nie ma okien. Było to jednak pożyteczne ćwiczenie dla wyobraźni, do której jeszcze nieraz musieliśmy się odwoływać, żeby odnaleźć to małe polskie miejsce na mapie świata, wtedy właśnie całkowicie zaprzątniętego wojną w Zatoce Perskiej.

Zestaw lektur, a zatem i tematyka zajęć nie są sprawą tak całkiem swobodnego wyboru. Granicę nieprzekraczalną stanowi istnienie przekładu. Jeśli nawet niektórzy słuchacze mają za sobą kurs języka, albo właśnie w nim uczestniczą, jest to z reguły zbyt słaba znajomość, by móc czytać nawet krótkie teksty w oryginale. Większość jednak nie zna polskiego wcale i nawet z wymową nazwisk pisarzy ma problemy. Na szczęście tłumaczeń jest już tyle, że na potrzeby czteromiesięcznego kursu listę lektur można zestawić bez większych trudności. No i nieocenioną pomocą jest podręcznik Miłosza.

Natomiast lektura angielskich wersji polskich tekstów literackich powoduje szok obcości znacznie głębszy niż zetknięcie się z najdziwniejszymi nawet dziwactwami amerykańskiego życia. Wiadomo, że na tej drugiej półkuli wszystko może być inaczej, ale żeby Prus napisał *The Doll*, a Wyspiański *The Wedding*? To dopiero budzi niepokój, stwarza jakieś zawirowania i poczucie niepewności. Nie te komputery, w których kolorowy obraz zmienia się od dotknięcia palcem ekranu i dzięki którym można dowiedzieć się w pół minuty na przykład, że jedyny w USA egzemplarz poszukiwanej książki znajduje się w Bibliotece Publicznej miasta Nowy Jork. Ale jeśli Prus napisał *The Doll*, to czy ja jestem jeszcze ja czy już nie ja? Bo jest trochę tak, jakby spojrzawszy w lustro zamiast własnej twarzy zobaczyło się kogoś innego, może podobnego, a jednak zmienionego w pomieszeniu obcości i swojskości. Całą grozę

spotkania z sobowtórem można zrozumieć w takim szoku, kiedy znane przenika się z nieznanym i widzę, że ten inny przedrzeźnia mnie i udaje, że jest mną. Żeromski?... O yes, *The Faithfull River!*

Trzeba dopiero chwili zastanowienia, żeby sobie uprzytomnić, że jeśli czytam po polsku Szekspira i Hemingwaya, to muszę zgodzić się z tym, że Brytyjczycy i Amerykanie czytają po angielsku *Lalkę*, *Wesele*, a nawet *Leśmiana* i *Białoszewskiego*.

Historia i polityka towarzyszą nam bezustannie. Moi słuchacze chcą wiedzieć, czy Prus był antysemitą i co drukowały wydawnictwa podziemne w okresie stanu wojennego, natomiast żałują czasu na Lema. Do zajęć o *Weselu* dźwigam stopy albumów z reprodukcjami Matejkowskiego *Stańczyka*, *Wernyhory* i *Raławic*, a także *Błędnego kola* i *Melancholii* Malczewskiego oraz oczywiście obrazów samego Wyspiańskiego. Nie mam niestety filmu *Wajdy*, żeby pokazać studentom choć kawałek finałowej sceny, ale jednak sam Wyspiański sobie z tym radzi, nawet po angielsku, nawet w świetle jarzeniówek sali B 122. Finał *Wesela* przykuwa ich uwagę. Rodzi też pytania, z którymi nie bardzo wiem, jak sobie poradzić, żeby nie zabrnąć w slogany o polskiej specyfice, niepojętej dla obcych. Do licha, przecież każda kultura ma swoje osobliwości, kto powiedział, że my mamy monopol na niezrozumiałość?

Opowiadam im swoją przygodę z *Powiększeniem* Antonioniego. Za pierwszym razem gromada przebierańców, którą bohater spotyka na ulicach Londynu na początku i na końcu filmu, wydawała mi się zupełnie surrealistyczna, jakby wzięta z innej konwencji, jaskrawo nie przystającej do reszty opowieści. Dopiero po tym, jak przeżyłam w Ameryce święto Halloween, przyszło mi na myśl, że opowiedziana w *Blow up* historia rozgrywać się musi podczas tego zaduszkowego karnawału, będącego osobliwością anglosaskiego obyczaju. Oglądając film po raz drugi, odczytałam finał poprzez atmosferę tej niesamowitej doby, rządzącej się sobie tylko właściwymi prawami, kiedy groza śmierci miesza się z błaznada i przebierankami.

Tknięta przecuciem pytam moich studentów, czy nie objaśniam im nieznanego przez nieznanego, bo uświadamiam sobie, że kiedy film Antonioniego wchodził na ekrany, oni dopiero wyrastali z dzieciństwa. I może znów popełniam błąd europejskiej perspektywy? Mimo że studiują slawistykę, są jednak dziećmi tego kontynentu, na którym leży Hollywood. Może klasyka europejskiego kina mało ich obchodzi? Jedna ze studentek widziała jednak film i zachęca mnie do kontynuowania wątku. W paru słowach streszczam fabułę i dochodzę do finału, kiedy to fotograf, któremu zrabowano zdjęcia będące dowodem morderstwa, po pijackiej nocy spędzonej na party idzie do parku i nie znajduje ukrytych pod drzewem zwłok, które wyraźnie widział na powiększeniu. Jak tu nie

zacząć wątpić w świadectwo własnych zmysłów? Granica między realnością a zwidem zaczyna się niebezpiecznie zacierać. Miałeś chamie złoty róg?

Nie ma w filmie Antonioniego zaczarowanego kręgu tańca, ale jest pantomima, odgrywana przez gromadę przebierańców, imitujących na korcie grę w tenisa. Ta milcząca sekwencja ciągnie się długo, a gesty naśladowujące grę, tak przesadnie wyraziste wobec braku raket i piłki, przypominają w połączeniu z maskaradowymi strojami uczestników jakiś rytualny taniec. Nie ma muzyki chochoła, ale słyhać, realnie słyhać, rytmiczny odgłos odbijania wymaginanowanej, niewidocznej piłki. W końcu fotograf przyłącza się do tej gry, jakby wciągnięty hipnotyczną siłą samego ruchu i rytmu.

Antonioni nie zajmował się żadnym narodem i jego marzeniami o wolności, opowiedział historię o zawodowych a także moralnych kłopotach pewnego londyńskiego fotografa. Ale czyż nie interesowało go coś podobnego jak twórce *Wesela*: dzieje utraconej szansy? Wielkich oczekiwań, przychodzących w chwili osobliwej, by zniknąć bez śladu o świcie? Pytania z rozmowy o *Weselu* powracały na różne sposoby przy okazji *Szewców*, *Balu w Operze* i *Tanga*, a także *Malej Apokalipsy*. Katastroficzne lęki albo pomysły na generalną przebudowę świata kojarzą się jednak moim studentom raczej z ekologią niż ideologią, a ze wszystkiego, co przeczytali, najbardziej podobał im się Schulz i Leśmian.

Semestr kończy się w ostatnich dniach kwietnia. Wiosna w Ann Arbor trwa krótko, to raczej szybki, gwałtowny przeskok od zimy do lata. Przez dwa tygodnie campus tonie w kwitnących magnoliach, drzewach owocowych i mnóstwie ozdobnych krzewów, a potem spada na głowę duszny, wilgotny upał. Pora wyjeżdżać.

Po powrocie, teraz kiedy to piszę, przychodzi mi na myśl, że ten semestr w Ann Arbor też był trochę jak praca fotografa, który przy wywoływaniu zdjęć przesuwając klatki filmu, kadruje szczegóły i waha się, jak ustawić optykę, by już uzyskać maksymalne powiększenie, a jeszcze nie stracić ostrości. Sala B 122 nie ma okien, nadawałaby się na ciemnię.

Małgorzata Czerwińska

„Dlaczego uczysz się polskiego?”

O pisemną odpowiedź na to właśnie pytanie poprosiłam studentów polonistyki na uniwersytetach w Sztokholmie i w Uppsali. Odkąd bowiem podjęłam pracę jako lektor języka polskiego w Szwecji,

zacząć wątpić w świadectwo własnych zmysłów? Granica między realnością a zwidem zaczyna się niebezpiecznie zacierać. Miałeś chamie złoty róg?

Nie ma w filmie Antonioniego zaczarowanego kręgu tańca, ale jest pantomima, odgrywana przez gromadę przebierańców, imitujących na korcie grę w tenisa. Ta milcząca sekwencja ciągnie się długo, a gesty naśladowujące grę, tak przesadnie wyraziste wobec braku raket i piłki, przypominają w połączeniu z maskaradowymi strojami uczestników jakiś rytualny taniec. Nie ma muzyki chochoła, ale słyhać, realnie słyhać, rytmiczny odgłos odbijania wymaginanowanej, niewidocznej piłki. W końcu fotograf przyłącza się do tej gry, jakby wciągnięty hipnotyczną siłą samego ruchu i rytmu.

Antonioni nie zajmował się żadnym narodem i jego marzeniami o wolności, opowiedział historię o zawodowych a także moralnych kłopotach pewnego londyńskiego fotografa. Ale czyż nie interesowało go coś podobnego jak twórce *Wesela*: dzieje utraconej szansy? Wielkich oczekiwań, przychodzących w chwili osobliwej, by zniknąć bez śladu o świcie? Pytania z rozmowy o *Weselu* powracały na różne sposoby przy okazji *Szewców*, *Balu w Operze* i *Tanga*, a także *Malej Apokalipsy*. Katastroficzne lęki albo pomysły na generalną przebudowę świata kojarzą się jednak moim studentom raczej z ekologią niż ideologią, a ze wszystkiego, co przeczytali, najbardziej podobał im się Schulz i Leśmian.

Semestr kończy się w ostatnich dniach kwietnia. Wiosna w Ann Arbor trwa krótko, to raczej szybki, gwałtowny przeskok od zimy do lata. Przez dwa tygodnie campus tonie w kwitnących magnoliach, drzewach owocowych i mnóstwie ozdobnych krzewów, a potem spada na głowę duszny, wilgotny upał. Pora wyjeżdżać.

Po powrocie, teraz kiedy to piszę, przychodzi mi na myśl, że ten semestr w Ann Arbor też był trochę jak praca fotografa, który przy wywoływaniu zdjęć przesuwą klatki filmu, kadruje szczegóły i waha się, jak ustawić optykę, by już uzyskać maksymalne powiększenie, a jeszcze nie stracić ostrości. Sala B 122 nie ma okien, nadawałaby się na ciemnię.

Małgorzata Czerwińska

„Dlaczego uczysz się polskiego?”

O pisemną odpowiedź na to właśnie pytanie poprosiłam studentów polonistyki na uniwersytetach w Sztokholmie i w Uppsali. Odkąd bowiem podjęłam pracę jako lektor języka polskiego w Szwecji,

często sama się zastanawiam, skąd właściwie u obcokrajowców bierze się potrzeba poznania mojego języka ojczystego, a i rozmówcy, dowiedziawszy się o mojej profesji, tego właśnie przeważnie chcą się ode mnie dowiedzieć.

Najzwężlejszą odpowiedziała Bettina, 30/8¹ — „Bo lubię”. Bettina nie była zresztą reprezentatywna dla mini-społeczności, którą poddałam mojej ankiecie, ponieważ nie jest Szwedką, lecz Niemką. Na początku minionej dekady ukończyła w Niemczech prawo i, z braku innej oferty, pojechała na roczny kurs języka polskiego do Warszawy. Z Polską łączyło Bettinę tylko tyle, że jej dziadkowie mieszkali kiedyś na Dolnym Śląsku, o czym zresztą wnuczce raczej nie opowiadali, zwłaszcza że dziadek po wygnaniu z rodzinnych stron w ogóle przestał się odzywać. Pojechała więc Bettina do Polski i trafiła na stan wojenny. A że trafiła też na interesujących ludzi, przedłużyła swój pobyt w Warszawie do lat trzech, znajdując przy okazji zatrudnienie w przedstawicielstwie pewnej niemieckiej instytucji. Po trzech latach władze ludowe przestały przedłużać jej wizę, więc przeniosła się do Sztokholmu, nadal pracując w owej instytucji. Tu okazało się, że z perspektywy szwedzkiej Polska jest rajem w zakresie stosunków międzyludzkich; tęskniąc zatem do ciepła i głębi, Bettina zapisała się na polonistykę, gdzie studiuje metodą dość nietypową. Ilekroć mianowicie ukończy ostatni kurs, zaczyna wszystko od początku. Poświęciłam tyle uwagi Bettinie, bo choć nie reprezentatywna, to jest jednak w pewnym sensie typowa. Przedstawia bowiem typ studenta uczącego się polskiego z m o t y w ó w s e n t y m e n t a l n y c h i od razu wyjaśniam, że jest to motywacja najpowszechniejsza, choć każdy przypadek jest tu oczywiście jedyny i niepowtarzalny. Bettina poślubiła rok temu swojego polskiego przyjaciela, lecz na miejsce stałego zamieszkania wybrali zjednoczone Niemcy.

Oprócz rodowitych Szwedów studiują tutaj polski także i Polacy mieszkający w Szwecji. Niekiedy jedynym ich celem jest zdobycie „punktów”, od ilości których zależy wiele: „awans” na kolejne, wyższe kursy, ale także uzyskanie pomocy stypendialnej. Jednak większość Polaków, a są wśród nich tacy, którzy nasz kraj opuścili jako dzieci, pragnie po prostu zachować kontakt z żywym językiem ojczystym, a w miarę możliwości także i z naszą kulturą, literaturą, wreszcie życiem codziennym. Jako że w Szwecji dla studentów nie ma granicy wiekowej, uczyłam między innymi ludzi, którzy opuścili Polskę podczas drugiej wojny światowej, a ich obecność w grupie szwedzkiej młodzieży wspaniale ożywiała i urozmaicała zajęcia. W zasadzie jednak dość trudno jest zorganizować

¹ Pierwsza liczba takiego zapisu oznaczać będzie wiek respondenta, druga — rok nauki języka polskiego.

lekcję w zespole złożonym z jednej strony z ludzi, dla których język polski jest, choć nie używaną na co dzień, ale jednak mową ojczystą, z drugiej strony zaś z osób, dla których fleksja jest absolutną i zdumiewającą nowością. Jeśli chodzi o rodowitych Szwedów, to nie przestaje zdumiewać mnie samozaparcie, z jakim zgłębiają oni tajniki tego p o t w o r n e g o — cytata z pracy Petera, 23/1 — języka, oraz, co więcej, skuteczność ich wysiłków. Trzeba jednak pamiętać, że poliglotyzm jest zjawiskiem w Szwecji rozpowszechnionym i na przykład wśród moich tutejszych znajomych normą jest posługiwanie się swobodnie więcej niż dwoma językami. Umiejętność rozmówienia się po angielsku jest dla Szweda sprawą w zasadzie oczywistą; co do Petera, język polski jest dla niego, jak obliczyłam, ósmym z kolei.

Pierwsze kontakty z językiem polskim bywają rozmaite. Andre, 19/1, zetknął się z nim w ósmiej klasie szkoły podstawowej.

W nowej klasie było czterech Polaków. Jeden z nich został później moim bliskim przyjacielem. Kiedy rozmawiali o tajnych sprawach, rozmawiali po polsku. Słyszac ów język dziwiłem się, ponieważ dla Szwedów naprawdę brzmi on jak ciekająca dętka z powietrzem pod ciśnieniem. Zafascynowałem się i zacząłem być ciekawy.²

Ivonne, 47/1, która uczy cudzoziemców języka szwedzkiego, była w Polsce na krótkim stypendium.

Przed przyjazdem do Polski pojmowałem tylko potok dźwięków i myślałem: czy to są słowa? czy można taki język rozumieć?

To charakterystyczne; Szwedom, których język ma bardzo bogatą intonację, i to nie tylko w obrębie zdania, ale także pojedynczego słowa, bardzo trudno jest zarejestrować sygnały delimitacyjne polszczyzny — nie słyszą po prostu, kiedy kończy się słowo, a kiedy zdanie, zaś finał całej wypowiedzi przychodzi zupełnie niespodziewanie. Christopher, 23/3, mówi po polsku bardzo swobodnie, choć nie bez błędów. Żartobliwie wspomina swój pierwszy kontakt z polszczyzną:

Kiedy miałem jedenaście lat, oglądałem serial telewizyjny, w którym chodziło o kuriera carskiego w Polsce. Ten kraj mnie zaciekawił. Szczególnie pamiętam jedną scenę — jak kobiety się kąpały w jeziorze. Kurier przyszedł, też się kąpał, a jednocześnie się zakochał w jednej z tych kobiet. Tak inaczej brzmiał ten język, że musiałem się koniecznie go uczyć. Jeśli dobrze pamiętam, ten serial leciał w dniach wyboru Wojtyły na papieża.

Wzmianka o papieżu nie jest w wypowiedzi Christophera przypadkowa, nie jest on bowiem jedynym ze spotkanych przeze mnie studentów, u których zainteresowanie polskością idzie w parze z katolicyzmem.

² Zachowuję oryginalną stylistykę wypowiedzi, dokonując tylko nieznacznego retuszu.

Znam też wypadki zmiany wyznania, w których kontakt z religijnością Polaków odegrał niemałą rolę.

Annika, 29/3, mieszka 400 kilometrów od Uppsali i dojeżdża na lekcje tak często jak tylko może, ale nie może często, bo jest samotną matką wychowującą dwoje dzieci. W domu czyta Sienkiewicza, a język polski usłyszała po raz pierwszy w kościele katolickim, gdzie grywała na organach. Podjąwszy zupełnie dla siebie nieodpowiednią pracę w fabryce, urozmaicała sobie życie słuchaniem pożyczonych z biblioteki taśm z kursem polskiego.

Nic nie rozumiejąc siedziałam i słuchałam tych taśm, aż mogłam wyrecytować wszystkie teksty na pamięć. Po pewnym czasie zrozumiałam, dlaczego polskie słowa tak dziwnie zmieniały końcówki i okazało się, że ten niezrozumiały bełkot był prawdziwym ludzkim językiem.

Camilla, 24/3, która zamierza być dziennikarką, znalazła się w Polsce wiosną 1988 roku i usłyszała Wałęsę przemawiającego pod krzyżami do tłumów, jakich w jej ojczyźnie się nie widuje.

Nie rozumiałam nic. Albo prawie nic. Tylko słowa: „ekonomiczny... polityczny...” Postanowiłam, że następnym razem mam rozumieć.

I rozumiała. W ogóle Wałęsa i „Solidarność” przyczynili nam swego czasu wielu studentów. Pisze Elisabeth, 24/1:

Zeszłego roku studiowałam nauki polityczne na uniwersytecie. Wtedy zainteresowałam się polityką polską. Sądzę, że Solidarność jest wspaniałym ruchem i uważam, że to jest interesujące, że Kościół odgrywa ważną rolę w społeczeństwie. Napiisałam pracę o roli Kościoła w polityce polskiej. Tej jesieni napiszę jeszcze pracę o Polsce. Chcę używać materiałów po polsku, na przykład polskie gazety i książki. Dlatego teraz studiuję język polski. Potem chcę pracować jako dziennikarka i pisać o Polsce.

Christopher, Camilla i Elisabeth mogą służyć jako przykłady m o t y w a c j i i d e o l o g i c z n y c h, które bywają bardzo różne, na przykład właśnie religijne lub polityczne. Do tej grupy dołączyć można chyba także uczestników ruchów ekologicznych; dość wyraziście zapisali się w mojej lektorskiej pamięci członkowie Polsko-Szwedzkiego Towarzystwa Ochrony Środowiska z zasłużonym jego prezesem Magnusem (26/5) na czele. Ich motywacje są szczególnie silne, bowiem wizja zatrutego przez nas Bałtyku przemawia do wyobraźni przeciętnego Szweda dużo mocniej niż jakiegokolwiek inne problemy zamorskiego sąsiada.

Na uppsalskiej slawistyce rzucającą się w oczy grupę stanowili młodzi mężczyźni obdarzeni wyjątkowymi zdolnościami językowymi. Początkowo trudno mi było zrozumieć ów fenomen segregacji płciowej na tak zawężonym bądź co bądź polu. Wkrótce okazało się, że tych przyjemnych studentów zawdzięczam tzw. Wojskowej Szkole Tłumaczy. Otóż

komisje badające przydatność rekrutów (służba wojskowa trwa tu rok) wyławiają osoby utalentowane językowo i zamiast uganiania się po lasach i bagnach proponują im intensywną naukę języka rosyjskiego oraz — już mniej intensywną — któregoś z pozostałych języków słowiańskich. Absolwenci tej szkoły często łądają na placówkach dyplomatycznych w funkcji pomocników attaché wojskowego... Niektórzy z nich chcą następnie poszerzać swoją wiedzę na studiach uniwersyteckich. Tak było z Hakanem (24/3), który jednak od motywacji pragmatycznej przeszedł szybko do motywacji idealistycznej i w odpowiedzi na moją ankietę napisał:

Mam od lat pragnienie, aby opanować obcy język i obcy sposób myślenia tak dobrze, jak gdyby to był mój pierwszy język i pierwszy sposób myślenia. Jeśli chodzi o polski, jeszcze mam kawałek tej drogi. [...] Moim najważniejszym powodem dalszych studiów polonistycznych jest więc tylko to, że chcę doskonalić znajomość języka i lepiej rozumieć, jak myślą Polacy i dlaczego.

Hakan spędził w Warszawie cały rok 1989 jako pracownik Ambasady Szwedzkiej i, mimo że jednym z jego zajęć była regularna lektura „Żołnierza Wolności”, wywiózł z naszego kraju jakieś niejasne przekonanie, że jeśli idzie o sens życia, to posiadliśmy pewne sekrety, które warto by dokładniej zbadać. Wydaje mi się, że na razie w wyborze studiów polonistycznych decydującą rolę odgrywają wciąż czynniki irracjonalne, zaś względy pragmatyczne mają na tę decyzję znacznie mniejszy wpływ. Sporadycznie tylko pisze ktoś, jak np. Ulrika, 22/1:

W przyszłości chciałabym pracować z kontaktami w jakiejś formie z Europą Wschodnią i dlatego myślę, że dobrze jest znać język polski...

albo jak Wilhelm:

...bo tutaj w Szwecji można lepiej praktykować język polski niż rosyjski (mam na myśli, że w Szwecji mieszka wiele Polaków).

Wilhelm interesuje się językami słowiańskimi w ogóle i ta lingwistyczna motywacja powtarza się w wypowiedziach szwedzkich studentów kilkakrotnie. Nigdy jednak nie występuje w odosobnieniu, jak zresztą i wszystkie inne wcześniej przeze mnie opisane.

Podczas mojej pracy lektorskiej prześladowała mnie niejasna myśl, że wprowadzając studentów w arkana nie tylko polskiego języka, ale i polskiego ducha (kurs obejmuje także zajęcia z historii kultury i literatury), uprawiam swego rodzaju szlachetne fałszerstwo. Czy chcę tego czy nie, moja tutejsza działalność owocuje zaszczepianiem pewnych stereotypów, do których sama przecież mam stosunek sceptyczny, a przynajmniej próbuję zachować wobec nich dystans. Uspokajam się, że to przecież naturalny odruch — przedstawiać dorobek swojej ojczyzny

w jak najlepszym świetle. Zapoznawszy więc studentów z tajnikami deklinacji męskoosobowej, aspektu oraz przegłosu polskiego, wiodę ich dalej Mickiewiczem do Ostrej Bramy i dalej szlakiem tułaczym, Miłoszem wskazuję drogę do Boga, a Gombrowiczem — do Człowieka. Norwidem opowiadam o Historii, Herbertem — o Wierności, zaś wieńczę to wszystko Prawdą i Solidarnością. Staram się nie przesadzać z Matejką i Sienkiewiczem, ale cóż poradzę, jeśli akurat obaj dostarczają dobrego materiału dydaktycznego, no i przecież nie można udawać, że ich w ogóle nie było. Na szczęście nieźle się pracuje z Tuwimem, Mrożkiem i Gałczyńskim, więc gdy zbyt już laurowo się zrobi i ciemno, można wspólnie pośmiać się z Polaka i zadrwić z jego grzechów i grzeszków. Ale i tak prawda o dzisiejszej naszej rzeczywistości jest przecież zupełnie inna niż owa wykreowana przeze mnie przy pomocy wielkiej literatury konstrukcja i mogę tylko mieć nadzieję, że skonfrontowani z rzeczywistością moi studenci nie uciekną w popłochu od tej swojej wymarzonej Polski i polskości. Nie uciekają. Kiedy próbuję wczuć się w ich sposób myślenia, to wydaje mi się, że szukają w polskości przede wszystkim czegoś niezwyklego, jakiegoś zasadniczo innego — może głębszego — stosunku do świata. Duchowo od nich odlegli, jesteśmy jednocześnie geograficznie tak bliscy, że pojawia się silna potrzeba kontaktu. Nasz język jest dostatecznie dziwny i trudny, by samo opanowanie go stanowiło już dużą satysfakcję, ale to nie wszystko. Jeśli studia polonistyczne za granicą bywają atrakcyjne, to dzięki związkowi z takimi podstawowymi wartościami, o jakich mówienie gdzie indziej już się zdewałowowało albo jeszcze nie weszło w modę. Co do mnie, to nawet będąc jedynie środkiem przekazu, czuję, że daję się wciągać w jakąś manipulację aksjologiczną — tu ubarwię, tam przemilczę, ówdzie odpowiem wykrętnie, a w długie zimowe wieczory sama siebie dręcę pytaniem, co ma wspólnego dzisiejsza Polska z ową przeze mnie, dla celów dydaktycznych, wykreowaną.

Ewa Kraskowska

Rozmowy

Nieufność wobec mowy potocznej Z Oswaldem Ducrotem rozmawia Anna Dutka

Anna Dutka: *Językoznawstwo określiło swe standardy naukowe opierając się na koncepcjach Saussure'a. Co sądzi pan o przełomie saussurowskim dzisiaj, po prawie stu latach? Czy rzeczywiście był on taki istotny?*

Oswald Ducrot: Ja sam z pewnością sporo czasu poświęciłem na zwalczanie pewnych poglądów, które mi narzucała lektura Saussure'a, co nie zmienia faktu, że główne wątki jego badań przyświecały wszystkim moim działaniom. Przejmuję od niego myśl, że gdy chce się badać fakty językowe, trzeba rozróżnić w nich dwie dziedziny: jedną, dającą się wyjaśnić bezpośrednio przez system nazwany przez Saussure'a *langue* i drugą, wiążącą się z oddziaływaniem wzajemnym systemu centralnego, jakim jest język, i czynników zewnętrznych. Osobiście nie widzę żadnej możliwości rozsądnego badania faktów językowych bez przeprowadzenia tego podziału. Można dyskutować nad tym, czym jest ów trzon, ale sama konieczność odróżnienia systemu *stricte* językowego od wpływów zewnętrznych wydaje mi się nieunikniona.

A. D.: *Jak ocenia pan definicję języka jako struktury?*

O. D.: Jeśli przyjąć, że ów trzon ma charakter systemowy, trzeba się też zgodzić z tym, że odpowiada on samej idei struktury. Dlatego nie widzę

żadnej możliwości poważnego badania faktów językowych, które by się nie wspierało na centralnej strukturze językowej. Co to znaczy, że język jest strukturą? Znaczy to, że elementy stanowiące język powinny się określać jedne względem drugich, niezależnie od możliwego działania czynników zewnętrznych, bierze się je pod uwagę dopiero po zdefiniowaniu struktury językowej.

A. D.: *Jakie miejsce należałoby przyznać pragmatyce, jeśli przyjmie się strukturalną definicję języka?*

O. D.: Powiedziałem już, co moim zdaniem powinno się zachować z teorii Saussure'a. Pytanie, które pani zadała, wymaga ode mnie sprecyzowania, pod jakim względem ja i inni współcześni językoznawcy odchodzimy od pierwotnej tradycji saussurowskiej. Odchodzę od niej — a raczej, my od niej odchodzimy — dlatego, że wprowadzamy do języka elementy, które w tradycyjnym saussurianizmie przypisałoby się *parole*. Postaram się wyjaśnić to nieco bliżej, sądzę, że do samej struktury języka należą pojęcia: wypowiedzania, aktu mowy, czy też przywołania kontekstu, podczas gdy Saussure na pewno by nie wprowadził tych pojęć w obręb samego języka. Ale to nie przeczy wspomnianej przed chwilą podstawowej intuicji Saussure'a. Nie powiedziałem bowiem, że w obręb języka trzeba wprowadzić kontekst, co byłoby prawie sprzecznością. Chciałem powiedzieć, że przywołanie kontekstu odgrywa rolę w samej definicji języka. Weźmy jakiś bardzo prosty przykład. Jeśli chce się opisać takie wyrażenie deiktyczne, jak przysłówek *tutaj*, bez wątpienia wchodzący w skład języka, to trzeba uznać, że aby go zinterpretować, należy wiedzieć, co mówiący uważa za swoją, by tak rzec, strefę przynależności. I oczywiście tylko dzięki kontekstowi będzie można powiedzieć, co to za obszar. Wracam do przykładu: gdy mówię „Piotr jest tutaj”, może to znaczyć 'Piotr jest w moim gabinecie', może to znaczyć 'Piotr jest w Paryżu', 'Piotr jest we Francji', 'Piotr jest w Europie', może to ewentualnie znaczyć 'Piotr jest w świecie żywych, a nie zmarłych', może to znaczyć... — i tylko kontekst pozwoli dokonać wyboru między tymi interpretacjami. Ale dla zrozumienia *tutaj* język każe poszukać tego, co w danej sytuacji wypowiedzania mówiący uważa za swoją strefę przynależności. Aby odróżnić, na przykład, *tutaj* i *tam*, trzeba będzie się zastanowić, gdzie wytycza on granicę między strefą swoją i strefą zewnętrzną. Konieczność rozdzielenia tych obszarów jest ściśle językową, choć tylko sytuacja — lub kontekst — sugerują, gdzie wytyczyć granicę. Na przykładzie wyrażen deiktycznych mogę odpowiedzieć w sposób bardziej ogólny na pani pytanie dotyczące usytuowania pragmatyki względem lingwistyki strukturalnej. Osobiście uważam, że słowo p r a g-

matyka jest wieloznaczne i może oznaczać dwie rzeczy całkowicie różne. Jeśli przez pragmatykę rozumieć to, co kontekst dodaje do wartości językowej, to nie ulega wątpliwości, że nie będzie ona mogła, na mocy definicji, stanowić części językoznawstwa. Ale jeśli przez pragmatykę rozumieć wskazówki, które słowa, z racji swej struktury semantycznej, kierują ku kontekstowi, to będzie ona częścią językoznawstwa. Widzi pani, istnieje pragmatyka językoznawcza badająca to, co wewnątrz samego języka odsyła nas do kontekstu. Ale oczywiście nie będzie ona mogła określić jak w danej sytuacji dyskursywnej zrealizuje się owe wymagania narzucane przez język.

A. D.: *W swoich badaniach poddaje pan krytycznej ocenie wizję języka sugerowaną przez terminologię — począwszy od słowa znaczenie. Dąży pan do opisania podstawowej warstwy semantycznej, wcześniejszej niż podział na modus i dictum. Pana zdaniem opis warunkują oceny i postawy, a świat jawi się poprzez dyskurs. A co z nauką? Czy pana własne teorie można uznać za naukowe? Czy prawda obiektywna nie istnieje?*

O. D.: Raz jeszcze, aby odpowiedzieć na pani pytanie, muszę dokonać pewnego rozróżnienia. Pytanie pierwsze brzmi: czy takie językoznawstwo, jakie proponuję, można uznać za naukowe? Pytanie drugie: czy, zważywszy na przyjęty przeze mnie opis wypowiedzi potocznej, można uznać, że ma ona wartość naukową?

Zaczynam od drugiego pytania i daję odpowiedź zdecydowanie przeczącą. Moim zdaniem wypowiedzi w mowie potocznej nie są wypowiedziami typu naukowego, w tym sensie, że jeśli się je poprawnie opisać, to okazuje się, że nie można ich uznać za deskrypcje rzeczywistości, a zatem oceniać z punktu widzenia adekwatności lub nieadekwatności wobec świata. Posunę się nawet jeszcze dalej. Powiem, że nie istnieje żadna część wypowiedzi, którą by można uznać za deskrypcję świata. Wspomniała pani o rozróżnieniu *modus/dictum* stosowanym przez tradycyjne językoznawstwo. W teorii aktów mowy występuje rozróżnienie — oczywiście inne, ale, jak sądzę, zasadniczo równoważne — między siłą illokucyjną i treścią propozycjonalną. *Dictum* i treść propozycjonalna są to elementy sensu stanowiące deskrypcję rzeczywistości, na które nakładają się elementy dotyczące nie bezpośrednio rzeczywistości, ale raczej postawy podmiotu mówiącego, zwane: *modus* i siła illokucyjna. Tak więc, gdy przyjmuje się teorię aktów mowy lub rozróżnienie *modus/dictum*, to uznaje się wprawdzie, że wypowiedź wzięta w całości jest czymś innym niż deskrypcją rzeczywistości, ale przyjmuje się, że przynajmniej część sensu

wypowiedzi — *dictum* lub treść propozycjonalną — można uznać za taką deskrypcję. Co do mnie, sprzeciwiam się tej koncepcji. Posługując się moją teorią polifonii — a w większym jeszcze stopniu teorią argumentacji w języku — staram się dowieść, że *z a d n e g o* elementu sensu nie można uznać za deskrypcję rzeczywistości. Odmawiam zatem jakiegokolwiek statusu naukowego, nawet częściowego czy przybliżonego, wypowiedziom potocznym.

Nie wynika stąd, że samo językoznawstwo nie może być naukowe. Z tego powodu, że wytwory języka nie są nawet częściowo naukowe, nie wynika, że nie jest naukowe to, co o nich mówi językoznawca. Uważam, że koniecznie trzeba rozgraniczyć te dwa pytania. Ale nie ulega wątpliwości, że aby mówić o języku w sposób naukowy, językoznawca będzie musiał skonstruować własny język, dość różny od mowy potocznej (choćby pojawiały się w nim słowa identyczne). Będzie mógł zrobić to jedynie częściowo.

A. D.: *Jakie są filozoficzne źródła pana teorii?*

O. D.: Jest to pytanie, na które trudno odpowiedzieć, ponieważ nie mogę podać dokładnego źródła, mówiąc np.: „Staram się rozwinąć taką oto teorię Platona” czy „taką oto teorię Arystotelesa”. Chodzi raczej o ogólną postawę filozoficzną, którą, jak sądzę, kieruję się w mojej pracy. Ta postawa filozoficzna to nieufność wobec mowy potocznej. Z filozofii zaczerpnąłem myśl bardzo ogólną: kiedy mówimy, to właściwie nie wiemy, co powiedzieliśmy. I przeciwstawiam się wszystkim, którzy prostodusznie uważają, że mówiący panuje nad znaczeniami, jakie wyraża we własnym dyskursie. Myśl, że w pewnym sensie przerasta nas znaczenie tego, co wypowiadamy, znalazłem u Platona, który wyraził ją w sposób najbardziej dla mnie uderzający. Istnieje cała seria jego dialogów zwanych sokratycznymi, w których Sokrates pyta swych rozmówców o znaczenie słów jakich używają, i stara się im pokazać, że tego znaczenia nie znają, że nie wiedzą, co wypowiadają. Na przykład zabiera on głos w dyskusji, której uczestnicy rozważają problem odwagi i zastanawiają się, jak postępować, żeby dzieci były odważne. Sokrates tak kieruje rozmową, że dotyczy ona samego znaczenia słowa *o d w a g a*, i wykazuje rozmówcom, że są oni całkowicie niezdolni do zdefiniowania go. I to jest właśnie to, co wyniosłem z moich lektur filozoficznych. Mówiąc krótko, z filozofii przejąłem myśl, że nie wiemy, co wypowiadamy w chwili, gdy mówimy.

A. D.: *A z jakimi innymi tradycjami czuje się pan związany?*

O. D.: Poza tą zasadniczą intuicją, o której mówiłem, a którą najbardziej wyraziście sformułował Platon, wiele nauczyłem się od pewnych autorów nie uważających się za filozofów, ale których poglądy, moim zdaniem, można powiązać mniej lub bardziej bezpośrednio z owym zasadniczym motywem platońskim. Tak więc wiele zawdzięczam Bachtinowi, gdyż pokazał on w sposób najzupełniej przekonujący, że wewnątrz każdego tekstu pojawia się pewna ilość głosów i że sens tego tekstu wynika z wzajemnego ich powiązania. Tę myśl Bachtina, którą można by określić słowem „polifonia”, starałem się wprowadzić do badania samych wypowiedzi. Najbardziej był mi w tym pomocny szwajcarski językoznawca Bally. Znalazłem u niego myśl, że wewnątrz jednej wypowiedzi, w obrębie pojedynczego zdania, istnieją różne głosy, które się nakładają na siebie lub prowadzą ze sobą dialog. Myśl tę spotkałem też, poza obszarem językoznawstwa, w psychoanalizie. Na przykład wielki wpływ wywarł na mnie artykuł Freuda o negacji, w którym stara się on udowodnić, że wypowiedzi przeczące są wyrazem konfliktu między różnymi instytucjami (nazywa je on psychologicznymi) walczącymi z sobą nawzajem.

A. D.: *W przeszłości językoznawstwo dostarczyło badaniom literackim pewnych modeli. Czy myśli pan, że dzisiaj można by mówić o takiej odpowiedniości: językoznawstwo jest tym dla faktów mowy, czym poetyka dla literatury?*

O. D.: Nie znam się wystarczająco na poetyce, by móc odpowiedzieć na to pytanie wyczerpująco. Raz jeszcze pozwoli pani, że wyróżnię w pytaniu elementy, do których mógłbym się ustosunkować. Pierwszy punkt: czy badając teksty literackie należy wyodrębnić trzon, który byłby przedmiotem poetyki, tak jak badając fakty z zakresu mowy potocznej trzeba wyróżnić poziom centralny — język, analizowany przez językoznawstwo? Na to pytanie absolutnie nie mogę odpowiedzieć. Punkt drugi: jeśli na pierwsze pytanie odpowiedzielibyśmy twierdząco i w centrum badań literackich znalazłaby się poetyka, czy miałyby ona takie same cechy jak językoznawstwo, na przykład jego charakter formalny? Tu znowu nie znam odpowiedzi.

A. D.: *Często analizuje pan przykłady zaczerpnięte z literatury. Jaka rolę przypisuje pan swoim teoriom w badaniu tekstów literackich?*

O. D.: Sądzę, że wprowadzenie pojęć językoznawczych, takich jak polifonia czy argumentacja, pozwala na wzbogacenie szczegółowej analizy fragmentów literackich. Nie znaczy to bynajmniej, że badania

językoznawcze dostarczają ogólnego modelu badaniom literackim. Po prostu uważam, że mój opis np. negacji czy spójnika *mais* [ale] może bardzo pomóc w ciekawej interpretacji tych tekstów literackich, w których występują negacje i spójnik *mais*.

A. D.: *A więc nie zgadza się pan z Jakobsonem, uznającym poetykę za część językoznawstwa?*

O. D.: Z całą pewnością nie.

A. D.: *Poszukujący brakującego słowa skarżą się, że język nie pozwala im wypowiedzieć wszystkiego. Jak skomentowałby pan, z punktu widzenia językoznawcy, problem tego, co niewyraźalne?*

O. D.: Jak powiedziałem, najważniejsze, to dostrzec, że wypowiedzi, którymi posługujemy się w mowie potocznej, nie można, nawet częściowo, uznać za deskrypcje rzeczywistości: czy to zewnętrznej, czy też psychicznej. Wynika stąd, że we wszelkiej działalności dążącej do uchwycenia rzeczywistości psychicznej bądź, powiedzmy, przyrodniczej za pomocą mowy, nieuchronnie będziemy doświadczali, że instrument językowy jakim dysponujemy, jest niezadowolający. Jest tak w przypadku poetów, rzecz ma się podobnie, jak sądzę, w przypadku naukowców. Tragedią badania naukowego jest to, że aby mówić o rzeczywistości, musimy się w nim zdać na słowa języka, ale język, nie przeznaczony do tego, musimy dostosowywać do naszych potrzeb. Sądzę, że podobnie jest z poezją. Poeci nie mogą nie odczuwać nieadekwatności języka, kiedy pragną przedstawić, w sposób dla nich zadowolający, widzianą przez siebie rzeczywistość. Tak właśnie rozumiem słynny wiersz Mallarmégo: że poezja próbuje nadać czystsze znaczenie słowom plemienia. I sądzę, że to, czego doświadcza tutaj poezja, jest także udziałem, choć z innych powodów, nauki.

A. D.: *Jednym ze źródeł pańskich inspiracji był Austin, od którego oddala się pan systematycznie, gdyż semantyka polifoniczna prowadzi do innego ujęcia illokucji. Czy ma pan zamiar podtrzymać teorię aktów mowy, a jeśli tak, to w jakiej wersji?*

O. D.: Nie ulega wątpliwości, że wiele zawdzięczam Austinowi. Nie wymieniłem go mówiąc o moich źródłach, dlatego że czuję się coraz bardziej niewierny jego koncepcjom, choć wszystkie moje badania miały za punkt wyjścia lekturę Austina i, w pewnym stopniu, Searle'a. Od obu przejąłem myśl, że nasze wypowiedzi dotyczą przede wszystkim samego

wypowiadania. Każda z nich daje mianowicie pewne wskazówki co do intencji mówiącego i do sensu dyskursu należy przedstawienie tych intencji. (Nie znaczy to, że sens tworzony jest przez intencję komunikacyjną, co mogłoby sugerować, że mówiący, z definicji, panuje nad sensem. Stwierdzam jedynie, że sens, w tej mierze, w jakiej odnosi się do wypowiedzenia, zawiera obraz różnych intencji mówiącego — który jednak wcale nie musi zdawać sobie sprawy z owego obrazu.) Zarzucam natomiast filozofii aktów mowy, że aby przedstawić zawarty w sensie opis wypowiedzenia, posłużyła się pojęciem aktu mowy, które, jak sądzę, jest zdecydowanie za bliskie językowi potocznemu. W języku potocznym spotykamy słowa takie, jak *kazać*, *pytać*, *obietcać* itp. Filozofia aktów mowy skłonna jest wierzyć, że słowa te stanowią ramy, w obrębie których językoznawca powinien opisywać czynność wypowiedzenia. Coraz bardziej wydaje mi się to wątpliwe. Na przykład bardzo często do opisu naszych wypowiedzi filozofowie języka używają słów takich jak *kazać*. Otóż nie mam wrażenia, żeby pojęcie rozkazu oddawało zbyt dobrze akt spełniony przez osobę, o której się stwierdza, że coś kazała. Sądzę, że trzeba tworzyć pojęcia służące opisowi wypowiedzenia takiego, jakim je przedstawia sens naszych wypowiedzi, podczas gdy filozofowie języka zbyt często poprzestają na zapożyczeniu pojęć opisowych ze słownictwa potocznego.

A. D.: *Czy można zatem rozumieć, że podtrzymuje pan teorię aktów mowy i że jest to konstytutywna część opisu semantycznego?*

O. D.: Sądzę istotnie, że pewna teoria aktów mowy, oderwana od powiązań z zastanym słownictwem, jest częścią (i tylko częścią) opisu. Z drugiej strony, jest pewne, że często dla zinterpretowania usłyszanych wypowiedzi, używamy słów takich, jak rozkaz, obietnica itp., mówimy: *kazał*, *obietcał*, *blał*. Opis mowy potocznej nie byłby pełny, gdyby nie mógł wyjaśnić, dlaczego dla zinterpretowania usłyszanych wypowiedzi bardzo często sięgamy po takie słowa. Ale trzeba to wyjaśnić, nie zakładając, że stanowią one „naukowy” opis wypowiedzi, do których stosujemy je w życiu codziennym.

A. D.: *Mówiąc o języku, często używa pan słowa gra. Kto lub co proponuje ową grę, jaką stanowi komunikacja językowa? W opisie zakłada pan mówiącego i rozmówcę, ale da się zauważyć, że coraz ważniejszy staje się interpretator. Dzieje się tak, ponieważ do niego właśnie należy segmentacja dyskursu na wypowiedzi, wybór systemu interpretacji. Stąd moje pytanie: jeśli komunikacja językowa jest grą, to kto ją prowadzi?*

O. D.: Najpierw muszę ograniczyć użycie słowa *gra*, którym rzeczywiście często się posługuję. Postawiłem filozofom aktów mowy zarzut, że słowa zaczerpnięte z mowy codziennej, takie jak *przyrzekać*, *kazać* itp., traktują jako pojęcia metajęzykowe. Nie widzę powodu, żeby czymś lepszym było stosowanie do opisu aktywności językowej słowa *gra*, zapożyczonego z języka potocznego. Słowo to wybrałem mając głównie na myśli jego wartość negatywną. Kiedy mówię, że język jest grą, to chcę po pierwsze przeciwstawić się myśli, jakoby był on zasadniczo deskrypcją rzeczywistości. Istnieje co najmniej jeden element słowa *gra*, do którego nie chcę się przyznawać: gdy twierdzę, że aktywność językowa jest grą, nie chcę przez to powiedzieć, że jest czystą rozrywką, nie mającą żadnego związku z najgłębszymi doznaniem osób mówiących. Nawet jeśli mówić, to w pewnym sensie grać, nie znaczy to grać w tym znaczeniu, w jakim szachy są grą. Nie chcę przez to powiedzieć, że mówienie jest dodatkową rozrywką względem działania zasadniczego; raczej przeciwnie, sądzę, że wszystko, co w naszym życiu jest ważne, spełnia się za pomocą mówienia i w żadnym razie nie może chodzić o czynność wtórną, taką jak gra w szachy. Nasz stosunek do świata spełnia się poprzez mówienie, nie spełnia się natomiast poprzez szachy. Kiedy twierdzę, że jest to gra, chcę po prostu powiedzieć, że mówiąc, ustanawiamy poprzez nasz dyskurs pewną liczbę stosunków z rozmówcami i że jest to źródło naszego stosunku do świata. Ale nasz stosunek do świata jest czymś jak najbardziej poważnym, więc i mówienie, z tej racji, że go wyraża, jest czymś nieskończenie doniosłym. Pragnąłbym robić coś bardziej istotnego od mówienia, niestety, nie wiem, jak tego dokonać. Pozostaje problem, o którym pani wspomniała. Kto prowadzi grę: mówiący, rozmówca, czy interpretator?

A. D.: *Czy tekst, jak u Riffaterre'a?*

O. D.: Tekst... naprawdę nie mógłbym tego powiedzieć. Powiedziałbym raczej, że jest to interpretator. Rozumiem przez to, że gdy mam zinterpretować jakąś wypowiedź, to opisuję ją jako pewną grę mówiącego wobec rozmówców i słuchaczy. I oczywiście interpretator określa, jaka to gra. Ale aby ją określić, powinien założyć, że mówiący miał zamiar w pewien sposób rozdzielić role, powinien opisać mówiącego jako swego rodzaju reżysera. Można powiedzieć, że ukrytym reżyserem jest interpretator, ale jego reżyseria polega na tym, że gdy stara się zrozumieć wypowiedzi, postrzega mówiącego jako drugiego reżysera.

A. D.: *Z uwagi na instrukcyjną koncepcję znaczenia, realizacjom zdań przypisuje się w danej sytuacji nieokreśloną ilość sensów. Jak oceniać*

interpretacje wypowiedzi? Czy można mówić o rozróżnieniach typu: obligatoryjny/fakultatywny? Czy istnieją ograniczenia nakładane na interpretację? Czy przyjmuje się jakieś założenia na temat rzeczywistości, a jeśli tak, to na jakim poziomie? Myślę tu o pańskiej koncepcji dyskursu idealnego, koncepcji opisywania wypowiedzi przez możliwą kontynuację, którą przewiduje ona na mocy swej struktury semantycznej, ale która niekoniecznie jest realizowana w rzeczywistym dyskursie.

O. D.: Zgodnie z instrukcyjną koncepcją, o której pani wspomniała, znaczenie zdania (tzn. abstrakcyjnej struktury językowej stanowiącej podstawę rzeczywistych wypowiedzi) składa się z instrukcji mówiących (zob. moją analizę *tutaj*), jakiego typu informacji trzeba poszukać w kontekście, żeby zinterpretować wypowiedź. Przyjąwszy taką koncepcję nie można ustalić, dysponując opisem językowym, jednej tylko interpretacji, o której można by powiedzieć, że stanowi dokładny sens danej wypowiedzi. By wrócić do poprzedniego przykładu: taka bardzo prosta wypowiedź jak „Piotr jest tutaj” pozwala na mnogość interpretacji, w zależności od tego, jaką wartość nada się słowu *tutaj*, czyli jaką strefę przynależności przypisze się mówiącemu. Podobnie, jeśli powiedzieć, że w wypowiedzi „Piotr nie przyszedł”, pojawiają się dwaj wypowiadający, to pierwszy wyraża stanowisko, że Piotr przyszedł, a drugi się temu sprzeciwia. Przy takim ujęciu otwiera się wiele możliwości identyfikacji pierwszego z nich. Czy jest to sam mówiący w przeszłości, czy jego rozmówca, czy też może opinia ogólna? Istnieje wiele, być może nieskończenie dużo możliwych interpretacji. Wyprowadzam więc wniosek, że językoznawca absolutnie nie jest uprawniony do decydowania o prawdziwym sensie wypowiedzi, która faktycznie pojawiła się w danej sytuacji. Czy to znaczy, że każda interpretacja jest do przyjęcia? Wolałbym uniknąć takiego wniosku. Instrukcje zawarte w strukturze językowej wypowiedzi cechuje mimo wszystko pewna sztywność i nie można się do nich byle jak stosować. Aby interpretować, trzeba iść za wskazaniem, jakie dyktuje sam język. Wróćmy do pani pytania. Nie mogę powiedzieć jako językoznawca, że dana interpretacja jest prawdziwa, ale mogę powiedzieć, że jest fałszywa, albo zakłada, że mówiący naruszył strukturę językową.

A. D.: *A więc kryterium oceny polega na zgodności z instrukcjami?*

O. D.: Jest to tylko jedno z kryteriów, ale oczywiście istnieje wiele innych, związanych z naszą wiedzą o społecznej lub psychicznej sytuacji osoby mówiącej.

A. D.: *Można obecnie zaobserwować bardzo dynamiczny rozwój kierun-*

ków kognitywnych. Czy mógłby pan, w sposób bardzo ogólny, określić swoje stanowisko wobec tych tendencji?

O. D.: Muszę powiedzieć, że słowo „kognitywizm” cieszy się dziś takim powodzeniem, że nie bardzo mogę uchwycić jego znaczenie. Kognitywizm stał się dzisiaj tym, czym 30 lub 50 lat temu był strukturalizm, dlatego też dość trudno jest określić swoją wobec niego postawę. Co można rozumieć przez kognitywizm? Można np. rozumieć próbę odkrycia mechanizmów umysłowych działających wówczas, gdy ktoś mówi, a także gdy interpretuje mówienie. Osobiście nie mam żadnych obiekcji co do takich badań. Niestety, trzeba przyznać, że pozostają one trochę w sferze utopii, przynajmniej chwilowo i, o ile wiem, nie poczyniono w tej dziedzinie wielkich postępów. Być może tak się stanie — byłoby to bardzo dobrze, ale myślę, że w obecnym stanie rzeczy nieuczciwie jest kwestionowanie jakiejś teorii językoznawczej w imię badań kognitywnych, ponieważ są one zbyt słabo rozwinięte i zbyt mało pewne, żeby można było dyskutować. Co jeszcze można rozumieć przez kognitywizm? To, że sens słów, jakie wypowiadamy, powinno się opisywać w oparciu o pojęcia zaczerpnięte z psychologii. Badania psychologiczne stwarzałyby ramy dla opisu semantycznego (podobnie np. sądzili w XVII w. gramatycy z Port-Royal). Także i tu dyskusja jest niezwykle trudna, ponieważ nikt nie zna owych pojęć psychologicznych uznanych za uniwersalne i nikt nie zdołał ich zdefiniować z niewielką choćby dozą pewności. Na razie wydaje mi się, że postępowanie zmierzające od językoznawczych badań nad sensem ku hipotezom psychologicznym jest pewniejsze niż podążanie w kierunku odwrotnym.

A. D.: *Przed chwilą wspominał pan o pojęciach uniwersalnych. Czy zechciałby pan podzielić się uwagami na temat uniwersaliów w językoznawstwie? Jeśli je pan przyjmuje, to jakiego są one typu?*

O. D.: O ile uznać, że podstawą faktów mownych jest specyficzny przedmiot — język, i jeśli z drugiej strony przyjąć, że wszystkie poszczególne języki związane są ze zdolnością mówienia cechującą wszystkich ludzi, to nieunikniona staje się hipoteza, że istnieją uniwersalia realizowane w różny sposób przez różne języki. Nie znam teorii językoznawczej, która by się nie opierała na pojęciach uznawanych za uniwersalne. Gdy Saussure stworzył takie podstawowe pojęcia jak syntagma i paradygmat, przedstawił je jako uniwersalne. Gdy Martinet mówił o monemie czy o predykcacie, uważał, że są to uniwersalia. Gdy Chomsky mówił o transformacjach, twierdził, że sama idea transformacji, niezależnie od różnych jej typów, jest uniwersalna i należy do wszystkich

języków. Co do mnie, uważam, że pojęcia, jakimi się posługuję w opisie, np. presupozycja, argumentacja, wypowiedanie i polifonia, można zastosować do każdego języka. Powiedziałem przed chwilą, że przeszkadzały mi pewne aspekty teorii aktów mowy. Przeszkadzało mi mianowicie to, że teoretycy aktów mowy bezkrytycznie używali do ich opisu wyrazów z języka, którym się posługiwali, najczęściej z angielskiego. A przecież nie musimy przyjmować, że każdy język opiera się na tym, czego ślad można znaleźć w słownictwie angielskim. Ale to bynajmniej nie znaczy, że nie jest prawomocne odkrywanie pojęć ogólnych, które by miały wartość uniwersalną, na przykład, być może, samo pojęcie aktu mowy.

Inaczej mówiąc, uznaję konieczność przyjęcia uniwersaliów, bez których opisowi językoznawczemu brakowałoby jakiegokolwiek rzetelności, ale trzeba te pojęcia uniwersalne konstruować, a nie czerpać ze słownictwa potocznego.

A. D.: *Co stanowi dziś największy problem w pana badaniach?*

O. D.: Największym problemem w moich badaniach jest opracowanie pojęcia argumentacji, którym się coraz częściej posługuję, a szczególnie pojęcia toposu — podstawy wszystkich moich badań nad argumentacją. Zdałem sobie sprawę, że pierwsza formuła toposu była niezadowolająca, gdyż definiowałem toposy jako stosunki między właściwościami, ujmowanymi jako konstytutywne dla rzeczywistości pozajęzykowej. Jest to nie do przyjęcia i w gruncie rzeczy nie do pogodzenia z tym, na czym mi zależy, jeśli zważyć, że moim podstawowym celem jest, wręcz przeciwnie, ukazanie autonomii języka. Zauważyłem więc, że pojęcia, nad którymi pracowałem, chcąc opisać specyfikę języka, były w istocie sprzeczne z moimi pierwotnymi założeniami. Chciałbym więc zdefiniować pojęcie toposu nie korzystając z pojęć odnoszących się do rzeczywistości. Ale jest to zadanie niesłychanie trudne. Można powiedzieć, że mój problem zbliżony jest do problemu fonologów. Dostrzegali oni mianowicie, że nie należy opisywać dźwiękowego aspektu języka wychodząc od pojęć zaczerpniętych z fonetyki, że *a* francuskie należy opisywać nie jako dźwięk, ale jako stosunek do innych fonemów języka francuskiego. Niestety, do opisania stosunków między fonemami trzeba było zastosować pojęcie cech dystynktywnych. Otóż odnosi się ono do rzeczywistości fonetycznej. W nieco podobnej sytuacji znajduję się obecnie: mówię, że słowo odsyła nie do pojęć, tylko do toposów, czyli do stosunków między pojęciami. Dramat polega na tym, że pojawia się wielka pokusa, aby tym pojęciom nadać status pewnej rzeczywistości naturalnej, czego chciałbym za wszelką cenę uniknąć. Właśnie w tym

kierunku zmierza moja praca. Zaczęliśmy od Saussure'a i sądzę, że możemy skończyć nawiązując do niego ponownie. Saussure mówił, że w języku wszystko jest relacją. Lecz niesłuchanie trudno jest bronić w sposób spójny myśli, która służyła mu do ukazania specyfiki zjawisk językowych. Jeśli zaczynamy mówić o relacji, to zaraz dajemy do zrozumienia, że istnieją jakieś przedmioty wchodzące w relację i że przedmioty te trzeba wprowadzić do samej definicji tego pojęcia. Powiedzenie, że wszystko w języku jest relacją, wydaje się więc na pierwszy rzut oka absurdalne. Saussure ratuje spójność swej teorii formułą bardzo tajemniczą. Mówi on, że elementy języka tworzone są przez same stosunki między nimi. Saussure'owi, jak sądzę, nie udało się całkowicie zrealizować postulatu nadania stosunkom wartości konstytutywnej i ujęcia ich inaczej niż jako powiązanie obiektów istniejących niezależnie od siebie. Właśnie przed takim samym problemem stoję obecnie. Moje toposy są relacjami między predykatami i absolutnie nie chciałbym powiedzieć, że predykaty te istnieją niezależnie od siebie. Pragnąłbym dojść do stwierdzenia, że tworzone są przez wiążące je toposy, w tym sensie, w jakim saussurowskie elementy powstają dzięki relacjom, które ustala między nimi język.

A. D.: *Powrót do Saussure'a skłania mnie, by na zakończenie zadać panu jeszcze jedno pytanie. Czy zechciałby pan może podać zwięzłą definicję języka?*

O. D.: Bardzo trudno odpowiedzieć na takie pytanie, bo ryzykuję, że to, co powiem, będzie albo zbyt banalne, albo zbyt techniczne. Mimo to spróbuję. Dla mnie język jest zbiorem ról, jakie rozmówcy narzucają sobie nawzajem poprzez dyskurs.

A. D.: *Oto akt odwagi, którego Sokrates na pewno by nie omieszkiał wykorzystać jako impulsu do dialogu.*

Posłowie tłumaczki

Według Oswalda Ducrota, strukturalizm w semantyce wiąże się z przyznaniem konstytutywnej roli zjawisku wypowiedziania (*énonciation*), a opis języka (*langue*), będącego zbiorem zdań (*phrases*), wymaga wzięcia pod uwagę pewnych aspektów mówienia (*parole*). Innymi słowy, Ducrot łączy pragmatykę z semantyką. Wypowiedzianie rozumie jako fakt pojawienia się wypowiedzi (*énoncé*), definiowanej jako realizacja zdania, konstruktu postulowanego na poziomie języka.

W języku polskim jako odpowiednika *énoncé* używano także terminu „wypowiedzenie”. Realizując zdania, mówiący (*locuteur*) tworzy ciąg wypowiedzi — dyskurs. Dyskurs właśnie jest punktem wyjścia dla opisu języka. Ze zmianami rzeczywistości dyskursywnej wiążą się akty mowy. Zmiany te rozpatruje Ducrot z punktu widzenia praw i obowiązków rozmówców wyłącznie na płaszczyźnie dyskursu, w oderwaniu od zagadnień interakcji społecznej czy szerszej rozumianej socjologii. Powiedzieć coś — to wyznaczyć pewien ciąg dalszy, a wykluczyć inny. Czynniki pozostające poza zakresem badań mogą sprawić, że rzeczywiste następstwo wypowiedzi odbiega od — analizowanej przez Ducrota — struktury dyskursu idealnego (por. O. Ducrot *Strukturalizm, wypowiedzianie i semantyka*, tłum. K. Falicka, „Pamiętnik Literacki” 1980 z. 2).

Daną obserwacyjną, którą chce wyjaśnić Ducrot, jest wartość semantyczna wypowiedzi, zwana sensem (*sens*). Narzędziem eksplikacji jest wartość semantyczna zdania, zwana znaczeniem (*signification*). Definiuje się je jako zbiór instrukcji, które każą osobie interpretującej wypowiedź uwzględnić pewne elementy sytuacji wypowiedzania dla rekonstrukcji sensu, jaki zakładał mówiący. Przedmiotem badania są także semantyczne relacje między wypowiedziami, a szczególnie mechanizm łączenia wypowiedzi w dyskursie (por. J.-C. Anscombe, O. Ducrot *L'argumentation dans la langue*, Bruxelles 1983). Według tak zwanej teorii argumentacji w języku, nawiązania opierają się na sposobie, w jaki mówiący przedstawia fakty, a nie na warstwie informacyjnej jego wypowiedzi (to różni koncepcję Ducrota od innych koncepcji). Prowadzi to do radykalnego zerwania z semantyką warunków prawdziwości. Opis form językowych polega na wskazaniu, jakiego typu możliwy ciąg dalszy wyznacza każda z nich. Ukierunkowanie dyskursu ma swe źródło w ogólnych zasadach argumentacyjnych zwanych — w nawiązaniu do Arystotelesa — toposami (por. O. Ducrot *Topoi et sens*, w: *Lire et enseigner le texte et l'image: valeurs et cultures*, red. G. Maurand, 9^e Colloque d' Albi, Univ. de Toulouse-Le Mirail 1989).

Ich właśnie dotyczą aktualnie prowadzone badania. Od wielu lat współpracownikiem Ducrota jest Jean-Claude Anscombe.

Termin „argumentacja” nie odwołuje się do definicji najczęściej przyjmowanych. Początkowo oznaczał ciągi dwóch wypowiedzi, z których pierwsza była argumentem, a druga konkluzją. Z czasem w polu zainteresowań badawczych znalazły się elementy nie koniecznie wyrażone *explicit*e, daleko odbiegające od intuicyjnego rozumienia pary: argument — konkluzja (mogą to być np. akty illokucyjne, postawa przychylna lub nieprzychylna, samo zjawisko wypowiedzania). Obecnie przez „argumentację w języku” rozumie się możliwości budowania dyskursu

— czyli łączenia wypowiedzi — określone na poziomie języka i opisywane za pomocą pojęcia toposu.

Rozwinięciem myśli Bachtina i Bally'ego stała się semantyka polifoniczna. Zrywa ona z koncepcją jednego podmiotu mówiącego i ujmuje sens wypowiedzi jako dialog wielu głosów nazwanych wypowiadającymi (*énonciateurs*), z którymi mówiący na różne sposoby się utożsamia lub wobec których się dystansuje (por. O. Ducrot *Zarys polifonicznej teorii wypowiedzania*, tłum. A. Dutka, „Pamiętnik Literacki” 1989 z. 3). Teoria polifonii dąży do opisanego pierwotnej warstwy semantycznej języka, z której wywodziłyby się treści informacyjne i illokucja.

Oswald Ducrot jest także autorem prac z zakresu historii językoznawstwa (*Le structuralisme en linguistique*, Paris 1968; *Logique, structure, énonciation*, Paris 1989). Zajmuje się w nich powstawaniem języka jako autonomicznego obiektu badań oraz wpływem teorii na postrzeganie mowy i konstrukcję tego, co przyjmujemy za empiryczne fakty językowe. Wykłada w Ecole des Hautes Études en Sciences Sociales w Paryżu.

Paryż, 5 grudnia 1990

Anna Dutka

Arcydzieła pióra białych mężczyzn — uwag kilka o kanonie Z Fredem Nicolssem rozmawia Bożena Shallcross

Bożena Shallcross: *Kwestionowanie kanoniczności dzieł literackich w Stanach Zjednoczonych wiąże się w sposób pośredni z zagadnieniem istnienia lub nieistnienia obiektywnych wartości i obiektywnych kryteriów.*

Fred Nicols: Moment to dość trudny, jako że większość dominujących w literaturoznawstwie stanowisk nie jest zainteresowana problemem sądów wartościujących dzieła literackie.

B. S.: *Wyjąwszy pewne nurty w fenomenologii.*

F. N.: Lecz nie myśl strukturalistyczna i poststrukturalistyczna. A właściwie sięga to jeszcze dalej, do Northrope'a Frye'a, który zawsze

— czyli łączenia wypowiedzi — określone na poziomie języka i opisywane za pomocą pojęcia toposu.

Rozwinięciem myśli Bachtina i Bally'ego stała się semantyka polifoniczna. Zrywa ona z koncepcją jednego podmiotu mówiącego i ujmuje sens wypowiedzi jako dialog wielu głosów nazwanych wypowiadającymi (*énonciateurs*), z którymi mówiący na różne sposoby się utożsamia lub wobec których się dystansuje (por. O. Ducrot *Zarys polifonicznej teorii wypowiedzania*, tłum. A. Dutka, „Pamiętnik Literacki” 1989 z. 3). Teoria polifonii dąży do opisanego pierwotnej warstwy semantycznej języka, z której wywodzący się treści informacyjne i illokucja.

Oswald Ducrot jest także autorem prac z zakresu historii językoznawstwa (*Le structuralisme en linguistique*, Paris 1968; *Logique, structure, énonciation*, Paris 1989). Zajmuje się w nich powstawaniem języka jako autonomicznego obiektu badań oraz wpływem teorii na postrzeganie mowy i konstrukcję tego, co przyjmujemy za empiryczne fakty językowe. Wykłada w Ecole des Hautes Études en Sciences Sociales w Paryżu.

Paryż, 5 grudnia 1990

Anna Dutka

Arcydzieła pióra białych mężczyzn — uwag kilka o kanonie Z Fredem Nicolssem rozmawia Bożena Shallcross

Bożena Shallcross: *Kwestionowanie kanoniczności dzieł literackich w Stanach Zjednoczonych wiąże się w sposób pośredni z zagadnieniem istnienia lub nieistnienia obiektywnych wartości i obiektywnych kryteriów.*

Fred Nicols: Moment to dość trudny, jako że większość dominujących w literaturoznawstwie stanowisk nie jest zainteresowana problemem sądów wartościujących dzieła literackie.

B. S.: *Wyjąwszy pewne nurty w fenomenologii.*

F. N.: Lecz nie myśl strukturalistyczna i poststrukturalistyczna. A właściwie sięga to jeszcze dalej, do Northrope'a Frye'a, który zawsze

podkreślał, że jego teoria archetypów nie ma nic wspólnego ze sprawą sądów wartościujących o literaturze. Gdyby ktoś spytał go, dlaczego w swoich książkach omawiał znane dzieła zamiast takich, o których nikt dotąd nie słyszał, Frye odparłby po prostu, że akurat tak się złożyło, że zna te a nie inne. Zatem jeśli w obecnie panującym klimacie literaturoznawczym podważa się samą istotę przeprowadzania sądów wartościujących, to tym samym ulega zakwestionowaniu pojęcie kanoniczności tekstów literackich.

B. S.: *Czy nie wiąże się to też z rodzajem kryzysu w odczuwaniu wartości, z falą relatywizmu przypisywaną przez A. Blooma potężnemu wpływowi Nietzschego i Freuda na myśl amerykańską?*

F. N.: Tak, z tym że w tej chwili jest jasne, jeśli chodzi o amerykański kontekst, że mamy do czynienia z rodzajem fragmentaryzacji w myśleniu o literaturze. W każdej chwili wielu badaczy myśli o tekstach literackich na wiele różnych sposobów i jedno podejście może dominować w danym momencie, by w dwa lata później być zdominowanym przez następne. Poza tym, paralelna do tej wielorakości teoretycznych koncepcji, wielokulturowość jest następną przyczyną napaści na idee kanoniczności dzieł literackich. Właściwie precyzyjniej byłoby mówić obecnie o istnieniu wielu różnych kanonów zamiast jednego.

Pojęcie kanonu zostało zakwestionowane i niektórzy uczeni muszą teraz znaleźć powód, by go bronić z tej prostej przyczyny, że nigdy wcześniej o tym nie myśleli i przywykli do tego stanu rzeczy. A że wielu ludzi nie ma ochoty na robienie czegoś nowego, więc przemyślenie powodów usprawiedliwiających to, co się robi od dawna, jest niezbędne.

B. S.: *Jak to jest zdeterminowane przez różnice generacyjne i rywalizacje między uczonymi młodszej i starszej generacji?*

F. N.: Komplikuje się to w sposób nieznaczący, gdyż uczeni starszej generacji częstokroć nie są ludźmi szczególnie konserwatywnymi; w każdym razie wszyscy oni obecnie odchodzą i bardzo trudno jest dopatrzeć się jakiegoś, wyłaniającego się stąd, porozumienia.

Na przykład w dziedzinie, którą ja się zajmuję, czyli w historii renesansu, dostrzec można konflikt między różnymi szkołami, a są to szkoły interpretacyjne częstokroć nie podlegające podziałom generacyjnym.

B. S.: *Jeśli spojrzeć na dyskusję wokół kanonu jako na ściśle polityczny problem, jakie polityczne grupy i ich cele należy brać wówczas pod uwagę?*

F. N.: Pierwszą i być może najbardziej rzucającą się w oczy grupę stanowią krytycy feministyczni (*feminist critics*), ponieważ kanon na swój sposób nie traktował serio kobiet piszących. Uważam, że stanowisko krytyki feministycznej ma swoje podstawy.

B. S.: *A co z tymi utworami, które zostały napisane przez kobiety i dalekie są od doskonałości?*

F. N.: Z feministycznego punktu widzenia już postawienie takiego pytania ma zabarwienie ideologiczne. Ja sam muszę przyznać, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat miałem, dzięki temu ruchowi, okazję przeczytać nie znane mi dotąd utwory autorek piszących w różnych okresach literackich. Czasem nie były to utwory dobre, ale często dziwiłem się, że dotąd nie czytałem danej rzeczy. Są pisarki o niebagatelnej wartości, których nie bierze się poważnie pod uwagę tylko dlatego, że są kobietami. Myślę, że winniśmy poświęcić więcej czasu badaniu ich twórczości właśnie dlatego, że nie zajmowano się nimi w przeszłości.

B. S.: *Jaka — w kontekście kanonu — jest sytuacja pisarzy „macho”, jak choćby Hemingwaya?*

F. N.: Hemingway wydaje się teraz niemodny. Lecz interesujący i bardzo trudny przypadek stanowi Rabelais, którego stosunek do kobiet jest często skrajnie niechętny. To ciekawe, że w ciągu paru ostatnich lat zajmowano się nim z tego właśnie punktu widzenia. Nikt jednak, jak się zdaje, nie próbuje dowodzić, że skoro odchodzimy od kanonu, winniśmy przestać go czytać.

B. S.: *Skanonizowane książki odgrywają również niebagatelną rolę społeczną; do kanonu odwołuje się obecnie w swej retoryce Bennett, polityk stojący na czele kampanii antynarkotykowej.*

F. N.: Wyobraź sobie, jak wyglądałaby lista lektur, gdyby zestawilo się ją wedle kryterium negowania narkotyków. Pierwszą książką, jaka zostałaby usunięta, byłaby *Odyseja*, ponieważ gdy Telemach dociera do dworu Heleny i Menelaosa, Helena podaje mu wszelkie możliwe narkotyki sprawiające, że zapominają oni o kłopotliwej przeszłości. Homer nie mówi o tym z dezaprobatą. Tak więc *Odyseja* zostałaby odrzucona, choć — jak przypuszczam — *Iliada* byłaby tu w porządku.

B. S.: *Niektórzy amerykańscy literaturoznawcy i krytycy twierdzą, że sama zasada literackiego kanonu jest nie tylko symbolem, lecz — co*

gorsza — narzędziem kulturowej opresji, z kolei inni uważają kanon za ostatni bastion zachodnioeuropejskiej kultury.

F. N.: Rozmawiałem właśnie o tym z moją byłą studentką, która zauważyła, że listy lektur do wykładów o arcydziełach literatury (*the great books courses*) zazwyczaj zawierają dzieła napisane przez zmarłych białych mężczyzn. Przypuszczam, że to właśnie wskazuje, dlaczego niektórzy ludzie odczuwają to jako problem.

Szczególnie ważkie jest to w amerykańskiej kulturze takiej, jaka jest ona w chwili obecnej, gdy dokonuje się w niej zmaganie z przemianą w bardzo skomplikowany, wielokulturowy twór. Poza tym kultura amerykańska nigdy nie była zjawiskiem homogenicznym. Zaczyna to być odczuwane na różnych poziomach, lecz podstawowe pytanie jest następujące: jeśli ma się w grupie studentów (tak jak w City University) pełno studentów o nieeuropejskim pochodzeniu — czarnych, azjatów czy innych, to czy powinno się wpajać im przekonanie, że wielkie dzieła literatury światowej zostały napisane jedynie przez białych zmarłych mężczyzn?

B. S.: *Nie, ale ta sytuacja wynikała z pewnej historycznej dynamiki formowania się kanonu. Natychmiast nasuwa się pytanie o to, które z dzieł literackich innych kultur winny być włączone do kanonu oraz które z kobiecych głosów nie mogą być już dłużej pomijane. Na przykład na liście lektur wydziału komparatystyki na Graduate School jako jedyna kobieta-pisarka figuruje Virginia Woolf. Brakuje tu autorek takich, jak Christine de Pisan czy Madame de Sevigné.*

F. N.: W tym momencie konieczne jest oddzielenie sprawy listy lektur od sprawy wykładów. Lista lektur jest kwestią łatwiejszą, gdyż zawsze można ją poszerzyć, natomiast wykłady trwają trzynastie tygodni i jeśli włączyć autora wcześniej nie interpretowanego, oznaczać to będzie niezbędne wyeliminowanie czy dodanie kogoś innego.

Jak wiesz, jesteśmy w tej chwili w trakcie rewizji naszej listy lektur; zrewidowana lista będzie znacznie dłuższa i będzie na niej wiele kobiet-pisarek, a także po raz pierwszy nieco literatury trzeciego świata.

B. S.: *A czy znajdują się na niej pisarze czescy czy polscy?*

F. N.: To jest również sprawa zawiła i myślę, że niektórzy z nich będą uwzględnieni. Jedną z przeszkód w tym wypadku jest to, że główne dzieła literatury centralnej i wschodniej Europy nie są osiągalne w tłumaczeniach lub też istnieją w strasznych przekładach, co stwarza kolejne trudności. Znam np. pisarza serbsko-chorwackiego Njegoša, którego

arcydzieło *Gorski vijenac* jest okropnie przełożone na język angielski. Na podstawie tego przekładu byłoby rzeczą niemożliwą wnioskować, że ma ono jakkolwiek wartość. Zdarzają się sytuacje, gdy specjaliści muszą czytać niedobre tłumaczenia, ponieważ nic innego nie jest dostępne, lecz w szerszym zakresie jest to sprawa wątpliwa.

Chcielibyśmy, by nasi studenci wiedzieli więcej o literaturze centralnej i wschodniej Europy, ale jakość tłumaczeń jest trudnością, na jaką natrafia się już na samym początku.

B. S.: *Co zatem należałoby wykluczyć z listy lektur?*

F. N.: To nie jest mój punkt widzenia, a to dlatego, że nie jestem bardzo wojujący i wydaje mi się, że bardziej sensowne jest poszerzanie horyzontów. Nie widzę żadnego problemu, jeśli chodzi o dłuższe listy. Przypuszczam, że są badacze działający w ramach ściśle ideologicznego stanowiska, którzy pragnęliby widzieć nowy zestaw autorów zastępujący stary zestaw. Wydaje mi się, że byłoby to po prostu zastąpieniem jednego rodzaju ograniczenia przez drugie.

B. S.: *Ktoś nowoprzybyły z Europy centralnej może dość łatwo odebrać obecną dyskusję nad kanonem literatury jako przejaw kryzysu wartości.*

F. N.: Myślę, że zależy to od lokalnej sytuacji w college'u lub uniwersytecie, gdy ten sam program jest realizowany przez wielu różnych wykładowców i jest narzucony instruktorowi. Wówczas powstaje coś, co może wyglądać jak sytuacja kryzysowa. Dzieje się tak też wtedy, gdy ludzie spoza świata akademickiego z powodów ściśle politycznych trzymają się kurczowo kanonu rozumianego jako pewien rodzaj wartości symbolicznych. Są to zazwyczaj konserwatyści uważający atak na kanon za koniec zachodnioeuropejskiej cywilizacji, aczkolwiek cywilizacja zachodnioeuropejska zbliża się do swego końca od dawna. Tymczasem w codziennym życiu akademickim nie zdaje się to być symptomem kryzysu.

B. S.: *A raczej kolejnym przewartościowaniem.*

Od redakcji: FRED J. NICHOLS studiował filozofię na uniwersytetach Georgetown w Waszyngtonie oraz w Louvain, doktorat z zakresu komparatystyki uzyskał na New York University, po czym uczył na Yale University, a następnie na City University of New York, gdzie też obecnie pracuje jako profesor literatury porównawczej, francuskiej, niemieckiej oraz klasycznej. Autor m. in. „*An Anthology of Neo-Latin Poetry*” (1979) oraz licznych prac o nowożytnej literaturze klasycznej.

Świadectwa

Benedikt Liwzyc

My i Zachód

W końcu stycznia¹ Kulbin, który nieustannie korespondował z zagranicą, powiadomił mnie, że do Rosji przyjeżdża Marinetti. Odwiedzi Moskwę, a potem Petersburg: tak to z nim uzgodnił Tastiewien, który w charakterze delegata generalnego paryskiego Towarzystwa „Les Grandes Conférences” urządzał jego odczyty w obu stolicach.

W Moskwie w tym czasie nie było nikogo z futurystów: Dawid Burluk, Kamiński i Majakowski odbywali *tournée* na Południu. Było to słynne *tournée*, w którym brał udział Siewierianin, a które zakończyło się jego kłótnią z Majakowskim.

Na parę dni przed przyjazdem Marinettiego w jednej z moskiewskich gazet pojawił się wywiad z Łarionowem: wódz promienizmu stwierdzał, że wódza futuryzmu należy obrzucić zgniłymi jajami, ponieważ zdradził zasady przez siebie samego głoszone.

W obronie gościa stanęli Malewicz, który odciął się od wojowniczych zapędów Łarionowa, i Szerszeniewicz, który uchwycił się nieszczęsnej notatki reportera, żeby zalać redakcję całym potokiem listów. W charakterze jedyne go przedstawiciela futuryzmu rosyjskiego on też witał Marinettiego na dworcu, ani bowiem Tastiewien, ani Aleksiej Tołstoj,

¹ Opiswane wydarzenia dotyczą roku 1914.

o którym już wówczas organizatorzy wszelkich uroczystości przypominali sobie w chwilach tragicznych, żadną miarą nie mogli uchodzić za będzian².

O tym wszystkim my, mieszkańcy Petersburga, dowiedzieliśmy się z moskiewskich gazet, które, wierne swym obyczajom, nie omieszczały zgiełkiem powitać przyjazdu Marinettiego. Szczególną uwagą zaszczycała go „Now’” Suworina, codziennie zamieszczając wywiady, portrety, artykuły, dokładne sprawozdania z odczytów.

Zachwycając się temperamentem i oratorskimi zdolnościami Marinettiego, chwalać jego *esprit* i talent polemiczny, składając hołdy jego wirtuozerskiej deklamacji, prawie wszyscy dziennikarze odgraniczali jednak te osobiste cechy przywódcy włoskiego futuryzmu od głoszonych przezeń teorii. Skrupulatnie streszczając jego odczyty, gazety wolały pozostawić bez komentarzy wezwania Marinettiego do burzenia muzeów i bibliotek, jego szowinistyczne wykrzykniki, jego mizoginizm i inne okropności.

Kiedy rok wcześniej obłąkany Bałaszow pociął w Trietjakowce płótno Riepina, te same pismaki nie powstydzily się wytykać palcem Burluków, niedwuznacznie dając do zrozumienia, że rzeczywistymi winowajcami szaleńczego czynu, jego prawdziwymi inspiratorami są heroldowie „lewej” sztuki.

Teraz jednak, czy to z tej racji, że chodziło o cudze skarby, czy że trudno było brać za dobrą monetę wściekle hasła Marinettiego, czy wreszcie dlatego, że należało zachowywać pewne formy przyzwoitości wobec gościa, którego, gdyby był naszym rodakiem, dawno już ubrano by w kaftan bezpieczeństwa — nikt ani myślał stawać w obronie Michała Anioła, chociaż na jego Mojżesza zamierzał się już łomem Umberto Boccioni.

Wprost przeciwnie: nam, rosyjskim futurystom, stawiano nawet za wzór milusiego Marinettiego, który nie maluje sobie twarzy, nie ubiera się w pasiastą bluzę, nie urządza awantur.

Niestety, była to prawda. Heroiczne czasy włoskiego futuryzmu bezpowrotnie odeszły w przeszłość. „Krwawe” bitwy z paseistami w Mediolanie i w Rzymie, o których przy każdej okazji lubił wspominać Marinetti, stały się już domeną eposu. W nadziei, że przywróci utracony blask tak wcześniej ordzewiałej bojowej zbroi, wybrał się

² Tą nazwą określa autor futurystów — por. *Od tłumacza*.

Do barbarzyńskiej Rosji, ze strachem, ze łzami;
Przybył, a tu go zewsząd otacza pieszczotka...

Nienawistnego wroga księżycowej poświaty, mizoginika, muzeoburcę, zjadłego przeciwnika filisterstwa, obsypywano kwiatami, uperfumowanymi damskimi liścikami, obwożono po galeriach obrazów, podejmowano bankietami. Jedynej możliwości skandalu — w Kółku Literacko-Artystycznym, gdzie przyjechał po odczycie w Konserwatorium i gdzie przypadkiem znajdował się Łarionow — niemal natychmiast zapobiegła interwencja kilku apostołów zgody, którzy postarali się wyłuskać z nawiązanej rozmowy wszystko, co kryło w sobie niebezpieczeństwo starcia.

W Moskwie Marinetti nie spotkał tedy żadnego z futurystów. Był to prawdziwy blamaż. Nie mogli nad nim przejść do porządku nawet reporterzy, którzy odnotowali, że włoski gość znalazł się w towarzystwie osób nie mających nic wspólnego z futuryzmem. Ktoś nawet zakpił, że z Marinettim powtórzyła się historia pewnego Hindusa, który przyjechał do Moskwy, by przy pomocy muzyki i świętych tańców głosić nową religię, a wylądował u „Maxime’a”.

Otoczony „paseistami”, młodymi fircykami i tymi właśnie starcami, którzy, mówiąc jego słowami, „są w błędzie nawet wtedy, kiedy mają rację”, Marinetti zużył się wreszcie: w ostatnim odczycie z goryczą stwierdził, że publiczność oklaskuje jego temperament, a nie idee. Ponadto nieobecność futurystów rosyjskich, do których chcąc nie chcąc musiał się zwracać zaocznie, stawiała wodza zachodniego futuryzmu w śmiesznym położeniu dowódcy bez wojska. Spieszno mu było do Petersburga, w którym spodziewał się innego przyjęcia: od moskiewskich sukcesów mdliło go nie na żarty.

W przeddzień przybycia Marinettiego do Petersburga Kulbin zwołał w swoim mieszkaniu coś w rodzaju narady. Koniecznie chciał wymóc na nas jednomyślną gościnność i zapobiec temu, co zdarzyło się w Moskwie.

Okazało się to niełatwe, jako że Chlebnikow i ja zajęliśmy nieprzejednane stanowisko. Bez żadnej zmywy uznaliśmy, że Marinetti swoją podróż do Moskwy traktuje jak wizytację, dokonywaną przez szefa organizacji w jednej z filii.

Temu zdecydowanie należało się przeciwstawić: nie tylko nie uważaliśmy się za odgałęzienie zachodniego futuryzmu, ale też nie bez podstaw

sądziliśmy, że w wielu sprawach nam, a nie włoskim pobratymcom, należy się pierwszeństwo.

W rzeczy samej, w tuzinie manifestów nadesłanych przez Marinettiego jeszcze z Mediolanu nie znaleźliśmy nic nowego dla siebie, zwłaszcza w tych trzech, które dotyczyły bezpośrednio literatury. Większość też włoskich futurystów bądź to stanowiła dla nas miniony etap, bądź połowiczne tylko rozstrzygnięcie zadań stojących przed nami wszystkimi. Zadania te, ma się rozumieć, nie wykraczały poza „technologię” sztuki, „filozoficzne” bowiem przesłanki włoskiego futuryzmu interesowały nas tylko teoretycznie: jednoimienny ruch w obu krajach zrodziły nazbyt różne przyczyny, żeby można było nie naciągając faktów mówić o jakimś wspólnym programie.

Przybycie Marinettiego i plotki, jakie wywołało to zdarzenie, utwierdziły mnie w zamiarze wystąpienia wobec szerokiego audytorium z odczytem na temat wzajemnego stosunku rosyjskiego i włoskiego futuryzmu. Na razie uważałem za konieczne opublikowanie manifestu, w którym będąciane odcinaliby się od grupy Marinettiego.

Tego samego zdania był Chlebnikow. Pozostali — Nikołaj Burluk, Matiuszyn, Lurie — zgodzili się z Kulbinem, z pianą na ustach dowodzącym niewłaściwości podobnej deklaracji, w której „nasz drogi gość” niechybnie dopatrzy się zniewagi. Kulbin zagrał nawet na patriotyzmie lokalnym obecnych, kładąc nacisk na to, że co Petersburg, to nie Moskwa, powinniśmy więc naprawić błędy naszych moskiewskich kolegów, pokazując, że jesteśmy prawdziwymi Europejczykami.

Ażjatom pozostałiśmy my dwaj: Chlebnikow i ja.

Nazajutrz skoro świt przyszedł on do mnie, po czym w ciągu kwadransa ułożyliśmy proklamację, którą bezzwłocznie zawiózł do drukarni, żeby wieczorem można już było rozpowszechnić ją na odczycie Marinettiego.

Sala Giełdy Kałasznikowskiej była już pełna, a Chlebnikow, z którym byliśmy umówieni na pół godziny przed rozpoczęciem odczytu, nadal nie nadchodził. Kulbin dowiedział się skądś o naszym manifeście i tak samo jak ja nie spuszczał oka z drzwi.

Wreszcie w ostatniej chwili, kiedy na katedrze pojawił się Marinetti, do sali wdarł się blady, zdyszany Chlebnikow, przyciskając do piersi plik proklamacji. Wetknąwszy mi połowę zaczął szybko obchodzić rzędy, rozdając ulotki na prawo i lewo. Już w drukarni wprowadził do tekstu pewne poprawki, łagodząc wyrażenia, które wydały mu się zbyt ostre.

Nasza deklaracja, wydrukowana na kancelaryjnym papierze w niebieską kratkę, głosiła:

Dzisiaj poniektórzy tubylcy i włoska osada nad Newą z osobistych względów padają do nóg Marinettiemu, zaparliszy się pierwszego kroku sztuki rosyjskiej na drodze wolności i honoru, i chylą szlachetny kark Azji pod jarzmo Europy.

Ludzie, którym nie tęskno do chomąta na szyi, będą jak za haniebnych dni Verhaerena i Maxa Lindera spokojnie spoglądać na niecną peregrynację.

Ludzie wolni stanęli z boku. Pomni są prawa gościnności, lecz łuk ich napięty, a czoło srogie.

Cudzoziemcze, pamiętaj, do jakiego przyszedłeś kraju!

Koronki lokajstwa na baranach gościnności.

W. Chlebnikow

B. Liwshyc

Zanim zdążyłem rozdać choćby z dziesięć egzemplarzy, dopadł mnie Kulbin. Ze zręcznością, której nie sposób było się spodziewać po człowieku nie pierwszej młodości, wyszarpnął mi z rąk cały plik i wściekle drąc na strzępy swoją zdobycz popędził za Chlebnikowem, działającym już w ostatnich rzędach. Pierwszy raz w życiu widziałem Kulbina w furii: odchodził od zmysłów, samym spojrzeniem, zdawało się, zdolny był mnie i Chlebnikowa obrócić w popiół.

Nie wiem, co tam zaszło między nimi na drugim końcu sali, kiedy jednak Nikołaj Iwanowicz wrócił na estradę sprawiał wrażenie człowieka, który w biegu wyskoczył z pociągu. Nie miałem czasu rozmówić się z nim, Marinetti bowiem rozpoczął już prelekcję.

Zaczął w tonie minorowym — od utyskiwań na położenie współczesnych Włoch, przytłoczonych brzemieniem własnej wielkiej przeszłości i prostytuujących ją na każdym placu, gdzie zbiegają się zewsząd nieprzebrane tłumy ciekawskich.

— Turystyka to wrzód, który zżera ciało mojej ojczyzny! — wykrzykiwał z goryczą. — Nie kończący się najazd cudzoziemców nie tylko przeobraża żywy kraj w cmentarzysko przeszłości, ale nieustannie rozniecając zainteresowanie jego zabytkami, muzeami, galeriami obrazów i innymi sanktuariami, odcina nam, młodym i silnym, drogi dalszego rozwoju, każe nam pozostawać w niewoli dnia wczorajszego.

Widmo Michała Anioła jak senny koszmar prześladowuje mojego przyjaciela Boccioniego, nie dając mu pracować i tworzyć wielkich dzieł. Tak samo sprawy się mają z innymi rodzajami sztuki: z malarstwem, z muzyką, z poezją... Tymczasem prawdziwe oblicze Włoch to nie Florencja, nie Rzym, nie Wenecja, ale ośrodki przemysłowe — Mediolan, Genua,

Turyn. Tam już można obserwować, jak rodzi się nowe tempo, wynikłe z komplikacji miejskiego życia i z codziennego wzrostu techniki przemysłowej...

Poznaliśmy nowe piękno — piękno szybkości: jest nam ono dane w pędzie automobilu, w locie aeroplanu, musimy ucieleśnić je w sztuce! Dynamizm to podstawowa zasada współczesności!

Wszystko to było znane od dawna, stanowiło jedynie streszczenie starych manifestów, opublikowanych przed kilkoma laty. Nawet ci, którym pojęcie futuryzmu obito się tylko o uszy, nie mogli w odczycie Marinettiego dosłuchać się żadnych objawień. Niemniej cała po brzegi nabita sala jak zaklęta wpatrywała się w niewielką ruchliwą figurkę zżywieniem gestykulującą na katedrze.

Gestykulacja to niezupełnie właściwe miano dla tej błyskawicznej szybkości poruszeń następujących po sobie jak na filmie sztucznie przyspieszonym przez pijanego operatora. Demonstrując jak gdyby na własnym przykładzie możliwości nowej dynamiki, Marinetti dwoił się i troił, wyrzucając na boki ręce, nogi, wałąc pięścią w pulpit, ciskając głową, błyskając białkami, szczerząc zęby, jedną za drugą pochłaniając szklanki wody, nie zatrzymując się ani na sekundę, żeby złapać oddech. Pot strugami spływał po jego oliwkowej twarzy, wojownicze wąsy à la Wilhelm nie sterczały już do góry, kołnierzyk zmiękł, utraciwszy wszelką formę, on zaś nadal jak karabin maszynowy zasypywał audytorium ogniem bombastycznych frazesów, w których płynny romański okres co chwila deformował się w dźwiękonaśladowczych eksplozjach.

Porównywałem ten szamański taniec, tę niepohamowaną ekspansywność w każdym ruchu, ten ogłuszający słowny fajerwerk ze skąpym gestem starczej sinawej ręki, w którym Verhaeren umiał zawrzeć powściągliwą namiętność głębokiego przeżycia i natężoną moc po goetheańsku wzniosłej myśli. Podczas gdy petersburskie psychopatki wpijając się wzrokiem w nienagannie regularne rysy Włocha w myślach układały listy miłosne, które Eumenidy upatrzyły sobie zapewne jako karę godną mizoginika, a gazetowi kronikarze zapisywali w notesach nader oryginalne sądy o kipiącym temperamentem południowca, ja myślałem o czymś innym — o instynkcie *polis*, tak obcym nam, Rosjanom, i w takiej pełni znajdującym wyraz w duchowym obliczu Marinettiego.

Na katedrze szalał mediolańczyk, który szczerze uważał swoje rodzinne miasto za pępek świata. Nikt nie miał prawa obojętnie odnosić się do losów Mediolanu, były to bowiem losy samej ludzkości. Tylko fanatycz-

na wiara w światową misję *polis* utożsamianego z ojczyzną pozwalała wodzowi włoskiego futuryzmu obuwać się w koturny, nakładać tragiczną maskę i zawracać głowę dwóm kontynentom swoimi domowymi kłopotami, nie popadając przy tym w śmieszność.

— Wojna to jedyna higiena świata!... — wyteżał resztki sił. — Niech żyje militarizm i patriotyzm!... Precz z osłabiającym wpływem kobiety: trzeba nam bohaterów, a nie sentymentalnych trubadurów i piewców księżycowej poświaty!...

Jak mało podobny do naszych deklaracji był ten skończony program polityczny, który prezentował słuchaczom Marinetti! Wolał wprawdzie nie stawiać kropki nad „i”, ani się zająknął na temat tego, co w istocie kryło się u podłoża jego haseł, ale tego nie mogliśmy uczynić nie odzierając rzeczywistości z ostatniej romantycznej zasłony.

Zawzięte okrzyki Marinettiego były bowiem w istocie wyrazem namiętnego pociągu, wścieklej żądzy klas posiadających na wpół rolniczego kraju, spragnionych za wszelką cenę własnego przemysłu, własnych rynków zagranicznych, samodzielnej polityki kolonialnej. Opiewana przez Marinettiego wojna trypolitańska i zanegowanie przyrody („Śmierć księżycowej poświacie: sławimy tropiki zalane elektrycznymi księżycami!”) były tylko różnymi przejawami jednej i tej samej siły, która pchała Włocha w tę właśnie stronę.

Futurizm Marinettiego wbrew jego twierdzeniom okazywał się nie religią przyszłości, ale romantyczną idealizacją współczesności, a właściwie nawet aktualności — doktryną, która skupiała w sobie wszystkie główne dążenia młodego włoskiego imperializmu, apologią „dzisiaj”, prezentywnym w czystej postaci...

Wychodząc z zakończonego burzliwymi oklaskami odczytu myślałem nie o zburzeniu składni, nie o eliminacji niektórych części mowy, nie o „słowach na wolności”... Te wojownicze wypadki przeciwko tradycyjnym zasadom połączeń wyrazowych wydawały się, być może, ultraekstremizmem tam, na Zachodzie, dla nas jednak stanowiły przebyte już etap...

Interesowało mnie co innego — polityczne podłoże włoskiego futuryzmu, tak różne od naszych radykalnych przekonań, od naszego anarchicznego buntarstwa... Nawet nie to podłoże samo w sobie, ale wnioski, które mimo woli nasuwały się przy zestawieniu obu postaci futuryzmu.

Stałem twarzą w twarz z bezspornym faktem: mimo zdecydowanego

rozejścia się ideologii naszej (nie grupowej — taka nie istniała! — ale każdego z nas z osobna) i Marinettiego, zgodziliśmy się z Włochami co do postulowanych celów formalno-technicznych, a w pewnej mierze zgoda ta dotyczyła również naszej praktyki twórczej.

Ten *casus* mógł mieć trojaki rozstrzygnięcie.

Po pierwsze, można było wyjść od tego, że różne przyczyny rodzą te same następstwa. Byłoby to najłatwiejsze wyjaśnienie, po prostu odfajkowanie problemu, który zaprzętała moją myśl: już elementarnie zdyscyplinowany umysł kwestionuje ingerencję przypadku tam, gdzie istnieje nadzieja na ustalenie jakiejś prawidłowości.

Po drugie, można było rozewać związek przyczyny i skutku: uznać, że czynniki, które określają ideologię, nie odgrywają decydującej roli w domenie estetyki... Cóż? Nie byliśmy przecież marksistami, ale zwolennikami „czystej” sztuki we Flaubertowskim rozumieniu tego terminu, twierdziliśmy, że samoistność tworzywa stanowi jedyny substancjalny element wszelkiej sztuki... Gdyby potrzebne były naoczne dowody niesłuszności tej teorii, to właśnie odczyt Marinettiego stanowił świadectwo najbardziej dobitne: nikt jeszcze nie wiązał tak prostolinijnie „technologii” z „polityką”, jak czynił to wódz włoskiego futuryzmu.

Pozostawała wreszcie trzecia hipoteza: przypuśćmy, że jednakoowe skutki wywoływane są przez tożsame przyczyny, innymi słowy, założmy, że również rosyjskie będziaństwo nie jest wolne od elementów nacjonalizmu, patriotyzmu itd., ale że w przeciwieństwie do Włochów, którzy otwarcie głoszą owe „przyczyny”, myśmy zapędzili je gdzieś do wnętrza, w jakieś ledwie namacalne głębie.

Będziaństwo nie stanowiło skończonego światopoglądu na wzór marinettizmu. Przewyciężając jako antydynamiczny zabobon tradycyjne przeciwstawienie tworzenia burzeniu nie pragnęło żadnej konsolidacji swoich tendencji, wzbraniało się przed przekształceniem ich w zastygłą formułę, w postulatory absolutne. Nade wszystko będziaństwo bało się przekształcenia w doktrynę, w dogmat. Pragnęło określić się tylko negatywnie i zgodziłoby się uznać w samym sobie system tylko pod tym warunkiem, iż wpięrowy udałoby się dowieść, że istnieje coś takiego, jak system temperamentu. Wszystkie tezy rosyjskiego futuryzmu w intencji jego twórców miały być przyjmowane nie jako niezmiennicze, poza nim leżące cele, ale jako punkt początkowy ruchu, zawarty w samym futuryzmie, jako zasada regulująca będziańską twórczość.

Brak jednak wspólnych (dla całej grupy) wytycznych filozoficznych i socjologicznych bynajmniej nie oznaczał naszej obojętności wobec zagadnień z tego zakresu. Wystarczy tu wspomnieć wiersze „Małorojskanki Milicy, lat trzynastu”, które zamieszczono w *Sadzyku* pod naciskiem Chlebnikowa:

Żeby tak skołała
I niechajże w ziemi
Pogrzebią mnie ruskiej!
Nie będę się uczyć
Wymowy francuskiej!
Do książki niemieckiej
Nie będę patrzała...

— wspomnieć nasz trójjęzyczny manifest albo proklamację z okazji przyjazdu Marinettiego, żeby przekonać się o czymś wprost przeciwnym. Jeśli nie wszyscy będąciani, to w każdym razie ich większość wikała się w skomplikowane obrachunki z Zachodem, uprzedzając swoim „wschodnictwem” przyszłe „scytyjstwo”. Moja prelekcja wygłoszona w sali szwedzkiego zboru nie grzeszyła może przekonującą argumentacją, ale jednego nie sposób było jej odmówić: rasowa teoria sztuki, na której się wówczas opierałem, zyskiwała w mojej interpretacji nader symptomatyczny kształt.

Co prawda, to „wschodnictwo” miało absolutnie metafizyczny charakter. Podobnie jak Chlebnikow, operowałem abstrakcyjnymi pojęciami Wschodu i Zachodu, nadając względnym kategoriom cechy bezwzględności, a wyjście z kolizji widziałem we wchłonięciu Zachodu przez Wschód. Te dwa bieguny kultury nie miały wyróżników terytorialnych: w ich mglistościach brak było jądra konkretnych formacji państwowych, były pozbawione granic przestrzennych, składały się z jakichś elementów kosmologicznych.

Wszelkie próby dopatrzenia się teraz, po latach, w tej metafizyce kultury jakichkolwiek subiektywnych tendencji nacjonalistycznych stanowiłyby naruszenie perspektywy historycznej: korona Trzeciego Rzymu od czasów Cuszimy przestała się marzyć nawet Briusowowi. Nerwowy dreszcz, wyczuwalny w brawach na sali, której (odnotowały to też gazety) przypadło do serca moje wezwanie do „uznania siebie za Azjatów i zrzućcia jarzma Europy”, świadczył jednak, że ponad naszymi głowami zaczęły się już nawoływać „demony głuchonieme”, bełkotliwie wysławiające się antytezami „rasowych” teorii.

*

Zanim jeszcze ułożyło się program odczytu, trzeba było koniecznie wynaleźć kogoś, kto by zgodził się przewodniczyć dyskusji, policja bowiem, nauczona smutnym doświadczeniem naszych wieczorów, które prawie zawsze kończyły się skandalami, zezwalała na wystąpienia futurystów wyłącznie za poręczeniem szacownych profesorów, biorących na siebie odpowiedzialność za możliwe awantury.

Takiego poręczyciela znaleźć było trudno, albowiem po krótkim okresie żywego „flirtu” będzian i czcigodnych kapłanów akademickiej nauki, laurem koronowani starcy rychło doszli do przekonania, iż podtrzymywanie stosunków z futurystami to nazbyt ryzykowny sposób na odmłodzenie i że bezsensiem byłoby dzielić z nimi jedyne dobro, jakie mieliśmy im do zaoferowania: ogólnorosyjską hańbę.

Aby więc nie spłoszyć takiego weselnego starosty, trzeba się było imać różnych sposobów: wybierając się do niego na pertraktacje upychało się w najciemniejszym kącie wyciągniętą z butonierki drewnianą łyżkę, zmywało się ze swych policzków koniki i pieski miłośnie odrobione akwarelą, słowem, odgrywało się niewiniątko, co nigdy w życiu nie słyszało o żadnych skandalach.

Za każdym jednak razem szło to coraz trudniej. Nawet Baudouin de Courtenay, który przez pewien czas chętnie zgadzał się na nasze prośby, koniec końców doszedł do wniosku, że jego uczynność nie przyniesie mu ani honoru, ani zysku. Ponieważ mój wygląd i sposób bycia nie zdradzały pochodzenia z będziańskiego obozu, właśnie mnie przypadało podówczas w udziale niełatwe zadanie obłaskawiania starców. Sumiennie się z niego wywiązywałem, ale że szewc bez butów chodzi, przed własnym wieczorem zostałem bez przewodniczącego. Stało się to w następujący sposób.

Na pięć dni przed moim odczytem w Tieniszewce przypadał „Wieczór o nowym słowie” z dwiema prelekcjami: Szkłowskiego *O wskrzeszeniu rzeczy* i Piasta *O przyszłości i o przeszłości*. Na przewodniczącego zebrania, w którym uczestniczyć mieli przedstawiciele wszystkich kierunków literackich, postanowiono zaprosić Siemiona Wiengierowa.

Pozostawiwszy w domu czarny żabot, który nosiłem zamiast krawata i który sam już mógł mnie skompromitować, ruszyłem na Zagorodny do słynnego historyka literatury. Przyjął mnie uprzejmie, chyba nawet nazbyt uprzejmie — jak prezydent Republiki Francuskiej wodza jakiegoś afrykańskiego plemienia.

Wiengierow najwyraźniej wpatrywał się we mnie jak w gościa z innego świata. Zaczynałem już żałować, że nie zjawilem się u niego z wymalowanymi policzkami: nie po to, żeby go epatować, ale żeby podkreślić własną niezależność, co było pragnieniem całkiem zrozumiałym.

Dyszając mi w twarz dopiero co spożytym obiadem przysuwał się do mnie blisko. Obfitość łupieżu, którym obsypany był kołnierz i ramiona jego surduta, budziła we mnie mimowolny dreszcz wstrętu. Kto wie, może ten właśnie łupież w większym jeszcze stopniu niż tamten, którym obsypywał karty Puszkiniowskich rękopisów, napawał świętą zgрозą uczniów, co nie potrafili oddzielić tego detalu powierzchowności mistrza od całej jego postaci? Częstokroć do elementów immanentnych zaliczamy absolutnie przypadkowe atrybuty, w ramy figur geometrycznych wtłaczając zapach tajemniczego medykamentu wionący spod odchylonej poły uniformu wykładowcy matematyki, albo też upatrując w brodawce dwakroć większej niż brodawka Fiodora Sołoguba, ze czcią omijanej przez golibrodę, absolut pan-dyrektorskiej władzy, na podobieństwo wieków średnich, które w *glandula pinealis* dopatrywały się siedliska duszy.

Ukończyłem fakultet prawa, a nie filologii, i to w Kijowie, a nie w Petersburgu: czy nie dlatego ze swobodą obcą zarówno Koli Burłukowi, jak Piastowi, oddzieliłem *accidentalia* od *essentialiów* — przerażające poddmuchy łupieżu od owych skarbów, które Wiengierow w ciągu dziesięcioleci omiatał swą brodą Puszkiniowskiego Czarnomora? Leżały w płaskich gablotach — właściwie nie one same, ale ich fotokopie — bruliony wierszy i prozy Puszkina, odgrudzone od ich posiadacza nie szybą — o, nie! — ale niewzruszonymi pokładami owej absolutnej obcości, jaka możliwa jest tylko między mieszkańcami dwóch różnych układów planetarnych. Pozostawały w niewoli u człowieka, którego miłosny do nich stosunek sam w sobie wydawał mi się szyderstwem, a chociaż mnie, koledze ludzi, którzy strącali Puszkina z „parowca współczesności”, zupełnie nie wypadało chwycać się roli wyzwoliciela—Rusłana, niepomny celu mojego tutaj przybycia, nieoczekiwanie wygłosiłem całe przemówienie, którego zuchwałość szła o lepsze ze szczerością.

Wiengierow osłupiał: prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu zdarzyło mu się paść ofiarą ataku ze strony, której niedosięłość mniej w nim budziła wątpliwości niż własne istnienie.

Zwabieni moim podniesionym głosem, w drzwiach stłoczyli się „adiunkci”, którzy zapewne tkwili nad papierami w sąsiednim pokoju.

W ich uśmieszkach i urywkowych replikach doczytałem się nie ironii, ale solidarności miarkowanej jedynie estymą wobec nauczyciela, zachęcony więc przez ten dialog młodości z młodością, rozhulałem się na dobre. Kiedy się zatrzymałem i przypomniawszy sobie powierzoną mi misję spróbowałem przejść do rzeczy, było już za późno: odmowa Wiengierowa nie wymagała żadnej motywacji.

Nie nalegałem, albowiem nawet dużo zręczniejszy dyplomata nie podjąłby się zmienić tonacji nagle ustalonych stosunków. Tak czy owak doceniłem jeśli nawet nie uprzejmość gospodarza, to w każdym razie metodyczność naukowca, kiedy Wiengierow żegnając się ze mną wręczył mi blankiet ankiety z prośbą o jej wypełnienie dla redagowanego przezeń *Słownika pisarzy rosyjskich*.

Zakrawało to niemal na kpinę, jako że moje aktywa, nie licząc utworów rozproszonych na łamach będziańskich edycji, sprowadzały się podówczas jedynie do *Fletni Marsjasza*, toteż oblekanie się w „encyklopedyj suknie ocieężałe” wydawało mi się przedwczesne. Karteluszek jednak wziąłem, postanawiając sobie, że nie zwrócę go Wiengierowowi, po czym prosto z Zagorodnego pojechałem na Kadecką Linię do Baudouina de Courtenay.

Przeżywając przygodę z Wiengierowem jak zwycięstwo (czyje? nad kim? — trudno by mi było wówczas na to odpowiedzieć), wkroczyłem do gabinetu Baudouina, który mieszkał ni to w gmachu uniwersytetu, ni to gdzieś w pobliżu.

Nazwisko tego „czerwonego” profesora — taką sławą cieszył się wśród studenterii — nasuwało mi wszelkie asocjacje, prócz tego, co odtąd, od pierwszego naszego spotkania, zaczęło mi się z nim kojarzyć. W wyobraźni rysował mi się ten potomek krzyżowców, liczący sobie wśród przodków trzech bizantyjskich cesarzy, jeśli już nie na podobieństwo francuskich rycerzy z kolorowych obrazków w dziecięcym „Mon Journalu”, to w każdym razie jako współczesny Rochefort czy Déroulède. Jego oddanie się językowi rosyjskiemu wydawało mi się takim samym żartem historii, jak surdut Napoleona na zębatych murach Kremla: te dwa zjawiska pozostawały zresztą ze sobą, o ile się nie mylę, w związku przyczynowym. Postać akuratnego staruszka, w swym wyglądzie skupiającego cechy powierzchowności owych zrujnowanych polskich ziemian, co do wybuchu wojny obsiadali kijowskie kawiarnie Semadeniego i hrabiny Komarowskiej, była dla mnie nie pierwszym w życiu dowodem, że słowoobraz żyje własnym, samodzielnym życiem.

Poza tym uderzył mnie z galicyjska ukraiński akcent kontynuatora dzieła Dala. Zaświtało mi w głowie, że przecież związki stanowiące podstawę większości substancji aromatycznych mają zupełnie inny zapach niż ich powszechnie stosowane roztwory. Któż może zaręczyć, że język praruski, gdyby zabrzmiał obecnie, w sposobie wymowy nie okazałby się bliższy obecnym narzeczy południowych czy północnych? W prostocie ducha wyobrażałem sobie Baudouina rosyjskim Littre, zatopionym w chemiczno-laboratoryjnej analizie naszego rdzeniosłowa, pochylonego nad kolbami i retortami, z których w każdej chwili buchnąć mogło coś jeszcze bardziej zaskakującego niż ukraińska wymowa. Aczkolwiek z dociekaniem Chlebnikowa Baudouinowskiej pracy nie sposób było porównywać, nie bez estymy spoglądałem na redaktora reedycji słownika Dala.

Specjalnie nawet nie zadając sobie gwałtu udało mi się wydobyć ze swego głosu te właśnie nuty, jakich trzeba było, by skłonić uczonego filologa do objęcia przewodnictwa na „Wieczorze o nowym słowie”, a zarazem dyskusji, którą uwieńczyć miała *Nasza odpowiedź Marinettiemu*. Baudouin kazał się tylko zapewnić, że nie będzie żadnych skandalów, i uprzedził mnie, że przy pierwszej próbie naruszenia przyzwoitości natychmiast opuści salę. Tą groźbą najmniej się przejąłem: ważne było dla nas pozyskanie jego nazwiska z myślą o gubernatorze miasta, reszta miała dla nas trzeciorzędne znaczenie.

Baudouin de Courtenay dotrzymał słowa. Widząc obok siebie na estradzie jednego futurystę w brokatowej bluzie przerobionej z kapłańskiego ornatu, drugiego zaś z krawatem przyczepionym bynajmniej nie tam, gdzie winien by się pyszczyć, natychmiast podniósł się z miejsca i oznajmił wszem i wobec:

— Wprowadzono mnie w błąd. Podesłano mi zupełnie przyzwoitego młodego człowieka (tu oburzony gest w moją stronę), który zapewnił mnie, że wszelkie formy przyzwoitości będą zachowane. Widzę jednak, że trafiłem do domu wariatów. Nie pozwolę moim nazwiskiem maskować tej komedii.

Wyszedł wśród hucznych braw, a jego miejsce zajął Kulbin, który pomyślnie doprowadził wieczór do końca.

Utraciwszy możliwość zapraszania takich „generałów”, jak Wiengierow i Baudouin, chcąc nie chcąc zmuszeni byliśmy z Luriem zadowolić się przyzwoiciem na naszym wieczorze najmilszego Nikołaja Iwanowicza. Kulbin nigdy nie był od tego, żeby podjąć się tej zaszczytnej misji, mnie

jednak jego występ w charakterze naszego mistagoga nie bardzo satysfakcjonował: nie mówiąc o tym, że od dawna już zaczął się powtarzać, bez końca wracając do receptury przerobu biegu końskiego na łyżkę cynową, jego końcowe słowo z reguły macerowało ostrość wszelkich twierdzeń. Znaleźć jednak innego przewodniczącego było zbyt trudno, tym bardziej że na naszych afiszach i programach, dopuszczonych do druku już 3 lutego, czyli na pięć dni przed „skandalem” w Tieniszewce, umieszczono nazwisko Baudouina de Courtenay.

Marinetti, nie czekając na naszą odpowiedź, wyjechał do Moskwy. Tam, jak zakpiła pewna gazeta, od przedstawicieli włoskiej kolonii w Petersburgu dowiedzieć się musiał o oskarżeniach, które wytoczyliśmy przeciwko zachodniemu futuryzmowi.

Wątpię zresztą, by obecność na naszym wieczorze wiele Marinettiemu wyjaśniła: mój odczyt był właściwie rozwinięciem tego, jakie wypowiadałem w rozmowie z nim u Kulbina i w trakcie późniejszych naszych spotkań. Podkreśliwszy różnicę między włoskim futuryzmem, który we wszystkich dziedzinach sztuki utrwał się jako nowy kanon, a rosyjskim będzianstwem, które odżegnywało się od wszelkich formuł pozytywnych, przeszedłem do analizy przyczyn, determinujących powstanie futuryzmu we Włoszech i nadających mu jaskrawo wyrażony charakter narodowy. W wyczerpujący sposób rozpatrzywszy podstawowe manifesty naszych zachodnich imienników, nieznane jeszcze szerszej publiczności, przeciwstawiłem programowym teozom „marinettistów” konkretne osiągnięcia będzian.

Ponieważ jednak spór o futurystyczne pierworództwo, moim zdaniem, dawał się rozstrzygnąć jedynie w ramach ogólnych porachunków Zachodu ze Wschodem, uznałem za konieczne postawić zagadnienie szerzej — aż do granic wyznaczonych przez nasz troisty manifest, to znaczy rozgraniczyć dwa systemy estetycznej recepcji świata — na przestrzeni całego stulecia. Podbudowując każde twierdzenie faktami, postarałem się objaśnić wszystko, czego nie dopowiedzieliśmy w naszej bełkotliwej deklaracji. Do głębi pewien własnej racji, upatrywałem w braku na Zachodzie wycucia tworzywa jeden z głównych symptomów nadciągającego kryzysu sztuki europejskiej.

— Nikt chyba w Rosji nie czuje się Azjatą bardziej niż my, ludzie sztuki: dla nas Rosja to rdzenna część Wschodu — nie poznając własnego głosu zbliżałem się do końca półtoragodzinnej prelekcji.

— Nie zewnętrzne przejawy służą nam za dowód naszej przynależności

do Wschodu: nie więzi rosyjskiego malarstwa ikon z perską miniaturą, rosyjskiego *lubka* — z chińskim, rosyjskiego witrażu — z orientalną mozaiką albo rosyjskiej czastuszki — z japońską *tanką*. Wszystko to, ma się rozumieć, nie przypadek, ale nie jest to aż tak ważne.

Znacznie istotniejsze jest co innego: nasze absolutne zespolenie z twórcy-
wem, nasze wyjątkowe jego wyczucie, nasza wrodzona zdolność przeisto-
czenia, która usuwa wszelkie ogniwa pośrednie pomiędzy twórcy-
wem i twórcą — słowem, to wszystko, co tak słusznie i wnikliwie dostrzegają
w nas Europejczycy i co im samym zawsze pozostaje niedostępne.

Tak, wyczuwamy twórcywo nawet w tym jego stanie, w którym nazywa
się jeszcze materią gwiazdową, przez to zaś właśnie my jedynie możemy
budować i budujemy naszą sztukę z elementów kosmicznych. Skroś
ulotnych form naszego „dzisiaj”, skroś tymczasowych wcieleń naszego
„ja” sięgamy do źródeł wszelkiej sztuki — do kosmosu. Podobnie jak
dla Jakułowa wszystkie problemy malarstwa dane są i rozstrzygają się
w obrocie dysku słonecznego, w proporcjach ciepła i zimna, dla mnie na
przykład trzy stany skupienia słowa to nie przypadkowa i umowna
analogia, ale prawidłowe odbicie trychotomii kosmosu.

Jeżeli nawet kosmiczne światoodczucie Wschodu nie wzbogaciło się
jeszcze o końcowe realizacje, to winę za to ponosi przede wszystkim
hipnoza Europy, za którą nauczyliśmy się wlec w ogonie. Otwierają się
nam oczy dopiero w tragicznym momencie, gdy Europa w poszukiwaniu
Wschodu sprowadza nas na powrót do nas samych.

Nie po raz pierwszy odgrywa się ten zaiste haniebny spektakl. Nie po
raz pierwszy okradając nas z miną niedbale roztargnioną zachęca się
nas do kupienia naszej własności plus myto w formie uznania hegemonii
sztuki europejskiej.

Czy kiedyś wreszcie się ockniemy?

Czy kiedyś wreszcie — nie wstydliwie, ale z dumą — uznamy siebie za
Azjatów?

Tylko bowiem odnajdując swe orientalne źródła, tylko uznając się za
azjatycką, sztuka rosyjska wkroczy w nową fazę i zrzuci haniebne
i idiotyczne jarzmo Europy — Europy, którąśmy od dawna przerośli.

Aplauz, z jakim publiczność przyjęła moje końcowe hasła, chociaż nie
miał ironicznego charakteru, wzbudził we mnie mieszane uczucia.

Rozumiałem, że ta metafizyka kultury, o której mówiłem wyżej, i która
była dla mnie „arką będziańskiego testamentu”, w bardzo niewielkim

stopniu interesowała audytorium. Losy sztuki rosyjskiej pozostawały mu obojętne. Jeżeli cokolwiek przyciągało jego uwagę, to tylko szowinistyczne desenie, które mimo woli pojawiały się na tych bańkach mydlanych, jakie wypuszczałem w pogoni za Marinettim.

Ponieważ szczerze uważałem się za osobę apolityczną, peszyła mnie ta nacjonalistyczna fala, podniesiona przeze mnie z głębin, w które wcale nie miałem zamiaru zaglądać. Peszyła nie tyle przez swoje specyficzne zabarwienie, ile przez zmaczenie lustrzanej powierzchni, winnej, w moim przekonaniu, odzwierciedlać beznamiętne oblicze „czystej” sztuki.

Ten nerwowy dreszcz był mi równie wrogi, co nowa *sensibilita*, o której na każdym kroku prawił Marinetti. Zarówno włoscy futuryści, jak ci, co wyłuskując z moich haseł „metafizyczne” jądro pozostawiali sobie tylko ich zewnętrzną powłokę, dobrze wiedzieli, czego chcą. To tylko ja płątałem się w fałdach rozsuwającej się kurtyny, nie dostrzegając dekoracji wyrastających za moimi plecami, jedynie po interferencji własnego głosu domyślając się zmian w otaczającym mnie środowisku.

Przełożył Adam Pomorski

Od tłumacza

Benedikt Liwszyc (1887–1939) to poeta, tłumacz, prozaik, członek–założyciel grupy rosyjskich kubofuturystów „Hylaea”. Wydał cztery zbiory własnych wierszy: *Fletnia Marsjasza* (Kijów 1991, 150 egz.), *Wilcze słońce* (Moskwa 1914), *Pathmos* (Moskwa 1926), *Południe w Krotonie* (Moskwa 1928) — przedmiotem eksperymentu artystycznego jest w nich kompozycja i składnia poetycka; tom wzorowych przekładów liryki francuskiej od Lamartine’a do surrealistów — w 2 wyd. (Leningrad 1937) obejmował 100 wierszy; garść wypowiedzi teoretycznych i krytycznych oraz „memuary”, w pierwotnej wersji opublikowane w Nowym Jorku przez Dawida Burluka (1931), w ostatecznej postaci — *Półtoraokiego strzelca* — w Leningradzie w 1933 roku. Styl i pozór wspomnieniowy spokrewnia tę książkę z prozą Osipa Mandelsztama, bardzo podówczas bliskiego Liwszycowi; w istocie jest to raczej — w myśl sformułowania autora — „polemika z przeszłością i na temat przyszłości”, przybierająca charakter ideowego pamfletu. Książka należy raczej do epoki, w której powstała, niż do okresu, który opisuje; kontekst zwycięstwa stalinizmu i hitleryzmu każe autorowi

zrewidować genezę ideową ruchu awangardowego i rozważyć jego powinowactwa z ideologiami totalitarnymi. Zarzut tego nieprawego pochodzenia, okreśłany przez Liwszyca samobójczym mianem „rasowej teorii sztuki” (we francuskim, etnokułturowym sensie pojęcia rasy), udrastyczniony przez zestawienie z antysemitycznym rasizmem ruchu masowego, jakim była rosyjska „czarna sotnia”, koresponduje z podobnymi zarzutami, które z odmiennych pozycji wysuwał choćby Lukács, a po dziś dzień podnoszą krytycy awangardowej ideologii. Nie rozstrzygając o racjach w tym sporze wypada stwierdzić doniosłość samej polemiki. Książka Liwszyca, literacko piękna, faktograficznie miejscami jest jednak dosyć bałamutna. Autor padł ofiarą zbrodni stalinowskiej (oto fragment wspomnień kobiety skonfrontowanej z nim w 1939 roku podczas „aktywnego śledztwa”: „Nie poznałam go. To była krwawa szmata, którą — prawie w powietrzu — podtrzymywano z dwóch stron, potrząsając po każdym pytaniu śledczego. A stamtąd zamiast odpowiedzi rolegały się nieartykułowane jęki”).

Tytuł prezentowanego tu w wyborze rozdziału *My i Zachód* jest zarazem tytułem „trójjęzycznego” manifestu Liwszyca, Luriego i Jakułowa, opublikowanego przez Appollinaire’a w nrze CVIII „Mercure de France” z 16 kwietnia 1914 (który z kolei stanowił parafrazę odczytu Majakowskiego z 11 listopada 1913: *Zachód i my*).

„Będzianie” (*budietlanie*) to neologistyczna rusyfikacja „futurystów”, autorstwa Chlebnikowa: nazwy tej używali wyłącznie kubofuturyści rosyjscy oraz krąg Malewicza. „Scytyjstwo” to późna (od ok. 1913) mutacja ideologii słowianofilskiego anarchizmu rosyjskiego, powstała za sprawą Razumnika–Iwanowa w kręgu eserowskim, niezwykle wpływowa w środowisku modernistów; po 1922 znalazła kontynuację na emigracji w koncepcjach „euroazjatyizmu”. Związków rosyjskiej awangardy kubofoturystycznej z ruchem eserowskim nie sposób przecenić: bezpośredni udział w tym ruchu mieli bracia Burlukowie, Chlebnikow, Kamiński, Szkłowski i inni twórcy. „Demony głuchonieme” to historiozoficzna metafora wywiedziona z utworu Tiutczewa przez Maksymiliana Wołoszyna w cyklu wierszy poświęconych Wielkiej Wojnie i rosyjskiej wojnie domowej. Cytat poetycki na s. 181 — z *Mądre mu biada* Gribojedowa.

Opisywana wizyta Marinettiego w Rosji miała miejsce między 26 stycznia a 17 lutego 1914 roku.

Niektóre postaci i nazwy pojawiające się w tekście:

BAŁASZOW Abram, obłąkany fanatyczny raskolnik; w 1913 z okrzykiem: „Dosyć krwi!” uszkodził nożem płótno Riepina *Car Iwan Groźny z synem Iwanem*; podjęta przez braci Burluków (na dyskusji „Waleta Karowego” 12 lutego 1913 i późn.) epatująca estetyczna interpretacja tego czynu ściągnęła na nich ataki prasy.

BAUDOIN DE COURTENAY Jan Nicisław, 1845–1929, językoznawca polski, twórca rosyjskiej kazańskiej szkoły językoznawstwa, w 1922 kandydat mniejszości narodowych na prezydenta Polski.

DAL Władimir, 1801–1872, lekarz, prozaik rosyjski ze „szkoły naturalnej”, twórca czterotomowego opisowego słownika języka rosyjskiego, którego reedycję wzbogaconą m. in. o obscena opracował Boudouin de Courtenay (3 wyd. 1903–1909, 4 wyd. 1912–1914).

DÉROULEDE Paul, 1846–1914, francuski pisarz i polityk, prawnik nacjonalista, antyrepublikanin, jeden z przywódców ruchu antydyfufusistów.

JAKUŁOW Gieorgij, 1884–1928, rosyjski malarz, scenograf i teoretyk sztuki z kręgu awangardy; od 1905 r. rozwijał własną teorię koloru i światła („teoria wielobarwnych słońc”), w której analizę sztuki chińskiej brał za podstawę własnego „azjatycko-europejskiego stylu. Broniąc priorytetu i niezależności swej teorii od symultanizmu Delaunayów, z którymi latem 1913 r. we Francji dyskutował niektóre zagadnienia, 30 grudnia tegoż roku, w 8 dni po prelekcji Smirnowa prezentującej założenia symultanizmu, wygłosił w „Bezpańskim Psie” odczyt o malarstwie, a w dzień później podpisał wspólny z Liwszycem i Luriem manifest, przedrukowany potem przez Apollinaire’a. Po śmierci Jakułowa, w latach trzydziestych, Delaunay stanął na czele komitetu mającego opracować monografię artysty (Picasso, Cendrars, Gleizes, Metzinger, Chagall, Prokofiew i in.); istniejące dziś w Paryżu Towarzystwo Przyjaciół Gieorgija Jakułowa wydaje stały biuletyn.

KULBIN Nikołaj, 1868–1917, *privat-docent* Wojskowej Akademii Medycznej, lekarz Sztabu Generalnego, rzeczywisty radca stanu, malarz, grafik, inspirator ruchu artystycznego awangardy rosyjskiej, stały bywalec „Bezpańskiego Psa”.

LINDER Max (właśc. Gabriel-Maximilien Leuvielle), 1883–1925, francuski komik teatralny i filmowy; 21–28 listopada 1913 występował w Petersburgu w teatrze Zona, 21 listopada podejmowano go w „Bezpańskim Psie”; z futurystów ostantacyjnie wrogo odnosił się do tego *tournée* Chlebnikow, zycliwiej (lecz pod pseudonimem) Majakowski.

LURIE Artur, 1892 albo 1893–1966, kompozytor, w późniejszych latach bliski przyjaciel Achmatowej, wbrew twierdzeniu Liwszyca bynajmniej nieobojętny wobec twórczości poetyckiej będzian — napisał muzykę m. in. do sztuki Chlebnikowa *Pomyłka śmierci*, do *Naszego marsza* Majakowskiego itd. O swej teorii muzyki po latach mówił: „Teoria moja polegała na tym, że wszystko na świecie zawierało się w sztuce, aż do brzmienia przedmiotów. Teoria ta była właśnie tym, co ostatnimi czasy zaczęto nazywać «muzyką konkretną», a co potem wyrodziło się w eksperymenty elektroniczne” (1965).

ŁARIONOW Michaił, 1881–1964, rosyjski malarz i scenograf, organizator grupy „Ośli Ogon”; 1910–1911 stworzył serię prymitywistycznych obrazów i grafik, tzw. cykl „żołnierski” z okresu służby wojskowej. Wraz z żoną, Natalią Gonczarową, po okresie impresjonizmu przerzucił się do kubizującego ekspresjonizmu, od grudnia 1912 głosił program promienizmu; uczestniczył w przedsięwzięciach grupy „Der Blaue Reiter”; w nurcie awangardy pozostawał w opozycji do futuryzmu jako dadaista *avant la lettre*.

MATIUSZYN Michaił, 1831–1934, malarz, muzyk i kompozytor rosyjski, związany z grupą kubofuturystów „Hylaea”; mąż Jeleny Guro, przyjaciel i bliski współpracownik Małowicza.

MILICA, trzynastoletnia dziewczyna, której wiersze na prośbę Chlebnikowa, jako „zapowiedź przyszłości”, opublikowano w almanachu *Sadzyk, sędziów II*.

NASZA ODPOWIEDZ MARINETTIEMU, wieczór dyskusyjny zorganizowany przez petersburskich kubofuturystów 11 lutego 1914; prelekcje Liwszyca *Futuryzm włoski a rosyjski i ich wzajemne stosunki* i Luriego *Muzyka włoskiego futuryzmu*.

O WSKRZESZENIU RZECZY, tytuł prelekcji (w przekazie Liwszyca) W. Szkłowskiego w Szkole Tieniszewskiej 8 lutego 1914; wg Szkłowskiego (*Ze wspomnień*, Warszawa 1965, s. 122) wystąpienie było polemiką z artykułami Baudouina de Courtenay *Słowo i „słowo”* („Dzień” nr 49 z 20 lutego 1914) i *Przyczynek do teorii „słowa jako takiego”* i „literary jako takie” („Otkliki”, dodatek do gazety „Dzień” nr 56 z 27 lutego 1914), krytykującymi tezy wydanej na początku 1914 roku broszury Szkłowskiego *Wskrzeszenie słowa* i manifestów Kruczonycha i Chlebnikowa *Słowo jako takie* oraz *Litera jako taka*.

PIAST (właśc. Piestowski) Władimir, 1886–1940, rosyjski poeta, krytyk, tłumacz, memuarysta, przyjaciel Błoka.

ROCHFORT Henrii, 1830–1913, hrabia, francuski dziennikarz, polityk, po 1880 r. ideolog nacjonalizmu i antydreyfusista.

SADZYK SĘDZIÓW II, ukazał się w lutym 1913; uczestnicy — Guro, Matiuszyn, Chlebnikow (kilka poematów, drobne wiersze, proza), D. i N. Burlukowie, Liwszyc, Majakowski, Kruczonych; opracowanie graficzne — W. Burluk, a także Gonczarowa i Łarionow (ostatnie wspólne ich wystąpienie z grupą „Hylaea”); Kruczonych później zaprzeczał inkryminowanemu mu przez Liwszyca autorstwu cytowanych fragmentów manifestu w almanachu.

SIEWIERIANIN (właśc. Łotariow) Igor, 1887–1941, poeta rosyjski, egofuturysta; zbliżenie z nim kubofuturystów nastąpiło wcześniej niż to podaje Liwszyc; pertraktacje o przystąpienie do „Hylaei” Siewierianin rozpoczął na początku 1913 roku, 2 listopada 1913 Nikołaj Burluk i Chlebnikow wraz z Siewierianinem, Wasiliskiem Gnidowem i in. wystąpili na żeńskich kursach petersburskiego Instytutu Medycyny. Przyjaciółka Majakowskiego Sonka Szamardina (1894–1980) twierdzi we wspomnieniach, że zapoznała go z Siewierianinem jesienią–zimą 1913 roku.

SZERSZENIEWICZ Wadim, 1893–1942, poeta rosyjski, futurysta z grupy „Mansarda Poezji”, tłumacz manifestów włoskich futurystów; po rewolucji 1917 roku współtwórca imażynizmu; jego publicystyka zawiera liczne wypady przeciwko Liwscycowi.

SZKOŁA TIENISZEWSKA (TIENISZEWKA) w Petersburgu, Szkoła Sztuk Plastycznych księżny Tieniszewej, zorganizowana na wzór angielskich college'ów; wynajmowała swoją salę koncertową na spotkania literackie i dyskusyjne.

TASTIEWIEN Gienrich, 1881–1916, sekretarz symbolistycznego czasopisma „Zołotoje Runo”, 1907–1909; delegat rosyjski w paryskim Societe des Grandes Conferences; organizator tournées Forta, Marinettiego i Verhaerena; autor jednej z pierwszych książek o futuryzmie — *Futuryzm: w drodze ku nowemu symbolizmowi* (1914).

VERHAEREN Emile, 1855–1916, pisarz belgijski, w Petersburgu przebywał 23–26 listopada 1913 r. („Bezpańskiego psa” nie odwiedzał); obficie tłumaczony na rosyjski m. in. przez Briusowa i Wołoszyna; ceniony m. in. przez Chlebnikowa i Majakowskiego.

WIECZÓR O „NOWYM SŁOWIE”, 8 lutego 1914 w Szkole Tieniszewskiej pod przewodnictwem Baudouina de Courtenay, którego polemika z manifestami Kruczonycha i broszurą Szklowskiego *Wskreszenie słowa* posłużyła za pretekst do zorganizowania wieczoru; dyskusję przeniesiono po prelekcji do „Bezpańskiego Psa”; por. *O wskreszeniu rzeczy*.

WIENGIEROW Siemion, 1855–1920, historyk literatury rosyjskiej, puszkiniści (jego uczniem i asystentem był m. in. Jurij Tynianow), twórca wielotomowych słowników bio- i bibliograficznych; brat Zinaidy Wiengierow, 1867–1941, krytyka i tłumaczki, która w zapisie rozmowy w Ezrą Poundem (almanach *Strzelec I*, 1915) wprowadziła do Rosji nazwę „imażyzm”; kuzynką Wiengierowa była matka Osipa Mandelsztama.

Archiwalia

Witold Gombrowicz — Czesław Miłosz

Korespondencja

Korespondencja to niestety niepełna. Publikujemy ją przecież w przekonaniu, że i w tej postaci stanowi ona cenne świadectwo stosunków między obu pisarzami, jak też niemałej wartości materiał dla badaczy i czytelników ich twórczości. Listy Gombrowicza pochodzą z Archiwum Czesława Miłosza znajdującego się w Beinecke Library, New Haven (sygnatura: C. Miłosz 870824 — 6 uncat. Ms Vamt. 489, box 12 „Polish Writers A – L”). Listy Miłosza natomiast z Archiwum Witolda Gombrowicza, skąd zgodziła się je dla nas wydobyć Rita Gombrowicz. Czesław Miłosz, Rita Gombrowicz oraz Beinecke Library zechcą przyjąć podziękowanie za uprzejmą zgodę na publikację tych listów. Ryszard Nycz podał do druku i opatrzył przypisami listy Gombrowicza; listy Miłosza zaś — Jerzy Jarzębski, który także część z nich, pisaną po francusku, przełożył na język polski.

[List 1]

15 II 54

Venezuela 615 dep. 5

Buenos Aires

Drogi Panie Czesławie,

Otrzymałem przed paru dniami *La prise du pouvoir* z pańskim cennym autografem.¹ *Ocalenie* też już jest w mojem posiadaniu² — ale rezerwuję sobie tę lekturę na wakacje, które już na szczęście tak jakby stuknęły do wrót mego więzienia (o ileż Pan jest szczęśliwszy!).

Wielce jestem Panu zobowiązany za *Maskola*.³ To jedna z nielicznych książek marxistowskich, które można czytać, zresztą dzieło talentu i znakomitej inteligencji. Miał Pan rację twierdząc, że odnajdę tu wiele własnych myśli — rzecz w tem, że i on, i Pan, i ja bierzemy udział w tej samej rewolucji, która jest w powietrzu i od dawna — której dojrzewanie obejmuje coraz silniej także i literaturę. Ale mniemam, że nadawanie temu wszechstronnemu kryzysowi jednego tylko i jakże masywnego aspektu jest sprzeczne z naturą życia i nawet, czytając takie rzeczy nieomal widzę to życie wyciekające przez wszystkie szpary konstrukcji. W obliczu takich książek staje się widoczne do jakiego stopnia literatura i sztuka w ogóle nie spełniają swego zadania — jak dalece dały się podporządkować intelektowi i wszystkim jego abstrakcjom. Nie jestem zwolennikiem tych kierunków sztuki, które atakują rozum, lub usiłują go pominąć — to dzieciństwo, zresztą także wyrozumowane — ale gdyby sztuka stała się w praktyce (tu znów spotykam się z marksizmem) silniejszą afirmacją osobowości tzn. konkretnego człowieka, dałaby sobie radę z tymi formułami, abstrakcjami, systemami, teoriami, których mądrość równa się głupocie. Ale dla nas, tj. dla Pana i dla mnie krytyka intelektualna marksizmu nie jest sprawą łatwą właśnie dlatego, że wiele z jego inspiracji i w nas się osiedliło.

Czy rozmawiał Pan z Camusem? Czy znalazł Pan egzemplarz *Ferd.* i dramatu po francusku⁴ w „Kulturze”? Artykuł o Panu w „Wiad.” jest szczytem perfidii i nabierania gości⁵. O mnie Sambor napisał coś na

¹ Cz. Miłosz *La prise du pouvoir* „La Guilde du Livre”, Lausanne 1953. W jednym z fragmentów *Dziennika* opublikowanych wcześniej („Kultura” 1953 nr 9) Gombrowicz zanotował: „Poczta. R. przysłał mi listy i pisma, wśród nich «Kulturę». Dowiaduję się z niej, że Miłosz otrzymał Prix Europeen za powieść, której nie znam: *La prise du pouvoir*. W tej samej «Kulturze» — uwagi Miłosza o *Ślubie* i *Trans-Atlantyku*”.

² Cz. Miłosz *Ocalenie*, Warszawa 1945.

³ D. Mascolo *Le communisme. Relation et communication ou la dialectique des valeurs et des besoins*, Gallimard, Paris 1953.

⁴ Mowa o *Ślubie*.

⁵ Chodzi zapewne o recenzję *Zniewolonego umysłu* pióra S. Mackiewicza („Wiadomości” 1953 nr 16), którą notabene skomentował krytycznie Gombrowicz w *Dzienniku* 1953.

poziomie szkolnego wypracowania.⁶ Słyszałem, że Jeleński pisał o Panu w „Kult.”⁷ ale jeszcze nie otrzymałem tego numeru. Jakie jest pańskie zdanie o mojej odpowiedzi na Pańską odpowiedź?⁸ Na tem kończąc, łączę wiele serdecznych pozdrowień

Witold Gombrowicz

[*Pisane na maszynie do pisania bez czcionek polskich na papierze przebitkowym, podpis piórem, atramentem czarnym*]

[List 2]

7 V 54

Venezuela 615 dep. 5

B. A.

Drogi Panie Czesławie,

od dwóch miesięcy, wyzwolony z banku (wziąłem urlop bezpłatny) bujam po Argentynie — ten list piszę na statku, który uwozi mnie po olbrzymiej rzece Parana daleko na północ⁹. O *Prise du pouvoir* napisałem coś w moim dzienniczku.¹⁰ To książka bardzo, bardzo mocna, choć nie łatwo rozeznąć się na czym polega jej sugestywność. Ale jest Pan jedynym pisarzem w rękach którego rzeczywistość nasza (polska) staje się apokaliptyczna i to bez błagi. Ja zawsze muszę z Panem polemizować i zresztą musi Pan pogodzić się z tem, że jeszcze przez długie lata balast aktualności przytłoczy w Pańskich rzeczach ich aspekt artystyczny i że pańska „postawa” będzie bardziej dyskutowana niż Pańska sztuka. Ja, naturalnie, nie jestem recenzentem, tylko wyławiam z Pana to, co jest dla mnie

⁶ Sambor [M. Chmielowiec] omawiał *Trans-Atlantyk* w recenzji *Swoista swojszczyzna*, „Wiadomości” 1953 nr 47.

⁷ K. A. Jeleński *Poeta i historia*, „Kultura” 1954 nr 1–2.

⁸ Mowa o dyskusji nad *Zniewolonym umysłem* wszczętej przez Gombrowicza w *Dzienniku* drukowanym w „Kulturze” (1953 nr 9), podjętej przez Miłosza (*Gombrowiczowi*, „Kultura” 1953 nr 10) i kontynuowanej przez Gombrowicza („Kultura” 1954 nr 1–2). Przedruk wypowiedzi Gombrowicza w jego *Dzienniku (1953–1956)*, Paryż 1957; wypowiedzi Miłosza w jego *Kontynentach*, Paryż 1958. Całość dyskusji między pisarzami w tym okresie omawia J. Jarzębski w szkicu *Być wieszczem* „Teksty” 1981 nr 4–5.

⁹ Por. *Diariusz Rio Parana*, wydrukowany jednak w *Dzienniku 1956*.

¹⁰ Zob. *Dziennik (1953–1956)*, cz. X.

palące w obliczu tej Historii, którą Pan na nas wylewa. Wiele rzeczy nas dzieli, niemniej jest mi Pan najbliższy we współczesnej polskiej literaturze. Zależy mi na tem, aby Pański wpływ na Polaków się ustalił i wzmacnił. Ale czytając Pańskie poezje medytowałem, że im sztuka Pańska staje się bardziej sztuką, tem ja jestem dalej od Pana — nie abym miał jakiegokolwiek zastrzeżenia a tylko, że Pan wobec mnie jest nieomal klasyk i że tutaj kroczymy zgoła innymi drogami. Pewne rzeczy, którym ja za nic nie chcę się poddać, Pan akceptuje na tym terenie formy.

Widzę, że pańskie życzliwe zabiegi wydały swoje owoce, gdyż Camus wystosował do mnie pismo. Nie mam, naturalnie, pojęcia do jakiego stopnia kilka przychylnych zdań stanowi wyraz prawdziwego jego uczucia, niemniej w liście stoi, że pragnie mi pomóc i że poleci mój dramat kilku dyrektorom francuskich awangardowych teatrów¹¹. Gorzej, iż w następnym zdaniu stoi, iż *pour des raisons purement commerciales il sera difficile de faire traduire votre roman en français*¹². Ale w każdym razie to jest coś i myślę, że w końcu z tego czegoś wykluje się coś bardziej namacalnego.

Zasympilowałem Maskola i nawet napisałem o nim.¹³ To książka ważna i pouczająca. Na tem kończąc łączę wiele serdecznych pozdrowień

W. G.

Dałem po nosie Grabickiej za jej list w „Wiadomościach”.¹⁴

[*Pisane na maszynie bez czcionek polskich, czarnym atramentem dopisane ostatnie zdanie, podpis, data oraz dopisek*]

¹¹ O tym fakcie wspomniał Gombrowicz także w *Dzienniku* (cz. VII, 1954): „list od Camusa z zapytaniem, czy zgadzam się aby polecił *Ślub* pewnemu dyrektorowi teatru w Paryżu” (francuska prapremiera *Ślubu*, w reż. J. Lavelliego, miała miejsce w Paryżu 14 VI 1963).

¹² „z powodów czysto handlowych trudno będzie przetłumaczyć pańską powieść na francuski”.

¹³ Książce Mascola poświęcił Gombrowicz kilka fragmentów swego *Dziennika* (1953–1965), zob. cz. VIII, IX.

¹⁴ Zob. w cz. X *Dziennika* fragment zaczynający się od słów: „Pani Irena G. z Toronto kropnęła liścik *Do redaktora „Wiadomości”*. Jest to utwór tak piękny...”.

[List 3]

13 VII 56

Drogi Panie Czesławie,
uradziłiśmy właśnie przed chwilą, żeby Elene Ciclon zwróciła się do Pana z prośbą o artykuł lub esej. To wcale dobry kwartalnik literacki, w którym współpracują najlepsze pióra poł. amerykańskie.¹⁵ Ja też tam zamieszczam swoje rzeczy.¹⁶ Płacą jak na tutaj. Stosunki nieźle. Panem są b. zainteresowani po przeczytaniu *Zniewolonego umysłu* i *La prise du pouvoir*. Tych kilka słów piszę na chybcika, zna Pan moje dzieje z *Dziennika*, ja o Panu też często słyszę. Kłaniam się nisko.

Witold Gombrowicz

[Karta przebitkowego papieru maszynowego zapisana odręcznie atramentem niebieskim]

[List 4]

18 VII 57

Drogi Panie Czesławie,
dziękuję za tak obszerne pismo — odpowiedź bardziej wyczerpującą odkładam do ukazania się pańskiego fragmentu w „Kulturze”¹⁷, wobec tego, że Pan chciałby znać moją opinię — ale mi nie, że nie na wiele ona Panu się przyda, bo w literaturze „każdy sobie rzepkę skrobie”.

Przed kilku dniami wpadł mi w ręce nr „Preuves” poświęcony polskiej literaturze i widzę, że w swoim artykule dwa razy Pan do mnie powraca

¹⁵ Mowa zapewne o piśmie „Ciclon” wydawanym na Kubie przez Jose Rodrigueza Feo, przyjaciela Lezamy Limy.

¹⁶ W 1955 Gombrowicz wydrukował w „Ciclon” swój szkic *Przeciw poetom*, który sąsiedował z tekstami Ungarettiego, Montale, Quasimoda i Victorii Ocampo (zob. *Tango Gombrowicz* zebrał, przeł. i wstępem opatrzył R. Kalicki, Kraków 1984, s. 12).

¹⁷ Chodzi zapewne o wypowiedź Miłosza *Zdarzenia literackie. O Gombrowiczu* („Kultura” 1957 nr 10), polemizującą ze szkicem K. A. Jeleńskiego *Bohaterskie niebohaterstwo Gombrowicza* („Kultura” 1957 nr 9).

ze specjalną pieczołowitością¹⁸ — za co gorące składam dzięki. Obawiam się mocno, że w czytelniku francuskim ten nr wywołać musi grubą dezorientację na punkcie mojej osoby: bo niedawno widział w tychże „Preuves” moje fragmenty z wielkimi honorami zamieszczone¹⁹, tudzież czytał recenzję Bondy’ego, że *Ferdydurke*, to *riens moins qu’un chef-d’œuvre*²⁰, a teraz nie tylko dowiaduje się z tego nr, że literatura polska współczesna jest zupełnie słaba, lecz także widzi, iż w liczbie zamieszczonych próbek ja nie figuruję. Trudno wymagać aby zrozumiał, że ja będąc literaturą emigracyjną, nie jestem literaturą polską. Niech Pan mnie nie uważa, panie Czesławie, za megalomana — ale przecież wiem jak reaguje zagraniczny czytelnik na moje rzeczy i wiem, że mam prawo uważać się za pisarza, który ma własny i odrębny kącik w literaturze na serio tj. już nie tylko polskiej. To jest obiektywna syt. mojej literatury, wynikająca z reakcji ludzi, nie moje subiektywne widzimięsię. Jestem już nieco znudzony tem, że wciąż muszę świecić oczami za narodową impotencję, do której osobiście nie poczuwam się. Panu łatwo bimbać na to, bo Pan jest autorem nagradzanym i tłumaczonym na Zachodzie, ale mnie czeka ciężka walka w Paryżu o wydanie *Ferdydurke* (tłumaczenie jest już na ukończeniu)²¹ i te drobiazgi nie są pozbawione praktycznego dla mnie znaczenia. Gdyby nie Pana łaskawe wzmianki, to publikacja wypadłaby dla mnie zgoła fatalnie. Odkładając tedy obszerniejszą z Panem rozmowę do przeczytania tej nowej pańskiej pracy (temat wysoce elektryzujący; byle tylko Pan nie pisał tego „dla nich” tj. dla czytelnika zachodniego, wszystko trzeba pisać „dla siebie” — oto mój pogląd)²² ślę na razie pokłon

W. G.

¹⁸ Cz. Miłosz *Les lettres polonaises et le complexe nationaliste*, „Preuves” Avril 1957 nr 74. W tymże numerze blok przekładów literatury polskiej zatytułowany *Ecrivains de la Pologne Nouvelle*.

¹⁹ „Preuves” 1953 nr 34. Opublikowano tam fragmenty utworów Gombrowicza ze wstępem K. A. Jeleńskiego.

²⁰ „Nie mniej, jak arcydzieło” — F. Bondy, „Preuves” 1953 nr 32 (rec. hiszpańskiego przekładu *Ferdydurke*).

²¹ Francuski przekład powieści ukazał się w następnym roku: *Ferdydurke. Roman*, tłum. Brone, przedm. K. A. Jeleński, R. Julliard, Paris 1958.

²² Mowa zapewne o *Rodzinnej Europie*, którą opublikował Miłosz nakładem „Kultury” w 1959 roku.

[*Pisane na papierze przebitkowym na maszynie, odręcznie dopisana data i podpis*]

[List 5]

17 XII 61

Drogi Czesławie,
nieprzytomne robisz wrażenie, skąd Ci się wzięło, że na pan jesteśmy?²³ Twój list odleżał się naprzód u Giedroycia, potem u mnie, bo dopiero przedwczoraj z Piriapolis (plaża w Urugwaju) nadleciałem. Nieraz myśl moja dookoła Ciebie krąży, już choćby dlatego, że na emigracji główne arie śpiewamy; ale to względ raczej uboczny. Co mi przeszkadza w tym myśleniu, to iż dostatecznie Cię nie przeczytałem, tj. nie wszystko i niedokładnie, np. Twoje wiersze a też i część prozy. To u mnie nie brak zainteresowania, a sprawa techniki, czasu, rozkładu lektur etc., wiesz, jak to jest, bo pewnie sam tak samo mnie czytasz tj., jak się zdarzy. Rezultat taki, że choć mam wrażenie, iż Twoja rzeczywistość w niejednym zahacza o moją, czuję się na Twoim terenie niepewnie — i stąd nie dość wyraźny profil tego, co o Tobie wybełkotałem ostatnio w „Kulturze”²⁴. Ze mnie krytyk tak na chybił trafił. Ale mylisz się zupełnie podejrzewając, że za tym jakieś niedomówienia się kryły, nie, takich gierek nie uprawiam. Naprawdę uważam, że jesteś w trudnej sytuacji tyleż ze względu, jak powiedziałem, na Twoje związki z polską tandetą (w moim pojęciu to zresztą wielki plus — miałem na myśli, że czuć w Tobie Twoje dawne środowisko, tych związków nie zatraciłeś), co na Twoją rolę referenta od Europy Środkowo-Wschodniej, którą Ci narzucił rozwój wypadków. Ale być w trudnej sytuacji to właśnie charakteryzuje literata wysokiej klasy i im więcej trudności na Ciebie naskoczy, tym więcej z siebie wydobędziesz (tym zawsze pocieszam się przy pisaniu).

Czasem zastanawiam się, czy by nie było interesujące gdybyśmy przeprowadzili polemikę w większym stylu w tejsze „Kulturze”, tylko że,

²³ Zob. początek listu Miłosza do Gombrowicza z 25 XI 1961.

²⁴ „Kultura” 1960 nr 7–8, przedruk w *Dzienniku (1957–1961)*, Paryż 1962, rozdz. XVII. Zob. przyp. 37 do listu Miłosza z 25 XI 1961.

panie święty, to są *pia desideria*²⁵, bo czasu nie ma, ja ledwie odwalilem poprawianie francuskiego tłumaczenia *Pornografii*²⁶ a już muszę dla Giedroycia drugi tom *Dziennika* do druku opracować²⁷ i tak ciągle, nie kijem go, to pałką; a *Kosmos*, moja nowa powieść, też wisi nade mną, jak miecz Damoklesa²⁸. Moim zdaniem mylisz się, nie uważając siebie za powieściopisarza. *Dolina Issy* i *Objęcie Władzy*²⁹ dowodzą czegoś wręcz przeciwnego — ale w ogóle uważam, jesteś zanadto skrupulat, zanadto filozof, dostrzegam w Tobie jakąś kulę u nogi, którą sam sobie przywiązałeś. Jedynym sposobem zrozumienia jest tworzenie — ta maksyma zawile mi wypadła, ale łatwo ją pojmiessz na tle współczesnej myśli, może trzeba by powiedzieć, że jedynym sposobem zrozumienia jest twórcze organizowanie, porządkowanie, narzucanie siebie samemu światu zewnętrznemu.

Podziękowanie składam za Wilsona (powiedz mu, żeby ojcu podsunął *Ferdy*.)³⁰ i za inne Twoje gauczady. Postaram się posłać Wilsonowi *Ferdy*. polską, ale to nie taka łatwa sprawa, bo tu wyszło idiotyczne zarządzenie, że książki w językach obcych trzeba wysyłać przez Urząd Celny, a to powoduje okropną stratę czasu, którego nie mam, bo za tydzień znów wyruszam do Piriapolis. Bardzo mnie ucieszyło, że to studium o Schulzu³¹ Cię zainteresowało, rzeczywiście ja pojęcia nie mam, co piszę, dawniej jeszcze ten i ów mi komunikował swoje wrażenia, ale teraz coraz rzadziej to się zdarza. Musimy dbać o to, żeby nasze stosunki były jak trzeba, bo niejednemu z tych ołów się marzy, że Tobą mnie oko wyklują czy na odwrót. Cześć

W. G.

[*Pisane na maszynie na papierze przebitkowym, podpis piórem*]

²⁵ [łac.] pobożne życzenia

²⁶ Francuski przekład powieści ukazał się w następnym roku: *Le pornographie. Roman*, tłum. G. Lisowski, R. Julliard, Paris 1962.

²⁷ Drugi tom *Dziennika* wydany został w 1962.

²⁸ Pierwszy fragment *Kosmosu* opublikował Gombrowicz w „Kulturze” 1962 nr 7–8.

²⁹ Mowa oczywiście o *Zdobyciu władzy*.

³⁰ Zob. przyp. 34 do listu Miłosza z 25 XI 1961.

³¹ „Kultura” 1961 nr 11, przedruk: *Dziennik (1961–1966)*, Paryż 1966. Zob. przyp. 32 do listu Miłosza z 25 XI 1961.

[List 1]

25 XI 1961

Drogi Gombrowicz,

Ponieważ jesteśmy na „pan”, niech będzie pan. W dodatku wskutek przeprowadzek zgubiłem gdzieś pana adres i muszę pisać via „Kultura”. Piszę pod wrażeniem właśnie przeczytanego fragmentu z dziennika, o Schulzu.³² Poruszone tam są sprawy kapitalne, o wielkim, zasadniczym znaczeniu — przynajmniej dla tych, co chcą zrozumieć coś z rodowodu literatury po r. 1930, z własnego rodowodu. Moje przejście się tym, co przeczytałem, pochodzi stąd, że właśnie zastanawiam się nad szczególnymi przygodami naszej wileńskiej grupy poetów „Żagary” i w ogóle przygodami tzw. „drugiej awangardy”, ujmując to jako wynik zderzenia pomiędzy szlachecką staroświecczyzną (mocniejszą na Litwie niż w Polsce) i „awangardowością”, czyli dokładnie tak samo... Różnica ta, że był pan świadomy, my zdawaliśmy sobie z tego sprawę mgliście i okolnie. Pana przedwojenne zabawy w heraldykę dowodziły jakby brania byka za rogi. Nawiasem, ze zdumieniem przeczytałem, że Gombrowiczowie ze Żmudzi. Podnieciło to mój szowinizm. Jeżeli tak, to gdzie jest Polska w literaturze, nic tylko Litwa (łącznie z czysto litewskim nazwiskiem Norwida). Oczywiście, może pan powiedzieć, że pisząc o Brunonie Schulzu pan swoją sytuację przedstawiał, a nie żadne socjologie literackie. Ale przecie zawsze tak bywa, że pisząc o sobie, piszemy zarazem nie o sobie i czytelnik ma nagłe *a shock of recognition*.³³

Piszę ten list, bo jesteśmy zdani tylko na siebie, bez kontaktu z czy-

³² Chodzi o fragment drukowany w „Kulturze” 1961 nr 11, a następnie w *Dzienniku (1961–1966)* Gombrowicza (Paryż 1971, s. 9–20). Czytamy tam m. in.: „Otóż ja, choć zdrajca i wykpiwacz mojej «sfery», byłem przecie z niej — i chyba już powiedziałem, że wielu moich korzeni należy szukać w epoce największego rozwydrzenia szlacheckiego, w wieku osiemnastym. Jestem bardzo z epoki saskiej. Więc choćby dlatego Bruno, klęczący przed sztuką, był mi nie do przyjęcia. Ale nie na tym koniec. Ja tkwiąc jedną nogą w pocziwym świecie ziemiańsko-szlacheckim, drugą w intelekcie i literaturze awangardowej, byłem pomiędzy światami. A być pomiędzy to też niezły środek na wywyższenie — albowiem stosując zasadę *divide et impera* możesz sprawić, że oba światy zaczną się wzajem pożerać, ty zaś możesz wtedy wymknąć się im i wzbic się «ponad»” (s. 15).

³³ Wstrząs rozpoznania.

telnikiem (emigracyjny czytelnik ma przeważnie mentalność sprzed 1939 r., stąd niedołęstwo umysłowe i wartość zera dla autorów) i nie sądzę, żeby pan był zasypywany listami, nawet po międzynarodowych sukcesach. Kupiłem tu w Berkeley *Ferdydurke* po angielsku i dałem jednemu z moich studentów na seminarium jako temat pracy porównanie przekładu z oryginałem. Ten student, Wilson (syn b. sławnego krytyka Edmunda Wilsona i pisarki Mary McCarthy³⁴) był przez kilka miesięcy w Krakowie i zdumiewająco szybko nauczył się po polsku. Jednak tu pojawiła się trudność, bo wszystkie pana książki po polsku są w uniwersyteckiej bibliotece, ale nie *Ferdydurke*, a nie wiem czy nowe wydanie ukazało się w Polsce po 1956.³⁵ Napisałem do „Kultury”, może mi egzemplarz polski sprokurują.³⁶ Jeżeli nie, to Wilson chce napisać pracę o kwestiach, jakie nasuwa przekład *Pornografii* — z fragmentami we własnym przekładzie. Nawiasem, ponieważ nie utrzymujemy kontaktu, pewnie pan nie wie, że uważam *Pornografię* między innymi za najwierniejszy, realistyczny bo metaforyczny, obraz ruchu podziemnego w Polsce 1939–1945, bo to było przedłużenie ruchu 1863, tj. w oparciu o dwory, jeżeli te w ogóle miały jeszcze coś z istnienia. Czyli Kupa w zakończeniu *Ferdydurke* rozciągnięta w czasie.

Czy jakoś przyczyniłem się do amerykańskiego wydania *Ferdydurke*? Wątpię. Choć byłem zapytywany przez jakąś firmę nowojorską kiedyś i odpowiedziałem peanem na cześć Gombrowicza.

Był moment, kiedy trochę byłem zły za to, co znalazłem w którymś

³⁴ Edmund Wilson (1895–1972) — znany krytyk amerykański, autor z górą trzydziestu tomów pism, z których najbardziej znane to: *Axel's Castle. A Study in the Imaginative Literature of 1870–1930* (1931), *The Shock of Recognition. The Development of Literature in the United States. Recorded by the Men Who Made It (1845–1938)* (1943), *Classics and Commercials: A Literary Chronicle of the Forties* (1950), *The Shores of Light: A Literary Chronicle of the Twenties and Thirties* (1952).

Mary McCarthy (ur. 1912) — powieściopisarka amerykańska, autorka m. in. powieści: *The Company She Keeps* (*Jej towarzystwo*, 1942), *The Group* (*Grupa*, 1963), *The Oasis* (*Oaza*, 1949), *A Charmed Life* (*Zaczarowane życie*, 1955), *The Groves of Academy* (*Gaje Akademii*, 1952), *Birds of America* (*Ptaki Ameryki*, 1971) oraz beletryzowanych reportaży z wojny wietnamskiej. Występując jako juror nagrody literackiej Formentor, oświadczyła publicznie, że nie była w stanie doczytać do końca *Pornografii* Gombrowicza.

³⁵ Pierwsze powojenne wydanie krajowe *Ferdydurke* ukazało się w 1957 roku w PIW-ie.

³⁶ Mowa o amerykańskiej edycji *Ferdydurke* w tłum. Erica Mosbachera, Harcourt, Brace and World, New York 1961.

z fragmentów dziennika o mojej *Rodzinnej Europie*.³⁷ Bo to wyglądało mi na pretensje nie jej a nie czy niedomówione. Ja tej książki w oczach czytelników zobaczyć nie mogę. Recenzje w prasie emigracyjnej są rzadkością. Grydzewski mnie tępi, Giedroyc nie zniża się do recenzji o książkach przez siebie wydanych, bo szlachcic (zresztą kto ma pisać). Książka ta miała jedną polską recenzję na poziomie kretynizmu, pióra Łobodowskiego³⁸, i koniec. Ukazała się po włosku, gdzie jacyś komunistyczni durnie rozpatrują ją jako wyznania czarnego charakteru, który sam ma czelność oświadczyć, że w 1940 r. uciekł ze Związku Sowieckiego do Hitlera (!). Ukazała się po niemiecku i tam recenzji pewnie będą stosi, ale mnie to nic nie obchodzi. Ma się ukazać w Ameryce. Czy ta książka była dla mnie bronią w rozprawie ze światem? Pewnie tak, ale na ogół jej cel był ten, żeby wydobyć m a k s i m u m własnych sprzeczności, jakie można wydobyć nie będąc powieściopisarzem (bo za takiego się nie uważam). Różnica między nami ta, że pan, usiłując rozedrzeć formę i pokonać formę, tworzy formę, co pewnie jest lepsze (tak myślę), jeżeli chodzi o ekonomię wysiłków, ale ja napisałem sporo rzeczy, które nie były ani przełamaniem, ani tworzeniem formy i zaliczają się przez to do wyższego rzędu publicystyki czy krytyki, czy wkładania w łeb łopata. W *Rodzinnej Europie* starałem się o pewną słuźebność

³⁷ Chodzi o końcowy fragment XVII rozdziału *Dziennika (1957–1961)*, Paryż 1971, s. 199–200; drukowany pierwotnie w „Kulturze” 1960 nr 7–8, s. 3–12. Pisze tam m. in. Gombrowicz: „Miłosz! Pomijając wiersze, cała jego literatura jest związana z jego osobistą sytuacją literacką, czyli z osobistą jego historią, tudzież historią jego czasów. Tak się złożyło powoli, że on stał się prawie oficjalnym informatorem o Wschodzie, przynajmniej polskim — cała jego dotychczasowa proza jest temu poświęcona. Nie jest to sztuka dla sztuki, jest to sztuka dla Zachodu. A stąd wynika kilka konsekwencji. Między innymi, że jeśli Miłosz dba o swój prestiż, nie może być w tych swoich informacjach płytszy od Francuzów czy Anglików — owszem, musi być głębszy. (...) Wzmaga kłopot Miłoszowy to, że on sam jest rodem po trosze z tej knajpy. Jeden z najciekawszych dla mnie, najsubtelniejszych i nawet wzruszających aspektów jego prozy, to ten jego osobisty związek z polską tandetą (...). Ale atutem *Rodzinnej Europy* i rękojmią jej nowoczesności ma być nie co innego, jak że tutaj nie Polak pisze o Polsce i Wschodzie, tylko człowiek o Polaku w sobie i o „swojej” Europie. Taki program to prawie Husserl i prawie Descartes. Tak, tylko że oni byli filozofami i nie gardzili abstrakcją, a Miłosz—artysta i egzystencjalista boi się jej jak ognia, bo wie, że zabija sztukę. Unika więc formuł, za nic nie chce wyleźć z rzeki, aby na nią popatrzeć z brzegu, zanurza się w jej mętach, co chwila angażuje się osobiście w swój opis i wtedy przestaje być człowiekiem, staje się znowu konkretnym Miłoszem...” — cyt. za: *Dziennik (1957–1961)*, s. 199–200.

³⁸ J. Łobodowski, recenzja w: „Syrena — Orzeł Biały”, Paryż—Londyn 1960 nr 46.

— diabelnie trudno, kiedy to, co mamy w małym palcu, trzeba uprzystępnąć, wyjaśnić, zwulgaryzować — co ma znaczenie nie tylko dla cudzoziemców, bo wiele z tego dla najmłodszych pokoleń w Polsce też jest bajką o żelaznym wilku. Mnóstwo rozdwojeń (do których należy i nieszczęsna socjologiczność) jest cechą mojej natury, stąd piekielne awantury np. pomiędzy mną i Czapskim, który moich „dialektycznych obrzydliwości” nie może strawić — za co go tym bardziej lubię.

Moje życie w nowym wcieleniu, tj. profesora literatur słowiańskich (nikt by nie uwierzył, ale moja nominacja tutaj nie miała żadnego związku ze *Zniewolonym umysłem* itp.), najzupełniej mi odpowiada i zdążyłem tu napisać kobyłę o St. Brzozowskim³⁹ prócz innych bardziej literackich prac. Na wiosnę będę miał kurs „Modern Polish poetry and fiction” (teraz wykładam drugą połowę XIX w.), gdzie oczywiście Gombrowicz będzie zajmował b. dużo miejsca. Zresztą i teraz niedawno posługiwałem się *Trans-Atlantykem* (!) w związku z omawianiem gatunku gawędy i *Pamiętek Soplicy* Rzewuskiego.

Czesław Miłosz

[List pisany odręcznie na papierze firmowym z nadrukiem: „University of California. Department of Slavic Languages and Literatures. Berkeley 4, California”]

[List 2]

8 II 68
978 Grizzly Peak Blvd.
Berkeley, Calif. 94708

Kochany Witoldzie,

Wybacz, że nie piszę na maszynie, nie lubię, postaram się pisać wyraźnie. Jestem w fazie odległego, niemal pozagrobowego życia, nie dostaję od nikogo listów, chyba w interesach adresatów i w ogóle mi trudno. Nawet zacy Kot⁴⁰ umilkł zupełnie, domyślałam się, że ma dużo swoich kłopotów. Co do życia towarzyskiego, to wyklada tu teraz prof. Tatariewicz, który bodaj dociągnął do 86 lat, jest różowy, żwawy i schludny,

³⁹ Chodzi o *Człowieka wśród skorpionów*, Paryż 1962.

⁴⁰ Konstanty A. Jeleński.

a wszyscy inni to, nie wyłączając mnie, jego byli studenci w różnych okresach: a więc Jan Kott, który wykłada w Department of Drama i właśnie teraz kończy reżyserować *Orestesa* Eurypidesa w uniwersyteckim teatrze; Zdzisław Najder, badacz owadzich nóg, specjalista od Conrada tudzież estetyk, wykłada filozofię w Davis (inny campus naszego uniwersytetu, o 60 mil stąd); Andrzej Wirth, którego dwutomową niemiecką antologię nowoczesnego dramatu polskiego pewnie otrzymałeś, przyjechał właśnie do Dept. of Drama na Stanford University (30 mil stąd). Rita⁴¹ pisze, że skończyła swoją dysertację. Złóż jej gratulacje w moim i Janki⁴² imieniu. Podobno ubolewa, że jesteś przykuty do stołu w Vence, kiedy inni podróżują. To niesłuszne, mieszkałeś na tym kontynencie dość długo żeby wiedzieć, że dystanse są duże, a zmiany od miejsca do miejsca niewielkie, ekscytacja więc wątpliwa. Ten kontynent dosięga zresztą i dławi mnie swoją obecną aurą, wojna w Wietnamie i kwestia murzyńska pchają nas ku wojnie domowej, widocznie już takie moje przeznaczenie, że życie moje musi upływać zawsze w jakimś *Nienasyceniu* Witkacego, jakby Polski sprzed 1939 r. i z lat 1939–1945 jeszcze było mało. No i oczywiście pigułki Murti-Binga⁴³ — najbardziej nawet rozgarnięci studenci są zarażeni kultem mądrości orientalnej, Hermanem Hesse etc. Był tu Jerzy Sito, poeta i tłumacz poezji angielskiej, z Warszawy, wychowany w Indiach i w Londynie, więc płynnie mówiący po angielsku, no i całkiem przerażony tutejszym Rzymem za późnego cesarstwa. Osobiście jestem dość odporny, staram się pisać choćby dla siebie o tym, co tutaj widzę i myślę, powinna z tego zrobić się książka.⁴⁴ Poza tym staram się przeciwdziałać różnym jadom mówiąc do moich studentów, na szczęście uniwersytet amerykański jest znacznie mniej sformalizowany niż europejski i kontakt ze studentami jest żywy, to mnie trzyma. Mam teraz przegląd literatury polskiej (właściwie historii kulturalnej) dla studentów rusycystyki i drugi kurs

⁴¹ Marie-Rita Labrosse, towarzyszka życia, a od 28 grudnia 1968 — żona Witolda Gombrowicza.

⁴² Janina z Dłuskich *primo voto* Cękalska, żona Czesława Miłosza (zmarła 1986).

⁴³ Motyw z *Nienasycenia* Witkacego: pigułki, które zażywającym przynosiły pogodę i szczęście poprzez stępienie ich wrażliwości na nierozwiązywalne problemy ontologii i metafizyki. Miłoszowi w *Zniewolonym umyśle* motyw owych pigulek posłużył jako metafora Nowej Wiary, tj. marksizmu-leninizmu jako opium dla intelektualistów.

⁴⁴ Chodzi zapewne o *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, wydane w r. 1969 przez paryski Instytut Literacki.

polskiej literatury współczesnej, który zacząłem od Przybyszewskiego i Wyspiańskiego, powołując się na to, że Apcio, czyli Tatarkiewicz, niedawno opowiadał nam z Janką o swojej młodości, o r. 1900, czyli Przybyszewski jest nadal współczesny. Ale dojechałem już do Ciebie, ku radości studentów, których mam sporo. Niestety ci, co czytają tylko po angielsku, muszą zadowolić się *Ferdydurke* i *Pornografią*, *Kosmos* ukazał się podobno, ale w Londynie, tu go jeszcze nie ma. Iribarne⁴⁵ tłumaczy *Ślub* dla Grove Press i to, co mi pokazywał, wygląda dobrze. Jest inteligentny, czuje styl, rozumie sztukę (tzn. *Ślub*), partie wierszem dobrze u niego wychodzą i jest pomysłowy w użytkowaniu plebejskich odpowiedników (świnia etc.). Mania będzie Molly, Władzio pewnie Johnny, Ignacy nie może być Ignatius, bo to nie jest imię plebejskie. Masz dużo racji mówiąc, że powieści Witkacego to bruliony, ale mniej niż sztuki i wolę je od sztuk. Jeżeli Iribarne przełoży *Nienasylenie* całe tak jak te rozdziały, które przełożył zanim zabrał się do *Ślubu*, to będzie to wielki sukces. Jego żona, Niemka, czyta *Nienasylenie* po niemiecku i kwiczy z uciechy.

Moja *Rodzinna Europa* wkrótce ukaże się w New Yorku po angielsku w Doubleday. Może mi udzielisz rady. Penguin Books w Londynie, które wydaje serię poetycką, zwróciło się do mnie z propozycją wydania wyboru moich wierszy po angielsku (żebym ja im zrobił tłumaczenie z Peterem Dale Scottem), ale ponieważ tomiki jednego autora słabo im idą, łączą poetów po dwóch, i mnie chcieliby dać razem z Attilą Jozsefem (taki proletariacki węgierski Rimbaud, który popełnił samobójstwo w latach trzydziestych). Dziwaczna to propozycja, odmówiłem, propozycję ponowili i teraz nie bardzo wiem, jak się do tego odnieść. Widziałem dużą recenzję ze *Ślubu* w „Die Zeit”.⁴⁶ Szczerze Ci wieszuję inteligentnych krytyków, to tylko do anglosaskich krajów nie masz szczęścia. Co ich blokuje, to zasługiwałyby na analizę. Myślę, że to ma jakiś związek z ich teatrem. To jest teatr, w którym naturalistyczne konwencje przelamały się z trudem i późno, kiedy w Polsce było już po Wyspiańskim, a w Niemczech kwitł ekspresjonizm. Toteż nawet ich „teatr absurdu” jest zagrożony ciągle ześlizgiwaniem się w „fotografie z natury”, a jak mi

⁴⁵ Louis Iribarne — polonista amerykański, tłumacz współczesnej literatury polskiej, głównie Witkacego i Gombrowicza, autor świetnego przekładu *Doliny Issy*.

⁴⁶ Chodzi zapewne o recenzję D. E. Zimmera *Eine irrwitzige Wirklichkeit*, „Die Zeit” 1968.

mówił Sito, który widział *Tango* Mrożka w New Yorku, ci nieszczęśni aktorzy, przyzwyczajeni grać znakomicie codziennych siebie, miotają się po scenie zupełnie bezradni (*Tango* w Paryżu też złe, ale dlatego, że kładzie je jeden aktor, grający Artura). Pewnie są to objawy jakichś przeszkód w oderwaniu się od „rzeczywistości”, która musi być psychologiczna, freudowska i diabli jeszcze wiedzą jaka.

Może nie trzeba pisać listów w stanie melancholii, cóż poradzić na pytanie: *qui bono?* Chciałbym zbawić świat, a nie potrafię, a nie jestem ja tak szalony, żeby mniemać albo i nie mniemać, że dokaże tego moja sztuka pisarska, choć były momenty, kiedy moja agresywność w to wierzyła. Nie potrafię chyba nawet ostrzec kościoła katolickiego, bo moi przyjaciele amerykańscy obrazili się, kiedy powiedziałem, że może antychryst przebrał się za Jana XXIII. W Berkeley w kościołach katolickich grają na gitarach i w mszy nie ma już a n i s ł o w a łaciny. Nastrój tam radośnie — kolektywny i skautowski. To trzeba było czekać aż 4 wieki, żeby się protestantyzować?

A propos mszy, to nadal chciałbym, żebyś mi wyjaśnił postać Fryderyka — jego ostatnie morderstwo niepokojące moich studentów.

Ściskam Cię i pozdrawiam w moim i Janki imieniu, a Ricie składam najpiękniejszy z ukłonów d’Artagnana, na jaki może zdobyć się szlachcic ze Żmudzi.

Czesław

[*List pisany odręcznie na sześciu stroniczkach papieru listowego*]

[List 3, w oryginale po francusku]

Drodzy Witoldzie i Rito,

List ten nie może zrekompensować naszej nieobecności tam, w Vence, i przykro nam naprawdę, że jesteśmy tak daleko. Niepokoi nas zdrowie Witolda. Powiedzcie pani Paczowskiej⁴⁷, że prawie ją pokochałem po otrzymaniu listu Witolda pisanego przez nią, jej ręką.

Lipiec i ciągle robota. Kończę właśnie pracę nad edycją pamiętników lub raczej wyznań mego zmarłego przyjaciela Aleksandra Wata.⁴⁸ 1300

⁴⁷ Maria Paczowska — pisarka; wyemigrowała z Polski, w latach sześćdziesiątych. Wraz z mężem, Bohdanem, bywała częstym gościem u Gombrowiczów w Vence. Bohdan Paczowski był autorem serii doskonałych zdjęć Gombrowicza z ostatnich lat jego życia.

stron! Nie istnieje podobny temu dokument. Warszawa literacka lat dwudziestych, Berlin, Paryż, lata trzydzieste, więzienia sowieckie, Ałma Ata, wybitni pisarze rosyjscy itd. „Kultura” publikuje dwie moje książki⁴⁹ — jedną, w której zdecydowałem się pójść dalej: wszyscy emigranci są sentymentalni, piszą z nostalgią o swych krainach dzieciństwa i przeważnie wszystko to jest przeciętne — ale jeśli napisano całe krocie przeciętnych wierszy o miłości, nie ma powodu sądzić, że wiersz o miłości musi być zawsze przeciętny. A zatem zaczynam mój tomik wierszy od *requiem* dla miasta mego dzieciństwa, Wilna.⁵⁰ Nie uważam, by był to wiersz sentymentalny. Ponieważ można rozmyślać nad tajemnicą czasu (jedyną i pierwotną tajemnicą, jak mówi Simone Weil, która zresztą wielbiła Prousta).

Witold zrozumie mnie, jeśli powiem, że chciałbym zachować w literaturze polskiej pewną *prze str ze ń i de al n ą*.

Iribarne, tłumacz *Ślubu* (książka ukazała się nareszcie) powrócił z Lubeki. Jechał właśnie z Niemiec do Francji w momencie strajku, potem porzucił ten projekt. Grove Press zamówiło u niego przekład *Operetki* i *Dziennika*.⁵¹ Boryka się ciągle z ostatnimi rozdziałami *Nienasyenia* Witkiewicza. Wyjechał do Teksasu, gdzie ma być przez 6 miesięcy *translator in residence*, tzn. The National Translation Center zapłaci mu, aby spokojnie tłumaczył Witolda. Ale musi przyjechać tu na egzamin doktorski — później chce zacząć swą dysertację o Witoldzie.

Peter, nasz młodszy syn, ma nowe szaleństwo — żeglowanie po zatoce San Francisco. Toni, starszy, spędza czas wolny od swego laboratorium, grając w zespole brodatych muzyków.

Jeśli nie przerwę moich zajęć, nie będą miały końca. Chcemy więc zrobić wycieczkę do Canadian Rockies, być może poprzez Idaho i Montanę. Dlaczego Idaho? Dla jego nazw miejscowości. Gdy jedzie się od strony Kalifornii, mija się Winnemucca, potem Boise, Moscow, Nez Perce [Przekłuty Nos], Coeur d’Aline [Serce Aliny] — ślady francuskich myśliwców.

Jutro lub pojutrze nasi przyjaciele wracają z patriotycznej pielgrzymki

⁴⁸ Chodzi o *Mój wiek* (t. 1–2, Londyn 1978).

⁴⁹ Chodzi o *Miasto bez imienia* (Paryż 1969) i *Widzenia nad zatoką San Francisco* (Paryż 1969).

⁵⁰ Chodzi o tytułowy poemat tomu *Miasto bez imienia*.

⁵¹ Iribarne przetłumaczył w końcu tylko *Operetkę* — i to dla wydawnictwa Calder and Boyars (London 1971).

do Izraela. Widziałem dobre przedstawienie *Hamleta* — zespół aktorów z Londynu, reżyseria Tony Richardsona.

Przygnębiony jestem tym, co dzieje się w Polsce, w polskiej literaturze, więc aby nie trzymać się na uboczu, napisałem długi artykuł przeciw.⁵² Otóż i wszystkie nowiny. To, co mnie zaskoczyło, to moja reakcja na powieść w dziewiętnastowiecznym stylu. Na ogół nie lubię jej (nowej powieści także). Ale powieść *Sołżenicyna Oddział chorych na raka* (która czytałem po rosyjsku) podbiła mnie. To osobliwe — że Rosjanie dają przykład, jak napisać powieść c h r z e ś c i j a n ś k ą (która na Zachodzie nie egzystuje).

Ściskam was oboje, serdeczności dla pani Paczowskiej, jeśli nadal przebywa w waszych okolicach.

Wasz Czesław

Janka ściska was także, nie czekam na jej podpis, aby wysłać ten list teraz, a nie jutro.

Cz.

[List pisany odręcznie, na trzech zapisanych dwustronnie kartkach papieru z firmowym nadrukiem: „University of California, Berkeley. Berkeley — Davis — Los Angeles — Riverside — San Diego — San Francisco — Santa Barbara — Santa Cruz. Department of Slavic Languages and Literatures, Berkeley, California 94720” oraz z podobizną pieczęci uniwersytetu. Brak daty; prawdopodobnie napisany w r. 1968]

[List 4]

17 I 69
978 Grizzly Peak Blvd.
Berkeley, Calif. 94 708

Kochany Witoldo,

Nie wybieramy się do Europy i nasze serdeczne uczucia nie znajdują wyładowania w pielgrzymce do Vence. Więc piszę. Z upodobaniem śledziłem boje w „Wiadomościach”, właściwie mając dla tych czytelników

⁵² Miłosz wspomina tu zapewne swój artykuł *Prywatne obowiązki wobec polskiej literatury*, drukowany w „Kulturze” 1969 nr 10, a więc już po śmierci Gombrowicza.

sporo współczucia.⁵³ Bo rzeczywiście to, co nazywają „nowoczesną sztuką”, nic nie rozumiejąc o kogo chodzi, zostawia ich w stanie przerażenia i kołowacizny, ale każdego rozumnego człowieka 99% płodów pióra i pędzla powinno przerażać. Na pewno ubawiła Ciebie obrona Gombrowicza w imię „nowoczesności”, jaką przeprowadziła któraś z paniuś. Pytanie, ile w Polsce podobnych jak w tych listach gniewów by się ujawniło, gdyby było wolno. Kraszewski jest tam najpopularniejszy, bo co nieszczęśni mają czytać. Jest tam sporo publiczności wyrafinowanej, ale recepcja Twoich książek chyba jest tam fałszywa — od strony chichotu.

Mimo zapowiedzi Grove Press nie wypuściła *Ślubu* ani *Kosmosu*, przynajmniej ja nie mogę ich znaleźć. Te duże odstępstwa w czasie są niedobre. Poza tym krytycy nic z Ciebie nie rozumieją. Dlaczego — to byłoby ciekawe zanalizować. Łączy się to chyba ze stanem umysłów w Ameryce, odbywa się teraz pęd baranów Panurga, przypominający nieco szalę postępowej inteligencji rosyjskiej z końca XIX w. Gwarancją powodzenia książki jest chyba tylko fotografia autora — Murzyna albo autora z brodą i beretem Che Guevary. Otwartą jest kwestia, czy rewolucyjna młodzież zasługuje na sympatię, bo broni „młodości wiecznie nagiej”, czy na karę chłosty. Przyglądając się z bliska mitowi politycznego terroru w Europie jako środka zbawienia ludzkości, nie jest przyjemnie oglądać to samo w Ameryce. Ale kiedy mówiłem o amerykańskich napięciach, nie wierzyłeś. B. ładne przemówienie o podobnych objawach w Niemczech wygłosił niedawno Günter Grass. Dałem się sprowokować głupstwom Mieroszewskiego i niestety napisałem list do „Kultury”, który pewnie czytałeś.⁵⁴ Giedroyc już od dawna cicho kipiał, że „nie działał”, tzn. nie piszę płomiennych manifestów, deklaracji itd. *Les pauvres*. Sytuacja w Polsce jest okropna, na poziomie głębszym niż polityka, bo myśl, język schodzi na dno, jakieś prasłowiańskie bagno, bełkotanie, mamlanie, a tutaj ten aktywizm „Kultury”,

⁵³ Chodzi o serię wypowiedzi czytelników „Wiadomości” na temat Gombrowicza, jego pisarstwa i postawy, zapoczątkowaną *Atakiem* Barbary Szubskiej i *Kontratakiem* Gombrowicza („Wiadomości” nr 37 z 15 września 1968), a zakończoną Gombrowicza *Listem do Redakcji* („Wiadomości” nr 7 z 16 lutego 1969).

⁵⁴ Chodzi o list do redakcji „Kultury” 1968 nr 12, będący odpowiedzią na fragment *Kroniki angielskiej* pt. *Poeci i publicyści* autorstwa Londyńczyka [Juliusza Mieroszewskiego] („Kultura” 1968 nr 11 s. 78–82). Mieroszewski zarzuca tam poetom emigracyjnym obojętność na problemy polityczno-społeczne.

jakieś *action painting* — ile już tego widziałem u Giedroycia, patetyczne to, ale i w karkołomnych wysiłkach ponure. Oczywiście traktuję sytuację poważnie, bo to wygląda, że możemy być ostatnimi polskimi pisarzami. I obowiązki — jednak są, a polegałyby przynajmniej na ocaleniu języka, jakiej takiej jasności, rozumności i formy. Z pewnością oklapnięcie myśli i języka w Polsce jest prastowiańską ohydą równoległą do podobnych zachodnich chorób. Wykłada teraz w Berkeley ostatni chyba przedstawiciel porządnej francuskiej prozy, Etienne Gilson, b. uroczy i żywy mimo 85 lat, o wyglądzie starego francuskiego ogrodnika.

Osiągnąłem znaczne sukcesy od czasu St. Paul — odzwyczałem się od palenia papierosów, palę tylko fajkę, a także przestałem używać alkoholu, ponieważ nawet trochę jest zgubne — zwiększałem dawkę. No i wydaje mi się, że w pisaniu ku czemuś sensownemu zmierzam. Starszy nasz syn ożenił się i po zrobieniu *bachelor*⁵⁵ z antropologii wstąpił do San Francisco Medical School, młodszy jest na I roku uniwersytetu. Miałem w jesieni kurs o teatrze, niestety *Ślub*, na który liczyłem, nie ukazał się, więc studenci musieli zadowolić się fragmentami w przekładzie Iribarne'a (doskonałym), które im czytałem.

Ściskamy Ciebie serdecznie i ucałowania dla Rity tudzież powinszowania spóźnione z okazji skończenia tezy.

Zdrowia życzę

Czesław, Janka

[List pisany odręcznie na czterech stroniczkach papieru listowego]

[List 5]

30 III 69

978 Grizzly Peak Blvd.

Berkeley, Calif. 94708

Kochany Witoldo,

Siadam do maszyny, żeby zaoszczędzić Ci trudu odczytywania mojego drobnego pisma. Zacznę od najważniejszego. Kłopoty twoje doskonale rozumiem, bo takie same wypędziły mnie z Europy. Nie powinienes

⁵⁵ *Bachelor (of Arts)* — stopień naukowy uzyskiwany po ukończeniu wyższych studiów humanistycznych.

wątpić, że chciałbym zrobić co można. Ale powiedzmy sobie na trzeźwo, że wydostanie w Ameryce pieniędzy nie na zaproszenie kogoś tutaj, ale dla kogoś, kto mieszka w Europie, jest niemal niemożliwe. Opierając się na naszych rozmowach, nie sądzę, żebyś ryzykował podróż do Stanów, a ta forma — zapraszania pisarzy-rezydentów „dla honoru domu” — jest główna, obok tur odczytowych, które robią przeróżni Butorowie i Robbe-Grilletts [!], nawet Ponge. Co do fundacji, to mają one swoje biurokratyczne rubryki, a pod żadną nie podpasz jako pisarz-emi-grant, a więc nie z Europy komunistycznej. Zresztą jest w tej chwili dość silne obcinanie funduszy na słowiańsko-wschodnie sprawy, bo jest nowe sitko na zasilek [?], czyli Murzyni i tzw. *urban crisis*. Z tym wszystkim wpadłem na pomysł, który wydaje mi się genialny, choć może mi się tylko tak wydawać. Spróbuję. Pieniądze, jakie mam na myśli, nie są amerykańskie, szwajcarskie raczej i międzynarodowe. Muszę w tej sprawie napisać do Szwajcarii, więc zostaw mi trochę czasu. Wiemy oczywiście, że ożeniłeś się z Ritą i dobrze zrobiłeś. Bardzo ją lubimy, co zechcesz jej przekazać w moim i Janki imieniu. Ale proszę Ciebie, nie powtarzaj zawału serca, bo raz wystarczy. Skoro przeżyłeś, nie przejmuj się tym pierwszym zanadto. Ważyk, z którym widziałem się ostatni raz na tamtym zjeździe w Montrealu, swój zawał miał dawno, co nic a nic nie przeszkadza mu dość optymistycznie funkcjonować, choć nie wiem, czy z innych powodów, tamtejszych, polskich, jest teraz bardzo optymistyczny.

My mieliśmy zmartwienia, bo Janka chorowała na *sinus*⁵⁶ — rentgen wykazał tam narośl, nie wiadomo jakiej natury, a oczywiście w takich wypadkach myśli się o najgorszym. Zrobiono operację, okazało się, że to nic złośliwego, ale jak to operacja, dopiero teraz powraca do sił i zdrowia.

Zimę mieliśmy jak na Kalifornię wyjątkową — mgły, to znów wichry, sztormy, ulewy. Za to teraz piękna wiosna, mniej więcej odpowiednik europejskiego czerwca. Tak powinno być do lata, które znowu ma tutaj zwykle sporo zimnej mgły od oceanu.

Skończyłem już dość dawno książkę, którą zacząłem pisać w St. Paul, tylko że przepisywanie jej zajęło mi sporo czasu. Posłałem ją Giedroyciowi, któremu b. się podoba i ma ją wydać, ale chyba dopiero w jesieni. Jest to esej tym razem o mnie i Ameryce, może bardziej

⁵⁶ *Sinus* — zatoki.

osobisty niż *Zniewolony umysł* i *Rodzinna Europa*, ale jakby trzecia część tej serii. Ciekaw jestem, czy zaaprobujesz tytuł: *Widzenia nad zatoką San Francisco*.

Przygotowuję do druku pamiętniki Wata nagrane na taśmę w formie rozmów ze mną. Tu ja występuję jako Roux.⁵⁷ Znów będziesz się ze mnie śmiać, z tego rodzaju moich robót.⁵⁸ Ale jeżelibym ja tego nie zrobił, nikt by nie zrobił — mój częsty motyw. Są to wręcz fantastyczne dzieje i skarb dla historyka, nie mówiąc o tym, że cała Polska literacka tamtego Dwudziestolecia. Mam nawet prowizoryczny tytuł: *Życiorys na taśmie magnetycznej* — opowiedziany Czesławowi Miłoszowi. Co sądzisz o takim tytule?

Nie rozumiem, co robi z twoimi książkami Grove Press. Nigdy nie byłem zbyt dobrego mniemania o tej firmie robiącej w tym, co najbardziej na rynku popłaca, tj. w kopulacji plus rewolucja. Tym bardziej szkoda że w Iribarnie masz znakomitego tłumacza. Iribarne'a chyba zobaczysz, bo wybiera się z pielgrzymką. Dostałem właśnie od niego list z Niemiec i nie popełnię chyba niedyskrecji przepisując z niego to, co ciebie dotyczy:

I read and saw *Tango* recently. Fantastic! You were right about it being a child of Gombrowicz, especially of *Ślub*. Incidentally, the BBC just put on its production of *Ślub* and it worked very well. And you were right about another thing. I just finished reading the first volume of Gombrowicz's diaries and it is without question the crowning glory of all his other work. When I finished the book I felt immediately crawling down to Vence on my hands and knees to pay homage to that saintly guru. Listen, if the Slavic Department refuses to accept the translation of *Insatiability* (*Nienasylenie* Witkacego) in lieu of a Ph. D. dissertation, and I don't really hold out too much hope that they will, then I will definitely write my doctoral thesis on Gombrowicz, under your supervision of course.⁵⁹

⁵⁷ Chodzi o Dominique de Roux, autora *Rozmów z Gombrowiczem*, drukowanych najpierw w formie *Fragmentów z dziennika* w „Kulturze” (1967–1968), a następnie w tomie: *Entretiens avec Gombrowicz*, Belfond, Paris 1968.

⁵⁸ Por. cytowane w Miłoszowej *Ziemi Ulro* (Paryż 1977, s. 26) zdanie Gombrowicza na temat prac Miłosza nad historią literatury czy antologią współczesnej poezji polskiej: „Że też ty chcesz tracić czas na głupstwa! Czy wyobrażasz sobie Nietzschego, który by antologię wydawał!”.

⁵⁹ „Ostatnio czytałem i widziałem *Tango*. Fantastyczne! Miał pan rację, że jest ono dzieckiem Gombrowicza, szczególnie *Ślubu*. Przypadkiem BBC wyświetliła akurat swoją inscenizację *Ślubu* i udało się to bardzo dobrze. Miał pan też rację w innej sprawie. Skończyłem właśnie lekturę pierwszego tomu dzienników Gombrowicza i jest to bezsprzecznie ukoronowanie wszystkich jego pozostałych dzieł. Kiedy skończyłem tę książkę, miałem ochotę natychmiast poczołgać się na kolanach do Vence, by złożyć hold temu

Kiedy odbywałaś harce w „Wiadomościach”⁶⁰, bawiłem się niewiedzą polskich czytelników — co by było, gdyby się dowiedzieli, że w programie uniwersyteckim, w każdym razie w Berkeley, zajmujesz znacznie więcej miejsca niż ci, których oni przyzwyczaili się uważać za „wielkich”, jak Żeromski etc. *A propos*, co się dzieje z „Cahiers de l’Herne”, bo mój student David Brodsky ciągle mnie pyta, kiedy to się ukáže, chodzi mu o jego szkic o Tobie. Ci młodzi są b. chwykliwi, gdyby ktoś z krytyków wreszcie wyłożył amerykańskiej publiczności o co chodzi, bo nic nie rozumieją, ale ja rzadko piszę artykuły po angielsku, męczy mnie to i oświecanie amerykańskiej szerszej publiki to nie moja funkcja. Poza tym Grove Press musiałyby coś zrobić, ale nic — kiedy wyjdą dalsze książki?

Alkohol. Nie, nadal nie piję. Naturę mam samo-represyjną, co wcale nie jest zaletą, wręcz przeciwnie, ale ułatwia ona różne takie „nie”.

Ściskam Cię serdecznie i wiele pozdrowień Ricie

Czesław

Ściskam Was oboje najserdeczniej i pozdrawiam

Janka

[*List pisany na maszynie, na trzech stronczkach papieru listowego*]

[List 6, w oryginale po francusku]

19 VI 69

Droga Rito,

Dziękujemy Ci za okulary — otrzymane w porządku i bardzo szybko. Moim błędem było, że nie określiłem ich kształtu. Bardziej kwadratowe byłyby lepsze, ale w każdym razie będą Jance dobrze służyć.

Ależ pora u nas — całą zimę i wiosnę: mgły, wiatry, zamglenia. Prawda, że wystarczy pojechać kilka kilometrów w głąb, dalej od brzegu, i wychodzi słońce. Poza tym zamęt na uniwersytecie i sąsiednich ulicach, poza tym egzaminy. Prawie wszyscy moi studenci, którzy je zdali (18),

świętobliwemu guru. Jeśli Wydział Sławistyczny odmówi uznania przekładu *Nienasyceńca* za pracę doktorską, a nie mam na to zbyt wielkiej nadziei, stanowczo napiszę swój doktorat o Gombrowiczu, pod Pańską opieką, oczywiście.”

⁶⁰ Patrz przypis 53 do listu z 17 I 1969.

pisali o Witoldzie — albo o *Ferdydurke*, albo o *Pornografii*. Inny autor polski, który był wśród nich popularny, to Fredro, którego najważniejsze komedie zostały ostatnio wydane w przekładzie angielskim.

Otóż i wakacje. I żadnych planów: pojechać w odwiedziny do Europy raz jeszcze? Ale wszystkie szaleństwa, które poczynają się tutaj, naśladuje się w Europie, jesteście, jeśli tak wolno powiedzieć, u źródła. Zresztą od momentu, gdy ujrzałem film (ostatni) Beatlesów, jestem zawziętym wrogiem sentymentalizmu właściwego pokoleniu *hippies* i *yippies* (brudasy i brudasice), całego tego stylu szalonego i dekadentckiego. Sądzę, że staję się coraz bardziej harcerzem i sodalisem. Prawdę mówiąc, jedyny powód jazdy do Europy byłby dobrze określony: polecieć prosto do Nicei i ruszyć szosą na Vence. Powód to wystarczający, ale tego roku nasza sytuacja finansowa trochę się pogorszyła. Zatem mam nadzieję zobaczyć was dwoje w przyszłym roku. Wydałem grubą książkę, *Historię literatury polskiej* po angielsku, którą niebawem otrzymacie. Jeśli Witold osądzi, że cierpię na chorobę umysłową, można mu wyjaśnić, że książki szkolne i uniwersyteckie sprzedają się dobrze, liczę więc na ten tom, który sfinansuje (miejmy nadzieję) naszą przyszłą podróż. A zresztą mówi się, że zrobiłem dobrą robotę. W każdym razie takie jest zdanie mojego wydawcy (Macmillana).

Obecnie — samochód i nadzieja na odkrycie czegoś. Ja już odkryłem: policja zatrzymała mnie jadącego z szybkością 80 mil, podczas gdy prędkość dopuszczalna wynosiła 65 mil i zapłaciłem 24 dolary. Janka triumfowała. Mówi, że to jedyny środek, abym przestał szaleć. Ale, mówiąc w zaufaniu, podróżuje się, aby zerwać z rutyną i powrócić z przyjemnością do spokojnego życia.

Ściskamy Was, Rito, a teraz przesłanie do Witolda.

Drogi Witoldzie,

Ślub dotychczas się nie ukazał.⁶¹ J. Kott, który był tu parę dni, mówił mi przez telefon, że Grove Press zamówiło u niego wstęp do *Ślubu*. Że też musiałeś związać się z firmą specjalizującą się w Sex-Revolution. Choć to znaczy, że masz walor snobistyczny na rynku.

Niestety, muszę Ci donieść o niepowodzeniu moich starań w Twojej

⁶¹ Wyszedł jednak tego samego, 1969 roku z przedmową Kotta.

sprawie.⁶² To znaczy, jeszcze coś może wyjść, ale większość danych przemawia za tym, że nic nie wyjdzie. Bardzo mi przykro, bo zupełnie nie widzę w tej chwili innych pomysłów. Europa jest tak skąpa, obmierźle sknerska, a cała Ameryka nastawiona do wewnątrz, nawet jakieś fundusze dla Czechów obwarowane tym, że muszą tu przyjechać i uczyć na uniwersytetach. Nb. chwilami myślę, że uniwersytety to obłęd i że ma rację Mao, który uważa wyższe wykształcenie za fanaberie. 8 milionów studentów w Ameryce! Tzn. 7 900 000 półinteligentów. Ale w Chinach zakład fryzjerski zatrudnia 20 pracowników, a w Ameryce 2. Studentów musi być coraz więcej w miarę automatyzacji i usprawniania gospodarki. Natomiast Mao będzie wkrótce świętkiem [?] całej Ameryki Łacińskiej. To nieprawda, nie wierzę w to, że kapcaniejesz. Tylko marnujesz czas na listy handlowe zamiast pisać.

Ściskam Cię serdecznie

Czesław

Hłasko umarł. Podobno samobójstwo w Monachium.⁶³

[List napisany na dwóch zapisanych dwustronnie kartkach papieru z nadrukiem firmowym analogicznym jak w liście nie datowanym do Witolda i Rity Gombrowiczów]

⁶² Chodzi o sprawę subwencji finansowej dla Gombrowicza, o której Miłosz wspomina w liście z 30 III 1969.

⁶³ Zmarł w rzeczywistości 14 czerwca w Wiesbaden. Hipoteza samobójstwa budzi nadal wątpliwości.

Autobiografia

Małgorzata Baranowska

Prywatna historia poezji (III)

2 IV 1990

Tłumacz epoki. Szedł Barańczak od Beatlesów do Szekspira przez poetów metafizycznych.

Filozof masowych środków przekazu. Świadomy świadek.

Szczęśliwie nie był filozofem zastępczym. On tak po prostu idzie.

Wielotorowo. Nieprzerwanie.

Czy zmorą naszego życia nie stała się zastępczość? Robiliśmy mnóstwo rzeczy zamiast tych, które próbowaliśmy zrobić, ale się nie udało, albo zamiast zupełnie nieznanych.

Właściwie to dopiero miało nadejść, ale było już świetnie widoczne na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Kiedy skończyłam studia, zabrakło czegoś. Dostałam druk zastępczy 5 × 5 cm — zamiast dyplomu. Po jakiejś konferencji zaczęto sobie przypominać — Barańczak opowiedział, jak w todze i birecie, z całą pompą uniwersytecką, otrzymał wielką doktorską tubę. Zanurzył w niej dłoń i wyjął — druk zastępczy. Barańczak nigdy nie wyglądał na dziecko-kwiat, raczej na równie jak ono zajętego wewnątrz, ale nie oddechem Ramy. Aktywistyczny duch w małomównej postaci. Może on mówi od razu pismem.

4 IV 1990

Zastępczość. Białoszewski nawet twierdził, że mur wokół cmentarza dla

Marsjan — jak mówił — czyli Cmentarza Północnego na Wólce Węgłowej jest zrobiony z prasowanych śmieci. Podobnie wielkie osiedla: Wawrzyszew, Ursynów.

Nieprawdopodobna nonszalancja administracyjnej nudy stwarzała sytuacje purnonsensowe. Ulica, przy której znalazł się Cmentarz Północny, nazywała się Wodewil. Przepowiadaliśmy sobie te ulice wieczorami u Białoszewskiego.

Na przykład Wergiliusza. Zdaje się, że tylko przedszkole opatrzone jest tym adresem, bo wielkie bloki stoją raczej do Wergiliusza ślepym bokiem.

Ojciec Wergiliusz (Wirgiliusz?) uczył dzieci swoje,
A miał ich wszystkich sto dwadzieścia troje.

Los? Szarada Agaty Christie? Geniusz miejsca.

10 IV 1990

Na kartce, wyrwanej z zeszytu w jedną linię, zapisany pionowo cały margines: „wiersz pisany na audycję z Małgosią Baranowską, która to audycja już nie doszła do skutku z nagłego powodu stanu wojennego”. W lewym górnym rogu na ukos: „9–10 grudnia 81 W-wa, czyli w stanie przedwojennym”.

w blokowych
gwizdo-betonach
przemykało
szarzało
objało się

i obja
o dwieście sześćdziesiąt drzwi
od gór korytarza
do piwnic
okradanych w ciągu

ani piśnię?
może czasem piśnię
— kto jesteś?
— geniuszek miejsca

Wiersz wszedł później do tomu *Oho* (1985).

Mieliśmy tę audycję nagrać 14 grudnia 1981, ale przeszło na wieczność.

15 IV 1990

Planowaliśmy rozmowę o bloku. Zdaje się, umówiliśmy się między sobą, że audycja będzie miała tytuł (na razie) *Blok-świat*. Przygotowywaliśmy się bardzo dokładnie, bo żadne z nas nie wierzyło w te rozmowy „na żywo”. Zawsze zresztą drobiazgowo planował.

Nastawiliśmy się na peryferyjność, regionalizm bloku. Był przecież pisarzem regionalnym — z całą tego świadomością.

Miało być o niewielkim regionie, nie bez zamieszania kosmosu. W końcu wszyscy tak robią: Homer, Mickiewicz, Joyce, Grass, I. B. Singer. Czy to się później rozniesie na wszechświat, to kwestia znalezienia języka, no i, w ostatecznym rachunku, sławy.

Białoszewski udawał, że nie ma nic wspólnego z mitotwórczym uniwersalizmem w stylu Joyce’a. Co wypisał mały Stefan Dedal z *Portretu artysty z czasów młodości* na przedtytułowej stronie swego podręcznika geografii?

Stefan Dedal
Klasa Przygotowawcza
Gimnazjum w Clongowes Wood
Sallins
Hrabstwo Kildare
Irlandia
Europa
Świat
Wszechświat

U Białoszewskiego doszłoby najwyżej do „Sallins”, już hrabstwo nie miałoby żadnego znaczenia. Ten poeta przydomowy zachowuje jednak kontakt ze światem, nieskończonością, anektując ją przeważnie dla własnych potrzeb regionalnych.

W Egipcie, kiedy sprawdził już „naczelną metaforę”, to znaczy związek Egiptu z nieskończonością — wiersz *Piramida* (z tomu *Rozkusz*, 1980) — nie zapomniał poszukać komórki kotki Mizi. — wiersz *Jeszcze miałem sprawdzić Mizię* (też z tomu *Rozkusz*).

12 VII 1990

Wszystko to umowne z tymi miejscami. Zarówno miejsca stałe, jak miejsca odwiedzane w podróży, mogą podlegać mistyfikacji, działaniom wyobraźniowym, kreacji.

Fantastyczny skandal zdarzył się nie tak dawno — w maju 1989

— w Paryżu. Marlena Dietrich, która nie opuszcza od lat swego mieszkania wściekła na biografistę Cary Granta rzuciła książką. Dzień był ciepły, więc okna otwarte a tom ciężki. Uderzył przechodnia, który mimo perswazji — gwiazda to przecież gwiazda i może nawet rzucać książkami — wystąpił do sądu. Dopiero na sali sądowej dowiedziano się ogólnie, gdzie mieszka Marlena Dietrich: Avenue Montaigne 12, tuż koło Pól Elizejskich.

Tam się ukrywa w swych wspomnieniach, wśród wycinków prasowych i obfitej korespondencji. I co robi? Wysyła listy, listy z różnych miejsc, na przykład z Londynu, nie opuszczając mieszkania i drogo opłacając specjalnego posłańca.

Przecież to tamten fragment z *Wieśniaka Paryskiego* (1926) Louisa Aragona, rozdział *Pasaż Opéry*:

Chciałem uzyskać wiadomość, czy istnieje jeszcze na jego terenie osobiwa instytucja, o której mówił mi kiedyś Paul Valéry, agencja, która podejmowała się nadawania listów w którymkolwiek punkcie globu i przysyłania ich na dowolny adres, co pozwalało odbywać zmyśloną podróż, na Daleki Wschód na przykład, nie opuszczając nawet na chwilę dalekiego zachodu tajemnej przygody. Nie sposób się dowiedzieć, dozorca nigdy nie słyszał o czymś podobnym... Ale ostatecznie co może wiedzieć dozorca? Kto wie zresztą, czy nie minęło więcej niż dwadzieścia lat od czasu, gdy Valéry używał takich podstępów [tłum. A. Międzyrzecki].

Czyli trzeba od roku 1926 odjąć ponad dwadzieścia lat. Okazuje się, że to paryskie szachrajstwo trwa prawie od wieku. Tylko jego centrum przeniosło się z Pasażu Opéry na Avenue Montaigne. Oczywiście jeśli nie istnieją jeszcze inne nie odkryte.

Niech ktoś udowodni, że prawdziwe adresy ważniejsze. Na pewno nie dla literatury, choć Białoszewski ich używa.

14 VII 1990

Białoszewskiemu, który nie mógł znać awantury z książką wylatującą z okna, Marlena Dietrich i tak kojarzyła się z zamyleniem rzeczywistego i wyobrazonego.

W tomie *Odczepić się* (1978) *Skarby Inków i kłopoty z Eklezjastą i Marleną* najpierw wzmówiona przez Heringa wersja z Eklezjasty, a potem:

Tak opowiadał nam o filmie z Marleną. Idzie na końcu w pióropuszcach, pantofle od rewii w piasku, idzie, idzie... Ja to opowiedziałem Agnieszce, Agnieszka innym. Wskrzeszają film. Wszyscy przy telewizorach czekają, a tej sceny takiej z pióropuszcami nie ma. Nic nie pomogło. Marlena będzie szła przez pustynię w pióropuszcach i będzie szła.

15 VII 1990

Wylatująca książka.

W czasie powstania warszawskiego wielka bomba przebiła od góry do dołu osmiopiętrową wieżę kamienicy wydawnictwa Gebethnera i Wolffa zwróconą ścianą do skrzyżowania ulic Nowosiennej (później Sienkiewicza) i Zgody. Bardzo wysoki, czerwony dach i charakterystyczny kształt budynku znany był wszystkim warszawiakom. Po uderzeniu bomby wyleciała na ulicę książka znana wszystkim. Jak, według słów Jana Gebethnera, podaje Budrewicz, byli to *Krzyżacy*.

Starożytni wróżyli z wnętrzości zwierząt. U starożytnych ich wróżby. U nas nasze znaki.

Na tym polega cała interpretacja poezji, żeby rozumieć, dlaczego po uderzeniu tej właśnie bomby z tej wieży musiała wypaść ta właśnie książka. Nawet w obliczu wulgarnie namacalnej bomby trzeba się umieć zachować symbolicznie.

Powiedzmy nawet, że *Krzyżacy* rzeczywiście spadli na ulicę. Cóż w tym dziwnego? Gdy bomba trafi w wydawnictwo, wysypują się książki. Ale nie. Przecież Budrewicz zanotował to wyłącznie jako symbol. Jego historie rodzin warszawskich są oparte na jak najbardziej realistycznym założeniu. Zapisał, bo tak było naprawdę. A gdyby chodziło o inną książkę? Ani Gebethner by nie mówił, ani Budrewicz nie pisał.

18 VIII 1990

Śmieszne te wszystkie realizmy i naturalizmy. Że to niby ma być prawda! Panowie w tużurkach z epoki pętający się z uczuciem w oczach po scenie teatru, fraki zastygłe w brązie na pomnikach. Szczytem wszystkiego jest pomnik generała Sowińskiego w Parku Sowińskiego na Woli. Paradoks realizmu! Odrobiono mundur i koło od działa, i oczywiście drewnianą nogę — wszystko z metalu.

Właściwie czy jest różnica między odlanym w brązie metalowym guzikiem od munduru a drewnianym szczudłem także z brązu?

19 VIII 1990

Jedynie sztuka symboliczna nie jest oszustwem. Wskazuje na siebie jako na sztukę — sztuczną po prostu. Bez metalowych bokobrodów, bez teatralnych kanap i ścian zalecających się od strony widza kolorem, a od strony pustej, czarnej dziury z tyłu — niczym.

20 VIII 1990

Tuż przed nie odbytą rozmową w Radiu z Białoszewskim nagrałam 12 minut (po wyczyszczeniu) z Jerzym Zagórskim. Miała to być seria audycji o poetach, ale już w następnym tygodniu do studia wpuszczano tylko wojskowych i Chopina.

Z Zagórskim odbyliśmy podróż z Kijowa na Żoliborz. Okazał się związany z krajobrazem biblijnego potopu. Wielka, symboliczna Ukraina dopiero zaczęła się ukazywać w studiu, gdzie tamtą rozmowę przeprowadziliśmy, kiedy już musieliśmy kończyć (rozmowa ta ukazała się na antenie w końcu roku 1989 lub na początku 1990).

Przyjście wroga, 1934, wspaniały poemat o zejściu Antychrysta został przez autora pokrojony na kawałki (po wojnie). Ocalały tylko te, które wycięte z poematu pozostawały w zgodzie z logiką i Matką Boską. Jest w tym coś przerażającego z punktu widzenia sztuki. Albo ona znaczy, albo nie. Wydawałoby się, że nie ma możliwości przerabiania na niby tę samą, tylko ze znakiem przeciwnym. Zadziwiający relatywizm.

Nigdy, nigdy nie pozwolił przedrukować tamtego poematu. Właściwie, kiedy w ogóle zaczęto dużo mówić o Żagarach, już ta fascynująca całość, z *Tropicielem* Aleksandra Rymkiewicza, z *Przyjściem wroga*, z wczesnym Miłozsem, była całkowicie zniszczona. Nie do odrobienia. A gdyby mieli takiego Bretona, pedantycznego strażnika grupy, to by świat podbili. Oczywiście gdyby też nie byli z Wilna, gdzie mówiło się tyloma językami, przeważnie niekongresowymi. Gdyby nie było drugiej wojny światowej i socjalizmu, i ciągle czegoś.

I tak cud sprawił, że Miłosz świat podbił. Za nim wszyscy ciągną do źródła, natrafiając czasem może na ich młodość.

Ale dlaczego Zagórskiemu tak zależało, żeby zamazać młodość i eksponować poemat o bitwie pod Studziankami, a nie surrealistyczny poemat młodzieńczy? Potem już nawet trochę rzucił tych *Pancernych*, a tamtego i tak się bał. Chyba nawet nie chodziło o wiarę, choć trudno z zewnątrz oceniać. Wyglądało, jakby on bał się bać. Bardzo ostrożnie postępował ze swoim byłym katastrofizmem.

21 VIII 1990

Sięgnęłam po tomik Zagórskiego z jego własnym wstępem. Dlaczego porzucił metodę surrealistyczną właściwą poematowi *Przyjście wroga*? Bronił się chyba przed zupełnym odpadnięciem od ściany rzeczywistości. Wolał mieć wyobraźnię uporządkowaną. Dobrze. Ale żal tego sur-

realistycznego epizodu, który kto inny — przede wszystkim ktoś mieszkający gdzie indziej — uznałby i opiewał jako zdarzenie wysoce poetyckie i zasługujące na reklamę.

22 VIII 1990

Zagórski po pół wieku od tamtego wydarzenia — 1971 — pisał we wstępie do *Poezji wybranych* w serii (LSW) Biblioteki Poetów: „Pod koniec owego miesiąca już się doprowadziłem do czegoś w rodzaju komponowania w stanie sennym”. Słowa te dotyczą tworzenia owego częściowo ukrywanego przez poetę poematu. Co by na to powiedział Desnos, który idąc spać i śnić wywieszał tabliczkę: „poeta pracuje”. To było właśnie daleko — nie w Kijowie, nie w Wilnie, nie w Warszawie, gdzie romantyzm zgasł wiek (wiek) temu. Tam, wśród racjonalistów, każdy może uwierzyć, że poeta pracuje w tworzywie snu, tu, wśród irracjonalistów, nigdy.

24 VIII 1990

Zagórski i Gałczyński to poeci małżeństwa. Dla żony, o żonie, na rocznice ślubu.

25 VIII 1990

W tamtym wstępie znalazłam fragment, którego po prostu nie jestem w stanie zostawić bez przypisu. Jeśli nie zrobię tego w tej prywatnej historii poezji, to nigdzie nie znajdzie się dla niego miejsce. Oto Zagórski pisze o nazwie „Żagary”:

W okolicznej, czyli jak się wówczas mówiło regionalnej mowie „żagar” oznacza długą tykę, którą można grzebać w ognisku lub spychać na wodę tratwy. Należało do magii międzywojennych grup literackich mieć w nazwie głoskę r: „Nurt”, „Zwrotnica”, „Skamander”, „Pro arte”, „Kwadryga”, „Meteor”, „Reflektor”, „Kadra”, „Prądy”... Bywały odstępstwa, ale gdzież nie ma wyjątków od reguły? Ponieważ przy „Słowie” wychodził także podobnego formatu dodatek łowiecki pod bardzo efektywnym tytułem „Gdzie to, gdzie to zagrały trąbki myśliwskie”, więc niektórzy czytelnicy nazywali „Żagary” trąbkami literackimi.

Świetny tytuł „Trąbki Literackie”. Ale nie o to chodzi, tylko o tajemniczą magię głoski r, która nie ma nic wspólnego ani ze znaczeniem w rodzaju liczby 44, ani z symbolicznym znaczeniem głosek, co już także spotykaliśmy w poezji. Nikt inny być może nie zauważyłby tej cechy nazw grup literackich. Dlaczego? Otóż w drobnej postaci Zagórskiego skrywało się

wielkie, dźwięczne, charakterystyczne, wibrujące „r”. Kiedy tylko otworzyło się upiornie ciężkie drzwi Związku Literatów, już w progu wiedziało się, czy Zagórski jest w środku. Widocznie myślał o tym czasami, a może to jego podświadomość.

W każdym razie można się spodziewać, że kiedy święty Piotr będzie chciał się kimś wyręczyć w dniu Sądu Ostatecznego, użyje Zagórskiego do odczytania imion zawierających głoskę „r”.

15 X 1990

Jeżeli przyjąć, że wiersz Tuwima *Z kroniki wypadków* (z tomu *Treść gorejąca*, 1936):

Nieutulona czułość
Ożałobione wesele!
Serce z miłości otruło się
Jak panna młoda w kościele.

Wypiła, krzyknęła i mdleje.
Wynoszą z kościoła pobladłą...
I ono — czego się dziwić? —
Wypiło, krzyknęło, upadło.

jest rzeczywiście balladą, to jak by należało określić napisany mniej więcej ćwierć wieku później wiersz Wierzyńskiego *Nie śpiewaj z mostu* (z tomu *Tkanka ziemi*, 1960):

Nie śpiewaj z mostu, z balustrady,
Poślizniesz się nagle i co?
Przypływ jest koło północy,
Ciemno, bezludnie, dno.

Nawet głupiej mewy nie spłoszysz,
Z całego śpiewu krzyk i chlust,
Nad ranem odpływ, muł, śród mułu
Zaniemówiona trumna ust.

Miałaby to być ballada przypuszczająca?

A może ballada ostrzegawcza?

Niemożliwe, żeby nie rozmyślał o wierszach Tuwima, kiedy pisał *Nie śpiewaj z mostu*, zresztą za parę wierszy znajdujemy Tuwima (z tomu *Tkanka ziemi*). Szkoda, że nie najlepszy ten wiersz, ale Tuwim potraktowany tam jako źródło i rzeka polszczyzny.

Niestety „zaniemówiona trumna ust” gorsza niż „ożałobione wesele”,

które jest po prostu nadzwyczajne przez swą dwuznaczność, nie wiadomo, czy chodzi o uczucie czy uroczystość weselną.

14 XII 1990

Umarł Kantor. Chyba z siódmego na ósmego.

Zaczął od happeningu — *Linia podziału*.

Właściwie nie on zaczął, tylko Pan Bóg.

To stało się tajemnicą wygnania z Raju — podział na *sacrum* i *profanum*, na życie i nieżycie, to, co wieczne i to, co śmiertelne, ograniczone ja i nieograniczone Niepoznane.

Linia podziału jest podstawowym wzorem istnienia zarówno duchowego jak cielesnego. Człowiek, który cierpi na zaburzenia czucia, nie wie, gdzie kończy się i zaczyna jego ciało. Wbija sobie widelec w palec nic o tym nie wiedząc, nie mogąc rozpoznać ani odległości, ani granicy między nim i przedmiotem. Człowiek nie odczuwający nigdy tak zwanego Strachu Bożego przed linią podziału jest potworem zdolnym, przez swą nieświadomość, zniszczyć świat.

Inna sprawa, do czego dąży poezja (to znaczy sztuka). Chce przekroczyć ograniczenia chodząc po tej linii.

22 XII 1990

Ostatnio zaniepokoił mnie, oglądany w telewizji, fragment próby sztuki *Dziś są moje urodziny*. Kantor siedział przed ramą, a zza ramy obraz życia się do niego wydzierał. Jakaś wrzeszczała — masz siedemdziesiąt pięć lat.

Siedział, co mnie przeraziło, a nie biegał, jak kiedy indziej, wśród szkieletów, koni, kukieł, grobów, szaf i okien. Coś jakby dawał sobie wymyślać i jakby odsuwał się zaglądając w okno życia.

W każdym razie było w tym coś strasznego. A może go po prostu nogi zabolowały i tak sobie usiadł, bo w innej migawce już nerwowo się poruszał. W dodatku nie było widać, żeby dyrygował tą kakofonią (przez chwilę). To tylko mignęło któregoś wieczoru i za parę dni już wszystko się stało.

23 XII 1990

Co na to Witkacy? Tak wyreżyserować, żeby umrzeć próbując sztukę *Dziś są moje urodziny!* Nikomu innemu nie mogło się coś takiego przydarzyć. I z perspektywą na życie wieczne, wieczną sztukę.

Pytanie tylko, czy jego buda jarmarczna, dziwny teatr wzruszeń — jak

mówił o swym teatrze — będzie wieczny. Do tej pory mogliśmy tam wstąpić. Strasznie nas osierocił.

24 XII 1990

Kantor uważał szczęście za nielegalne — jako ukradzione bogom.

2 V 1991

Poci myślą o sobie nawzajem.

Tuwim w *Księdze wierszy polskich XIX wieku* cytuje zdanie Słowackiego o Zaleskim:

Bohdan, mogąc być bardzo wysoko — gdyby się kształcił na wzorach, a swojej ukraińskiej samodzielności nie stracił — mogąc być Ariostem Kozaków dniewprowych, tak że kiedyś ślepy lirnik śpiewałby jego długi poemat ludowi [...] dobrowolnie prawie stanął przy wielotomowym Kniaźninie, a jeszcze i przed Karpińskim z drogi ustąpił.

6 V 1991

Oczywiście, że Białoszewski myślał o Zaleskim. Na razie nie mogę go na tym złapać. Może gdzieś rzucił wskazówkę. Zawsze dużo i uważnie wsłuchiwał się w innych poetów. Jak ich mówić. Jak słyszeć.

Kolega Zaleskiego w regionalizmie, o ile dalej zaszedł. Nie tylko z powodu nowszych czasów. Zaleski ześliznął się z góry ludowizmu. Białoszewski wszedł w głąb plebejskości z całym genialnym przecuciem i wypracowaną nadświadomością.

Szумы, zlepy, ciągi (1976). Czy to nie takie gatunki jak Zaleskiego szumki, dumki, wiośniarki? Coś brzęczy w tej tradycji. Na pewno. A dowodu nie ma. Zaleski jak zwykle ckliwszy. Takich niepięknych wyrazów — szумы, zlepy — bałby się. Miał świetny przeblýsk w nazwie — wniebogłósy — też coś w rodzaju gatunku.

16 VI 1991

Wolny rynek, wolny rynek, wolny rynek — sygnaturka czasu!

Zapis z innego świata — *Dziennik* Jana Lechonia, 25 stycznia 1951:

Kiedy Konopnicka umarła, redaktor „Tygodnika Ilustrowanego” Józef Wolff zadepeszował do będącego we Włoszech Kazimierza Tetmajera z prośbą o artykuł o niej, nie informując go o jej zgonie. Wobec tego Tetmajer oddepeszował: „Czy zmarła? I rb od wiersza”. A na to Wolff „Umarła. Dobrze”.

22 VI 1991

Ciągle szukam Zaleskiego u Białoszewskiego. Może w końcu znajdzie się mimochodem.

I znajduję wiersz *Brzydnać* (z tomu *Odczepić się*, 1978).

nie podolać?
wołać
wniebowłosy
siwe
łyse

„Wniebowłosy” wieloznaczne, od „wydzierać się wniebogłosy”. Białoszewski użył „wołać”, bo „wydzierać się” potrzebne mu było do przeświecania od spodu, żeby kojarzyło się lepiej jeszcze z włosami. „Wydzierać sobie lub komuś włosy”. Niby wypadły, bo „łyse”, a jednak zrobione to zostało bardziej dynamicznie, jakby się rzeczywiście wydarły lub może „wywołały”. Włosy wychodzące w niebo? Lęk przed starzeniem się, brzydota, a więc „wniebowłosy wołać”. Ile trzeba się namyśleć, żeby przemyśleć ten malutki wierszyk.

Białoszewski postępuje podobnie z rozbitymi, jak Szymborska z całymi codziennymi wyrażeniami. Nie da się ich porównać. Nie da się ich naśladować. Mistrzowie wieloznaczności.

24 VI 1991

To nadzwyczajne posługiwanie się wieloznacznością daje możliwość maksymalnego skrótu. Co Białoszewski umiał wyciągnąć z języka, także w dziedzinie pojęć historycznych! Na przykład *Kabaret Kici Koci*, *Wybuch stanu* (z tomu *Oho*):

STRESA

w Polsce zawsze były trzy stany: przedwojenny, wojenny i powojenny

SYBILLA GR.[OCHOWA]

teraz jest ten środkowy

Te trzy stany to historia.

„Stresa” — alegoria kobiety mającej od wieków udział w tych stanach.

„Sybilla Grochowa” — symbol kobiety wiedzącej w warszawsko-anty-cznej mitologii Białoszewskiego.

2 VII 1991

Jednym z ostatnich wierszy Warszawy skamandryckiej był sławny wiersz

Andrzeja Nowickiego *Moja ojczyzna* (w niektórych publikacjach tytuł *Warszawa*) napisany w Oflagu II C w Woldenbergu w roku 1940:

Gdy o Ojczyźnie mojej myślę —
Myślę: Aleje, Zjazd, Powiśle...
Tobie Ojczyznę — wioska, ruczaj,
Mnie — Mokotowska, Bracka, Krucza.

Wiersz ten jest modlitwą o to, by, jeśli zginąć, to za warszawskie ulice, prośbą o jeden widok.

Lecz przedtem — daj mi ujrzeć latem
Księżyc idący Marienształem.

Mógł go poeta (1909–1986) zobaczyć jeszcze wielokrotnie. Czy nie nadzwyczajne, że Duch Warszawy podsłuchał tę modlitwę. Jak mówili, Nowicki umarł gdzieś na Rynku Starego Miasta czy na Krakowskim Przedmieściu na chodniku, zdążywszy tylko poprosić o zawiadomienie żony. W drodze do domu na Nowy Świat.

4 VII 1991

Dużo tu o śmierci poetów. Ale przecież daty ich urodzin jako ludzi są nieznane. Dowiadujemy się o tym wydarzeniu bardzo długo potem. Nie znamy nawet chwili ich urodzin jako poetów.

5 VII 1991

Powiedzmy, że to *Kwiaty polskie* (1940–1944) były ostatnim wielkim utworem skamandryckim.

Właśnie — wielkim. Czy można się było spodziewać po ulotnym Skamandrze, że wyda takie dzieło? Że nie dokończone? Kto w dwudziestym wieku kończy poematy opisowe?

Emigracja stała się tym dotkliwym ziarnkiem piasku, które zmusiło Tuwima do otoczenia go perłą.

Poeci warszawscy, młodzi pod okupacją, nie pisali wcale tak dużo o samej Warszawie, ich problemem było przemijanie, chmury, chwile, pamięć potomnych i walka, a miasto tylko symbolicznie. Piękna nazwa Baczyńskiego — „Jeruzalem żalu”.

Poeci polscy zalali świat poezją o Warszawie — wiersze warszawskie powstawały w oflagach, w Związku Radzieckim, w Palestynie, w Persji, we Włoszech, Nowym Jorku, Rio de Janeiro, Paryżu, Londynie. Nie da

się nawet wymienić wszystkich miejsc. Z dnia na dzień, po obronie 39 roku, Warszawa stała się synonimem ojczyzny. Nagle, podobno kabaretowa trzpiotka, przemieniła się w Feniksa.

7 VII 1991

Było parę pięknych wierszy wojenno-warszawskich. Ale, że cała poezja się sfolkloryzowała pod okupacją i speśniła, warszawską poezją stającą jakiś charakterystyczny nurt stała się naprawdę dopiero pieśń i piosenka powstania warszawskiego. To pierwsze, co zapadło w powszechną pamięć po Warszawie skamandryckiej.

9 VII 1991

Tylko uparci antologięści pamiętają poezję socrealistyczną. Tymczasem piosenka socrealistyczna niewątpliwie została Warszawie wszczepiona. Może to kwestia nastroju, który nie tylko pozwalał ludziom ciężko harować wśród gruzów i wznoszących się murów, ale i kazał im chodzić podziwiać, co odzyskano. Może to były świetne piosenki. Najpewniej były prawdziwe i konkretnie regionalne. Nie występowała tu jakaś uogólniona robotnica czy murarz, czy proletariusz, czy ustrój, tylko autentyczne ulice i tramwaje. Jeśli nawet były jakieś wielkosocjalistyczne budowy znormalizowane według całego wschodniego bloku, to znikły i zostały: *Pójdę na Stare Miasto...*, *Na prawo most, na lewo most...* A przecież powtarzanych i nuconych przyjęło się znacznie więcej. Odbierane były różnie, często parodiowane. Sama pamiętam ze szkoły jedną z łagodniejszych przeróbek: „Na lewo most, na prawo most, a środkiem Wisła płynie. Tam domy roz-walone są i wpada ktoś po szyję. Autobusy z rozpędem migają i z rozpędu na ludzi wpadają...”. Ale pozbyć się tembru Chóru Czejanda? Trzeba by chyba zrobić sobie trepanację czaszki.

16 VII 1991

W roku 1957 rzuciliśmy się do świeżo odrodzonego harcerstwa. Atrakcją były obozy całych zgrupowań na wielkich obszarach Pojezierza Brodnickiego, gdzie walczyliśmy o lepsze miejsce z mrówkami. W niedzielę udaliśmy się czwórkami do kościoła, gdzie każdy z osobna niezwykle się zdumiał. Że harcerze z wielką wprawą służyli do mszy, nie dziwiło. Ale kościół rozbrzmiewał coraz to nowymi starymi przedwojennymi pieśniami kościelnymi, harcerskimi, patriotycznymi. Skąd

myśmy to umieli? My, tacy dobrzy uczniowie w szkole zupełnie innych rytmów.

W tym czasie rodzice przyjechali zwiedzać nasze obozy. Nie zastawszy nas w namiotach udali się za nami. My wyszliśmy w szyku na zewnątrz i osłupieliliśmy. Zobaczyliśmy naszych rodziców stojących naokoło kościółka dużym kręgiem i publicznie, bez skrępowania, bez możliwości powstrzymania się — płaczących.

17 VII 1991

W harcerstwie przeszliśmy rytmy od Pola i Romanowskiego do powstania warszawskiego. Może najgorzej było ze Słońskim. W każdym razie przypominam sobie przez mgłę Krystynę Sienkiewicz, która w miarę potrzeby udzielała przyspieszonych korepetycji z *Sadźmy róże*.

19 VII 1991

Mitologia barów mlecznych nabiera żywotności w miarę, jak one same upadają. Który poeta powojenny do nich nigdy nie wstępował? Iwaszkiewicz?

Dzisiaj swoim miłym, posthippisowskim głosem Jarosław Markiewicz opowiedział (w Programie II PR, audycja *Zapiski ze współczesności*) fantastyczną historię. Zdarzyło się to w latach sześćdziesiątych w miejscu, gdzie dziś ma restaurację znany bokser Kulej, a wtedy znajdował się tam bar mleczny (róg Pivnej i Zapiecka).

Markiewicz zauważył człowieka podobnego do Marksa, który usiłował za pomocą rysuneków zamówić odpowiednie dania. Markiewicz wspomógł go i człowiek przedstawił się — Allen Ginsberg. — Chyba nie ten poeta? — wykrzyknął Markiewicz, który z wielkim trudem zdobył jakieś wiersze tamtego. — Ten — odpowiedział Ginsberg. Po czym prawie rzucił mu się na szyję. Czemu absolutnie nie można się dziwić. Wziąwszy pod uwagę, że jakieś cztery miliardy ludzi nie znają jego wierszy, nie musiał zaraz trafić na Markiewicza.

A więc (tak zwana) recepcja poezji ma swoje happy endy? W każdym razie między poetami.

23 VII 1991

Jarosław Markiewicz wziął udział w nurtach najważniejszych dla, plus minus, naszego pokolenia. Artysta — malarz i poeta, reprezentant

zarówno postawy aktywistycznej, jak kontemplacyjnej, kontestator i poszukiwacz.

Zaczął od poezji zwanej społeczną, a szybko polityczną, i uprawiania idealizmu w stosunkach między poetami i robotnikami. Próbował zrobić poetycki teatr robotniczy, który nie był przez robotników odwiedzany. Nowa Fala 70 (jak się wówczas mówiło, a nie, jak teraz, pokolenie 68, mniejsza o etykiety) miała, wydawało się, poczucie, że robi odkrycie człowieka masowego jako pojedynczego w wielkim społeczeństwie. Faktycznie była spadkobierczynią inteligencji polskiej z początku wieku i okresu międzywojennego. Właściwie naprawdę nowe były tylko masowe media i o tym Nowa Fala wiedziała, zwłaszcza Barańczak. Ale oczywiście Telewizja była nie dla niej. Młoda poezja powtarzała syndrom remizy, powiedzmy, klubów studenckich.

W końcu strzelba (współpracy inteligencji z robotnikami), zawieszona na ścianie sceny polskiej na początku wieku, wypaliła. Odbłyło się to znacznie później niż debiut Markiewicza, ale nie bez udziału takich jak on.

Po okresie silnie aktywistycznym sam Markiewicz zetknął się z buddyzmem Zen, z bardzo dobrym dla swej twórczości skutkiem. A czy to nie druga twarz pokoleniowego Światowida?

Przychodzi rok 1981 i Markiewicz, zamiast malować w Berlinie górski krajobraz u skraju nirwany albo coś w tym stylu, do czego się chyba właśnie zabierał, rzuca się w wydawanie bibuły. Znowu aktywizm. Po roku 1989 nie przerywa wydawania. Zapowiada poezje. Zdaje się, że połówki życia Markiewicza złączyły się.

11 VIII 1991

Czas i przestrzeń w wierszach Szymborskiej mają niepowtarzalną konstrukcję. Wydaje się, że to z Heraklita ten jej świat w ruchu. *W rzece Heraklita* (z tomu *Sól*, 1962):

W rzece Heraklita
ja ryba pojedyncza, ja ryba odrębna
(choćby od ryby drzewa i ryby kamienia)
pisuję w poszczególnych chwilach małe ryby
w łusce srebrnej tak krótko
że może to ciemność w zakłopotaniu mruga?

Ale, gdy się przyjrzeć bliżej, ujawnia się, co jej własne — „ryba pojedyncza”. Całość świata Szymborskiej zbudowana jest w ten sam sposób.

Z niepoliczalnej liczby chwil — poetka zauważa pojedynczą chwilę, z niezliczonych miejsc — jedno miejsce, z wielkiej liczby ludzi — jednego. Istnienie wielości to podstawa istnienia świata. Perspektywa sztuki to perspektywa pojedynczego człowieka, pojedynczej chwili, pojedynczego miejsca, z wiersza *Ludzie na moście* (z tomu *Ludzie na moście*, 1986):

Ludzie na moście biegą
ściśle tam, co przed chwilą.

Zatrzymanie czasu, zatrzymanie spojrzenia, zatrzymanie chwili w wierszu. Dziwny ten świat w ruchu. W wierszu *Woda* (z tomu *Sól*) kropla deszczu okazuje się drobnym elementem obiegu zamkniętego. Kropla, woda staje się tym, co łączy ludzkość jako „woda babel” i dzieli ją, jak podzieliła w końcu Wieża Babel, na drobne krople.

12 VIII 1991

Ktoś zarzucił mi, że zbyt eksponuję Staffa, ale to, że dziś krytyka o nim wcale nie myśli, nie ujmuje nic z tamtej historycznej obecności. Oczywiście nie zamierzam wmawiać Staffa Szyborskiej. Może coś takiego latało w powietrzu koło roku 57, może to ich prywatny nastrój. Założyć trzeba, że raczej poglądy filozoficzne.

Oto pogodny stary Staff, wiersz *Chwila* (z tomu *Dziewięć Muz*, 1958):

Że mija? I cóż, że przemija?
Od tego chwila, by minęła,
Zaledwo moja, już niczyja,
Jak chmur znikome arcydzieła.
Chociaż się wszystko wiecznie zmienia
I chwila chwili nie pamięta,
Zawsze w jeziorach na przemiany
Kąpią się gwiazdy i dziewczęta.

Poważna młoda Szyborska, z wiersza *Nic dwa razy* (z tomu *Wolanie do Yeti*, 1957):

Czemu ty się zła godzino,
z niepotrzebnym mieszasz lękiem?
Jesteś — a więc musisz minąć.
Miniesz — a więc to jest piękne.

Treść

<i>Ryszard Nycz</i>	Od polonistyki do komparatystyki (i z powrotem)	1
---------------------	--	---

Szkice

<i>Zofia Mitosek</i>	Adam Mickiewicz w oczach Francuzów	5
<i>Per-Arne Bodin</i>	„Doktor Żywago” a idea Sofii (tłum. <i>D. Ulicka</i>)	21
<i>Clare Cavanagh</i>	Pseudorewolucja w języku poetyckim: Julia Kristeva i rosyjska awangarda (tłum. <i>G. Borkowska</i>)	30

Roztrząsania i rozbiory

<i>Aleksander W. Lipatow</i>	Awangarda: pokusa poezji i utopia władzy (tłum. <i>R. Mazurkiewicz</i>)	49
<i>Przemysław Czapliński</i>	Manifest literacki jako jednostka pro- cesu historycznoliterackiego	57
<i>Edward Możejko</i>	Komparatyści Wschodu i Zachodu w Tokio	72
<i>Anna Nasilowska</i>	Modele i przemiany	76
<i>Jerzy Paszek</i>	Florilegium	80
<i>Marian Romanowski</i>	Lege artis	86
<i>Alina Kowalczykowa</i>	O Janie Józefie Lipskim — dopowie- dzenie	95

Opinie

Polonistyka za granicą — ankieta . .	97
--------------------------------------	----

Przechadzki

<i>Małgorzata Czermińska</i>	W ciemni	151
<i>Ewa Kraskowska</i>	„Dlaczego uczysz się polskiego?” . . .	154

Rozmowy

- Anna Dutka* Nieufność wobec mowy potocznej
Rozmowa z Oswaldem Ducrotem . . 161
- Bożena Shallcross* Arcydzieła pióra białych mężczyzn
— kilka uwag o kanonie
Rozmowa z Fredem Nicolsem 174

Świadectwa

- Benedikt Liwzyc* My i Zachód 179

Archiwalia

- Witold Gombrowicz,
Czesław Miłosz* Korespondencja 199

Autobiografia

- Małgorzata Baranowska* Moja prywatna historia poezji (III) . 223

Warunki prenumeraty:

Roczna prenumerata krajowa: **60 000 zł** (6 numerów)

Roczna prenumerata zagraniczna:

— kraje postkomunistyczne: **120 000 zł** (pocztą zwykłą)

— inne kraje świata: **36 USD** (pocztą lotniczą).

Cena pojedynczego egzemplarza — **6 USD**.

Wpłaty prosimy kierować na konto: Instytut Badań Literackich PAN, „Teksty Drugie”,

PBK XIII O/Warszawa, nr 370044-3489, z podaniem dokładnego adresu nadawcy.

Istnieje także możliwość opłacenia prenumeraty dolarowej czekiem, który prosimy kierować na adres redakcji.

Bieżące numery do nabycia w księgarniach OR PAN

Warszawa	Pałac Kultury i Nauki
Lublin	ul. Marii Curie-Skłodowskiej 5
Poznań	ul. Mielżyńskiego 27/29
Wrocław	ul. Plac Wolności 7
Katowice	ul. Bankowa 11
Białystok	ul. Nowotki 13
Kraków	ul. Św. Marka 22

oraz m. in. w księgarniach:

Warszawa	Księgarnia im. B. Prusa, Krakowskie Przedmieście 7
	Księgarnia Reprint-Res Publica, Krakowskie Przedmieście 71
Kraków	Księgarnia Naukowa, ul. Podwale 6
	Księgarnia Orlando, Plac Wszystkich Świętych 7
	Księgarnia Znak, ul. Sławkowska 1
Wrocław	Księgarnia Ossolineum, Rynek 6
Toruń	Księgarnia Indeks, ul. Kościuszki 9
Szczecin	Księgarnia Scriptum, ul. Mazurska 26
Gliwice	Księgarnia Kultura, ul. Zwycięstwa 17
Opole	Księgarnia Akademicka, ul. Matejki 12
Gdańsk	Księgarnia Domu Książki, ul. Wita Stwosza 55

„Teksty Drugie” są kontynuacją dwumiesięcznika „Teksty” wydawanego w latach 1972–1981 i zawieszono go w stanie wojennym.

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH

Jerzy Jarzębski

Intertekstualność a poznanie u Lema

Alyson Jo Parker

(U/od)pleciwienie maszyny:

„Maska” Stanisława Lema

Jan Bloński

O „Wiadomościach Literackich”

Zofia Stefanowska

Stereotyp Żyda u Mickiewicza

Stefan Treugutt

Fides, spes, caritas

Stefan Morawski

Pochwała Leszka Kołakowskiego

Wiktor Erlich

Młodość w szeregach Bundu

Stanisław Brzozowski i Adolf Nowaczyński

O Berencie — inedita

Anna Wierzbicka

Wschodnioeuropejska kultura żydowska

w świetle żydowskiej „etnografii mowy”

Eugenia Prokop

O „Żydzie wiecznym tulaczem” Aleksandra Wata